

**ROBERT  
LUDLUM**

**DZIEDZICTWO  
SCARLATTICH**

# Spis treści

Spis treści .....	2
CZEŚĆ PIERWSZA .....	3
ROZDZIAŁ 1.....	4
ROZDZIAŁ 2.....	13
ROZDZIAŁ 3.....	22
ROZDZIAŁ 4.....	30
ROZDZIAŁ 5.....	40
ROZDZIAŁ 6.....	44
ROZDZIAŁ 7.....	52
ROZDZIAŁ 8.....	55
ROZDZIAŁ 9.....	58
ROZDZIAŁ 10.....	63
ROZDZIAŁ 11.....	70
ROZDZIAŁ 12.....	73
ROZDZIAŁ 13.....	82
ROZDZIAŁ 14.....	85
ROZDZIAŁ 15.....	88
ROZDZIAŁ 16.....	93
ROZDZIAŁ 17.....	101
ROZDZIAŁ 18.....	103
ROZDZIAŁ 19.....	107
ROZDZIAŁ 20.....	110
CZEŚĆ DRUGA .....	117
ROZDZIAŁ 21.....	118
ROZDZIAŁ 22.....	124
ROZDZIAŁ 23.....	128
ROZDZIAŁ 24.....	132
ROZDZIAŁ 25.....	135
ROZDZIAŁ 26.....	138
ROZDZIAŁ 27.....	140
ROZDZIAŁ 28.....	147
ROZDZIAŁ 29.....	151
ROZDZIAŁ 30.....	157
ROZDZIAŁ 31.....	162
ROZDZIAŁ 32.....	170
ROZDZIAŁ 33.....	173
ROZDZIAŁ 34.....	174
ROZDZIAŁ 35.....	178
ROZDZIAŁ 36.....	183
ROZDZIAŁ 37.....	186
ROZDZIAŁ 38.....	193
ROZDZIAŁ 39.....	195
ROZDZIAŁ 40.....	198
CZEŚĆ TRZECIA .....	202
ROZDZIAŁ 41.....	203
ROZDZIAŁ 42.....	207
ROZDZIAŁ 43.....	210
ROZDZIAŁ 44.....	213
CZEŚĆ CZWARTA .....	226
ROZDZIAŁ 45.....	227
ROZDZIAŁ 46.....	228

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

# ROZDZIAŁ 1

**10 października 1944, Waszyngton.**

Generał brygady usiadł sztywno na długiej ławie pod ścianą, przedkładając twardą powierzchnię sosny nad miękką skórę foteli.

Była dziewiąta trzydzieści rano, a on źle spał w nocy - nie dłużej niż godzinę.

Kiedy mały zegar na kominku zaznaczał pojedynczymi uderzeniami każde pół godziny, generał zauważył ku swojemu zdumieniu, że chciałby przyspieszyć bieg czasu. Ponieważ dziewiąta trzydzieści i tak musiała nadejść, wolał to mieć już za sobą.

O dziewiątej trzydzieści miał stanąć przed sekretarzem stanu, Cordellem S. Hullem.

Siedząc w poczekalni biura twarzą do ogromnych czarnych drzwi z mosiężnymi klamkami, bębnił palcami po białej papierowej teczce, którą wyjął z neseseru. Chciał uniknąć niezręcznej ciszy w chwili, gdy przyjdzie czas ją pokazać, i wszyscy będą czekali, aż otworzy neseser i znajdzie teczkę. Zamierzał, jeśli zajdzie taka potrzeba, rzucić ją z całą stanowczością prosto w ręce sekretarza.

Ale Hull może o nią wcale nie poprosić. Może zażądać jedynie ustnego wyjaśnienia, a potem uznać jego wypowiedź za nie do przyjęcia. W takim przypadku brygadier będzie mógł tylko zaprotestować. Niezbyt gwałtownie, rzecz jasna. Informacje zawarte w teczce nie stanowiły dowodu, mogły jedynie podeprzeć jego przypuszczenia.

Generał spojrział na zegarek. Dziewiąta dwadzieścia cztery.

Ciekaw był, czy słynna punktualność Hulla sprawdzi się także w przypadku tego spotkania. On sam zjawił się we własnym biurze o 7.30, pół godziny wcześniej niż normalnie.

Możliwe, że przez memorandum, którego wynikiem było dzisiejsze spotkanie, będzie miał kłopoty. Bez trudu mogą się go pozbyć.

Wiedział jednak, że ma rację.

Odgiął brzeg teczki na tyle, by przeczytać stronę tytułową maszynopisu: Canfield, Matthew. Major rezerwy Armii Stanów Zjednoczonych. Departament Wywiadu Wojskowego.

Canfield, Matthew... Matthew Canfield. On jest dowodem.

Na biurku niemłodej recepcjonistki zabrzączał sygnał interkomu.

- Generał Ellis? - Prawie nie podniosła wzroku znad gazety.

- Tak?

- Pan sekretarz przyjmie pana.

Ellis spojrział na zegarek. Dziewiąta trzydzieści dwie.

Wstał, podszedł do złowieszczych czarnych drzwi i otworzył je.

- Pan wybacz, generale Ellis. Uznałem, że charakter pańskiego memorandum wymaga obecności osób trzecich. Pozwoli pan, że przedstawię podsekretarza Brayducka.

Brygadier był zaskoczony. Nie spodziewał się nikogo więcej, wyraźnie prosił o rozmowę sam na sam.

Podsekretarz Brayduck stał po prawej stronie biurka, w odległości około trzech metrów. Najwyraźniej był jednym z tych pracowników Białego Domu i Departamentu Stanu, którzy ukończyli uniwersytet - pełno ich było w administracji Roosevelta. Nawet jego ubranie jasnoszare flanelowe spodnie i obszerna marynarka w jodełkę - stanowiło niedbałe przeciwieństwo nieskazitelnego munduru brygadiera.

- Oczywiście, panie sekretarzu... panie Brayduck - skinął głową generał.

Cordell S. Hull usiadł za szerokim biurkiem. Dobrze znana twarz - bardzo jasna cera, przerzedzone białe włosy, zielononiebieskie oczy, za szklami w stalowej oprawce - wydawała się większa niż w rzeczywistości. Jego zdjęcia nieustannie pojawiały się w gazetach i kronikach filmowych. Nawet na plakatach wyborczych - tych z nachalnym pytaniem: CZY CHCESZ ZMIENIAĆ ZAPRZĘG W ŚRODKU RZEKI? - wzbudzająca zaufanie, inteligentna twarz Hulla była widoczna tuż za wizerunkiem Roosevelta, czasem bardziej wyeksponowana niż twarz Harry'ego Trumana.

Podsekretarz wyjął z kieszeni kapciuch na tytoń i zaczął nabijać fajkę. Hull uporządkował papiery na biurku, powoli otworzył taką samą teczkę jak ta, którą brygadier trzymał w ręku, i popatrzył na nią. Ellis rozpoznał ją. Było to jego własne poufne memorandum, które przekazał Hullowi.

Brayduck zapalił fajkę. Zapach tytoniu sprawił, że Ellis ponownie przyjrzał się podsekretarzowi. Była to jedna z tych dziwacznych mieszanek uważanych za oryginalne przez ludzi uniwersytetu, lecz zazwyczaj niestrawnych dla innych znajdujących się w tym samym pokoju. Brygadier Ellis odetchnie z ulgą, kiedy wojna się skończy.

Roosevelt się wtedy wyniesie, wyniosą się też ci tak zwani intelektualiści razem ze swoim śmierdzącym tytoniem.

Trust mózgow, pozał się Boże. Lewicowcy, co do jednego.

Najpierw jednak wojna.

Hull podniósł wzrok na brygadiera.

- Nie muszę chyba panu mówić, generale, że pańskie memorandum jest bardzo niepokojące.

- Informacje, które uzyskałem, były bardzo niepokojące, panie sekretarzu.

- Niewątpliwie... niewątpliwie. Ale czy są podstawy do wyciągnięcia takich wniosków? To znaczy, czy ma pan coś konkretnego?

- Tak mi się wydaje.

- Ile osób z wywiadu wie o tym, Ellis? - wtrącił się Brayduck.

Brak słowa "generał" nie uszedł uwagi brygadiera.

- Z nikim na ten temat nie rozmawiałem. I szczerze mówiąc, nie sądziłem, że dziś będzie tu ktoś oprócz pana sekretarza.

- Darzę pana Brayducka całkowitym zaufaniem, generale Ellis. Jest tu na moją prośbę... na mój rozkaz, jeśli pan woli.

- Rozumiem.

Cordell Hull odchylił się do tyłu.

- Bez obrazy, ale zastanawiam się, czy rzeczywiście pan rozumie... Przysyła pan ściśle tajne, bardzo pilne memorandum lecz zawarte w nim wywody wydają się nieprawdopodobne.

- Nedorzeczne oskarżenie, którego, jak pan sam przyznaje, nie można udowodnić - dodał Brayduck z fajką w zębach, podchodząc do biurka.

- Może nie formułujmy tego tak ostro... - Hull zażądał obecności Brayducka, ale nie zamierzał tolerować jego nadmiernej aktywności, a tym bardziej bezczelności.

Brayduck jednak nie dał się zbyć.

- Panie sekretarzu, wywiad wojskowy trudno nazwać nieomylnym. Mieliśmy już okazję wielokrotnie się o tym przekonać.

Chodzi mi jedynie o to, by kolejna pomyłka, domysły oparte na nieściślych informacjach, nie stała się bronią w ręku politycznych przeciwników obecnego rządu. Za niecałe cztery tygodnie mamy wybory!

Wielka głowa Hulla pochyliła się. Powiedział nie patrząc na Brayducka:

- Nie musi mi pan o tym przypominać... Natomiast niech mi będzie wolno panu przypomnieć, że ciężą na nas także inne zobowiązania... Nie dotyczące polityki wewnętrznej. Czy wyrażam się jasno?

- Jak najbardziej. - Brayduck powstrzymał się od kolejnych uwag.

Hull mówił dalej:

- Jak zrozumiałem z pańskiego memorandum, generale Ellis, twierdzi pan, że wpływo- wy członek niemieckiego dowództwa jest obywatelem amerykańskim działającym pod przy- branym nazwiskiem - i to nazwiskiem znanym nam bardzo dobrze - Heinrich Kroeger.

- Tak. Tyle że wyraziłem to w trybie przypuszczającym napisałem, że być może tak jest.

- Ponadto daje pan do zrozumienia, że Heinrich Kroeger współpracuje lub jest powiąza- ny z dużymi korporacjami w tym kraju. Z zakładami realizującymi zamówienia rządowe, z produkcją zbrojeniową.

- Zgadza się, panie sekretarzu. Ale napisałem, że był, niekoniecznie jest.

- Czasy gramatyczne tracą znaczenie w przypadku takich oskarżeń. - Cordell Hull zdjął okulary w stalowej oprawce i położył je obok teczki. - Zwłaszcza podczas wojny.

Podsekretarz Brayduck odezwał się pykając fajkę:

- Stwierdza pan również, że nie ma pan na to żadnego konkretnego dowodu.

- To, czym dysponuję, określa się jako poszlaki. Poszlaki takiego rodzaju, że gdybym nie powiadomił o nich pana sekretarza, byłoby to według mnie naruszeniem obowiązków. - Brygadier wziął głęboki oddech. Wiedział, że po tym, co teraz powie, nie będzie się mógł już wycofać. - Chciałbym wskazać na kilka istotnych faktów dotyczących Heinricha Kroegera... Po pierwsze, jego akta personalne są niepełne. Nie dostał opinii z partii, jak większość człon- ków. A jednak, podczas gdy inni przychodzą i odchodzą, on pozostaje. Z pewnością musi mieć poparcie Hitlera.

- Wiemy o tym. - Hull nie lubił powtarzania znanych wiadomości tylko po to, żeby zwiększyć siłę argumentacji.

- Samo nazwisko, panie sekretarzu. Heinrich jest imieniem równie popularnym jak Wil- liam czy John, a Kroeger to tak jak Smith albo Brown u nas.

- Nonsens, generale. - Z fajki Brayducka wydobywały się spiralki dymu. - Gdybyśmy brali pod uwagę nazwiska, połowa naszego dowództwa polowego byłaby podejrzana.

Ellis odwrócił się do Brayducka, dając mu w pełni odczuć, czym jest pogarda wojsko- wego.

- Mimo wszystko uważam ten fakt za istotny, panie podsekretarzu.

Hull zaczął się zastanawiać, czy obecność Brayducka była rzeczywiście takim dobrym pomysłem.

- Panowie, nie ma sensu odnosić się do siebie z wrogością.

- Przykro mi, że pan tak to widzi, panie sekretarzu. Brayduck ponownie nie przyjął upomnienia do wiadomości. - Jak rozumiem, mam tu dziś pełnić funkcję adwokata diabła. Żaden z nas, a zwłaszcza pan, panie sekretarzu, nie ma zbyt dużo czasu...

Hull spojrzął na Brayducka, obracając się jednocześnie na fotelu.

- Wykorzystajmy więc ten czas. Proszę kontynuować, generale.

- Dziękuję, panie sekretarzu. Miesiąc temu przekazano przez Lizbonę wiadomość, że Kroeger chce się z nami skontaktować.

Zorganizowaliśmy wszystko i oczekiwaliśmy podjęcia normalnych w takim przypadku kroków... Kroeger jednak nie zgodził się na standardową procedurę - odmówił jakichkolwiek kontaktów z jednostkami brytyjskimi lub francuskimi - i domagał się porozumienia bezpośrednio z Waszyngtonem.

- Jeśli można... - ton Brayducka był uprzejmy. - Nie uważam tej decyzji za niezwykłą. W końcu jesteśmy czynnikiem dominującym.

- Jest niezwykła, panie Brayduck. Kroeger chce rozmawiać tylko z majorem Canfieldem... majorem Matthew Canfieldem, który jest, a raczej był, oficerem wojskowego wywiadu stacjonowanym w Waszyngtonie.

Brayduck wyjął fajkę z ust i spojrzął na generała. Cordell Hull pochylił się do przodu, opierając łokcie na biurku.

- Nie wspomina pan o tym w swoim memorandum stwierdził.

- Pomiąłem tę kwestię, na wypadek gdyby przeczytał to ktoś jeszcze poza panem.

- Zwracam honor, generale. - Brayduck mówił szczerze.

Ellis uśmiechnął się, rad ze zwycięstwa.

Hull odchylił się w fotelu.

- Wysoko postawiony członek hitlerowskiego dowództwa domaga się kontaktu jedynie z nieznanym oficerem wywiadu.

Niezwykłe!

- Niezwykłe, ale mogło się zdarzyć... Założyłem, że major Canfield spotkał Kroegera przed wojną. W Niemczech.

Brayduck zrobił krok w stronę brygadiera.

- Ale jednocześnie sugeruje pan, że Kroeger może nie być Niemcem. A więc w okresie między wiadomością od Kroegera z Lizbony a pańskim memorandum do sekretarza zmienił pan zdanie. Co było tego przyczyną? Canfield?

- Tak. Major Canfield jest kompetentnym oficerem wywiadu.

Doświadczony człowiek. Jednakże, odkąd zaczęła się ta sprawa z Kroegerem, zaczął wykazywać wyraźne objawy napięcia. Zrobił się bardzo nerwowy i przestał działać tak, jak przystało na oficera z jego przeszłością i doświadczeniem... Niektóre jego instrukcje i polecenia wydają się dosyć dziwne...

- Mianowicie?

- Mam wystąpić do prezydenta Stanów Zjednoczonych z żądaniem, by zanim major Canfield skontaktuje się z Kroegerem, dostarczona mu tajne akta z archiwum Departamentu Stanu z nie naruszonymi pieczęciami.

Brayduck wyjął fajkę z ust zamierzając zaprotestować.

- Chwileczkę, panie Brayduck. - Brayduck niewątpliwie jest bardzo bystry, pomyślał Hull, ale czy zdaje sobie sprawę, co dla zawodowego oficera pokroju Ellisa oznacza takie

tłumaczenie - się przed nimi dwoma? Wielu oficerów wolałoby zostawić całą sprawę w spokoju, niż znaleźć się w takiej sytuacji.

- Czy mam rację zakładając, że jest pan jednak za wydaniem tych akt Canfieldowi?

- To pańska opinia. Zwróć jedynie uwagę, że Heinrich Kroeger ma swój udział w każdej ważnej decyzji podejmowanej przez narodowych socjalistów od czasu powstania tej partii.

- Czy dezercja Heinricha Kroegera może przyspieszyć zakończenie wojny?

- Nie wiem. Ale brałem pod uwagę taką możliwość. Dlatego tu jestem.

- Co to za akta, których domaga się ten major Canfield? Brayduck był zirytowany.

- Znam tylko ich numer i rodzaj klasyfikacji podany przez archiwum Departamentu Stanu.

- To znaczy? - Cordell Hull ponownie się pochylił i oparł na biurku.

Ellis zawahał się. Określenie kategorii akt bez udzielenia Hullowi dokładniejszych informacji o Canfieldzie nie załatwiało sprawy.

Mógłby to zrobić, gdyby nie było Brayducka. Niech szlag trafi chłopców z uniwersytetu. Zawsze czuł się niepewnie w towarzystwie takich ludzi. Cholera, pomyślał. Chyba musi powiedzieć wszystko w obecności podsekretarza.

- Zanim odpowiem na pana pytanie, pozwolę sobie udzielić pewnych wyjaśnień, które według mnie są nierozzerwalnie związane z całą tą sprawą.

- Proszę bardzo. - Hull nie był pewien, czy jest zirytowany, czy zafascynowany.

- Ostateczne porozumienie pomiędzy Heinrichem Kroegerem a majorem Canfieldem uzależnione jest od spotkania z kimś, kogo określono jedynie jako... April Red - Czerwony Kwiecień. Spotkanie to ma się odbyć w Bernie, w Szwajcarii, przed podjęciem rozmów z Kroegerem.

- Kim jest ten April Red, generale? Z pańskiego tonu wnioskuję, że pan wie. - Bardzo mało umykało uwagi podsekretarza Brayducka, uświadomił sobie z niepokojem brygadier Ellis.

- Owszem. Wydaje mi się, że wiem... - Ellis otworzył trzymaną w ręku białą teczkę i przerzucił pierwszą stronę. - Jeśli pan pozwoli, panie sekretarzu, wynotowałem z kartoteki majora Canfielda następujące dane.

- Proszę bardzo, generale.

- Matthew Canfield zaczął pracować dla rządu w Departamencie Spraw Wewnętrznych w marcu tysiąc dziewięćset siedemnastego. Wykształcenie - rok na Uniwersytecie Stanowym w Oklahomie, potem półtora roku wieczorowych kursów w Waszyngtonie.

Zatrudniony jako młodszy inspektor w sekcji nadużyć rządowych Departamentu. Awansowany na inspektora terenowego w tysiąc dziewięćset osiemnastym. Przydzielony do Grupy 20, która, jak panowie wiedzą...

Cordell Hull przerwał mu:

- Mała, świetnie wyszkolona jednostka wkraczająca w przypadkach konfliktu interesów, poważnych malwersacji itp. w czasie pierwszej wojny światowej. Działająca bardzo skutecznie... aż do chwili, gdy, jak większość tego typu jednostek, zaczęła mieć o sobie zbyt wysokie mniemanie. Rozwiązana, jak sądzę, w dwudziestym dziewiątym lub trzydziestym.

- W trzydziestym drugim, panie sekretarzu. - Generał Ellis był zadowolony, że rozporządza dokładnymi danymi. Przełożył kartkę i czytał dalej: - Canfield pracował dla Departamentu Spraw Wewnętrznych przez dziesięć lat, wciąż awansując. Wyróżniał się. Miał dosko-



nałą opinię. Odszedł w maju dwudziestego siódmego i został zatrudniony w Zakładach Scarlatti.

Na dźwięk nazwiska Scarlatti Hull i Brayduck zeszywnieli.

- W którym z zakładów?

- Biura. Piąta Aleja pięćset dwadzieścia pięć, Nowy Jork.

Cordell Hull bawił się cienkim czarnym sznureczkiem od binokli.

- Niezły skok. Z wieczorowej szkoły w Waszyngtonie do dyrekcji firmy Scarlatti. - Odwrócił wzrok od generała.

- Czy Scarlatti to jedna z korporacji, o których wspomina pan w swoim memorandum? - Brayduck nie należał do cierpliwych.

Zanim brygadier zdążył odpowiedzieć, Cordell Hull podniósł się z fotela. Był wysoki i barczysty, dużo potężniejszy od dwóch pozostałych mężczyzn.

- Generale Ellis, proszę nie odpowiadać na żadne dalsze pytania!

Brayduck wyglądał, jakby wymierzono mu policzek. Wpatrywał się w Hulla zmieszany i zaskoczony rozkazem sekretarza. Hull popatrzył na niego i powiedział cicho:

- Przepraszam, panie Brayduck. Nie mogę nic zagwarantować, jednak mam nadzieję, że będę mógł to panu później wyjaśnić. Czy do tego czasu może nas pan zostawić samych?

- Oczywiście. - Brayduck wiedział, że ten uczciwy i dobry starszy człowiek ma powody, by tak postąpić. - Nie ma potrzeby niczego wyjaśniać.

- Zasluguje pan na to.

- Dziękuję, panie sekretarzu. Jeśli chodzi o to spotkanie, może pan być pewien mojej dyskrecji.

Hull odprowadził Brayducka wzrokiem. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, zwrócił się do generała, który stał z wyrazem całkowitej dezorientacji na twarzy.

- Podsekretarz Brayduck jest doskonałym pracownikiem administracji państwowej. Moje polecenie, by nas opuścił, w żadnym wypadku nie powinno być rozumiane jako krytyka jego postawy lub pracy.

- Tak jest.

Hull z powrotem usiadł w fotelu.

- Poprosiłem pana Brayducka, by wyszedł, ponieważ chyba wiem coś o tym, o czym będzie pan za chwilę mówił. A jeśli mam rację, to lepiej, żebyśmy byli sami.

Brygadier był poruszony. Niemożliwe, żeby Hull coś wiedział.

- Proszę się uspokoić, generale. Nie jestem jasnowidzem...

Byłem w Izbie Reprezentantów w czasie, o którym pan mówi.

Pańskie słowa przywołały pewne wspomnienie. Odległe wspomnienie jednego bardzo ciepłego popołudnia w Izbie... Ale być może się mylę. Wróćmy do miejsca, w którym pan przerwał. Nasz major Canfield został zatrudniony w Zakładach Scarlatti... to dość niezwykle, zgodzi się pan?

- Istnieje logiczne wytłumaczenie. W sześć miesięcy po śmierci Ulstera Stewarta Scarletta w Zurychu Canfield poślubił wdowę po nim. Scarlett był młodszym z dwóch żyjących synów Giovanniego i Elizabeth Scarlattich, założycieli Zakładów Scarlatti.

Cordell Hull zamknął na chwilę oczy.

- Proszę mówić dalej.

- Ulster Scarlett i jego żona, Janet Saxon Scarlett, mieli syna Andrew Rolanda, który został zaadoptowany przez Matthew Canfielda po jego ślubie z wdową. Ma teraz osiemnaście lat.

Chłopiec jest prawowitym dziedzicem majątku Scarlattich. Canfield pracował dla Zakładów do sierpnia czterdziestego roku, a potem ponownie zaczął pracować dla rządu i otrzymał przydział do wywiadu.

Generał Ellis przerwał i spojrzał na Cordella Hulla znad teczki.

Zastanawiał się, czy Hull zaczyna rozumieć, ale twarz sekretarza była bez wyrazu.

- Wspomniał pan o aktach, których Canfield zażądał z archiwum. Co w nich jest?

- To następna sprawa, którą miałem poruszyć, panie sekretarzu. - Ellis przełożył kolejną kartkę. - Znamy jedynie numer tych akt, wskazujący na rok zgłoszenia informacji... tysiąc dziewięćset dwudziesty szósty, a ściślej mówiąc, czwarty kwartał tego roku.

- Jaki jest stopień ich utajnienia?

- Najwyższy. Mogą być wydane tylko na rozkaz podpisany przez prezydenta - w przypadku, gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo państwa.

- Przypuszczam, że jednym z sygnatariuszy był człowiek zatrudniony w Departamencie Spraw Wewnętrznych. Człowiek o nazwisku Canfield.

Brygadier był wyraźnie zdenerwowany.

- Zgadza się.

- Jak sądzę, uświadomił mu pan, że jego zachowanie jest niezgodne z prawem?

- Zagroziłem mu sądem wojennym. Odparł na to, że możemy mu odmówić.

- Ale wówczas kontakt z Kroegerem nie zostanie nawiązany?

- Tak... Moim zdaniem major Canfield wolałby spędzić resztę życia w wojskowym więzieniu, niż zmienić stanowisko.

Cordell Hull podniósł się z fotela i spojrzał na generała. Pańskie wnioski?

- Według mnie April Red, o którego chodzi Heinrichowi Kroegerowi, to Andrew Roland, syn Kroegera. Inicjały są takie same. Chłopak urodził się w kwietniu, w dwudziestym szóstym.

Uważam, że Heinrich Kroeger to Ulster Scarlett.

- Scarlett zmarł w Zurychu. - Hull uważnie obserwował generała.

- Okoliczności tej śmierci są niejasne. W rejestrze jest tylko świadectwo zgonu z podrzędnego sądu w małej miejscowości położonej trzydzieści mil od Zurychu i niemożliwe do sprawdzenia zaświadczenia podpisane przez ludzi, o których ani wcześniej, ani potem nikt nie słyszał.

Hull chłodno patrzył generałowi w oczy.

- Zdaje sobie pan sprawę z tego, co pan mówi? Korporacja Scarlati to jeden z gigantów świata biznesu.

- Tak, panie sekretarzu, zdaje sobie sprawę. Co więcej, twierdzą, że major Canfield wie, kim jest Kroeger, i zamierza zniszczyć tamte akta. - Uważa pan, że to spisek? Spisek mający na celu ukrycie tożsamości Kroegera?

- Cóż... Nie potrafię określać motywów postępowania innych ludzi. Ale reakcje majora Canfielda wydają się tak bardzo emocjonalne, że jestem skłonny uznać to za sprawę w najwyższym stopniu osobistą.

Hull uśmiechnął się.

- Myślę, że bardzo dobrze radzi pan sobie z określaniem motywów... Lecz czy sądzi pan, że w tych aktach zawarta jest prawda? I jeśli tak jest, to dlaczego Canfield zwraca na nie naszą uwagę? Z pewnością wie, że skoro możemy wydostać je dla niego, to równie dobrze możemy wydostać je dla siebie. Gdyby siedział cicho, moglibyśmy się nigdy o tym wszystkim nie dowiedzieć.

- Sądzę, że Canfield wie, co robi. Prawdopodobnie wychodzi z założenia, iż wkrótce i tak o wszystkim się dowiemy.

- Jak?

- Od Kroegera... Poza tym Canfield postawił warunek, że pieczęcie akt mają być nie-  
tknięte. A on jest w tych sprawach ekspertem, panie sekretarzu. Zorientowałby się, gdyby ktoś przy nich coś robił.

Cordell Hull, z dłońmi splecionymi z tyłu, obszedł biurko dookoła, omijając brygadiera. Chód miał sztywny, nie dopisywało mu zdrowie. Brayduck miał rację, pomyślał. Jeśli wyjdzie na jaw choćby jakikolwiek związek pomiędzy potężnymi amerykańskimi przemysłowcami a dowództwem Trzeciej Rzeszy, może to rozbić kraj. Zwłaszcza teraz, w okresie wyborów.

- Według pana, czy jeśli dostarczymy akta majorowi Canfieldowi, zabierze on chłopca na spotkanie z Kroegerem?

- Uważam, że tak.

- Dlaczego? To okrutne zrobić coś takiego osiemnastolatkowi.

Generał zawahał się.

- Nie jestem pewien, czy Canfield ma jakiś wybór. Nic nie powstrzyma Kroegera od zorganizowania wszystkiego w inny sposób.

Hull przestał chodzić i spojrzał na generała. Podjął już decyzję.

- Prezydent podpisze rozkaz wydania akt. Ale tylko pod warunkiem, że pańskie domysły pozostaną między nami.

- Między nami...?

- Przekażę prezydentowi Rooseveltowi treść naszej rozmowy, lecz nie będę go obciążał pańskimi przypuszczeniami, które mogą okazać się bezpodstawne. Być może jest to jedynie zbieg okoliczności, który da się łatwo wyjaśnić.

- Rozumiem.

- Jeśli jednak ma pan rację, Heinrich Kroeger może doprowadzić Berlin do upadku. Niemcy są w agonii... Jak pan zauważył, Kroeger w niezwykle sposób utrzymał się na stanowisku.

Jest członkiem elity otaczającej Hitlera. Ale jeśli pan się myli, wtedy obaj musimy pomyśleć o dwóch ludziach, którzy wkrótce będą w drodze do Berna.

Generał Ellis schował papiery do białej teczki, podniósł neseser stojący u jego stóp i podszedł do wielkich czarnych drzwi. Kiedy zamykał je za sobą, dostrzegł utkwiony w nim wzrok Hulla. Poczuł nieprzyjemne ściskanie w dołku.

Hull jednak nie myślał o generale. Przypominał sobie tamto ciepłe popołudnie dawno temu w Izbie Reprezentantów. Kolejni członkowie wstawali i odczytywali płomienne teksty, wpisane potem do Kroniki Kongresu, wychwalające dzielnego młodego Amerykanina, który został uznany za poległego. Wszyscy spodziewali się, że on, czcigodny przedstawiciel wspaniałego stanu Tennessee, także się wypowie. Głowy nieustannie zwracały się w jego kierunku.

Był jedynym członkiem Izby, który znał osobiście słynną Elizabeth Scarlatti, matkę dzielnego młodzieńca gloryfikowanego przez Kongres Stanów Zjednoczonych.

Mimo różnic w poglądach politycznych, Hull i jego żona od lat przyjaźnili się z Elizabeth Scarlatti.

A jednak w owo ciepłe popołudnie Hull zachował milczenie.

Znał Ulstera Stewarta Scarletta i gardził nim.

## ROZDZIAŁ 2

Brązowa limuzyna z emblematem Armii Stanów Zjednoczonych na drzwiach skręciła w prawo na Dwudziestej Drugiej i wjechała na plac Gramercy.

Siedzący z tyłu Matthew Canfield pochylił się, zdjął z kolan neseser i postawił go przy nogach. Naciągnął prawy rękaw płaszcza, żeby zakryć gruby srebrny łańcuch ciasno oplatający jego przegub i przyczepiony do metalowej rączki walizeczki.

Wiedział, że jej zawartość, a raczej fakt, iż on jest jej posiadaczem, oznacza jego koniec. Kiedy już będzie po wszystkim ukrzyżują go, żeby tylko oczyścić armię z zarzutów.

Wojskowy samochód skręcił dwukrotnie w lewo i zatrzymał się przed wejściem do budynku Gramercy Arms Apartments. Portier w uniformie otworzył tylne drzwi i Canfield wysiadł.

- Bądź z powrotem za pół godziny - powiedział do szofera. Nie później.

Blady sierżant, najwyraźniej zaznajomiony ze zwyczajami zwierzchnika, odparł:

- Wrócę za dwadzieścia minut, panie majorze.

Canfield skinął głową z zadowoleniem, odwrócił się i wszedł do budynku. Jadąc windą w górę uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony. Zdawało mu się, że numer każdego piętra wyświetlany jest dużo dłużej niż trzeba; przerwy między kondygnacjami ciągnęły się bez końca. A przecież się nie spieszył. Wcale się nie spieszył.

Osiemnaście lat. Koniec kłamstwa, lecz nie koniec strachu.

Strachu pozbędzie się dopiero wtedy, gdy Kroeger umrze.

Janet i Andrew będą żyli. Jeśli potrzebna jest czyjaś śmierć, to właśnie Kroegera. Już on tego dopilnuje.

Nie wyjedzie z Berna, dopóki Kroeger nie umrze.

Kroeger albo on.

A najprawdopodobniej obaj.

Z windy skręcił w lewo i przeszedł przez krótki korytarz.

Otworzył kluczem drzwi i wszedł do dużego przyjemnego salonu, urządzonego w stylu włoskim. Dwa wielkie wykuszowe okna wychodziły na park.

Drzwi od biblioteki otworzyły się i do salonu wszedł młody człowiek. Bez entuzjazmu kiwnął Canfieldowi głową.

- Cześć, tato.

Canfield popatrzył na chłopca. Z ogromnym trudem powstrzymał się, żeby nie podbiec do syna i nie uściskać go.

Jego syn.

I nie jego.

Wiedział, że gdyby pozwolił sobie na jakiś bardziej czuły gest, zostałby odtrącony. Chłopiec był czujny i, choć starał się tego nie okazywać, przestraszony.

- Cześć - odezwał się major. - Pomóż mi z tą walizką, co?

Młodzieniec podszedł do starszego mężczyzny i powiedział cicho:

- Jasne.

Razem otworzyli główne zapięcie łańcucha, po czym chłopak przytrzymał walizkę tak, by Canfield mógł otworzyć drugi, szyfrowy zamek, przymocowany do przegubu. Kiedy ją odczepili, Canfield zdjął kapelusz, płaszcz i marynarkę od munduru i rzucił je na fotel.

Chłopiec trzymał neseser stojąc nieruchomo przed majorem. Był bardzo przystojny. Miał jasne niebieskie oczy pod ciemnymi brwiami, zgrabny, choć leciutko zadarty nos i czarne włosy starannie zaczesane do tyłu. Smągła cera sprawiała wrażenie opalenizny. Był wysoki - ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Miał na sobie szare flanelowe spodnie, niebieską koszulę i tweedową marynarkę.

- I co ty na to? - zapytał Canfield.

Po chwili milczenia usłyszał odpowiedź:

- Bardziej mi się podobała żaglówka, którą dostałem od ciebie i mamy na dwunaste urodziny.

Starszy mężczyzna odwzajemnił uśmiech młodszego.

- Nie wątpię.

- Czy to jest to? - Chłopak położył walizkę na stole i zabębnił po niej palcami.

- Tak.

- Powinienem czuć się zaszczycony.

- Potrzebne było specjalne zarządzenie prezydenta, żeby dostać się do archiwum.

- Naprawdę? - Chłopiec podniósł wzrok.

- Nie denerwuj się. Wątpię, żeby wiedział, co tam jest.

- Jak to?

- Taka była umowa.

- Nie wierzę.

- Myślę, że uwierzysz, jak przeczytasz. Chyba tylko dziesięciu ludzi widziało to w całości i wielu z nich już nie żyje. Kiedy opracowywaliśmy ostatnią, czwartą część akt, robiliśmy to partiami...

w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. Jest w oddzielnej teczce z ołowianymi plombami. Kartki są pomieszane i trzeba je dopiero ułożyć. Klucz, według którego masz je uporządkować, podano na pierwszej stronie. - Major rozluźnił krawat i zaczął rozpinąć koszulę.

- Czy te wszystkie środki ostrożności były konieczne?

- Uważaliśmy, że tak. Korzystaliśmy też z kilku zespołów maszynistek. - Major ruszył w stronę drzwi do sypialni. Wszedł do środka, zdjął koszulę i rozwiązał buty. Młodzieniec podążył za nim i stanął na progu.

- Kiedy wyruszamy? - spytał.

- W czwartek.

- Czym?

- Samolotem Dowództwa Lotnictwa Bombowego. Z bazy lotniczej Matthews do Nowej Fundlandii, potem Islandia, Grenlandia i Irlandia. Z Irlandii prosto do Lizbony.

- Do Lizbony?

- Tam przejmie nas szwajcarska ambasada. Zabiorą nas do Berna...

Zdjąwszy spodnie, Canfield wyciągnął z szafy drugą, jasnoszarą parę i założył ją.

- Co powiemy mamie? - zapytał chłopak.

Nie odpowiadając, Canfield poszedł do łazienki. Napełnił umywalkę gorącą wodą i zaczął namydlać twarz.

Chłopiec wodził za nim oczami, ale nie poruszył się i nie przerwał milczenia. Wyczuł, że Canfield jest bardziej zdenerwowany, niż chciał to okazać.

- Wyjmij mi czystą koszulę z drugiej szuflady, dobrze? I połóż ją na łóżku.

- Jasne. - Ze sterty w szufladzie komody chłopiec wybrał popelinową koszulę z szerokim kołnierzykiem.

Canfield goląc się mówił:

- Dziś jest poniedziałek, więc będziemy mieli trzy dni. Ja zajmę się ostatnimi przygotowaniami, a tobie da to czas, żeby przestudiować akta. Będiesz miał pewnie sporo pytań, ale chyba nie muszę ci mówić, że masz się z nimi zwracać wyłącznie do mnie.

Zresztą i tak nie ma nikogo innego, kto mógłby ci udzielić odpowiedzi, lecz gdyby cię przypiliło i chciałbyś złapać za telefon, powstrzymaj się.

- Rozumiem.

- Tak na marginesie, nie czuj się zobowiązany do zapamiętania czegokolwiek. To nie jest ważne. Musisz tylko zrozumieć.

Czy był uczciwy wobec chłopca? Czy obciążanie go tym wszystkim było rzeczywiście konieczne? Canfield przekonywał sam siebie, że tak, gdyż niezależnie od razem przeżytych lat, niezależnie od łączącego ich uczucia, Andrew nosił nazwisko Scarlett. Za parę lat odziedziczy jedną z największych fortun na ziemi.

Ale czy na pewno jego decyzja jest słuszna?

A może wybrał drogę, która była najłatwiejsza dla niego?

O Boże! Niech ktoś zdejmie z niego tę odpowiedzialność.

Wytał ręcznikiem twarz, skropił ją wodą Pinaud i zaczął zakładać koszulę.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to zostawiłeś większość brody odezwał się chłopiec.

- Nie chcę wiedzieć.

Z wieszaka na drzwiach szafy zdjął krawat, z drugiego ściągnął ciemnoniebieski blezer.

- Możesz zacząć czytać, kiedy wyjdę. Jeśli pójdziesz na obiad, schowaj teczkę do sekretarzyka po prawej stronie drzwi. I zamknij go. Tu masz klucz. - Odczepił z kółka mały klucz.

Wyszli z sypialni i Canfield ruszył w kierunku drzwi wyjściowych.

- Albo mnie nie słyszałeś, albo nie chcesz odpowiedzieć, ale co z mamą? - Andrew nie dawał za wygraną.

- Słyszałem. - Canfield odwrócił się do młodzieńca. - Janet nie będzie o niczym wiedziała.

- Dlaczego? A jeśli coś się stanie? |

Canfield był wyraźnie zdenerwowany.

- Zdecydowałem, że nie dowie się o niczym.

- Nie zgadzam się z tobą.

- To mnie nie obchodzi.

- Może powinno. Jestem teraz dosyć ważny... nie z własnej woli, tato.

- I myślisz, że upoważnia cię to do mówienia mi, co mam robić?

- Po prostu myślę, że mam prawo być wysłuchanym... Wiem, że jesteś zdenerwowany, ale ona jest moją matką.

- A moją żoną. Nie zapominaj o tym, Andy, dobrze?

Zrobił kilka kroków w stronę chłopca, ale Andrew Scarlett odwrócił się i podszedł do stołu, na którym obok lampy leżała czarna skórzana walizka.

- Nie pokazałeś mi, jak się otwiera ten neseser.

- Nie jest zamknięty. Zamki otworzyłem w samochodzie.

Teraz otwiera się jak każda inna walizka.

Młody Scarlett nacisnął zapięcia. Odskokczyły.

- Wiesz, wczoraj wieczorem ci nie uwierzyłem - powiedział cicho, podnosząc wieko walizki.

- Nie dziwię się.

- Nie. Nie chodzi mi o mojego prawdziwego ojca. W to uwierzyłem, bo odpowiadało na wiele pytań dotyczących ciebie. Odwrócił się i spojrzał na starszego mężczyznę. - Zresztą to nawet nie były pytania, bo zawsze zdawało mi się, że wiem, dlaczego tak się zachowywałeś. Domyśliłem się, że ty po prostu nie lubisz Scarlettów... Nie mnie, ale rodziny Scarlett. Wujka Chancellora, ciotki Allison, wszystkich dzieciaków. Ty i mama zawsze się z nich śmialiście. Ja też... Pamiętam, ile bólu ci sprawiło wyjaśnienie mi, dlaczego moje nazwisko nie może być takie samo jak twoje.

Przypominasz sobie?

- Oczywiście... - Canfield uśmiechnął się łagodnie.

- Ale przez te ostatnie kilka lat zmieniłeś się. Znienawidziłeś Scarlettów. Wściekałeś się za każdym razem, gdy ktoś wspominał o Zakładach Scarlatt. Dostawałeś szału, kiedy prawnicy Scarlattich ustalali terminy spotkań, żeby omówić moje sprawy z tobą i mamą. Mama była na ciebie zła, uważała, że zachowujesz się bezsensownie... Myliła się. Teraz to rozumiem... Widzisz więc, że jestem gotów uwierzyć we wszystko, cokolwiek tu jest. - Zamknął teczkę.

- Nie będzie to łatwe.

- Teraz też nie jest. Dopiero co otrząsałem się z pierwszego szoku. - Usiłował się uśmiechnąć. - Cóż, zapewne nauczę się z tym żyć... Nie znałem go. Nigdy nic dla mnie nie znaczył. Nie zwracałem uwagi na opowieści wujka Chancellora. Widzisz, ja nie chciałem nic wiedzieć. Wiesz, dlaczego?

Canfield uważnie patrzył na chłopca.

- Nie - odpowiedział po chwili.

- Ponieważ nie chciałem należeć do nikogo innego oprócz ciebie... i Janet.

Wielki Boże, pomyślał Canfield.

- Muszę iść. - Ponownie ruszył w stronę drzwi wyjściowych.

- Jeszcze nie. Niczego nie ustaliliśmy.

- Nie ma nic do ustalania.

- Nie dowiedziałeś się, w co nie uwierzyłem wczoraj wieczorem.

Canfield zatrzymał się z ręką na klamce.

- W co?

- Że matka... nie wie o nim.

Canfield zdjął rękę z klamki i stanął przy drzwiach. Kiedy się odezwał, głos miał cichy i opanowany.

- Myślałem, że da się tego "uniknąć". Przynajmniej do czasu, gdy przeczytasz akta.



- Odpowiedz mi teraz albo nawet do nich nie zajrzę. Jeśli mamy coś przed nią ukryć, chcę wiedzieć dlaczego, zanim zrobię następny krok.

Major wrócił na środek pokoju.

- Co mam powiedzieć? Że zabiłoby ją to, gdyby się dowiedziała?

- A zabiłoby?

- Prawdopodobnie nie. Ale nie mam odwagi tego sprawdzać.

- Od jak dawna wiesz?

Canfield podszedł do okna. W parku nie było już dzieci.

Zamknęto bramę.

- Dwunastego czerwca trzydziestego szóstego dokonałem ostatecznej identyfikacji. Półtora roku później, drugiego stycznia trzydziestego ósmego, wprowadziłem poprawki do akt.

- Chryste Panie.

- Tak... Chryste Panie.

- I nigdy jej nie powiedziałaś?

- Nie.

- Dlaczego, tato?

- Mógłbym wyliczyć dwadzieścia albo trzydzieści dobrych powodów - powiedział Canfield spoglądając wciąż na park Gramercy. - Ale trzy zawsze wydawały mi się najważniejsze. Po pierwsze - dość przez niego wycierpiała; zamienił jej życie w piekło.

Po drugie, po śmierci twojej babci nie żył już nikt, kto mógłby go zidentyfikować. Po wód trzeci - dałem twojej matce słowo, że go zabiłem.

- Ty?!

Major odwrócił się od okna.

- Tak. Ja... Bo wydawało mi się, że to zrobiłem... zmusiłem nawet dwudziestu dwóch ludzi do podpisania oświadczeń, że on nie żyje. Przekupiłem skorumpowany urząd pod Zurychem, żeby wydał świadectwo zgonu. Tamtego ranka w czerwcu trzydziestego szóstego, kiedy dowiedziałem się prawdy, byliśmy w letnim domku, piłem kawę na tarasie. Ty i twoja matka myliście łódkę i wołaliście mnie, żebym spuścił ją na wodę. Ciągłe oblewałeś mamę wodą z węża, śmiała się i uciekała przed tobą dookoła łodzi. Była taka szczęśliwa...! Nie powiedziałem jej. Nie mogłem.

Młody człowiek usiadł na krześle obok stołu. Widać było, że chce coś powiedzieć, ale słowa więzły mu w gardle.

Canfield odezwał się cicho:

- Jesteś pewien, że chcesz być ze mną?

Chłopiec podniósł wzrok.

- Musiałeś bardzo ją kochać.

- Nic się nie zmieniło.

- W takim razie... chcę.

Odpowiedź chłopca sprawiła, że Canfield prawie się załamał.

Ale przyrzekł sobie, że wytrzyma bez względu na to, co się wydarzy.

Za dużo jeszcze było przed nimi.

- Dziękuję ci. - Odwrócił się do okna. Zapalono już latarnie uliczne.

- Tato...?

- Tak?

- Czemu wróciłeś i zmieniłeś akta?

Po dłuższej chwili ciszy major odpowiedział:

- Musiałem... Teraz to "musiałem" brzmi śmiesznie. Zastanawiałem się przez osiemnaście miesięcy. Kiedy już w końcu podjąłem decyzję, wystarczyło mniej niż pięć minut, żeby przekonać samego siebie. - Przerwał na chwilę zastanawiając się, czy należy mówić o tym chłopcu. Uznał, że tak.

- W Nowy Rok trzydziestego ósmego twoja matka kupiła mi nowego sportowego pacarda. Dwanaście cylindrów. Piękne auto.

Pojechałem na przejażdżkę drogą do Southampton... Nie wiem dokładnie, co się stało - chyba zablokowała się kierownica.

W każdym razie doszło do wypadku. Samochód przeokoziółkował dwukrotnie, zanim mnie wyrzuciło. Wyszedłem z tego cało. Trochę krwawiłem, poza tym nic mi nie było. Ale uprzytomniłem sobie, że mogłem zginąć.

- Pamiętam. Zadzwoiłeś z czyjegoś domu i razem z mamą pojechaliśmy po ciebie. Wyglądałeś okropnie.

- Zgadza się. Właśnie wtedy zdecydowałem się jechać do Waszyngtonu i zmienić akta.

- Nie rozumiem.

Canfield usiadł przy oknie.

- Gdyby coś mi się stało, Scarlett... Kroeger mógłby rozegrać całą tę sprawę dużo gorzej... i zrobiłby to, jeśli przyniosłoby mu to jakąś korzyść. Janet łatwo było zranić, bo o niczym nie wiedziała. Trzeba więc było komuś powiedzieć prawdę...

ale powiedzieć w taki sposób, by jedynym wyjściem dla obu rządów była natychmiastowa eliminacja Kroegera. W tym kraju Kroeger z wielu osobistości zrobił głupców. Niektórzy z owych panów są dziś w rządzie. Inni produkują samoloty, czołgi, okręty.

Ujawnienie, że Kroeger to Scarlett, oznaczałoby postawienie nowych pytań. Pytań, na które nasz rząd wolałby teraz nie odpowiadać. Być może nawet nie tylko teraz. - Major rozpiął płaszcz, ale nie zamierzał go zdejmować. - Adwokaci Scarlattich mają list, który w przypadku mojej śmierci lub zniknięcia ma być dostarczony najbardziej wpływowemu członkowi gabinetu...niezależnie od tego, kto w danej chwili urzęduje w Waszyngtonie.

Prawnicy Scarlattich są dobrzy w takich sprawach... Wiedziałem, że zbliża się wojna. Wszyscy wiedzieli. Pamiętaj, był trzydziesty ósmy rok... Ten list skierowałby adresata na właściwy trop.

Wziął głęboki oddech i spojrzał w sufit, po czym mówił dalej:

- Jak zobaczysz, nakreśliłem specjalny plan działania na wypadek naszego przystąpienia do wojny... i drugi na wypadek, gdyby do tego nie doszło. Twoja matka miała być poinformowana o wszystkim tylko w ostateczności.

- Czemu ktoś miałby się tym w ogóle interesować?

Andrew Scarlett był bystry. Podobało się to Canfieldowi.

- Czasem zdarza się, że państwa... nawet państwa pozostające ze sobą w stanie wojny, mają te same cele. Wtedy zawsze można się porozumieć... Heinrich Kroeger jest takim przypadkiem. Dla obu stron stanowi zbyt duży kłopot...

- To cyniczne.

- Owszem... Zgodnie z moimi wskazówkami w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od mojej śmierci dowództwo Trzeciej Rzeszy ma zostać poinformowane, że paru naszych głównych agentów wywiadu wojskowego od dawna podejrzewa, iż Heinrich Kroeger jest obywatelem amerykańskim.

Siedzący na brzegu krzesła Andrew Scarlett pochylił się do przodu. Canfield mówił dalej, jak gdyby nie dostrzegając rosnącego zainteresowania chłopca.

- Ponieważ Kroeger ciągle potajemnie kontaktuje się z wieloma Amerykanami, podejrzenia te wydają się uzasadnione. Jednakże... Canfield przerwał, żeby dokładnie przypomnieć sobie użyte w liście słowa - "...na skutek śmierci niejakiego Matthew Canfielda, kontaktującego się w przeszłości z człowiekiem znanym obecnie jako Heinrich Kroeger... nasz rząd wszedł w posiadanie... dokumentów, które stwierdzają jednoznacznie, że Heinrich Kroeger jest...niepoczytalny. Nie chcemy mieć z nim do czynienia. Ani jako z byłym obywatelem, ani jako z człowiekiem pracującym dla dwóch stron".

Młody człowiek podniósł się z krzesła ze wzrokiem utkwionym w starszego mężczyznę.

- Czy to prawda?

- W wystarczającym stopniu. Kombinacja gwarantująca szybką egzekucję: zdrajca i do tego obłąkany.

- Nie o to pytałem.

- Wszystkie informacje są w aktach.

- Chciałbym dowiedzieć się teraz. To prawda? Czy on jest...

był naprawdę obłąkany? Może to tylko podstęp?

Canfield wstał. Odpowiedział prawie szeptem:

- Chcesz prostej odpowiedzi, a taka nie istnieje. Dlatego chciałem poczekać.

- Chcę wiedzieć, czy mój... ojciec był chory.

- Chodzi ci o to, czy mamy dowody w postaci świadectw lekarzy, że był chory psychicznie...? Nie, nie mamy. Ale w Zurychu spotkało się dziesięciu potężnych ludzi - sześciu z nich wciąż żyje - którzy chcieli, by Kroeger został uznany za wariata... Dla nich stanowiło to jedyne wyjście. Udało im się, ponieważ byli tym, kim byli. Heinrich Kroeger został opisany przez wszystkich dziesięciu jako szaleniec. Schizofrenik. Nie mieli wyboru... Ale jeśli chcesz znać moje zdanie... Kroeger był najnormalniejszym człowiekiem pod słońcem. I najokrutniejszym. O tym też przeczytasz w aktach.

- Dlaczego nie używasz jego prawdziwego nazwiska?

Canfield odwrócił się gwałtownie.

Andrew patrzył na wzburzonego starszego człowieka po drugiej stronie pokoju. Zawsze go kochał, bo ten człowiek zasługiwał na miłość. Wiedział, czego chce, można było na nim polegać, dużo potrafił, umiał się bawić i - jak on to ujął...? - łatwo było go zranić.

- Ochraniałeś nie tylko mamę, prawda? Ochraniałeś i mnie.

Zrobiłeś to, żeby mnie też ochronić... Gdyby on kiedykolwiek wrócił, byłbym napiętnowany do końca życia.

Canfield odwrócił się powoli i spojrzał na przybranego syna.

- Nie ty jeden byłbyś napiętnowany.

- Tamci to co innego. - Młody Scarlett podszedł z powrotem do stolika z aktami.

- Masz rację. Co innego. - Canfield ruszył za chłopcem i stanął za jego plecami. - Dałbym wszystko, żeby ci tego nie mówić, chyba o tym wiesz. Ale nie miałem wyboru. Stawiając twoją obecność jako warunek spotkania, Kroeger sprawił, że nie pozostało mi nic innego, jak powiedzieć ci prawdę. On sądzi, że kiedy się dowiesz, będziesz przerażony, a wtedy ja zrobię wszystko, żebyś nie wpadł w panikę. Informacje zawarte w aktach mogłyby zniszczyć twoją matkę, mnie zaś posłać do więzienia, prawdopodobnie na całe życie. Tak, Kroeger dokładnie to wszystko przemyślał. Ale się przeliczył. Nie znał ciebie.

- Czy naprawdę muszę się z nim zobaczyć?  
- Będę z tobą. On ma zawrzeć z nami umowę.  
Andrew Scarlett był zaskoczony.  
- Więc zamierzasz wchodzić z nim w układy. - Było to pełne niesmaku stwierdzenie faktu.  
- Musimy się dowiedzieć, co możemy od niego dostać. Kiedy zobaczy, że dotrzymałem swojej części umowy przywożąc cię, będziemy wiedzieć, co ma do zaoferowania. I za ile.  
- Czyli nie muszę czytać akt. - Nie było to pytanie. - Muszę jedynie tam być... W porządku, będę!  
- Przeczytasz je, ponieważ ja tego żądam!  
- Dobrze. Dobrze, tato. Przeczytam.  
- Dziękuję... Przepraszam, że krzyknąłem. - Canfield zaczął zapinać płaszcz.  
- Jasne... Zasłużyłem na to. Ale tak przy okazji-jeżeli mama postanowi zadzwonić do mnie do szkoły...? Jak wiesz, zdarza się jej to dosyć często.  
- Twój telefon jest od rana na podsłuchu. Ścisłej mówiąc, został przełączony. Działa bez zarzutu. Masz nowego kolegę, nazywa się Tom Ahrens.  
- Kto to jest?  
- Porucznik wywiadu. Stacjonuje w Bostonie. Ma twój rozkład dnia i zajmie się telefonem. Wie, co ma mówić. Pojechałeś do Smitha na długi weekend.  
- Myślisz o wszystkim.  
- Staram się. - Canfield był już przy drzwiach. - Być może nie wrócę na noc.  
- Dokąd jedziesz?  
- Mam trochę pracy. Wolalbym, żebyś nie wychodził, ale jeśli będziesz musiał, pamiętaj o sekretarzu ku. Schowaj wszystko. Otworzył drzwi.  
- Nigdzie nie będę wychodził.  
- Dobrze. I, Andy... ciąży na tobie ogromna odpowiedzialność.  
Mam nadzieję, że wychowaliśmy cię tak, byś sobie z tym poradził.  
Myślę, że potrafisz. - Canfield wyszedł i zamknął za sobą drzwi.  
Młody człowiek wiedział, że jego ojczym próbował wyrazić coś innego. Wpatrywał się w drzwi i nagle pojął, co to było.  
Matthew Canfield nie wróci.  
Jak on to ujął? Janet miała być poinformowana tylko w ostateczności. I nie było nikogo innego, kto mógł jej powiedzieć.  
Andrew Scarlett spojrział na leżącą na stole teczkę.  
Syn i przybrany ojciec wybierali się do Berna, ale powrócić miał tylko syn.  
Matthew Canfield jechał na śmierć.  
Canfield zamknął drzwi i oparł się o ścianę w korytarzu. Był mokry od potu, a rytmiczny łomot w klatce piersiowej rozlegał się tak głośno, że chyba słysząc go było w mieszkaniu.  
Spojrzał na zegarek. Rozmowa zabrała mu mniej niż godzinę i udało mu się zachować spokój, teraz jednak chciał znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Wiedział, że powinien zostać z chłopcem, lecz w tej chwili nie można było tego od niego żądać. Nie wszystko naraz, bo oszaleje. Najpierw jedna sprawa, dopiero potem druga.  
Co dalej?

Kurier do Lizbony ze szczegółowymi instrukcjami. Jeden błąd i wszystko może się rozsypać jak domek z kart. Kurier odjedzie najwcześniej jutro o siódmej wieczorem.

Może więc spędzić noc i większą część dnia z Janet. A nawet musi. Gdyby Andy się zламаł, spróbuje najpierw skontaktować się z matką. Skoro nie był w stanie zostać z Andym, zostanie z Janet.

Do diabła z biurem! Do diabła z armią! Do diabła z rządem Stanów Zjednoczonych!

W związku ze zbliżającym się wyjazdem był przez dwadzieścia cztery godziny na dobie pod obserwacją. Niech ich diabli!

Nie powinien znajdować się dalej niż dziesięć minut drogi od teleksu.

W porządku.

Spędzi z Janet każdą minutę, jaka mu jeszcze została. Janet przygotowywała do zimy ich letni dom w Oyster Bay. Będą sami, być może po raz ostatni.

Osiemnaście lat. Zbliżała się chwila rozwiązania szarady.

Na szczęście winda nadjechała szybko. Teraz mu się spieszyło.

Do Janet.

Sierżant przytrzymał otwarte drzwi i zsalutował najzgrabniej, jak potrafił. W innych okolicznościach major roześmiałyby się i przypomniał mu, że jest w cywilnym ubraniu. Ale teraz machinalnie odwzajemnił honory i wskoczył do samochodu.

- Do biura, panie majorze?

- Nie, sierżancie. Do Oyster Bay.

## ROZDZIAŁ 3

Amerykańska historia sukcesu 24 sierpnia 1892 towarzyski świątek Chicago zbulwersowała wiadomością, że Elizabeth Royce Wyckham, dwudziestosiedmioletnia córka przemysłowca Alberta O. Wyckhama, poślubiła ubogiego imigranta z Sycylii, niejakiego Giovanniego Merighi Scarlatti.

Elizabeth Wyckham była wysoką dziewczyną o arystokratycznych manierach i stanowiła dla rodziców nieustające źródło zmartwień. Choć już nie najmłodsza, odrzucała wszystkie najlepsze partie, o jakich można było marzyć w Chicago, a jej odpowiedź zawsze brzmiała: "Tombak, papciu!"

Wydali więc majątek na wspaniałą podróż po Europie, inwestując wielkie pieniądze w wielkie nadzieje. Po czterech miesiącach przebierania w najlepszych propozycjach matrymonialnych Anglii, Francji i Niemiec Elizabeth stwierdziła: "Gorzej niż tombak, papciu!"

Już bym wolała tabun kochanków." Ojciec wymierzył córce siarczysty policzek, a ona odwzajemniła mu się kopniakiem w kostkę.

Po raz pierwszy zobaczyła swojego przyszłego męża na jednym z pikników urządzanych przez szefów z firmy jej ojca dla zasłużonych urzędników i ich rodzin. Został jej przedstawiony niczym wasal córce feudalnego barona.

Był potężnym mężczyzną z ogromnymi, choć dziwnie delikatnymi dłońmi i twarzą o wyrazistych włoskich rysach. Słabo mówił po angielsku, ale zamiast podkreślać to niezdarną pokorą, emanował pewnością siebie i za nic nie przeproszał. Natychmiast spodobał się Elizabeth Wyckham. Chociaż nie był urzędnikiem ani nie miał rodziny, zrobił na przełożonych wrażenie doskonałą znajomością mechaniki, a do tego zaprojektował maszynę, która obniżyła koszt produkcji papieru o jakieś 16 procent. Został więc zaproszony na piknik.

Ciekawość Elizabeth była już pobudzona przez wcześniejsze opowieści ojca. Makaroniarz miał smykałkę do majsterkowania był w tym wręcz niewiarygodny. Już po dwóch tygodniach pracy wypatrzył dwa urządzenia, w których wystarczyło zastosować prostą dźwignię, żeby móc zrezygnować z jednego z obsługujących je ludzi.

Ponieważ było po osiem maszyn obu typów, przedsiębiorstwo Wyckham mogło zwolnić szesnastu pracowników, którzy najwyraźniej dawno już przestali się wysilać. Wyckham zatrudnił Włocha z drugiego pokolenia imigrantów, mieszkającego we włoskiej dzielnicy Chicago, by ten towarzyszył Scarlattiemu w jego wędrówkach po fabryce i był jego tłumaczem. Stary niechętnie płacił osiem dolarów tygodniowo dwujęzycznemu Włochowi, ale uznał ten wydatek za konieczny, ponieważ spodziewał się, że Giovanni wprowadzi dalsze ulepszenia. Niechby spróbował nie wprowadzić!

Płacił mu przecież dwa i pół dolara dziennie.

Jeśli chodzi o Elizabeth, to tak naprawdę coś ją tknęło dopiero w kilka tygodni po pikniku. Ojciec przechwalał się przy obiedzie, że jego włoski prostak poprosił o zgodę na przychodzenie do pracy w niedzielę! I to bez dodatkowego wynagrodzenia, po prostu nie miał nic lepszego do roboty. Oczywiście Wyckham przystał na to, ponieważ do jego chrześcijańskich obowiązków należało zapewnienie temu chłopcu zajęcia i utrzymanie go z dala od wina i piwa, którymi w wolnym czasie bez umiaru raczyli się wszyscy Włosi.

Drugiej niedzieli Elizabeth znalazła pretekst, żeby wyjechać z eleganckiego podmiejskiego domu w Evanston do Chicago i wstąpić do fabryki. Tam znalazła Giovanniego, nie w maszynowni, ale w jednym z pomieszczeń biurowych. Pracowicie przepisywał cyfry z teczki

opatrzonej napisem TAJNE. Jedna z szuflad stojącej pod lewą ścianą stalowej szafki była otwarta. Długi cienki drut wciąż zwisał z małego zamka. Widać było, że to robota fachowca.

Stojąca w progu Elizabeth uśmiechnęła się. Ten wielki czarnowłosy prostak z Włoch był dużo bardziej skomplikowany, niż sądził jej ojciec. I, co wcale nie było bez znaczenia, bardzo pociągający.

Zaskoczony Giovanni podniósł wzrok. W ułamku sekundy zdziwienie zmieniło się w wyzwanie.

- W porządku, panno Lisbet! Niech pani powie papie! Wcale nie chcę tu pracować!

Wtedy Elizabeth powiedziała:

- Proszę podać mi krzesło, panie Scarlatti. Pomogę panu...

Będzie szybciej.

I rzeczywiście było.

Kilka następnych tygodni spędzili studiując aspekty prawne i system własności w organizacji amerykańskiego przemysłu. Tylko na podstawie faktów, bez teorii, ponieważ Giovanni dodawał do nich swoją własną filozofię. Ten kraj możliwości stworzony był dla ludzi, którzy trochę szybciej niż inni umieli wykorzystać okazję. Był to okres wielkiego rozwoju ekonomicznego i młody Włoch wiedział, że jeśli dzięki swoim maszynom nie stanie się właścicielem części rosnącej produkcji, to zawsze będzie tylko podwładnym. A był ambitny.

Zabrał się więc do pracy. Zaprojektował maszynę, którą stary Albert Wyckham i jego kierownicy uznali za rewolucyjną. Była to wyłaczarka kartonów, łamiąca je w fenomenalnym tempie i zmniejszająca koszty produkcji o około 30 procent. Wyckham był zachwycony i dał Giovanniemu dziesięć dolarów podwyżki.

Kiedy czekali na złożenie nowego urządzenia i zamontowanie go na linii produkcyjnej, Elizabeth namówiła ojca, żeby zaprosił Giovannię na obiad. Początkowo Albert Wyckham myślał, że jego córka chce zrobić jakiś kawał. I to kawał w niezbyt dobrym guście.

On sam mógł sobie żartować z Włocha, ale darzył go szacunkiem.

Nie życzył sobie oglądać swojego mądrego makaroniarza zakłopotanego wystawnym przyjęciem. Jednakże, kiedy Elizabeth powiedziała ojcu, że wprawienie Giovannię w zakłopotanie to ostatnia rzecz, o jaką jej chodzi, że spotkała go parę razy od czasu pikniku i wydał się jej całkiem zabawny, Wyckham ustąpił córce.

W trzy dni po tym obiedzie została uruchomiona nowa maszyna do składania kartonów, lecz Giovanni Scarlatti nie pojawił się tamtego ranka w pracy. Nikt nic nie rozumiał. Przecież powinna to być najważniejsza chwila w życiu młodego człowieka.

I była. Zamiast Giovannię do biura Alberta Wyckhama przyszedł list napisany przez jego własną córkę. List przedstawiał w zarysie drugą maszynę do składania kartonów, przy której uruchomione właśnie urządzenie było całkowicie przestarzałe.

Giovanni jasno wyłożył swoje warunki. Albo Wyckham przekaże mu duży pakiet akcji firmy i opcje na zakup dalszych udziałów po obowiązującej cenie rynkowej, albo on swoje drugie urządzenie do składania kartonów zaproponuje konkurencji. Posiadacz tego urządzenia nie da innym żadnych szans. Z dalszej treści listu wynikało, że Giovannię Scarlatti jest wszystko jedno, ale wydaje mu się, iż lepiej byłoby zostawić wszystko w rodzinie, gdyż równocześnie oficjalnie prosi o rękę córki Alberta. Ale tak naprawdę Giovannię wcale nie obchodziła odpowiedź Wyckhama, bo razem z Elizabeth zamierzali się pobrać w ciągu miesiąca niezależnie od jego zgody.

Od tej chwili kariera Scarlattiego zaczęła się szybko rozwijać.

Przez kilka lat projektował coraz nowsze i lepsze maszyny dla różnych fabryk papieru na Środkowym Zachodzie. Stawiał zawsze te same warunki - małe tantiemy i udziały w zy-

skach, opcje na zakup dodatkowych akcji po cenie z okresu poprzedzającego instalację jego nowych konstrukcji. Każda umowa przewidywała ponowne ustalenie wysokości opłat po pięciu latach. Rozsądna propozycja do rozpatrzenia w dobrej wierze. Bardzo korzystny układ prawny, zwłaszcza wobec niskich opłat.

Nadszedł czas, gdy ojciec Elizabeth, wyczerpany trudami robienia interesów i małżeństwem córki "z tym makaroniarzem", z ulgą przeszedł na emeryturę. Giovanni i jego żona otrzymali wszystkie należące do niego akcje kompanii Wyckham.

Więcej Scarlattiemu nie było trzeba. Mając reprezentacje w jedenastu firmach z branży papierniczej i będąc właścicielem patentów na trzydzieści siedem stosowanych w nich urządzeń, zwołał konferencję związanych z firmą Wyckham przedsiębiorstw. Na spotkaniu oznajmił, że najkorzystniejszym wyjściem z sytuacji jest stworzenie jednej organizacji nadrzędnej, której głównymi udziałowcami będą on sam i jego żona.

Naturalnie wszyscy odniosą z tego korzyści, a dzięki jego geniuszowi rozwój firmy przejdzie ich najśmielsze oczekiwania.

Jeśli się nie zgadzają, to mogą wymontować jego maszyny ze swoich fabryk. Jest biednym imigrantem, który został przy zawieraniu pierwszych umów wyprowadzony w pole. Tantiemy za jego projekty są śmiesznie małe w porównaniu z zyskami. W dodatku obecnie ceny akcji niektórych firm poszły astronomicznie w górę, a zgodnie z warunkami jego kontraktów przedsiębiorstwa te zobowiązane były sprzedawać jego opcje za wcześniejszą cenę.

W salach konferencyjnych potentatów branży papierniczej trzech stanów zawrzało. Aroganckiemu Włochowi rzucono zapalczywe wyzwania, w końcu jednak zwyciężył rozsądek. Lepiej przeżyć w fuzji niż zginąć w pojedynkę. Scarlatti może w sądzie przegrać, ale może też wygrać. W takim przypadku będzie mógł wysuwać bardzo wygórowane żądania, a jeśli mu się odmówi, koszt montażu nowych urządzeń i utrata dostawców postawi niejedną z firm w katastrofalnej sytuacji finansowej. Poza tym Scarlatti jest geniuszem i wszyscy mogą na tym nieźle wyjść.

Tak więc powstał gigant Zakłady Scarlatti i narodziło się imperium Giovanniego Merighi Scarlatti.

Było takie, jak jego władca - przebojowe, energiczne, nienasycone. W miarę rozwoju zainteresowań Scarlattiego rozwijały się jego fabryki. I zawsze z kolejną inwestycją przychodził nowy, jeszcze lepszy pomysł.

W roku 1904, po dwunastu latach małżeństwa, Elizabeth Wyckham Scarlatti uznała, że wyjazd na wschód będzie roztropnym posunięciem. Chociaż majątek męża był bezpieczny i rósł z dnia na dzień, jego pozycja społeczna wśród finansowych potentatów Chicago była nie do pozazdroszczenia.

Ojciec i matka Elizabeth zmarli, wraz z nimi odeszli nieliczni lojalni znajomi. Stanowisko jej dawnych przyjaciół najlepiej określił Frank Fowler, do niedawna właściciel Fabryki Wyrobów Papierniczych Fowlera: "Ten czarniawy makaroniarz może być właścicielem budynku klubu, ale prędzej nas szlag trafi, niż pozwolimy mu zostać jego członkiem".

Giovanni nie przejmował się tym, ponieważ nie miał ani czasu, ani ochoty na rozrywki. Elizabeth również nie, została bowiem jego partnerką nie tylko w łóżu małżeńskim. Była jego cenzorem, zespołem doradców i tłumaczem zarazem. Różniła się jednak od męża w kwestii ich wykluczenia z życia towarzyskiego. Nie chodziło jej o samą siebie, lecz o dzieci.

Elizabeth i Giovanni zostali pobłogosławieni trzema synami.



Byli to Roland Wyckham, lat dziewięć, Chancellor Drew, lat osiem, i Ulster Stewart, lat siedem. Choć byli jeszcze dziećmi, Elizabeth widziała, jak deprymująco działał na nich ten ostracyzm.

Uczęszczali do ekskluzywnej szkoły dla chłopców w Evanston, ale poza codziennymi zajęciami w szkole przebywali tylko we własnym towarzystwie. Nigdy nie zapraszano ich na przyjęcia urodzinowe, a zaproszenia składane kolegom były niezmiennie chłodno przyjmowane przez guwernantki. I, co chyba było najdotkliwsze, codziennie rano w szkole witał ich powtarzany na okrągło refren:

- Scarlatti, spaghetti Scarlatti, spaghetti!

Elizabeth zdecydowała, że powinni zacząć od nowa. Także Giovanni i ona. Nawet gdyby mieli wrócić do jego rodzinnych Włoch i wykupić cały Rzym.

Jednak zamiast do Rzymu Elizabeth pojechała do Nowego Jorku, gdzie dokonała zaskakującego odkrycia.

Nowy Jork był miastem bardzo prowincjonalnym i w świecie biznesu o Giovannim Merighi Scarlatti nie wiedziano prawie nic.

Słyszano jedynie, że to włoski wynalazca, który kupił szereg amerykańskich fabryk na Środkowym Zachodzie.

Włoski wynalazca. Amerykańskie fabryki.

Elizabeth dowiedziała się także, że według co bystrzejszych panów z Wall Street pieniądze Scarlattiego pochodzą z włoskich linii żeglugowych. Przecież poślubił dziewczynę z jednej z najlepszych rodzin CHicago.

A więc Nowy Jork.

Elizabeth tymczasowo zainstalowała rodzinę w Delmonico i kiedy tylko się sprowadzili, zrozumiała, że podjęła słuszną decyzję.

Dzieci szalały z podniecenia ciesząc się na nową szkołę i nowych przyjaciół; Giovanni już po miesiącu kupił kontrolne pakiety akcji dwóch podupadających, przestarzałych papierni nad Hudsonem i z zapalem planował ich przebudowę.

Państwo Scarlatti mieszkali w Delmonico przez blisko dwa lata.

Tak naprawdę nie było to konieczne, ponieważ stawiany w wytwornej dzielnicy dom mógł być gotowy szybciej, gdyby Giovanni poświęcił mu odpowiednio dużo uwagi. Ale rezultatem jego narad z architektami i wykonawcami było odkrycie nowej pasji - ziemi.

Pewnego wieczoru, gdy Elizabeth i Giovanni jedli późną kolację w swoim apartamencie, Giovanni nagle powiedział:

- Wypisz mi czek na dwieście tysięcy dolarów. Na konto biura Nieruchomości East Island.

- Pośrednicy?

- Tak. Poproszę chrupki.

Elizabeth podała mu grzanki.

- To dużo pieniędzy.

- Mamy dużo pieniędzy.

- Cóż, owszem, ale dwieście tysięcy... Czy chodzi o nową fabrykę?

- Po prostu daj mi czek, Elizabeth. Mam dla ciebie niespodziankę.

Popatrzyła na niego.

- Wiesz, że nigdy nie kwestionuję twoich decyzji, ale muszę cię prosić...

- No dobrze. - Giovanni uśmiechnął się. - Nie będzie niespodzianki. Powiem ci... Mam zamiar zostać baronem.

- Kim?

- Baronem. Księciem. A ty możesz być księżną. Contessą.

- Nie rozumiem...

- We Włoszech człowiek, który ma kilka pól i kilka świń, jest już praktycznie baronem. Wielu chciałoby być baronami. Rozmawiałem z ludźmi z East Island. Mają mi sprzedać kilka łąk na Long Island.

- Giovanni, one są nic niewarte! To przecież koniec świata!

- Kobieto, rusz głową! Już teraz w mieście konie nie mają gdzie stać. Jutro dasz mi czek. Proszę, nie kłóć się ze mną.

Uśmiechnij się i bądź żoną barona.

Elizabeth Scarlatti uśmiechnęła się.

Don Gwanni Merighi i Elizabeth WYckham Scarlatti de Ferrara Ród Ferrara d Italia - Rezydencja Amerykańska Delmonico - Nowy Jork Chociaż Elizabeth nie traktowała tych wizytówek poważnie stały się prywatnym żartem jej i Giovanniego - robiły jednak swoje.

Przedstawiwały ich w sposób godny bogactwa Scarlattich. Choć nikt ze znajomych nie używał w stosunku do nich tytułu conte czy contessa, wiele osób było przekonanych o ich arystokratycznym pochodzeniu.

W końcu było to możliwe...

Efekt był taki, że chociaż tytuł nie pojawił się na wizytówce, Elizabeth do końca życia była nazywana madame.

Madame Elizabeth Scarlatti.

A Giovanni nie mógł już sięgnąć przez stół, żeby zabrać żonie talerz z zupą.

Dwa lata po zakupie ziemi, 14 lipca 1908, Giovanni Merighi Scarlatti zmarł. Wypalił się. Elizabeth została sama. Nie miała do kogo się zwrócić. Ona i Giovanni byli kochankami, przyjaciółmi, współnikami, jedno było sumieniem drugiego. Jedyne, czego się bali, to życie bez siebie.

A jednak odszedł i Elizabeth wiedziała, że nie po to budowali imperium, by zobaczyć jego upadek, gdy jednego z nich zabrakło.

Pierwszym jej posunięciem była konsolidacja kierownictwa rozrzuconych po kraju Zakładów Scarlatti i objęcie jednoosobowego dowodzenia.

Główni szefowie wraz z rodzinami zostali ściągnięci z całego Środkowego Zachodu do Nowego Jorku. Przygotowano wykazy określające wszystkie szczeble podejmowania decyzji i zakresy odpowiedzialności. Założono wewnętrzną sieć połączeń telegraficznych pomiędzy biurem w Nowym Jorku a każdą fabryką, zakładem, magazynem czy biurem terenowym. Elizabeth była dobrym generałem, którego armię tworzył zespół świetnie wyszkolonych, twardych ludzi. Czasy jej sprzyjały, a umiejętność trafnego oceniania innych załatwiała resztę.

W mieście został zbudowany wspaniały dom, w Newport kupiono posiadłość ziemską, a nad morzem, w miejscowości zwanej Oyster Bay, urządzono rezydencję letnią. Elizabeth co tydzień odbywała spotkania z szefami wszystkich zakładów.

Przede wszystkim jednak należało pomóc dzieciom utożsamić się całkowicie z nowym otoczeniem. To było najważniejsze. Nazwisko Scarlatti nie brzmiało dobrze w towarzystwie, do którego weszli jej synowie i w którym mieli się obracać do końca życia.

Zostało więc prawnie zmienione na Scarlett.

Ona sama, rzecz jasna, przez głęboki szacunek dla don Giovanniego i tradycji Ferrary, pozostała przy dawnym nazwisku.

Elizabeth Scarlatti de Ferrara Na wizytówce nie podano żadnego adresu, ponieważ trudno było przewidzieć, w którym ze swoich domów madame Scarlatti będzie w danym momencie przebywać.

W krótkce Elizabeth uświadomiła sobie z przykrością, że żaden ze starszych synów nie posiada ani talentu i wyobraźni Giovanniego, ani jej znajomości ludzi. O najmłodszym, Ulsterze, trudno było coś powiedzieć, bowiem Ulster Stewart Scarlett przedstawiał sobą problem.

Od wczesnej młodości tyranizował innych - Elizabeth przypisywała to temu, że był najmłodszy, a więc najbardziej rozpieszczony.

Jednak w miarę dorastania jego zachowanie stawało się coraz bardziej niepokojące. Teraz nie tylko musiał postawić na swoim, ale wręcz tego żądał. Jako jedyny z braci korzystał ze swego bogactwa z okrucieństwem i brutalnością, czym Elizabeth bardzo się martwiła.

Po raz pierwszy dostrzegła to przy okazji jego trzynastych urodzin.

Na kilka dni przed uroczystością nauczyciel Ulstera przysłał jej list.

Szanowna Pani Scarlatti, wydaje się, że zaproszenia na przyjęcie urodzinowe Ulstera spowodowały drobne kłopoty. Chłopiec nie może się zdecydować, kto należy do grona jego najlepszych przyjaciół - ma ich tak wielu i w rezultacie najpierw rozdał szereg zaproszeń, a następnie zabrał je i dał innym chłopcom. Jestem pewien, że uda się to jakoś Pani wyjaśnić i załagodzić powstałe w wyniku tego zadrażnienia.

Wieczorem Elizabeth spytała o to Ulstera.

- Tak. Odebrałem część zaproszeń. Zmieniłem zdanie.

- Dlaczego? Postąpiłeś bardzo nieładnie.

- A czemu nie? Nie chciałem, żeby przyszli.

- Więc po co w ogóle dałeś im zaproszenia?

- Żeby mogli pobiec do domu i powiedzieć tatusiom i mamusiom, że ich zaprosiłem. - Chłopiec roześmiał się. - A potem żeby musieli wrócić i powiedzieć, że jednak nie.

- To okropne!

- Wcale nie. Oni nie chcieli przyjść na moje przyjęcie, tylko chcieli znaleźć się w twoim domu!

Jako student pierwszego roku w Princeton, Ulster Stewart Scarlett przejawiał coraz więcej wrogości wobec swoich braci, kolegów, nauczycieli oraz, co Elizabeth najbardziej zaniepokoiło, wobec służby.

Tolerowano go tylko dlatego, że był synem Elizabeth Scarlatti.

Wyrósł na potwornie zepsutego młodzieńca i Elizabeth wiedziała, że coś trzeba z tym zrobić. W czerwcu 1916 kazała synowi przyjechać do domu na weekend i powiedziała mu, że musi iść do pracy.

- Nie pójdę!

- Pójdiesz! Masz być posłuszny! I był. Spędził lato w papierni nad Hudsonem, podczas gdy jego dwaj bracia cieszyli się wodą i słońcem w Oyster Bay.

Pod koniec lata Elizabeth zapytała w fabryce, jak mu poszło.

- Chce pani poznać prawdę? - spytał młody kierownik.

- Oczywiście, że tak. - Prawdopodobnie stracę posiadłość...

- Wątpię.

- Dobrze, proszę pani. Pani syn zaczął, zgodnie z pani poleceniem, w dziale mieszania surowców. To ciężka praca, ale on jest silny... Musiałem go stamtąd zabrać, kiedy pobił kilku ludzi.

- Wielki Boże! Dlaczego nic mi nie powiedziano? -•

- Nie znałem okoliczności całej sprawy. Myślałem, że może to moi chłopcy go wykorzystywali. Ale było zupełnie na odwrót...

Przeniosłem go na górę, do pras, i sytuacja się pogorszyła. Groził innym, mówił, że ich wyrzuci, kazał im za siebie pracować. Nigdy nie dał nikomu zapomnieć, kim jest.

- Powinien był mi pan o tym powiedzieć.

- Sam nic nie wiedziałem do zeszłego tygodnia. Trzech ludzi odeszło. Jednemu musieliśmy zapłacić za dentystę. Pani syn uderzył go ołowianą taśmą.

- To straszne, co pan mówi... Proszę, niech pan będzie szczery do końca. Co pan o nim sądzi?

- Pani syn jest duży. Silny młodzieniaszek... Wydaje mi się, że chciałby zaczynać od razu na samej górze i być może rzeczywiście powinien. Jest pani synem. Jego ojciec zbudował tę papiernię.

- To go do niczego nie upoważnia. Jego ojciec nie zaczynał na samej górze!

- Więc może powinna mu to pani wytłumaczyć. Żaden z nas nie był nim zachwycony.

- Rozumiem, że pana zdaniem mój syn jest arogancki, porywczy, silny... i nie ma żadnych specjalnych zdolności.

Zgadza się?

- Tak. Nie lubię pani syna. Ani trochę. Jeśli będzie mnie to kosztowało pracę, znajdę sobie inną.

Elizabeth uważnie przyjrzała się młodemu mężczyźnie.

- Nie jestem pewna, czy ja sama go lubię. Od przyszłego tygodnia otrzyma pan podwyżkę.

Na jesieni Elizabeth wysłała Ulstera z powrotem do Princeton, a w dniu wyjazdu poinformowała go o ocenie jego letniej pracy.

- Ten brudny mały irlandzki sukinsyn przyszedł na mnie donieść! Wiedziałem!

- Ten brudny mały irlandzki sukinsyn jest doskonałym fachowcem.

- Skłamał! To wszystko kłamstwa!

- To prawda! Powstrzymał wielu ludzi od złożenia na ciebie skarg w sądzie. Powinieneś być mu za to wdzięczny.

- Do diabła z nimi! Banda zasmarkanych lizusów!

- Wyrażasz się obrzydliwie. Kim ty niby jesteś, żeby tak ich nazywać? Co w życiu zrobisz?

- Nie muszę nic robić!

- Dlaczego? Bo jesteś, kim jesteś? To znaczy kim? Jakież to niezwykle zdolności posiadasz? Chętnie się dowiem.

- Tego ci potrzeba, prawda? Co potrafisz, człowieczku? Co umiesz robić, żeby zarobić?

- To jedna z miar sukcesu.

- Dla ciebie jedyna!

- A ty- ją odrzucasz?

- Żebyś wiedziała!

- Więc zostań misjonarzem.  
- Nie, dziękuję!  
- No to nie obrzucaj innych błotem. Trzeba trochę umieć, żeby mieć prawo do krytyki. Twój ojciec to wiedział.  
- Wiedział, jak lawirować, jak manipulować. Myślisz, że jestem ślepy? Ty robisz to samo.  
- Był geniuszem! Wszystkiego nauczył się sam! A ty czego dokonałeś? Zawsze tylko żyłeś z tego, co on zarobił. Zresztą nawet tego nie umiesz robić z godnością!

- Gówno!

Elizabeth przez chwilę przyglądała się synowi.

- Więc o to chodzi! Mój Boże, tu cię boli, prawda...? Jesteś śmiertelnie przerażony. Przepętnia cię pycha, ale nie ma nic zupełnie nic - czym mógłbyś się/ pysznić. To musi być bardzo przykre.

Ulster wybiegł z pokoju, a Elizabeth długo siedziała rozmyślając o wymianie zdań, która przed chwilą miała miejsce. Teraz naprawdę się bała. Ulster był niebezpieczny. Widział wokół siebie sukcesy ludzi zdolnych, a sam nie miał ani talentu, ani żadnych umiejętności, żeby coś osiągnąć. Mógł jedynie patrzeć. Zadumała się nad swoimi dziećmi. Nieśmiały, miękki Roland Wyckham, skrupulatny Chancellor Drew i arogancki Ulster Stewart...

Dzień 6 kwietnia 1916 przyniósł rozwiązanie problemu. Ameryka przystąpiła do wojny.

Pierwszy poszedł Roland. Przerwał rok studiów w Princeton i odpłynął do Francji jako porucznik Amerykańskich Sił Lądowych, artyleria. Zginął pierwszego dnia na froncie.

Pozostali dwaj chłopcy natychmiast postanowili pomścić śmierć brata. Dla Chancellora Drew ta zemsta miała znaczenie, dla Ulstera Stewarta była ucieczką. Ale Elizabeth uznała, że nie po to ona i Giovanni zbudowali imperium, by wojna położyła mu kres.

Jedno dziecko musi przetrwać. Kazała więc Chancellorowi pozostać w cywilu. Ulster może sobie iść na wojnę.

Ulster Stewart Scarlett popłynął do Francji, wyszedł bez szwanku z bitwy pod Cherbourg i nieźle spisywał się na froncie, zwłaszcza pod Meuse-Argonne. W ostatnich dniach wojny został odznaczony za odwagę wykazaną w walce z wrogiem.

# ROZDZIAŁ 4

2 listopada 1918

Ofensywa Meuse-Argonne weszła w trzeci etap zwycięskiej bitwy mającej na celu przełamanie linii Hindenburga pomiędzy Sedanem a Mezieres. Pierwsza Armia Stanów Zjednoczonych zajęła pozycje od Regneville do La Harasee w lesie Argonne na odcinku trzydziestu kilometrów. Gdyby przełamano w tym sektorze główne linie zaopatrzenia niemieckiego, generałowi Ludendorffowi nie pozostałoby nic innego, jak prosić o zawieszenie broni.

2 listopada Trzeci Korpus Armii pod dowództwem generała Roberta Lee Bullarda przedarł się na prawym skrzydle przez rozprężone szeregi niemieckie, zdobywając zajmowany przez Niemców teren i biorąc do niewoli osiem tysięcy jeńców. Choć później inni dowódcy nie bardzo chcieli w to wierzyć, owo przełamanie frontu przez Trzeci Korpus zwiastowało zawieszenie broni, które nastąpiło tydzień później.

Dla wielu żołnierzy z Kompanii B Batalionu Czternastego Dywizji Dwudziestej Siódmej zachowanie podporucznika Ulstera Stewarta Scarletta było wspaniałym przykładem bohaterstwa, tak częstego w tamtych strasznych dniach.

Zaczęło się wcześniej rano. Kompania Scarletta dotarła do pola przed małym sosnowym laskiem. Lasek pełen był Niemców, którzy pod jego osłoną desperacko próbowali się przegrupować, żeby w jakim takim porządku wycofać się do swoich. Amerykanie wykopali trzy rzędy płytkich okopów.

Okop podporucznika Scarletta był odrobinę głębszy.

Kapitan kompanii Scarletta nie przepadał za podporucznikiem, który bardzo lubił wydawać rozkazy, ale sam niechętnie je wykonywał. Najprawdopodobniej Scarlett nie był zachwycony przeniesieniem z rezerwy na pole walki. Kapitanowi nie podobało się też, że kiedy byli przydzieleni do rezerwy - czyli przez większą część ich pobytu we Francji - wciąż poszukiwali porucznika różni liczni oficerowie, cali szczęśliwi, że mogą sobie z nim zrobić zdjęcie.

Wyglądało na to, że młody człowiek nieźle się bawił.

W ten listopadowy poranek polecił mu iść na zwiad.

- Scarlett, weź czterech ludzi i zrób rozpoznanie pozycji.

- Zwariowałeś - odpowiedział Scarlett lakonicznie. - Jakie pozycje? Przecież zwiewają z całego obszaru.

- Słyszałeś, co powiedziałem?

- Mam to gdzieś. Zwiad nie ma sensu.

Kilku ludzi siedziało w okopie i przyglądało się dwóm oficerom.

- O co chodzi, poruczniku? Nie ma fotografów? Nie ma pułkowników z wiejskich klubów, którzy poklepaliby cię po plecach?

Bierz czterech ludzi i ruszaj.

- Spieprzaj, kapitanie!

- Odmawiasz wykonania rozkazu wydanego przez starszego rangą oficera w obliczu wroga?

Ulster Stewart spojrział z pogardą na niskiego mężczyznę.

- Nie odmawiam. To tylko niesubordynacja. Obrażliwe zachowanie, jeśli to określenie lepiej pojmujesz... Obrażam cię, bo myślę, że jesteś głupi.

Kapitan sięgnął do kabury, lecz Scarlett szybko przytrzymał przegub przełożonego swoją ogromną dłonią.

- Nie zabija się ludzi za niesubordynację, kapitanie. Tego nie ma w regulaminie... Mam lepszy pomysł. Po co tracić jeszcze czterech ludzi... - Odwrócił się i zobaczył obserwujących ich żołnierzy. - Pójdę sam, chyba że wy czterej też chcecie się spotkać ze szwabskimi kulami.

Kapitana zatkąło. Nie znalazł odpowiedzi.

Czterej żołnierze byli zdziwieni i wdzięczni. Scarlett puścił rękę kapitana.

- Wrócę za pół godziny. A gdybym nie wrócił, radzę wam poczekać na posiłki. Za bardzo wyprzedziliśmy pozostałych.

Sprawdził magazynek pistoletu, minął kapitana i szybko poczołgał się w stronę zachodniego skrzydła. Po chwili zniknął na zarośniętym polu.

Kapitan zaklął pod nosem mając cichą nadzieję, że podporucznik nie wróci.

Ulster Scarlett miał właśnie taki zamiar.

Jego plan był prosty. Zauważył, że jakieś dwieście metrów na prawo od lasu, który stał na drodze Kompanii B, znajdowała się grupa dużych skał otoczona niskimi drzewami. Było to jedno z tych miejsc, z którymi farmerzy nie mogą dać sobie rady, wobec czego uprawiają pole dokoła. Zbyt mała przestrzeń dla całej grupy, ale w sam raz dla jednej czy dwóch osób potrzebujących kryjówki.

Musi się tam dostać.

Kiedy czołgał się przez pole, natknął się na zabitych żołnierzy wroga. Coś mu kazało zabierać im osobiste drobiazgi - zegarki, obrączki, blaszki identyfikacyjne. Zrywał je z trupów, po czym za moment wyrzucał. Nie wiedział, czemu to robi. Czuł się jak władca jakiegoś mitycznego królestwa, oni zaś byli poddanymi.

Po dziesięciu minutach uniósł głowę, żeby zorientować się w kierunku; dostrzegł czubki drzew i uznał, że zbliża się do upatrzonej kryjówki. Przyspieszył, przesuając szybciej po miękkiej ziemi łokcie i kolana.

Po chwili, ku swojemu zaskoczeniu, dotarł do stóp wysokich sosen. Nie znajdował się w skalistej enklawie, lecz w małym lesie, który miał być zaatakowany przez jego kompanię. Tak był zajęty martwymi wrogami, że widział to, co chciał widzieć. Małe drzewa okazały się w rzeczywistości wysokimi sosnami.

Już miał poczołgać się z powrotem na pole, kiedy dostrzegł po lewej stronie, w odległości mniej więcej pięciu metrów, karabin maszynowy i niemieckiego żołnierza opartego plecami o pień drzewa, wyciągnął pistolet i zamarł. Niemiec albo go nie widział, albo nie żył. Ale jego karabin wycelowany był prosto w Scarletta.

Nagle Niemiec poruszył się. Próbował dosięgnąć broni, lecz nie udało mu się.

Porucznik rzucił się w lewo i dopadł rannego żołnierza, starając się zachowywać jak najciszej. Nie mógł dopuścić, żeby Niemiec strzelił albo podniósł alarm. Niezdarnie odciągnął go od karabinu i przygwoździł do ziemi. Nie chciał używać broni, by nie zwrócić na siebie uwagi, zaczął więc dusić żołnierza. Niemiec wycharczał:

- Amerikaner! Amerikaner! Ich ergebe mich! - Podniósł desperacko ręce do góry, równocześnie wskazując za siebie.

Scarlett częściowo zwolnił uchwyt. Wszeptał:

- Czego chcesz? - Pozwolił Niemcowi unieść się trochę.

Pewnie zostawiono go tu razem z bronią, by powstrzymał ewentualny atak podczas odwrotu reszty kompanii.

Usunął karabin maszynowy spoza zasięgu rannego i, patrząc na przemian w przód i w tył, podczołgał się kilka metrów w głąb lasu.

Dookoła widział ślady ucieczki. Maski przeciwgazowe, puste chlebaki, nawet pasy amunicji. Wszystko, co przeszkadzałoby w szybkim marszu.

Podniósł się i wrócił do niemieckiego żołnierza.

- Amerikaner! Der Scheint istfast zu Ende zu sein! Erlaube mir nach Hause zu gehen!

Porucznik Scarlett podjął decyzję. Sytuacja idealnie pasowała do jego planów.

Pozostała część batalionu dotrze tu za godzinę, a może i później.

Kapitan Jenkins z Kompanii B tak bardzo chciał zostać bohaterem, że zagoni swoich ludzi na śmierć. To także sprzyjało planom porucznika.

Wyciągnął pistolet i strzelił krzyczącemu Niemcowi prosto w czoło. Potem skoczył do karabinu maszynowego. Puścił serię.

Najpierw w tył, potem w prawo, potem w lewo.

Ogłuszający jazgot odbił się echem od lasu. Kule łomotały o drzewa, potęgując hałas.

Po chwili Scarlett skierował broń w stronę swoich. Nacisnął spust i przytrzymał, przesuwając karabin od jednej flanki do drugiej. Żeby się posrali ze strachu! A może paru zginie?

Kto by się tym przejmował!

On był teraz panem życia i śmierci. Miał do tego prawo.

Roześmiał się.

Rozprostował zaciśnięty na spuście palec i wstał.

Kilkaset metrów na zachód widział sterty ziemi. Wkrótce będzie daleko od tego wszystkiego!

Nagle ogarnęło go uczucie, że jest obserwowany. Ktoś na niego patrzył! Znow wyciągnął pistolet i przypadł do podłoża.

Usłyszał słaby trzask.

Powoli, ostrożnie poczołgał się na kolanach głębiej w las.

Nic. Cisza.

Pozwolił, żeby wyobraźnia wzięła górę nad rozsądkiem. To pewnie tylko gałąź strzaskała jego serią z karabinu, dopiero teraz spadająca na ziemię.

Wycofał się, ciągle niepewny, na skraj lasu. Szybko pozbierał resztki hełmu zabitego Niemca i ruszył biegiem z powrotem do Kompanii B.

Nie wiedział jednak, że rzeczywiście jest obserwowany. Bardzo uważnie i z niedowierzaniem.

Niemiecki oficer, na którego czole z wolna zastygała krew, stał ukryty przed Amerykaninem za szerokim pniem sosny. Już miał zabić jankeskiego porucznika - kiedy zobaczył, jak ten nagle zwraca ogień w stronę swoich. W stronę własnego oddziału.

W stronę własnego oddziału!

Miał Amerykanina na muszce swojego lugera, ale już nie zamierzał go zabijać.

Jeszcze nie teraz.

Bowiem niemiecki oficer, pozostawiony na śmierć podobnie jak zastrzelony przez Amerykanina żołnierz - wiedział dokładnie, co tamten chce zrobić.

Klasyczny przykład działania w ekstremalnych warunkach.



Oficer piechoty na szpicy, wykorzystujący zdobyte informacje dla siebie, a przeciw własnym oddziałom. Może wydostać się z terenu objętego walkami i jeszcze dostać za to medal!

Niemiec postanowił iść za amerykańskim porucznikiem.

Ulster Scarlett był w połowie drogi ku pozycjom Kompanii B, kiedy usłyszał za sobą hałas. Przywarł do ziemi i powoli obrócił całe ciało. Usiłował coś dostrzec przez kołyszące się łagodnie wysokie trawy.

Nic.

Nie dalej niż siedem metrów od niego leżało twarzą w dół jakieś ciało. Lecz przecież ciała były wszędzie.

Dlaczego więc się zaniepokoił? Przecież nic się nie poruszyło.

Wstał i popędził przez zwały ziemi do Kompanii B.

- Scarlett! Rany boskie, to ty?! - zawołał kapitan przycupnięty w pierwszym okopie. - Masz szczęście, że nie otworzyliśmy ognia.

Straciliśmy Fernalda i Otisa w ostatniej strzelaninie. Nie mogliśmy odpowiedzieć, bo ty tam byłeś!

Ulster przypomniał sobie obu żołnierzy.

Mała strata. Żadna cena za jego wolność.

Cisnął na ziemię niemiecki hełm przyniesiony z lasu.

- Słuchajcie. Wyczyściłem jedno gniazdo, lecz zostały jeszcze dwa. Wiem gdzie, więc mogę je zlikwidować. Ale wy musicie tu zostać! Za dziesięć minut ostrzelajcie lewe skrzydło.

- Wracasz tam? - spytał skonsternowany kapitan.

- Tak. Dajcie mi dziesięć minut, a potem otwórzcie ogień.

Strzelajcie co najmniej przez trzy, cztery minuty, ale, na miłość boską, celujcie w lewo, bo inaczej mnie zabijecie. Musicie odwrócić ich uwagę... - Urwał niespodziewanie i zanim kapitan zdążył się odezwać, ruszył w pole.

Gdy tylko znalazł się w wysokiej trawie, zaczął przeskakiwać od trupa do trupa i zdejmować hełmy z pozbawionych życia głów. Kiedy miał już pięć, położył się płasko i czekał na rozpoczęcie strzelaniny.

Kapitan dobrze się spisał. Mogło się wydawać, że znów są w Chateau-Thierry. Po czterech minutach strzały ucichły.

Scarlett podniósł się i pobiegł do okopów. Gdy pojawił się z hełmami w ręku, żołnierze zaczęli wiwatować. Nawet kapitan, którego niechęć zastąpił teraz podziw, przyłączył się do żołnierzy.

- Niech cię diabli, Scarlett! To najodważniejszy wyczyn, jaki widziałem w czasie tej wojny!

- Bez przesady - zaoponował Scarlett z niezwykłą u niego skromnością. - Teren na wprost i z lewej jest oczyszczony, ale paru szkopów zwiąło na prawo. Idę za nimi.

- Nie musisz. Zostaw ich nam. Dość już zrobiłeś. - Kapitan Jenkins zdecydowanie zmienił opinię o Ulsterze Scarlecie.

- Za pozwoleniem, kapitanie, jestem innego zdania.

- Jak to?

- Mój brat... miał na imię Rolly. Szkopy załatwiły go osiem miesięcy temu. Pozwólcie mi ich dorwać. Wy zajmiecie teren.

Ulster Scarlett ponownie zniknął na polu.

Dobrze wiedział, dokąd idzie.

Kilka minut później skulił się za wielką skałą na małej wysepce pełnej kamieni i chwastów. Czekał, aż Kompania B przypuści atak na sosnowy las. Oparł się o twarde głązki i spojrzał w niebo.

Wtedy się zaczęło.

Żołnierze okrzykami dodawali sobie odwagi, na wypadek gdyby spotkali wycofującego się przeciwnika. Rozległy się pojedyncze strzały. Niektórzy mieli nerwowe palce. Kiedy Kompania B dotarła do lasu, zabrzmiała ogłuszająca palba karabinowa.

Strzelają do trupów, pomyślał Scarlett.

On sam był już bezpieczny. Dla niego wojna się skończyła.

- Stój, Amerykanie! Nie ruszaj się!

Porucznik sięgnął po broń, ale głos dochodzący z góry był stanowczy. Dotknięcie pistoletu oznaczało śmierć.

- Mówisz po angielsku...? - zapytał po chwili Scarlett. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Całkiem nieźle. Nie ruszaj się! Mój pistolet jest wycelowany prosto w twoją głowę... w tę samą część czaszki, w którą trafiłeś kaprala Kroegera.

Ulster Scarlett zamarł.

Więc wtedy jednak naprawdę coś słyszał! Ciało na polu...

Ale dlaczego Niemiec go nie zabił?

- Zrobiłem to, co musiałem. - Znów były to jedyne słowa, jakie mu przyszły do głowy.

- Jestem tego pewien. Tak samo jak jestem pewien, że nie miałeś wyjścia i musiałeś otworzyć ogień do swoich ludzi... Masz...

bardzo dziwne pojęcie o swojej roli w tej wojnie.

Scarlett zaczynał rozumieć.

- Ta wojna już się skończyła...

- Otrzymałem dyplom Królewskiej Akademii Wojskowej w Berlinie w dziedzinie strategii militarnej. Mam pełną świadomość grożącej nam klęski... Ludendorff nie będzie miał wyboru, kiedy linia Mezieres zostanie przerwana.

- Więc nie ma sensu, żebyś mnie zabijał.

Niemiecki oficer wyszedł zza wielkiego głązki i stanął przed Ulsterem Scarlettem z pistoletem wycelowanym w jego głowę.

Amerikanin zobaczył, że przeciwnik jest niewiele starszy od niego barczysty młody człowiek, jak on. Wysoki jak on, ze znamionującym pewnością siebie spojrzeniem jasnoniebieskich oczu - takich jak jego.

- Możemy się z tego wyrwać, na litość boską! Możemy się wyrwać! Czemu u licha mamy być ofiarami? Wiesz, mogę ci pomóc - powiedział z naciskiem.

- Czyżby...?

Scarlett popatrzył na Niemca. Wiedział, że nie wolno mu błagać o litość, nie wolno okazać słabości. Musiał zachować zimną krew i jasność umysłu.

- Posłuchaj... jeśli cię złapią, skończysz w obozie wraz z tysiącem innych jeńców. Pod warunkiem, że cię wcześniej nie zastrzelą.

Na twoim miejscu nie liczyłbym na żadne przywileje oficerskie.

Miną tygodnie, miesiące, może nawet rok, zanim się tobą zajmą!

- A ty możesz to wszystko zmienić?  
- Żebyś wiedział!  
- Czemu miałbyś to zrobić?  
- Ponieważ chcę się z tego wyrwać! I ty też...! Już bym był martwy, gdyby było inaczej. Jesteśmy sobie potrzebni.  
- Co proponujesz?  
- Jesteś moim jeńcem...  
- Masz mnie za idiotę?  
- Zatrzymaj swoją broń i wyjmij naboje z mojej... Jeśli się na kogoś natkniemy, to biore cię na tyły na przesłuchanie... daleko na tyły. Potem zdobędziemy dla ciebie jakieś ubranie. Gdy dostaniemy się do Paryża, zorganizuję ci pieniądze.  
- W jaki sposób? Ulster Scarlett uśmiechnął się.  
- To moja sprawa... Zresztą jaki masz wybór? I tak niedługo staniesz się jeńcem. Albo trupem. Nie masz zbyt wiele czasu na podjęcie decyzji...  
- Wstawaj! Ręce na skałę!  
Scarlett wypełnił polecenie. Niemiecki oficer wyciągnął mu pistolet z kabury i opróżnił magazynek.  
- Odwróć się!  
- Za niecałą godzinę przyjdą tu następni Amerykanie. Jesteśmy kompanią czołową, ale nie wysunęliśmy się aż tak bardzo do przodu.  
Niemiec machnął lugerem na Scarletta.  
- Półtora kilometra na południowy zachód stąd jest jakieś gospodarstwo. Ruszaj! Mach schnell! - Lewą ręką rzucił Scarlettowi rozładowaną broń.  
Pobiegli przez pole.  
Artyleria na północy jak co rano otworzyła ogień zaporowy.  
Przez chmury i mgłę przebiło się słońce.  
Po niespełna dwudziestu minutach trafili na obejście, o którym mówił Niemiec. Stodoła i dwa małe kamienne domki. Żeby dostać się na zarośnięte pastwisko, trzeba było przeciąć szeroką bitą drogę.  
Z komina jednego z domów unosił się dym.  
Ktoś palił w piecu, a więc miał jedzenie i ciepło.  
- Wejźmy tam - powiedział Ulster.  
- Nein! Twoje wojsko będzie tędy przechodzić.  
- Na miłość boską, musimy przecież zdobyć dla ciebie jakieś ubranie. Nie rozumiesz?  
Niemiec odbezpieczył lugera.  
- Jesteś niekonsekwentny. Myślałem, że zabierasz mnie na przesłuchanie daleko na tyły. Chyba jednak prościej będzie cię zabić.  
- To tylko do czasu znalezienia dla ciebie ubrania, zrozum! Jeśli ja wziąłem do niewoli szwabskiego oficera, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby jakiś zakichany kapitan wpadł na ten sam pomysł. Albo major czy pułkownik, który chce stąd prysnąć... Już tak robili. Wystarczy, żeby wydali mi rozkaz przekazania jeńca w swoje ręce, i koniec? Łatwiej mi będzie cię przeprowadzić, jeśli będziesz miał cywilne ubranie.  
Niemiec powoli opuścił kurek, wciąż patrząc na porucznika.  
- Ty naprawdę chcesz mieć tę wojnę z głowy.

W kamiennym domku mieszkał przygłuchy staruszek. Był zakłopotany i przestraszony pojawieniem się dziwnej pary. Trzymając w ręku nie naładowany rewolwer i udając groźnego, Amerykanin kazał staremu zapakować trochę zapasów i poszukać ubrania jakiegokolwiek - dla "jeńca".

Ponieważ słabo mówił po francusku, zwrócił się do swojego towarzysza:

- Powiedz, że jesteśmy obaj Niemcami i wpadliśmy w pułapkę.

Próbujemy uciec przez linię frontu. Każdy Francuz wie, że wszędzie dajemy wam teraz w skórę.

Niemiecki oficer uśmiechnął się.

- Już mu to powiedziałem. Uśmiejesz się, on stwierdził, że tak przypuszczał. Wiesz, dlaczego?

- No...?

- Uznał, że obaj cuchniemy jak Szwaby.

Gospodarz nagle wypadł na zewnątrz i zaczął biec w stronę pola.

- Zatrzymaj go! Do cholery, zatrzymaj go! - wrzasnął Scarlett.

Niemiec podniósł do góry pistolet.

- Nie denerwuj się. Oszczędził nam podjęcia nieprzyjemnej decyzji.

Oddał dwa strzały.

Staruszek upadł, a dwaj młodzi wrogowie popatrzyli na siebie.

- Jak mam cię nazywać? - zapytał Scarlett.

- Strasser... Gregor Strasser.

Nie mieli żadnych trudności z przedostaniem się przez alianckie umocnienia. Choć amerykańskie natarcie na Regneville było niezwykle sprawne, łączność pomiędzy różnymi szczeblami dowodzenia zupełnie zawiodła. Przynajmniej takie wrażenie odnieśli Ulster Scarlett i Gregor Strasser.

W Reims natknęli się na resztki francuskiego korpusu - przemoczonych, głodnych i mających wszystkiego dosyć ludzi.

Nie mieli tam żadnych kłopotów. Francuzi w ogóle się nimi nie interesowali.

Skierowali się na zachód, do Villers-Cotterets. Drogi do Epernay i Meaux zapchane były posiłkami idącymi na front.

Niech inni biedni głupcy dostaną przeznaczone dla mnie śmiertelne kulki, pomyślał Scarlett.

W nocy znaleźli się na skraju Villers-Cotterets. Zeszli z drogi i puścili się na przełaj przez pole, by schronić się w kępie drzew.

- Odpoczniemy tu przez parę godzin - powiedział Strasser. Nie próbuj uciekać. Nie będę spał.

- Zwariowałeś, stary! Jesteś mi potrzebny tak samo, jak ja tobie... Samotny oficer amerykański w odległości czterdziestu mil od swojej kompanii, która akurat jest na froncie! Rusz głową!

- Masz dar przekonywania, ale ja nie jestem taki jak nasi słabi generałowie, których dostaliśmy w spadku po cesarzu. Nie słucham pustych, choć przekonujących argumentów. Zabezpieczam tyły.

- Jak wolisz. Z Cotterets do Paryża jest prawie sto kilometrów i nie wiadomo, co może nas spotkać po drodze. Potrzebujemy snu...

Zrobimy mądrzej, jeśli będziemy się zmieniać.

- Jawohl! - odparł Strasser śmiejąc się pogardliwie. - Mówisz jak żydowscy bankierzy w Berlinie. "Zrobisz to. Zrobimy tamto."

Po co się spierać? Dziękuję, nie, Amerikaner. Nie będę spał.

- Jak sobie życzysz. - Scarlett wzruszył ramionami. Zaczynam rozumieć, dlaczego przegraliście tę wojnę. - Przekręcił się na bok. - Upieracie się, żeby być upartymi.

Przez kilka minut żaden z nich się nie odzywał. A potem Gregor Strasser powiedział cicho:

- Nie przegraliśmy wojny. Zostaliśmy zdradzeni.

- Jasne. Naboje były ślepe, a wasza artyleria celowała w niebo.

Idę spać.

Niemiecki oficer odezwał się półgłosem, jak gdyby do siebie:

- W wielu nabojach nie było prochu. Sporo sprzętu było uszkodzonego... Zdrada...

Drogą z Villers-Cotterets sunęły ciężarówki z żołnierzami, za nimi szły konie ciągnące armatnie jaszczce.

Następni biedni głupi dranie, pomyślał Ulster Scarlett spoglądając na ten przemarsz ze swej kryjówki.

- Hej, Strasser, co teraz będzie? - zwrócił się do towarzysza.

- Was ist? - Niemiec przysnął i był na siebie wściekły. Mówiłeś coś?

- Mogłem cię załatwić... Pytałem, co teraz będzie. Chodzi mi o was... Wiem, co będzie u nas. Pewnie defilady. A u was?

- Żadnych defilad. Żadnego świętowania... Płacz, pijaństwo i wzajemne obwinianie się. Wielu spośród nas zostanie usuniętych.

Wyliminowanych..Możesz być tego pewien.

- Kto? Kto zostanie wyliminowany?

- Zdrajcy. Zostaną zgładzeni bez litości.

- Jesteś szalony! Podejrzywałem już wcześniej, że zwariowałeś, lecz teraz wiem to na pewno.

- A co mamy według ciebie zrobić? Wy jeszcze nie jesteście zarażeni. Ale też będziecie...! Bolszewicy! Są u naszych granic i przenikają je! Wgryzają się w nas... I Żydzi! Żydzi na tej wojnie robią w Berlinie fortuny. Brudni żydowscy paskarze! Dziś sprzedają nas, jutro sprzedadzą was...! Żydzi, bolszewicy - to wszystko zgraja śmierdzących maluczki! Wszyscy jesteśmy ich ofiarami i nawet o tym nie wiemy. Walczymy ze sobą, zamiast walczyć z nimi!

Ulster Scarlett splunął. On, syn Scarlattich, nie interesował się problemami zwykłych ludzi. Zwykli ludzie go nie obchodzili.

Był jednak poruszony tym, co mówił Niemiec.

Strasser nienawidził szarych ludzi tak samo jak on.

- Co zrobicie, kiedy już pozbędziecie się tych ludzi? Będziecie się bawić w Króla Gór?

- Króla wielu gór... Mnóstwa gór.

Scarlett przekręcił się na bok i odsunął od niemieckiego oficera, ale nie zamknął oczu.

O tym nigdy nie pomyślał... Jego ojciec robił miliony, ale nigdy nie rządził. Synowie również nigdy nie będą rządzić... Elizabeth dała im to jasno do zrozumienia.

- Strasser...?

- Tak?

- Kim oni są? Ci twoi?

- Ludźmi oddanymi sprawie. Potężnymi. Ich nazwisk nie należy wymieniać. Są zdecydowani podnieść się po przegranej i zjednoczyć.

Scarlett zwrócił twarz w stronę nieba. Gwiazdy mrugały przez nisko płynące szare chmury. Szarość, czern, błyszczące białe punkciki.

- Strasser?

- Was ist?

- Dokąd pojedziesz? No wiesz, kiedy to się skończy.

- Do Heidenheim. Tam mieszka moja rodzina.

- Gdzie to jest?

- W połowie drogi między Monachium a Stuttgartem. Niemiec spojrział na amerykańskiego oficera. Dezerter i morderca, w dodatku współdziałający z wrogiem.

- Jutro wieczorem będziemy w Paryżu. Dam ci forszę. W Argenteuil jest człowiek, który przechowuje dla mnie pieniądze.

- Danke.

- Strasser, Heidenheim... To cały adres?

- Tak.

- Daj mi nazwisko.

- Jak to? Jak mam ci dać nazwisko?

- Normalnie. Żebyś wiedział, że to ja, kiedy się z tobą skontaktuję.

Strasser zastanowił się przez chwilę.

- Dobrze, Amerikaner. Wybierzmy imię, którego nie będziesz mógł zapomnieć - Kroeger.

- Kto...?

- Kroeger - kapral Heinrich Kroeger, któremu pod Meuse-Argonne strzeliłeś w głowę. 10 listopada o godzinie trzeciej po południu wydano rozkaz zawieszenia broni.

Ulster Stewart Scarlett kupił motocykl i ruszył w pospieszną podróż do La Harasee i jeszcze dalej. Do Kompanii B Batalionu Czternastego.

Dotarł w okolicę, gdzie biwakowała większość jego batalionu, i zaczął szukać swojej kompanii. Nie było to łatwe. Obóz pełen był pijanych- żołnierzy o szklanych oczach i cuchnących oddechach.

Poranne zajęcia zastąpiła ogólna alkoholowa histeria.

Ale nie w Kompanii B.

- W Kompanii B odprawiano właśnie nabożeństwo. Dla uczczenia pamięci poległego towarzysza broni, porucznika Ulstera Stewarta Scarletta z Amerykańskich Sił Lądowych.

Scarlett patrzył zdumiony.

Kapitan Jenkins skończył czytać przepiękny Psalm za umarłych i rozpoczął modlitwę:

- Ojcze nasz, któryś jest w niebie... - niektórzy żołnierze szlochali.

Aż szkoda to zepsuć, pomyślał Ulster Stewart Scarlett.

W raporcie pochwalnym między innymi napisano:

...zniszczysz w pojedynkę trzy gniazda karabinów maszynowych, porucznik Scarlett wyruszył, by zdobyć czwarte niebezpieczne stanowisko, które również zniszczył, ratując tym samym życie wielu amerykańskim żołnierzom. Nie wrócił i uznano go za poległego.

Jednakże w tydzień po zawieszeniu broni uszczęśliwił swoją kompanię okrzykiem bojowym: "Za starego Rolly'ego!", co oznaczało dokonanie pomsty za brata, który poległ na początku tej wojny.

Wyczerpany i słaby, wrócił w chwale. Rozkazem prezydenckim nadajemy niniejszym...

## ROZDZIAŁ 5

Po powrocie do Nowego Jorku Ulster Stewart Scarlett odkrył, że jako bohater może robić, co mu się żywnie podoba. Nie znaczyło to, że dawniej nie miał swobody, ale teraz nie obowiązywały go nawet takie drobne ograniczenia jak punktualność czy zwykła wymiana towarzyskich uprzejmości. Zdał najtrudniejszy egzamin stanął twarzą w twarz ze śmiercią. Wprawdzie takich jak on było tysiące, niewielu jednak zostało oficjalnie ogłoszonych bohaterami i nikt inny nie nazywał się Scarlett. Oszołomiona Elizabeth obsypała go wszelkimi możliwymi przywilejami, a Chancellor Drew z szacunkiem odstąpił młodszemu bratu rolę najważniejszego mężczyzny w rodzinie.

I tak Ulster Stewart Scarlett przekroczył dwudziestkę.

Począwszy od najwyższych sfer, a na właścicielach tajnych barów skończywszy, Ulster Stewart był wszędzie mile widzianym gościem. Nie bawił dowcipem, nie przejawiał też zbyt-niej bystrości, należał jednak do ludzi, którzy znakomicie współgrają z otoczeniem.

To, czego wymagał od życia, było z pewnością nierozsądne, ale też i czasy takie były. Pogoń za przyjemnościami, unikanie wszelkich trudności, radość z istnienia bez ambicji dokonania czegokolwiek wydawały się dla niego wszystkim.

Ale wcale nie były wszystkim dla Heinricha Kroegera.

Dwa razy w roku wymieniali listy ze Strasserem. Niemiec pisał na adres poczty w centrum Manhattanu.

Kwiecień, 1920

Mój drogi Kroegerze, sprawa jest już oficjalna. Daliśmy nazwę i nowe życie rozwiązanej partii robotniczej. Jesteśmy teraz Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partią Robotniczą. To wspaniały początek. Przyciągamy tak wielu ludzi. Restrykcje Traktatu Wersalskiego są straszne. Wyniszczają Niemcy. Ale to dobrze. Dobrze dla nas. Ludzie są wściekli, klną nie tylko na zwycięzców, ale i na tych, którzy nas zdradzili.

Czerwiec, 1921

Drogi Strasser, wy macie swój Wersal, my Volstead! I dobrze... Każdy na tym zyskuje, ja też biorę, co mi się należy - co nam się należy!

Wszyscy domagają się przysługi, zapłaty. Trzeba znać odpowiednich ludzi. Wkrótce ja też będę takim "odpowiednim człowiekiem". Nie obchodzą mnie pieniądze - pieprzę pieniądze! O to niech się martwią żydki i makaroniarze! Ja chcę czegoś innego! Czegoś dużo ważniejszego...

Styczeń, 1922

Mój drogi Kroegerze, wszystko tak wolno idzie. Tak strasznie się wlecze, chociaż mogłoby być inaczej. Kryzys osiągnął niewyobrażalne rozmiary i jeszcze się pogłębia. Nasze pieniądze są zupełnie bez wartości. Adolf Hitler praktycznie przejął od Ludendorffa kierownictwo partią. Pamiętaj, jak raz powiedziałem, że pewnych nazwisk nie wolno wymieniać?

Ludendorff to jedno z nich. Nie ufam Hitlerowi. Jest w nim coś taniego, coś z oportunisty.

Październik, 1922

Drogi Strasser, lato było niezłe, jesień będzie lepsza, a zima wspaniała! Ta prohibicja jest jak na zamówienie! Szaleństwo! Masz trochę pieniędzy na zbyciu i już wchodzisz w interes! I to jaki interes! Moja organizacja rozwija się. Wszystkie tryby pracują idealnie.



Lipiec, 1923

Mój drogi Kroegerze, niepokoję się. Przeprowadziłem się na północ, pisz na adres podany niżej. Hitler jest głupcem. Przejęcie Ruhry przez Poincare'a było jego szansą na polityczne zjednoczenie całej Bawarii. Ludzie są gotowi, lecz pragną porządku, a nie chaosu. Zamiast tego Hitler wygłasza tyrady, piekli się i wykorzystuje starego głupca Ludendorffa, żeby umocnić swoją pozycję. Czuję, że popełni jakieś szaleństwo. Zastanawiam się, czy w tej partii jest miejsce dla nas obu. Na północy dużo się dzieje. Niejaki major Buchrucker stworzył tam „Czarną Reichswehrę”. To spora armia, która może się przydać naszej sprawie. Niedługo spotykam się z Buchruckerem. Zobaczymy.

Wrzesień, 1923

Drogi Strasser, rok, który minął od zeszłego października, okazał się dużo lepszy, niż kiedykolwiek wydawało się możliwe! Zabawne - człowiek znajduje w swojej przeszłości coś, co może zniechęcić - po czym uświadamia sobie, że to jego najlepsza broń. Ja właśnie coś takiego znalazłem.

Wiodę teraz dwa życia, które się nie spotykają! Myślę, iż byłbyś zadowolony, że nie zabiłeś we Francji swojego przyjaciela Kroegera.

Grudzień, 1923

Mój drogi Kroegerze, natychmiast jadę na południe! Monachium było klęską. Ostrzegałem ich, żeby nie próbowali robić puczu. Trzeba było to zrobić środkami politycznymi, nie siłą - ale nie posłuchali. Hitler dostanie duży wyrok mimo naszych "przyjaciół". Bóg jeden wie, co stanie się z biednym starym Ludendorffem. Czarna Reichswehra Buchruckera została rozbita przez von Seeckta. Dlaczego? Bo wszyscy chcemy tego samego. Kryzys jest już niemal zupełną katastrofą. Zawsze Walczą ze sobą nie ci ludzie, co trzeba. A Żydzi i komuniści niewątpliwie się cieszą. Zwariowany kraj.

Kwiecień, 1924

Drogi Strasser, miałem pierwsze prawdziwe kłopoty - ale teraz wszystko jest już pod kontrolą. Problem jest prosty - zbyt wielu ludzi pragnie tego samego! Każdy chce być grubą rybą! Starczy dla wszystkich, ale nikt w to nie wierzy. Jest tak, jak piszesz - walczą ze sobą nie ci, którzy powinni. Tak czy owak, już prawie osiągnąłem to, co zamierzałem. Wkrótce będę miał listę z nazwiskami tysięcy ludzi, którzy zrobią wszystko, co będziemy chcieli!

Styczeń, 1925

Mój drogi Kroegerze, to mój ostatni list. Piszę z Zurychu. Po zwolnieniu z więzienia Herr Hitler ponownie objął przewodnictwo partii. Między nami są głębokie różnice. Być może uda się je przezwyciężyć. Ja też mam zwolenników. Ale do rzeczy. Wszyscy jesteśmy pod obserwacją. Weimar boi się nas - / ma rację. Jestem pewien, że cała moja korespondencja, telefony, każdy krok są sprawdzane. Nie chcę ryzykować.

Nadchodzi jednak nasz czas. Przygotowujemy śmiały plan i pozwoliłem sobie zasugerować włączenie doń Heinricha Kroegera.

Masz do połowy kwietnia skontaktować się z markizem Jacquesem Louisem Bertholde, z firmy Bertholde i Synowie w Londynie.

Jedynе nazwisko, które markiz zna - to Heinrich Kroeger.

Siwy sześćdziesięcioletni mężczyzna siedział przy biurku spoglądając przez okno na ulicę. Nazywał się Benjamin Reynolds i za dwa lata miał odejść na emeryturę. Jednak do tego czasu był odpowiedzialny za działalność agencji o niewinnie brzmiącej nazwie:

"Inspektorat Terenowy i Księgowość", która podlegała Departamentowi Spraw Wewnętrznych w Waszyngtonie. Wtajemniczeni znali ją po prostu jako Grupę 20.

Skrócona nazwa agencji miała swój rodowód w jej początkach:

swego czasu Departament wysłał w teren dwudziestu kontrolerów, by zbadali przyczyny konfliktów pomiędzy politykami rozdzielającymi fundusze federalne i elektoratem otrzymującym owe fundusze.

Kiedy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny i rozwinął się przemysł nastawiony na podtrzymanie wysiłków wojennych, Grupa 20 stała się mocno przepracowanym zespołem. Rozdzielanie kontraktów na produkcję zbrojeniową i wojskowe zaopatrzenie wśród rozrzuconych po kraju firm wymagało nieustannego nadzoru, znacznie przekraczającego możliwości dwudziestu inspektorów.

Jednak zamiast rozbudować agencję, zdecydowano się ograniczyć teren jej działania do najbardziej czułych - czy kłopotliwych dziedzin.

Po wojnie mówiono o rozwiązaniu Grupy 20, ale za każdym razem, gdy się do tego przymierzano, wyłaniały się problemy wymagające talentów jej inspektorów. Zazwyczaj dotyczyły one wysoko postawionych urzędników państwowych, zbyt łapczywie czerpiących z publicznej szkatuły. Czasem Grupa 20 przejmowała sprawy, których z rozmaitych przyczyn unikały inne departamenty.

Taką właśnie sprawą, potraktowaną niechętnie przez Departament Skarbu, była zagadka pod tytułem "Scarlati".

- Dlaczego, Glover? - spytał siwowłosa mężczyzna.

- Dlaczego w ogóle łamie się prawo? - odpowiedział pytaniem młodszy. - Dla zysku. Prohibicja daje ogromne zyski.

- Nie! Niech to wszyscy diabli wezmą, nie! - Reynolds zakręcił się na krześle i rąbnął fajką o blat biurka. - Mylisz się!

Ten Scarlati ma więcej pieniędzy, niż my obaj moglibyśmy sobie wyobrazić. To nie ma sensu... Napijesz się ze mną?

Minęła już piąta i personel Grupy 20 zakończył pracę. Zostali jedynie oni dwaj.

- Zdziwiasz mnie, Ben - powiedział Glover.

- No to się wypchaj. Sam się napiję.

- Spróbuj, a złożę na ciebie donos... Dobry towar?

- Podobno prosto ze statku z Anglii. - Reynolds wyjął z górnej szuflady biurka butelkę, z tacy wziął dwie szklanki i nalał.

- Ben, jeśli wykluczysz zyski, to co ci zostanie?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem - odparł starszy mężczyzna popijając whisky.

- Co zamierzasz? Chyba nikt inny nie chce w tej sprawie kiwnąć palcem.

- Właśnie. Nikt nie chce się w to mieszać... Taak, pana Smitha albo pana Jonesa ścigaliby z zapamiętaniem. Wypruliby flaki z jakiegoś biednego durnia z East Orange albo New Jersey... Ale tego nie ruszą!

- Nie rozumiem, Ben.

- Chodzi o Zakłady Scarlati! Potężni, wpływowi przyjaciele na Kapitolu. Pamiętaj, że nasz rząd potrzebuje pieniędzy. Bierze je stamtąd.

- Co chcesz zrobić? . . . ,,- Chce się dowiedzieć, dlaczego lew interesuje się karmą dla wróbli.

- Jak?

- Przez Canfielda. On sam też nie stroni od karmy dla wróbli, biedny sukinsyn.

- To dobry człowiek. - Gloverowi nie spodobało się użyte przez Reynoldsa określenie. Lubił Matthew Canfielda. Uważał, że jest zdolny i bystry. Młody człowiek z przyszłością,

który jedynie z braku pieniędzy nie ma pełnego wykształcenia. Za dobry do pracy dla rządu. Dużo lepszy niż oni obaj... Na pewno lepszy od faceta o nazwisku Glover, którego już niewiele obchodziło.

Benjamin Reynolds popatrzył na podwładnego. Zdawało się, że czyta jego myśli.

- Tak, to dobry człowiek... Jest w Chicago. Idź i zadzwoń do niego. Gdzieś musi być jego rozkładówka.

- Mam ją na biurku.

- Więc ściągnij go tu do jutra wieczór.

## ROZDZIAŁ 6

Matthew Canfield, inspektor terenowy Grupy 20, leżał na łóżku w swoim przedziale i palił przedostatnie z paczki cienkie cygaro.

Linia Nowy Jork-Chicago nie prowadziła ich sprzedaży, zaciągał się więc za każdym razem z pewnym nabożeństwem.

Wczesnym rankiem znajdzie się w Nowym Jorku, przesiądzie do pociągu jadącego na południe i będzie w Waszyngtonie przed czasem. W ten sposób zrobi na Reynoldsie lepsze wrażenie, niż gdyby przyjechał wieczorem. Pokaże mu, że on, Canfield, potrafi szybko zamknąć sprawę nie zostawiając żadnych ogonów. W przypadku jego ostatniego zadania nie było to trudne. Zakończył je kilka dni temu, ale został dłużej w Chicago jako gość senatora, do którego był wysłany w sprawie pensji wypłacanych nie istniejącym pracownikom.

Zastanawiał się, dlaczego wezwano go z powrotem do Waszyngtonu. Zawsze zastanawiał się, dlaczego go wzywano. W głębi duszy nigdy nie oczekiwał po prostu kolejnej roboty, ale tego, że wreszcie kiedyś Waszyngton dobierze się do niego. Grupa 20 dobierze się do niego.

Było to jednak mało prawdopodobne. Matthew Canfield był profesjonalistą - wprowadzie na niskim szczeblu, ale jednak profesjonalistą. I absolutnie niczego nie żałował. Miał prawo do każdego grosika, który udało mu się dorwać.

Czemuż by nie? Nigdy nie brał dużo. Coś się przecież należało jemu i jego matce. To sąd federalny Oklahomy przyczepił obwieszczenie szeryfa na sklepie ojca w Tulsie. To sędzia federalny ogłosił postanowienie - niezawinione bankructwo. Rząd federalny nie słuchał żadnych wyjaśnień, liczył się tylko fakt, że ojciec nie mógł spłacić długów.

Człowiek może pracować przez ćwierć wieku, założyć rodzinę, wysłać syna do stanowego uniwersytetu, a następnie paść od jednego uderzenia drewnianego młotka o mały marmurowy krążek w sali sądowej.

Nie, Canfield niczego nie żałował.

Jest dla ciebie nowe zajęcie, Canfield. Prosta sprawa. Nic trudnego.

- Świetnie, panie Reynolds. Zawsze do usług.

- Tak, wiem... Zacziesz za trzy dni, pirs trzydziesty siódmy w Nowym Jorku. Odprawa celna. Zaraz wprowadzę cię w szczegóły.

Ale oczywiście o żadnym "wprowadzaniu w szczegóły" nie było mowy. Reynolds chciał, żeby właśnie Canfield wypełnił luki. Padrone Scarlatti działał na pirsach po zachodniej stronie - środkowe numery - tyle wiedzieli. Ktoś jednak musiał go zobaczyć i zidentyfikować.

I jeśli w ogóle ktoś miał tego dokonać, to właśnie człowiek pokroju Matthew Canfielda, który sam zdawał się grawitować w stronę świata haraczów, łapówek i korupcji.

Trzeciego stycznia 1925 na nocnej zmianie w portowym urzędzie celnym udało mu się wykonać zadanie.

Matthew Canfield, teraz celnik Mitch Cannon, sprawdził faktury parostatku "Genoa-Stella". Machnął na brygadzystę, żeby zaczęto wyładowywać paki wełny z Como.

I właśnie wtedy do tego doszło.

Najpierw była kłótnia. Potem bójka.

Załoga statku "Genoa-Stella" nie zamierzała tolerować naruszania kolejności wyładunku. Ktoś inny wydawał im rozkazy.

Z pewnością nie amerykańscy celnicy.

Kiedy spuszczone dwie pierwsze paki, spod słomianego opakowania rozszedł się odór samogonu.

Wszyscy zgromadzeni na pirsie zamarli. Kilku mężczyzn pobiegło do budek telefonicznych, a marynarze z bosakami w rękach obstawili kontenery.

Kontrabanda oznaczała dla nich życie, w jej obronie gotowi byli zginąć.

Canfield wbiegł po schodach do oszklonej kabiny nad pirssem i obserwował gniewny tłum. Między pracownikami doku a marynarzami "Genoi-Stelli" wywiązała się gwałtowna kłótnia. Przez piętnaście minut przeciwnicy wrzeszczeli na siebie, krzykiem towarzyszyły obraźliwe gesty. Nikt jednak nie wyciągnął broni. Nikt nie machnął bosakiem ani nożem. Czekali.

Canfield uświadomił sobie, że żaden z celników nie ruszył się, żeby zawiadomić władze.

- Na miłość boską! Niech ktoś wezwie policję! - zawołał.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Słyszeliście? Wezwijcie policję!

Znów tylko milczenie czterech przestraszonych mężczyzn w mundurach Służby Celnej.

W końcu jeden z nich przemówił. Stał obok Canfielda, patrząc przez szklaną ścianę na znajdującą się na dole armię gangsterów.

- Nikt nie wezwie policji, chłopcze. Jeśli chcesz się jutro zjawić w dokach, też siedź cicho.

- W dokach lub gdziekolwiek indziej - dodał drugi, po czym spokojnie usiadł i wziął gazetę z małego biurka.

- Dlaczego? Przecież tam na dole ktoś może zostać zabity!

- Załatwią to między sobą - powiedział starszy celnik.

- Z jakiego portu przyszedłeś? Z Erie...? No tak. Żegluga śródlądowa to co innego...- Bzdury!

Trzeci z mężczyzn podszedł do Canfielda.

- Słuchaj, nie wtykaj nosa w cudze sprawy, dobrze?

- Co to za gadka? Do jasnej cholery, co to za gadka?

- Chodź no tu, mały. - Trzeci celnik, którego szczupłe ciało zdawało się tonąć w zbyt obszernym mundurze, wziął Canfielda za łokieć i zaprowadził go w róg pokoju. Pozostali udawali, że nic nie widzą, zerkali jednak na nich nieustannie. Byli mocno zaniepokojeni. - Masz żonę i dzieci? - zapytał cicho szczupły celnik.

- Nie... I co z tego?

- My mamy. To z tego. - Sięgnął do kieszeni i wyjął kilka banknotów. - Masz. Tu jest sześć dych... Tylko nie szalej, dobra...?

Wezwanie glin nic by nie załatwiło...

- Jezu! Sześćdziesiąt dolarów!

- Dwutygodniowa wypłata, chłopcze. Zabaw się.

- W porządku...

- Idą, Jesse - zwrócił się półgłosem do celnika rozmawiającego z Canfieldem stary mężczyzna pilnujący okna.

- Chodź, mały. Nauczysz się czegoś - powiedział ten od pieniędzy, prowadząc Canfielda do okna wychodzącego na wnętrze doków.

Canfield zobaczył, że w dole, przy bramie od strony ulicy, stanęły jeden za drugim dwa duże samochody - pierwszy z nich częściowo wjechał do budynku. Wsiadło z niego kilku facetów w ciemnych płaszczach, którzy zbliżali się teraz do grupy robotników otaczających uszkodzone paki.

- Co oni robią?

- To płatni zbóje, chłopcze - odparł celnik Jesse. - Oni ustawiają.

- Co? Co ustawiają?

Mężczyzna siedzący z gazetą przy maleńkim biurku zaśmiał się gardłowo.

- Nie co - lecz kogo!

Pięciu facetów w płaszczach zaczęło krążyć wśród robotników portowych i cicho z nimi rozmawiać. Niektórych szturchali żartobliwie i poklepywali po grubych karkach. Przypominali dozorców w ogrodzie zoologicznym, którzy uspokajają zwierzęta. Dwaj z nich weszli po trapie na statek. Szef w białym filcowym kapeluszu, stojący wśród pozostałych trzech mężczyzn na pirsie, spojrział w kierunku samochodów, po czym podniósł wzrok na oszkloną kabinę. Skinął głową i ruszył ku schodom.

Celnik Jesse powiedział:

- Ja to załatwię. Nie ruszajcie się stąd.

Otworzył drzwi, wyszedł na stalową platformę i czekał na człowieka w białym kapeluszu.

Canfield widział przez szybę rozmawiających mężczyzn. Biały Kapelusznik uśmiechał się przymilnie, spojrzenie miał jednak twarde.

Po chwili obaj zwrócili wzrok na biuro.

Patrzyli na Matthew Canfielda.

Jesse otworzył drzwi.

- Cannon. Mitch Cannon, chodź tu.

Zawsze było wygodniej, kiedy inicjały pseudonimu pokrywały się z prawdziwymi. Nigdy nie wiadomo, kto może przysłać prezent gwiazdkowy. "

Canfield wyszedł na stalowy pomost, kiedy człowiek w białym kapeluszu zszedł ze schodów na betonową nawierzchnię pirsu.

- Idź na dół i podpisz papiery. Chcą mieć pewność, że jesteś w porządku. - Jesse uśmiechnął się. - Są tu ich szefowie...

Dostaniesz następny mały prezent... Ale pięćdziesiąt procent dla mnie, jasne?

- Taaa - odparł Canfield niechętnie.- Jasne. - Ruszył na dół, do czekającego na niego człowieka.

- Nowy, co?

- Tak.

- Skąd jesteś?

- Jezioro Erie. Sporo się tam działo.

- W czym robiłeś?

- Towar kanadyjski. A w czymże innym...? Niezła hara...

- My importujemy wełnę! Wełnę z Como!  
- Oczywiście, przyjacielu. Na Erie były kanadyjskie skóry i tkaniny... - Canfield mru-  
gnął porozumiewawczo. - Dobrze, miękkie opakowanie, co?  
- Słuchaj, „chłopcze... nie potrzebujemy tu mądrali.  
- W porządku.  
- Chodź do dyspozytorni... Podpiszesz odprawę towaru.  
Canfield poszedł z tamtym do budki dyspozytora, gdzie jakiś inny facet rzucił mu plik  
papierów.

- Pisz wyraźnie i dokładnie zanotuj daty i godziny! - rozkazał.

Kiedy Canfield zrobił, czego od niego żądano, pierwszy mężczyzna powiedział:

- Dobra... Chodź ze mną. - Zaprowadził Canfielda do samochodów. Inspektor zobaczył  
dwóch ludzi rozmawiających na tylnym siedzeniu drugiego auta. W pierwszym został tylko  
kierowca. - Poczekaj tu.

Canfield zastanawiał się, dlaczego go wybrano. Czy coś poszło nie tak w Waszyngtonie?

Na pirsie wybuchło nagle zamieszanie. Dwaj gangsterzy, którzy weszli na statek, spro-  
wadzali po trapie mężczyznę w mundurze.

Canfield zobaczył, że był to kapitan "Genoi-Stelli".

Człowiek w białym kapeluszu stał pochylony, rozmawiając z ludźmi siedzącymi w dru-  
gim wozie. Nie słyszeli dochodzącego z pirsu hałasu. Potężny goryl otworzył drzwi i z samo-  
chodu wysiadł niski, smagły Włoch. Nie miał więcej niż metr pięćdziesiąt siedem wzrostu.

Włoch skinął na Canfielda. Potem zanurzył dłoń w kieszeni płaszcza, wyciągnął zwitek  
banknotów i oddzielił z niego kilka.

Mówił z bardzo silnym obcym akcentem:

- Ty nowy?

- Tak, proszę pana.

- Jezioro Erie? Zgadza się?

- Tak, proszę pana.- Nazwisko?

- Cannon.

Niski Włoch spojrzał na człowieka w białym kapeluszu, ale ten wzruszył ramionami.

- Non conosco...

- Masz. - Włoch wetknął Canfieldowi dwa pięćdziesięciodolarowe banknoty. - Bądź  
grzeczny... My dbamy o grzecznych chłopców. Dbamy też o chłopców, którzy nie są grzecz-  
ni... Capisce?

- Pewnie. Bardzo dzięk...

Tyle tylko zdążył powiedzieć. Dwaj gangsterzy eskortujący kapitana "Genoi-Stelli" do-  
tarli do pierwszego samochodu. Trzymali oficera z całej siły, popychając go do przodu.

- Lascia mi! Lascia mi! Maiali! - Kapitan usiłował uwolnić się z uchwytu dwóch dra-  
bów. Szarpał się w tył i w przód, ale bez rezultatu.

Kiedy dwaj goryle przyprowadzili kapitana, mały Włoch odepchnął Canfielda na bok.  
Oficer i jego dwaj ciemniacy zaczęli jednocześnie krzyczeć. Włoch słuchał i patrzył na  
kapitana.

Mężczyzna, który dotychczas siedział z tyłu w drugim samochodzie, częściowo ukryty  
w cieniu, wychylił się przez okno.

- O co chodzi? Czemu oni krzyczą, Vitone?

- Temu comandante nie podoba się nasz sposób załatwiania interesów. Mówi, że nie pozwoli nam dalej wyładowywać.

- Dlaczego?

- Si, rifiuti! - wrzasnął kapitan, domyślając się treści rozmowy, choć nie rozumiejąc wszystkich słów.

- Mówi, że nie mamy prawa do jego statku. Chce zadzwonić.

- Nie wątpię - powiedział spokojnie mężczyzna z samochodu. - I nawet wiem do kogo.

- Pozwoli mu pan? - spytał niski Włoch.

- Nie bądź głupi, Vitone... Zwracaj się do niego uprzejmie.

Uśmiechaj się. Pomachaj do tych na statku. Przecież to beczka prochu, wy idioci...! Niech myślą, że wszystko jest w porządku.

- Oczywiście. Oczywiście, padrone, Wszyscy gorliwie zamachali, naturalnie z wyjątkiem kapitana, który próbował uwolnić ręce. Wyglądało to komicznie i Canfield niemal się uśmiechnął, lecz akurat na linii jego wzroku znalazła się twarz w oknie samochodu. Była to zdecydowanie przystojna twarz.

Choć częściowo zasłaniało ją szerokie rondo kapelusza, inspektor zauważył ostre, wyraziste rysy. Ale najbardziej uderzające były jasnoniebieskie oczy.

Mimo to do mężczyzny zwracano się z włoska per padrone...

Canfield pomyślał, że widocznie są także Włosi z niebieskimi oczami, choć nigdy dotąd takich nie spotkał.

- Co robimy, padrone? - spytał niski mężczyzna, który dał Canfieldowi sto dolarów.

- Cóż możemy zrobić, stary...? Kapitan jest gościem na naszym wybrzeżu, nieprawdaż? Bądź więc dla niego uprzejmy, Vitone...

Weź go stąd i pozwól mu... zadzwonić. - Mężczyzna o jasnoniebieskich oczach ściszył głos: - Zabij go.

Mały Włoch nieznacznie skinął głową w kierunku nabrzeża.

Faceci eskortujący kapitana popchnęli go do przodu.

- Chiama le nostri, amid... - powiedział zbir po prawej stronie.

Kapitan jednak opierał się. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Canfield dostrzegł w mglistym świetle latarni, jak zaczął gwałtownie rzucać całym ciałem, aż eskortujący go z lewej strony stracił równowagę. Wówczas kapitan krzycząc coś po włosku zaatakował pięściami drugiego zbira.

Odepchnięty mężczyzna odzyskał równowagę, wyjął z kieszeni nóż i wbił go nagle w nie osłonięte plecy kapitana.

Matthew Canfield opuścił na oczy daszek czapki i powoli, swobodnym krokiem ,zaczął się oddalać od samochodów.

- Hej, ty! Celnik! - To wołał niebieskooki z samochodu.

- Ty! Jezioro Erie! - krzyknął mały Włoch.

Canfield odwrócił się.

- Nic nie widziałem. Nic a nic. Naprawdę! - Próbował się uśmiechnąć, ale bezskutecznie.

Niski Włoch skinął głową kierowcy pierwszego auta.

Kierowca wysiadł i zaszedł inspektora od tyłu.



- Porta lui fuori vicin' a l'acqua! Senza fuccide! Corteddo! powiedział mały Włoch.

Szofer popchnął Canfielda w kierunku wyjścia z pirsu.

- Hej, zaraz! Ja nic nie widziałem! Czego ode mnie chcecie...?

Ale Matthew Canfield wcale nie potrzebował odpowiedzi na swoje pytania. Dobrze wiedział, czego od niego chcieli. Jego mało ważnego życia.

Idący za inspektorem człowiek cały czas go szturchał, popychając do przodu. Przeszli wzdłuż pustego brzegu pirsu.

Dwa szczury przemknęły kilka kroków przed Canfieldem i jego oprawcą. Zza ściany hali przeładunkowej dobiegały coraz intensywniejsze odgłosy awantury. Wody rzeki Hudson tłukły o potężne słupy doków.

Canfield zatrzymał się. Nie bardzo wiedział, dlaczego, lecz po prostu nie mógł już iść dalej. Skurcz w żołądku był skurczem strachu.

- A lesta C/H.../ Dalej! - warknął gangster, wbijając Canfieldowi rewolwer pomiędzy zębra.

- Słuchaj... - Wysiłki Canfielda, by nadać głosowi twarde brzmienie, nie zdały się na nic. - Pracuję dla rządu! Jeśli mi coś zrobisz, dopadną cię! Nawet twoi przyjaciele cię wtedy nieochronią.

- Idź, do cholery!

Na środku rzeki zabrzmiała syrena statku. Odpowiedziała mu druga.

Wtedy dał się słyszeć długi, ostry, przenikliwy gwizd z "Genoi-Stelli". Był to desperacki sygnał wzywający pomocy. Natężenie dźwięku rozrywało uszy.

Odwróciło to uwagę człowieka z rewolwerem stojącego za Canfieldem.

Inspektor natychmiast to wykorzystał. Chwycił go za nadgarstek, ścisnął i wykręcił z całej siły. Zbir sięgnął do twarzy Canfielda i zagłębił palce w oczodołach inspektora, pchając go jednocześnie na stalową ścianę budynku. Canfield jeszcze mocniej ścisnął przegub napastnika, po czym drugą ręką wczepił się w jego płaszcz i pociągnął w tym samym kierunku, w którym tamten go pchał - w ostatniej sekundzie robiąc unik. Facet z impetem rąbnął o stalową ścianę, upuszczając rewolwer. Canfield dołożył mu jeszcze kolanem w krocze.

Włoch wydał chrapliwy okrzyk bólu. Inspektor rzucił go na ziemię i zbir poturlał się w stronę brzegu pirsu. Canfield skoczył do niego, złapał go za głowę i kilkakrotnie walnął nią o grube drewno.

Skóra pękła, popłynęła krew.

Wszystko to trwało niecałą minutę.

Oprawca Matthew Canfielda był martwy.

Z "Genoi-Stelli" wciąż dochodził przenikliwy gwizd. Krzyki w hali przeładunkowej pirsu nasilały się.

Canfield pomyślał, że załoga statku musiała się otwarcie zbuntować. Zapewne domagała się rozkazów od swojego kapitana, a kiedy te nie nadeszły, uznała, że go zamordowano albo uwięziono.

Zabrzmiało kilka strzałów. Potem staccato karabinu maszynowego. -Nie mógł wrócić przed budynek. Pewnie zaraz ktoś przyjdzie szukać jego strażnika.

Zepchnął ciało zabitego z pomostu. Z dołu doleciał go plusk.

Gwizd z "Genoi-Stelli" ucichł. Krzyki powoli zamierały. Na skraju pirsu pojawili się dwaj mężczyźni. Zawołali:

- La Tona! Hej, La Tona! La Tona...

Matthew Canfield skoczył do brudnej wody i zaczął płynąć na środek rzeki tak szybko, jak tylko pozwalał mu na to ciężki mundur celnika.

Miałeś ogromne szczęście! - stwierdził Benjamin Reynolds.

- Wiem, proszę pana. Cieszę się, że już po wszystkim.

- Weź tydzień wolnego. Odpocznij.

- Dziękuję.

- Za parę minut przyjdzie Glover. Jest jeszcze dosyć wcześnie.

Rzeczywiście było. Szósta piętnaście rano. Canfield dotarł do Waszyngtonu dopiero o czwartej, ale bał się iść do swojego mieszkania. Zadzwoił więc do Benjaminu Reynoldsa, który kazał mu się stawić w biurze Grupy 20 i czekać.

Otworzyły się drzwi wejściowe i Reynolds zawołał:

- Glover? To ty?

- Tak, Ben. Jezu! Nie ma jeszcze wpół do siódmej... Co za noc. Spały u nas dzieciaki mojego syna. - W głosie Glovera słychać było zmęczenie.

- Cześć, Canfield! Co u licha się stało?

Matthew Canfield, inspektor terenowy Grupy 20, zaczął ponownie relacjonować wypadki ubiegłej nocy.

Kiedy skończył, Reynolds zwrócił się do Glovera:

- Zadzwoiłem do urzędu celnego Jeziora Erie i kazałem usunąć akta Cannona. Chłopcy sprawdzili też jego mieszkanie w Nowym Jorku. Było nietknięte. Czy jeszcze o coś powinniśmy zadbać?

Glover zastanowił się przez chwilę.

- Tak. Na wypadek, gdyby ktoś interesował się papierami z Erie - a na pewno będzie - puścimy w dokach plotkę, że nazwisko Cannon było pseudonimem płatnego zabójcy, którego dorwano w Los Angeles, w San Diego czy gdzieś tam, i zastrzelono.

Zajmę się tym.

- Dobrze... a teraz, Canfield, pokażę ci parę zdjęć. Bez komentarza... Zobaczymy, czy potrafisz je zidentyfikować. Benjamin Reynolds podszedł do szafy z aktami i otworzył ją. Wyjął jedną teczkę i wrócił do biurka. - Przyjrzyj się. - Wyciągnął pięć fotografii. - Trzy powiększenia z gazet i dwa zdjęcia robione w więzieniu.

Gdy fotografie zostały ułożone, Canfield potrzebował niecałej sekundy.

- To on! To na niego tamten kurdupel mówił padrone!

- Il Scarlatti padrone - powiedział Glover cicho.

- Jesteś absolutnie pewien?

- Jasne... Jeśli ma niebieskie oczy, to jak w banku.

- Przysięgłbyś przed sądem?

- Oczywiście.

- Daj spokój, Ben - wtrącił się Glover, który wiedział, że taki krok oznaczałby dla Canfielda wyrok śmierci.

- Tylko pytałem.

- Kto to jest? - spytał Canfield.

- Kto to jest...? Nie jestem pewien, czy powinienem odpowiedzieć ci na to pytanie, ale gdybyś dowiedział się skądinąd a z tym nie miałbyś problemu - mogłoby to okazać się nie-

bezpieczne. - Reynolds odwrócił fotografię. Nazwisko wypisane było grubym czarnym ołówkiem.

- Ulster Stewart Scarlett, urodzony jako Scarlatti - przeczytał głośno inspektor. - Dostał medal w czasie wojny, prawda?

Milioner.

- Tak, wszystko się zgadza - odparł Reynolds. - Ale to odkrycie musi pozostać tajemnicą. Zrozumiano?

- Oczywiście.

- Myślisz, że ktoś mógłby cię rozpoznać po ostatniej nocy?

- Wątpię. Światło było kiepskie, poza tym nasunąłem czapkę prawie na pół twarzy i starałem się mówić jak oni... Nie, nie sądzę.

- W porządku. Świetnie się spisałeś. Idź się teraz przespać.

- Dziękuję. - Inspektor wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Benjamin Reynolds popatrzył na leżące na biurku zdjęcia.

- Scarlatti to padrone, Glover.

- Przekaż to Skarbowi. Mamy wszystko, co trzeba.

- Nic nie mamy, chyba że chcesz pochować Canfielda... A jeśli nawet, to czym dysponujemy? "Widziano go w towarzystwie.

Słyszano, jak wydał rozkaz..." Komu? Kto będzie mógł o tym zaświadczyć? Słowa jakiegoś urzędnika przeciw słowom bohatera wojennego? Syna Scarlattich...? Nie, możemy jedynie spróbować grozić... Być może to wystarczy.

- Kto będzie groził? .

Benjamin Reynolds odchylił się w fotelu i złączył ręce koniuszkami palców - Ja... Zamierzam porozmawiać z Elizabeth Scarlatti... Chcę wiedzieć dlaczego.

## ROZDZIAŁ 7

Ulster Stewart Scarlett wysiadł z taksówki na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy, po czym przeszedł krótki odcinek dzielący go od domu. Wbiegł po schodach i otworzył ciężkie drzwi.

Stanął na chwilę w wielkim holu, tupiąc nogami z zimna. Rzucił płaszcz na krzesło, przez oszklone drzwi wszedł do przestronnego salonu i zapalił stojącą na stoliku lampę. Była dopiero czwarta po południu, a już robiło się ciemno.

Przeszedł od stołu do kominka i z zadowoleniem stwierdził, że służba zadbała o drewno i szczapy na podpałkę. Rozpalił ogień i patrzył na skaczące płomyki. Położył dłonie na obramowaniu kominka i przysunął się do ciepłych płomieni. Jego oczy zatrzymały się na rozkazie nadania Srebrnej Gwiazdy, wiszącym w złotej ramie na środku ściany nad kominkiem. Zanołował w pamięci, że musi uzupełnić swoją wystawę. Wkrótce nadejdzie jego czas. I wtedy ta wystawa spełni swoje zadanie.

Będzie przypomnieniem dla każdego, kto wejdzie do tego domu.

Po chwili wrócił myślami do źródła gniewu, który go przedtem ogarnął.

Głupi, cholerny, tępy bydlak! Dno! Śmieć!

Czterej marynarze z "Genoi-Stelli" zabici. Ciało kapitana znalezione w opuszczonej barce na nadbrzeżu.

Daliby sobie z tym radę. Poradziliby też sobie z buntem załogi.

Ale co z ciałem La Tony, zaczepionym o poprzeczny drąg na wodzie w odległości pięćdziesięciu metrów od frachtowca przewożącego kontrabandę?

La Tona!

Kto go zabił? Przecież nie ten ślamazarny prostacki celnik...

Chryste, nie...! La Tona zjadłby go żywcem i ze śmiechem plułby jego jajami!

Będzie śmierdzieć. Porządnie śmierdzieć. Nie pomoże żadna łapówka.

Przez La Tonę mogą dojść do Vitone. Do małego don Vitone Genovesego. Zafajdany świński kurdupel, pomyślał Scarlett.

No cóż, nadszedł czas, żeby się wycofać.

Miał to, czego chciał. A nawet więcej. Strasser się zdziwi.

Wszyscy się zdziwią.

Zapalił papierosa i podszedł do małych wąskich drzwi po lewej stronie kominka. Wyjął klucz, otworzył i wszedł.

Pokój, tak jak i prowadzące do niego drzwi, był mały. Kiedyś służył jako barek, teraz został przerobiony na miniaturowy gabinet z biurkiem, krzesłem i dwoma stalowymi segregatorami. Na każdej szufladzie segregatorów był zamek szyfrowy.

Zapalił lampę na biurku i zbliżył się do pierwszej szafki.

Przykucnął, ustawił kombinację cyfr i otworzył dolną szufladę.

Zanurzył w niej rękę i wyciągnął gruby notes oprawiony w skórę.

Położył go na biurku.

To była jego praca magisterska, rezultat pięcioletnich skrupulatnych studiów.

Usiadł za biurkiem i zaczął przewracać strony notatnika, precyzyjnie założone na metalowe kółka, z płócienną obwódką wokół każdej dziurki. Każdy wpis był starannie wykaligrafowany.

Każdemu nazwisku towarzyszył krótki opis, adres, i jeszcze krótsza biografia - stanowisko, zarobki, rodzina, przeszłość - jeśli kandydat rokował nadzieje.

Poszczególne strony miały tytuły, posegregowane były według miast i stanów. Kolorowe zakładki z literami alfabetu biegły od góry notesu do samego dołu.

Majsterszytk!

Rejestr wszystkich ludzi - ważnych i nieważnych - którzy kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób skorzystali na operacjach organizacji Scarletta. Od kongresmanów biorących regularne łapówki do szefów korporacji, "inwestujących" w nielegalne spekulacje zaaranżowane przez podstawionych ludzi.

Politycy, bankierzy, prawnicy, lekarze, architekci, pisarze, gangsterzy, urzędnicy, policjanci, celnicy, bukmacherzy... lista zawodów ciągnęła się w nieskończoność.

Podstawą wszystkiego była ustawa o prohibicji, ale doszły też inne przedsięwzięcia - i wszystkie przynosiły zyski.

Prostytucja, skrobanki, ropa, złoto, kampanie polityczne, giełda, tajne bary... ta lista również nie miała końca.

Zachłanni maluczcy nigdy nie potrafili oprzeć się magii pieniędzy. To był ostateczny dowód potwierdzający jego teorie!

Pazerne szumowiny!

Ale wszystko było udokumentowane. Wszyscy zidentyfikowani.

Oprawiony w skórę notes zawierał 4263 nazwiska. W osiemdziesięciu jeden miastach, w dwudziestu czterech stanach... Dwunastu senatorów, dziewięćdziesięciu ośmiu kongresmanów i trzech ludzi z gabinetu prezydenta.

Ulster Stewart podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Połącz mnie z Vitone Genovesem... Nieważne, kto mówi!

Nie znałbym jego numeru, gdyby on tego nie chciał!Czekając na połączenie kreślił na kartce przypadkowe linie.

Uśmiechnął się, kiedy zauważył, że linie zbiegały się w jednym punkcie. Jak smugi światła.

- Vitone? To ja... Wiem o tym... Niewiele możemy zrobić, prawda...? Jeśli będziesz przesłuchiwany, to wiesz, co masz mówić.

Byłeś w Westchester. Nie masz zielonego pojęcia, gdzie był La Tona... Tylko nie mieszaj w to mnie! Rozumiesz? Nie bądź taki cwany... Mam dla ciebie propozycję. Spodoba ci się. Wszystko jest teraz twoje. Wszystko! Rób to, na co masz ochotę. Mnie już nie ma.

Na drugim końcu linii zapadła cisza. Ulster Scarlett narysował na kartce choinkę.

- Żadnych zobowiązań, żadnych podstępów. Wszystko jest twoje! Nic nie chcę. Cała organizacja jest twoja... Nie, nic nie wiem. Po prostu chcę z tym skończyć. Jeśli nie jesteś zainteresowany, mogę z tym iść gdzie indziej. Nie chcę ani grosza... Tylko jedno. Nigdy mnie nie widziałeś. Nigdy nie spotkałeś. Nie wiesz, że istnieję! To mój warunek.

Don Vitone Genovese zaczął mówić coś szybko po włosku, więc Scarlett odsunął słuchawkę o kilka centymetrów od ucha. Powtarzające się "Grazie, grazie, grazie" było jedynym słowem, które naprawdę rozumiał.

Odłożył słuchawkę i zamknął notes w skórzanej oprawie. Siedział przez chwilę, po czym otworzył górną szufladę pośrodku biurka.

Wyjął ostatni list od Gregora Strassera. Przeczytał go po raz dwudziesty. A może sto dwudziesty?

Śmiały plan... markiz Jacques Louis Bertholde... Londyn... do połowy kwietnia...

Czyżby już nadszedł czas? Nareszcie!

Jeśli tak, to Heinrich Kroeger miał dla Ulstera Scarletta swój własny plan.

Potomek Scarlattich - uroczy, przystojny absolwent uniwersytetu w Princeton, bohater spod Meuse-Argonne, kawaler będący najlepszą partią w Nowym Jorku - zamierzał się ożenić.

## ROZDZIAŁ 8

Panie Reynolds! - Elizabeth Scarlatti kipiała. Jej wściekłość skierowana była przeciwko staremu człowiekowi, który stał przed nią spokojnie i patrzył sponad okularów. - Nie znoszę ludzi zarozumiałych i nie cierpię kłamców!

- Bardzo mi przykro. Naprawdę.

- Uzyskał pan to spotkanie podstępem. Senator Brownlee powiedział, że reprezentuje pan agencję pośredniczącą w zakupie ziemi i pańska sprawa dotyczy transakcji pomiędzy kompanią Scarlatti a Departamentem Spraw Wewnętrznych.

- Senator właśnie tak uważa.

- Jest więc większym głupcem, niż myślałam. A teraz pan mi grozi! Prowokacyjnymi informacjami z drugiej ręki o moim synu!

To zwykle plotki! Mam nadzieję, że jest pan przygotowany na przesłuchanie w sądzie.

- Czy naprawdę chce pani takiego rozwiązania?

- Może mnie pan do tego zmusić...! Nie wiem, jakie zajmuje pan stanowisko, znam jednak bardzo wielu ludzi w Waszyngtonie, a o panu nigdy nie słyszałam. Ale skoro ktoś taki jak pan opowiada tego rodzaju bajki, to inni też musieli je słyszeć.

Tak, może- mnie pan zmusić do pójścia do sądu. Nie będę tolerować tego rodzaju pomówień!

- A jeśli to prawda?

- To nie jest prawda, i wie pan o tym równie dobrze jak ja.

Nie ma najmniejszego powodu, żeby mój Syn zajmował się... taką działalnością. Jest bogaty! Obaj moi synowie mają w depozycie kapitały, które przynoszą rocznie olbrzymi dochód.

- Wobec tego możemy wyeliminować zysk jako motyw...

- Nie możemy, bo nie ma nic do wyeliminowania! Jeśli mój syn sobie trochę pohulał, można go skrytykować, ale nie wolno nazywać kryminalistą! Jeżeli używa pan takich rynsztokowych metod, by oczernić nazwisko Scarlatti, to jest pan godny pogardy i postaram się, by pana zwolniono!

Benjamin Reynolds niełatwo wpadał w złość, ale podczas tej rozmowy naprawdę się zirytował. Wciąż musiał sobie przypominać, że ta stara kobieta stoi na straży swojego domu, swojej rodziny, trudniej więc z nią rozmawiać, niż miałyby to miejsce w innych okolicznościach.

- Nie chciałbym, żeby traktowała mnie pani jak wroga.

Naprawdę nim nie jestem...

- Nie zasługuje pan na status wroga - przerwała mu Elizabeth Scarlatti. - Myślę, że jest pan małym człowieczkiem, który rzuca złośliwe oszczerstwa dla własnych celów!

- Zarzut wydania rozkazu zamordowania człowieka nie jest złośliwym oszczerstwem!

- Co pan powiedział?

- To nasze najważniejsze oskarżenie... Są jednak okoliczności łagodzące, jeśli to panią pocieszy.

Starsza pani patrzyła na Benjamina Reynoldsa ze wzgardą.

Zignorował to spojrzenie.

- Mężczyzna, którego zamordowano - ten, którego pani syn kazał zabić - sam był zabójcą. Kapitan frachtowca pracujący z najgorszym elementem na całym wybrzeżu. Miał na sumieniu bardzo wiele morderstw.

Elizabeth Scarlatti podniosła się z krzesła.

- Nie będę tego tolerować - powiedziała spokojnie. - Rzuca pan najbardziej druzgocące oskarżenie, po czym niemal wycofuje się, mówiąc o "okolicznościach łagodzących".

- Żyjemy w dziwnych czasach, madame Scarlatti. Nie możemy być wszędzie. Mówiąc otwarcie, nie chcemy. Nie płaczemy z powodu wojen gangsterów. Spójrzmy prawdzie w oczy. Często załatwiają za nas wiele spraw.

- I zalicza, pan mojego syna do... tej kategorii?

- Sam się do niej zaliczył.

Elizabeth powoli przeszła od biurka do frontowego okna wychodzącego na ulicę.

- Ilu ludzi w Waszyngtonie zna tę nieprawdopodobną plotkę?

- Wszystko, co tutaj powiedziałem?

- W ogóle coś na ten temat.

- Trochę rozniosło się po Departamencie Skarbu. Nic, czemu ktokolwiek chciałby się bliżej przyjrzeć. Co do reszty, to wie o niej tylko mój bezpośredni podwładny i człowiek, który był świadkiem.

- Ich nazwiska?

- Och, nie.

- Mogę się z łatwością dowiedzieć.

- Nic pani z tego nie przyjdzie.

Elizabeth odwróciła się.

- Rozumiem.

- Zastanawiam się, czy rzeczywiście...?

- Nie jestem idiotką. Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo.

Ale nie życzę sobie ataków na rodzinę Scarlattich... Ile, panie Reynolds?

Szef Grupy 20 wytrzymał spojrzenie Elizabeth bez mrugnięcia.

- Nic. Ani grosza, dziękuję... Pani mnie zachęca, bym wniósł przeciw niej oskarżenie.

- Ty głupi starcze!

- Do diabła, niech pani przestanie! Chcę jedynie prawdy! Nie, to nie wszystko. Chcę położyć temu kres, zanim ktoś jeszcze na tym ucierpi. I chcę wiedzieć dlaczego.

- Zastanawianie się nad tym oznaczałoby przyjęcie wszystkich pańskich insynuacji do wiadomości. Tego nie zrobię.

- Na Boga! Twarda z pani sztuka.

- Twardsza, niż się panu wydaje!

- Nie- rozumie pani...? Ta sprawa nie ma dalszego ciągu.

Kończy się tutaj! To znaczy, skończy się, jeśli pani zapobiegnie dalszej działalności swego syna na tym polu. Według nas może pani to zrobić... Myślałem tylko, że pani również chciałaby wiedzieć dlaczego. Oboje wiemy, że pani syn jest bogaty - więc dlaczego?

Elizabeth wpatrywała się w niego z zastygłą twarzą i Reynolds zrozumiał, że nie otrzyma odpowiedzi. Zrobił, co mógł, powiedział, co miał do powiedzenia. Reszta zależy od niej.

- Do widzenia, madame Scarlatti... Ale będę miał oko na padrone.



- Na kogo?

- Proszę spytać syna. .

Ciężkim krokiem wyszedł z pokoju. Ludzie pokroju Elizabeth Scarlatti męczyli go. Pewnie dlatego, pomyślał, że nie byli warci tego wszystkiego.

Elizabeth - ciągle przy oknie - patrzyła, jak starszy pan zamyka za sobą drzwi. Zszedł po schodach i skręcił na zachód, w kierunku Piątej Alei.

Ale zanim skręcił, podniósł wzrok na postać w oknie. Ich oczy spotkały się.

## ROZDZIAŁ 9

Chancellor Drew Scarlett chodził w kółko po grubym wschodnim dywanie w swoim biurze przy Piątej Alei 525. Oddychał głęboko, wypychając przy wdechu żołądek, ponieważ masażysta w klubie powiedział mu, że jest to jedna z metod uspokajania się w trudnych chwilach.

Nie pomagało.

Zmieni masażystę.

Zatrzymał się przed ścianą z mahoniową boazerią, pomiędzy dwoma oknami wychodzącymi na Aleję. Na ścianie wisiały w ramach artykuły prasowe o Fundacji Scarwyck. W każdym artykule wymienione było jego nazwisko - w niektórych wypisano je nawet tłustym drukiem w tytule.

Kiedy był zdenerwowany, a zdarzało się to często, patrzył na te oprawione w ramki dowody swoich osiągnięć. Zawsze go uspokajały.

Chancellor Scarlett wszedł w rolę męża nudnej żony uznając to za zwykłą kolej rzeczy. W łóżu małżeńskim wyprodukował piątkę dzieci. Niespodziewanie - zwłaszcza dla Elizabeth - zainteresował się rodzinnym przedsiębiorstwem. Jakby w odpowiedzi na poczynania brata bohatera, zaszył się w bezkrwawym świecie biznesu.

I naprawdę miał pomysły.

Ponieważ roczny dochód z majątku Scarlattich znacznie przewyższał potrzeby małego państwa, Chancellor przekonał Elizabeth, że inteligentna polityka podatkowa wymaga założenia dobroczynnej fundacji. Zrobił na matce wrażenie przedstawiając jej wszystkie obliczenia - włącznie z przypuszczalnymi kosztami ewentualnych procesów antytrustowych - i uzyskał jej zgodę na Fundację Scarwyck. Został mianowany prezydentem, zaś jego matka prezesem rady. Chancellorowi nie było sądzone zostać bohaterem, ale jego dzieci z pewnością docenią gospodarczą i kulturalną działalność ojca.

Z Fundacji Scarwyck płynęły pieniądze na rzecz upamiętnienia wojny; na ochronę rezerwatów indiańskich; na Słownik Wielkich Patriotów, który miał być rozprowadzony po wybranych szkołach podstawowych; na Kluby im. Rolanda Scarletta - sieć obozów młodzieżowych propagujących życie na łonie przyrody i chrześcijańskie zasady swojego patrona - demokracji i członka Kościoła episkopalnego. I na setki innych podobnych przedsięwzięć. Nie można było wziąć gazety do ręki nie natykając się na jakiś nowy projekt finansowany przez Scarwyck.

Rzut oka na artykuły umocnił zachwianą wiarę Chancellora w siebie, ale tylko na chwilę. Zza drzwi gabinetu dobiegł go dzwonek telefonu sekretarki i natychmiast przypomniała mu się rozmowa z rozzłoszczoną matką. Od wczoraj rano próbowała znaleźć Ulstera.

Chancellor podniósł słuchawkę interkomu.

- Proszę jeszcze raz zadzwonić do mojego brata, panno Nesbit.

- Dobrze, proszę pana.

Musiał znaleźć Ulstera. Matka była nieugięta. Żądała spotkania z Ulsterem jeszcze tego popołudnia.

Usiadł w fotelu i ponownie spróbował prawidłowo oddychać.

Masażysta powiedział, że to dobre ćwiczenie, kiedy się siedzi.

Wziął głęboki oddech wypychając żołądek maksymalnie do przodu. Środkowy guzik marynarki odskoczył i upadł na miękki dywan, odbiwszy się od fotela między nogami Chancellora.

Cholera!

Panna Nesbit połączyła się z nim przez interkom.

- Tak?

- Pokojówka w domu pańskiego brata powiedziała, że jest on już w drodze do pana, panie Scarlett. - Z głosu panny Nesbit przebijała duma z dokonanego dzieła.

- Czy to znaczy, że cały czas był w domu?

- Nie wiem, proszę pana. - Panna Nesbit była urażona.

Ulster Stewart Scarlett zjawił się po dwudziestu męczących minutach.

- Wielki Boże! Gdzieś ty był? Matka próbuje cię znaleźć od wczoraj rano. Dzwoniliśmy wszędzie!

- Pojechałem do Oyster Bay. Czy któremuś z was przyszło do głowy tam zadzwonić?

- W lutym? Oczywiście, że nie...! A może jej i przyszło, nie wiem.

- I tak byście mnie nie znaleźli. Byłem w jednym z letnich domków.

- Co u licha tam robiłeś? W lutym?

- Powiedzmy, że inwentaryzację, braciszku... Ładne biuro, Chance. Nie pamiętam, kiedy tu byłem po raz ostatni.

- Jakies trzy lata temu.

- Co to za cuda?

- Najnowsze wyposażenie. Zobacz... Tu jest elektryczny kalendarz, który zapala się w określone dni, żeby przypomnieć mi o spotkaniach. A to interkom, który połączony jest z osiemnastoma biurami w tym budynku. Tutaj mam prywatną linię...

- Dobra. Jestem pod wrażeniem. Ale nie mam zbyt dużo czasu. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć... Być może się ożenię.

- Co... Ulster, jak mi Bóg miły! Ty żonaty? Zamierzasz wziąć ślub?

- Wydaje się, że wszyscy tego pragną.

- Kto to, na miłość boską?!

- Och, przeprowadziłem selekcję, stary. Nie martw się. Ona się spodoba.

Chancellor chłodno przyjrzał się bratu. Był przygotowany na wiadomość, że Ulster wybrał jakąś kurewkę występującą na Broadwayu u-Ziegfelda albo jedną z tych ostrzyżonych po męsku, nawiedzonych pisarek, noszących czarne swetry i bywających u niego na przyjęciach.

- Spodoba się komu?

- No cóż, wypróbowałem większość z nich...

- Nie obchodzi mnie twoje życie erotyczne! Kto?

- A powinno. Przyjaciółki twojej żony - mężatki i panny w większości są kiepskie w łóżku.

- Powiedz mi po prostu, kogo wybrałeś.

- Co byś powiedział na małą Saxonów?

- Janet...! Janet Saxon! - wykrzyknął zaskoczony Chancellor.

- Myślę, że ujdzie - mruknął Ulster.

- Ujdzie! No co ty, ona jest cudowna! Matka będzie uszczęśliwiona. Ona jest po prostu fantastyczna!

- Ujdzie. - Ulster był dziwnie mało mówny.

- Ulster, nie masz pojęcia, jak się cieszę. Oczywiście oświadczyłeś się jej. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Jak możesz tak myśleć...? Nie miałem przecież pewności, czy zostanie zaakceptowana.

- Rozumiem, co masz na myśli... Jestem pewien, że tak.

Powiedziałeś mamie? Czy to dlatego wydzwania tu w takiej hysterii?

- Nigdy nie widziałem matki w hysterii. Musi to być niezły widok.

- Powinieneś do niej natychmiast zatelefonować.

- Dobrze. Daj mi minutę... Chcę ci coś powiedzieć. To sprawa osobista. - Ulster usiadł niedbale na krześle przed biurkiem.

Chancellor znał swego brata i wiedział, jak niechętnie porusza sprawy osobiste. Zaniepokojony usiadł na swoim miejscu.

- O co chodzi?

- Pojechałem do Oyster Bay, żeby przemyśleć pewne sprawy...

Nadchodzi wreszcie kres tych bezcelowych, szalonych czasów. Nie skończą się z dnia na dzień, ale nie potrwa to już długo.

Chancellor uważnie przyjrzał się bratu.

- Nigdy nie słyszałem cię mówiącego w ten sposób.

- Samotność w letnim domku sprzyja rozmyślaniom. Żadnych telefonów, żadnych namiętności... Och, nie obiecuję Bóg wie czego.

Nie muszę. Ale chcę spróbować... A ty chyba jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić.

Chancellor Scarlett był wzruszony.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chciałbym dostać jakąś posadę. Na początku nieoficjalnie.

Nic zobowiązującego. Żeby zobaczyć, czy coś mnie zainteresuje.

- Oczywiście! Załatwię ci pracę u nas! Wspaniale, będziemy razem pracować.

- Nie. Nie tu. To byłby tylko kolejny prezent. Nie. Chcę zrobić to, na co powinienem się zdecydować dawno temu. To, co ty zrobiłeś. Zacząć od domu.

- Od domu...? Cóż to za posada?

- Mówiąc w największym skrócie, chcę się dowiedzieć wszystkiego o nas. O rodzinie. O Scarlattich. Działalność, interesy, te rzeczy... Ty tak zrobiłeś i zawsze cię za to podziwiałem.

- Naprawdę? - Chancellor był przejęty.

- Tak... Zabrałem ze sobą do Oyster Bay dużo materiałów.

Sprawozdania i papiery, które wzięłem z biura mamy. Współpracujemy dużo z tym bankiem w centrum, prawda? A niech to, jak on się nazywa?

- Waterman Trust. Mają pieczęć nad wszystkimi zobowiązaniami finansowymi firmy Scarlatti. Od lat.

- Może mógłbym tam zacząć... Nieoficjalnie. Kilka godzin dziennie.

- Żaden problem! Załatwię to dziś po południu.

- Jeszcze jedno. Myślisz, że mógłbyś zadzwonić do mamy...

Zrób to dla mnie. Powiedz jej, że już do niej jadę. Nie będę sobie zawracał głowy telefonowaniem. Możesz wspomnieć o naszej rozmowie. Powiedz jej o Janet, jeśli chcesz. - Ulster Scarlett stanął przed bratem. Było w nim coś skromnie bohaterskiego. Błądny rycerz, który usiłuje odnaleźć swoje korzenie.

Takie przynajmniej wrażenie odniósł Chancellor. Wstał z fotela i wyciągnął dłoń.

- Witaj w domu, Ulsterze. To dla ciebie początek nowego życia.

- Tak, myślę, że masz rację. Nie zmienię się z dnia na dzień, ale początek już jest zrobiony.

Elizabeth Scarlatti trzasnęła dłonią o biurko.

- Przykro ci? Przykro? Nie zwiedzisz mnie ani na chwilę.

Jesteś nieprzytomny ze strachu, i słusznie! Ty cholerny głupcze! Ty osłe! Myślałeś, że co robisz? Że to zabawa? Dziecinne igraszki?!

Ulster zacisnął palce na oparciu sofy, na której siedział, i powtarzał nieustannie w myśli: "Heinrich Kroeger, Heinrich Kroeger".

- Ulster, żądam wyjaśnień!

- Powiedziałem ci. Nudziło mi się. Po prostu mi się nudziło.

- Jak głęboko w tym siedzisz?

- O Chryste! Wcale. Dałem trochę pieniędzy na towar, i tyle.

Na dostawę. To wszystko.

- Komu dałeś pieniądze?

- Takim jednym. Facetom, których spotykałem w klubach.

- Kryminalistom?

- Nie wiem. Zresztą kto teraz nie jest kryminalistą? Tak, chyba tak. Dlatego z nimi zerwałem. Całkowicie!

- Czy kiedykolwiek coś podpisywałeś?

- Jezu, nie! Myślisz, że zwariowałem?

- Nie. Myślę, że jesteś głupi.

"Heinrich Kroeger, Heinrich Kroeger." Ulster Scarlett wstał z sofy i zapalił papierosa. Podeszedł do kominka i wrzucił zapalną między trzaskające polana.

- Nie jestem głupi, mam - powiedział z naciskiem.

Elizabeth puściła mimo uszu jego sprzeciw.

- Dawałeś tylko pieniądze? Nie wplątałeś się nigdy w żadną awanturę?

- Nie! Oczywiście, że nie!

- Więc kim był ten kapitan statku? Ten, którego zamordowano?

- Nie wiem! Słuchaj, przecież ci mówiłem. Przyznaję, że tam byłem. Kumpie powiedzieli, że oglądanie rozładunku towaru jest podniecające. Ale to wszystko, przysięgam. Były kłopoty. Załoga zaczęła rozróbę, więc odjechałem. Zabrałem się stamtąd, jak tylko mogłem najszybciej.

- I nic więcej? Na tym koniec?

- Tak. Co chcesz, żebyśmy zrobili? Mam się z tego powodu zastrzelić?

- To się raczej nie zdarzy. - Elizabeth obeszła biurko dookoła i zbliżyła się do syna. - A co z tym małżeństwem, Ulster? Też z powodu nudy?

- Myślałem, że mnie pochwalisz.

- Nie wiedziałam, że moja pochwała czy dezaprobata ma dla ciebie jakieś znaczenie.-  
Ma.

- Podoba mi się panna Saxon, choć z innych powodów, niż myśli Chancellor. Wygląda mi na uroczą dziewczynę... Za to nie jestem pewna, czy ty mi się podobasz... Kochasz ją?

Ulster Scarlett spojrział na matkę uśmiechając się niefrasobliwie.

- Myślę, że będzie dobrą żoną. - Skoro unikasz odpowiedzi... A czy ty będziesz dobrym mężem?

- Ależ mam, przeczytałem w "Vanity Fair", że jestem najlepszą partią w całym Nowym Jorku.

- Dobrzy mężowie i najlepsze partie to często pojęcia wzajemnie się wykluczające... Czemu chcesz się ożenić?

- Jestem już w takim wieku, że chyba powinienem...

- Przyjąłabym taką odpowiedź od twojego brata. Od ciebie nie.

Scarlett odsunął się od matki i podszedł do okna. Nadeszła chwila, którą zaplanował i do której się przygotowywał. Musiał to teraz dobrze rozegrać. Pewnego dnia Elizabeth zorientuje się, jak bardzo się myliła.

Nie był głupi, był genialny.

- Próbowałem wyjaśnić Chancowi. Spróbuję i tobie. Naprawdę chcę się ożenić. Chcę się czymś zająć... Zapytałaś, czy kocham tę dziewczynę. Myślę, że tak... że ją pokocham. Powinienem wreszcie uporządkować swoje życie. - Odwrócił się od okna i stanął twarzą w twarz z matką. - Chciałbym poznać wszystko, co dla nas zbudowałaś. Chciałbym dowiedzieć się, czym jest rodzina Scarlattich. Zdaje się, że wszyscy to wiedzą oprócz mnie. To punkt wyjścia, mam.

- Tak, to punkt wyjścia. Powinam jednak cię ostrzec. Kiedy mówisz o firmie Scarlatti, nie łudź się, że twoje nazwisko daje ci prawo do zarządzania nią. Będziesz musiał wykazać swoją wartość, zanim złożę w twoje ręce jakkolwiek odpowiedzialność czy władzę.

W tej kwestii Scarlatti to ja.

- Oczywiście. Zawsze dawałaś nam to jasno do zrozumienia.

Elizabeth Scarlatti okrążyła biurko i usiadła w fotelu.

- Nigdy nie twierdziłam, że nic się nie zmienia. Wszystko się zmienia. Możliwe, że masz zdolności. Jesteś synem Giovanniego Scarlatti, a on był geniuszem... Być może zrobiłam głupstwo zmieniając ci nazwisko. Ale wtedy wydawało mi się to słuszne.

Zabieraj się do pracy, Ulster. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Ulster Stewart Scarlett szedł w dół Piątej Alei. Wyjrzało słońce, szedł więc w rozpiętym płaszczu. Uśmiechał się do siebie. Kilku przechodniów zauważyło wysokiego, rzucającego się w oczy mężczyznę w płaszczu nie zapiętym mimo letniego chłodu. Był bardzo przystojny i najwyraźniej wszystko mu się udawało. Niektórzy przychodzili z tym na świat.

Ulster Scarlett widząc spojrzenia mijających go ludzi w zupełności zgadzał się z ich nie wypowiedzianymi myślami.

Nadszedł czas Heinricha Kroegera.

# ROZDZIAŁ 10

Kiedy do Horacego Boutiera, prezesa banku Waterman Trust, dotarła prośba Chancelo-  
ra o przygotowanie programu szkolenia dla jego brata Ulstera, od razu wiedział, kogo tym  
obarczyć.

Trzeciego wiceprezesa Jeffersona Cartwrighta.

Cartwright już poprzednio załatwiał różne sprawy dla Ulstera Scarletta, i nie bez powo-  
du. Był chyba jedynym z szefów Waterman Trust, który nie irytował Ulstera. W dużej mierze  
było to zasługą nieortodoksyjnego podejścia Cartwrighta do pracy. Całkiem niebankierskiego.

Jeffersona Cartwrighta, wysokiego starzejącego się blondyna, ukształtowały boiska  
uniwersytetu stanu Wirginia, gdzie na wstępie swojej kariery poznał zasady gry, które zna-  
komicie przydawały się nie tylko w życiu studenckim i sportowym, ale i w wybranym później  
przez niego zawodzie.

Chodziło o to, żeby zawsze znaleźć się na odpowiedniej pozycji w odpowiednim mo-  
mencie i umieć zdobywać przewagę za pomocą swoich atutów fizycznych. W jego przypadku  
- za pomocą wielkiego cielska.

Życiem poza boiskiem rządziły te same prawa. Trzeba było tylko nauczyć się zasad  
działania nie tracąc czasu na rzeczy skomplikowane, przekraczające zdolność pojmowania, i  
zrobić na wszystkich wrażenie rozmiarami i urodą własnego ciała.

Stosowanie tych zasad - w połączeniu ze swobodnym, ujmującym wdziękiem połu-  
dniowca - zapewniło Jeffersonowi Cartwrightowi synekurę w Waterman Trust. Jego nazwisko  
było nawet wydrukowane na firmowym papierze.

Chociaż wiadomości Cartwrighta z zakresu bankowości z trudem obejmowały fachowe  
słownictwo, jego podboje miłosne wśród najbogatszych kobiet Manhattanu, Long Island i po-  
łudniowego Connecticut przyniosły bankowi Waterman sporo niezłych kont.

Szefowie banku wiedzieli, że ich spec od uwodzenia rzadko kiedy zagrażał względnie  
dobremu małżeństwu. Był raczej chwilowym urozmaiceniem, uroczą, krótką przygodą dla  
znudzonych, stanowiącą zamkniętą całość.

Większość banków miała na swojej liście płac przynajmniej jednego Jeffersona Cartw-  
righta. Jednakże, gdy chodziło o członkostwo klubu albo wystawną kolację, panowie ci byli  
często pomijani... No bo przecież nigdy nic nie wiadomo.

Właśnie ta nieuchwytna aura towarzyskiego ostracyzmu otaczająca Cartwrighta spra-  
wiała, że Ulster Scarlett go akceptował.

Częściowo dlatego, że wiedział, skąd się wzięła i bawiło go to;

częściowo zaś dlatego, że Cartwright - poza kilkoma spokojnymi wykładami na temat  
stanu jego rachunków - nigdy nie próbował mu mówić, co ma robić ze swoimi pieniędzmi.

Dyrektorzy banku zdawali sobie sprawę, że ktoś rzeczywiście powinien zająć się nauką  
Ulstera Scarletta - chociażby po to, żeby zrobić dobre wrażenie na Elizabeth. Lecz po cóż  
marnować na niego czas fachowca?

Na ich pierwszej wspólnej sesji Cartwright odkrył, że Ulster Stewart Scarlett nie wie,  
czym się różni debet od aktywów.

Przygotowano więc dla niego fachowy słownik, żeby mógł opanować podstawy języka  
bankowego. Następnie opracowano wykaz terminów giełdowych.

- Czyli, panie Cartwright, jak rozumiem, mam dwa oddzielne źródła dochodów?

- Tak jest, panie Scarlett. Pierwszy fundusz to depozyt, na który składają się akcje zakładów przemysłowych i instytucji użyteczności publicznej. Daje on roczny dochód przeznaczony na pańskie wydatki na życie. Domy, ubrania, zagraniczne podróże, wszelkiego rodzaju zakupy... Oczywiście gdyby pan chciał, mógłby pan te pieniądze zainwestować. O ile się nie mylę, zrobił pan tak parę razy w ciągu ostatnich kilku lat. - Jefferson Cartwright uśmiechnął się pobłaźliwie na wspomnienie niektórych szalonych sum podejmowanych przez Ulstera. - Natomiast drugi fundusz otwarte listy zastawne i obligacje - przeznaczony jest na rozwój.

Na inwestycje, a nawet na spekulacje. Takie było życzenie pańskiego ojca. Naturalnie jest tu pewien margines swobody.

- Co pan rozumie przez ten "margines swobody"?

- Trudno to sobie wyobrazić, panie Scarlett, ale gdyby pańskie wydatki na życie przekroczyły dochód z pierwszego funduszu, moglibyśmy za pańskim upoważnieniem dokonać przelewu kapitału z drugiego na pierwszy. Oczywiście trudno sobie wyobrazić taką sytuację.

- Oczywiście.

Jefferson Cartwright roześmiał się i mrugnął do swojego ucznia.

- Ale raz do tego doszło... Nie pamięta pan? Sterowiec...

Sterowiec, który kupił pan parę lat temu?

- Ach, tak. Bardzo się pan tym wtedy przejął.

- Jako bankier odpowiadam przed firmą Scarlatti. W końcu jestem pańskim doradcą finansowym. Ponoszę za pana odpowiedzialność... Pokryliśmy wydatki z drugiego funduszu, ale to nie było w porządku. Trudno nazwać Sterowiec inwestycją.

- Jeszcze raz przepraszam.

- Panie Scarlett, pański ojciec zarządził, że wpływy z otwartych papierów wartościowych mają być inwestowane. Proszę o tym pamiętać.

- Kto to sprawdza?

- Wynika to z przekazów, które pan co pół roku podpisuje.

- Te setki podpisów, jakie muszę składać?

- Tak. Konwertujemy obligacje i inwestujemy kapitał.

- W co?

- To z kolei te portfele zleceń, które panu przysyłamy.

Katalogujemy wszystkie inwestycje. Sami podejmujemy decyzje, ponieważ pan - przy pana napiętym rozkładzie zajęć - nigdy nie odpowiadał na nasze listy z pytaniami o pańskie preferencje.

- Nigdy ich nie rozumiałem.

- No cóż, teraz to naprawimy, prawda?

- A gdybym nie podpisał tych przekazów?//

- Hmm... w takim przypadku papiery wartościowe musiałyby pozostać w sejfie.

- Gdzie...?

- W sejfie. W sejfie Scarlattich.

- Rozumiem.

- Przekazy dołączane są do papierów wartościowych, kiedy je wyjmujemy.

- Ale bez przekazów nie ma papierów. Nie ma kapitału, nie ma pieniędzy.



- Właśnie. Nie mogą być konwertowane. Czym są przekazy, mówi ich sama nazwa. Podpisując je, przekazuje nam pan pełnomocnictwo wraz z prawem inwestowania kapitału.

- Wyobraźmy sobie, tylko dla zabawy, że wy nie istniejecie.

Nie ma Waterman Trust. Jak wtedy zamienić obligacje na pieniądze?

- Znow potrzebny jest tylko podpis. Pieniądze zostaną wypłacone temu, kogo pan wyznaczy. Jest to sprecyzowane w każdym dokumencie.

- Rozumiem.

- Kiedyś - oczywiście gdy będzie już pan więcej umiał powinien pan zobaczyć sejf. Do rodziny Scarlattich należy całe wschodnie skrzydło. Dwaj żyjący synowie, pan i pan Chancellor, zajmują przylegające do siebie pomieszczenia.

Ulster zastanowił się.

- Tak, chciałbym zobaczyć sejf... Oczywiście gdy będę już więcej umiał.

Na miłość boską, Saxonowie przygotowują wesele czy uroczystą konwokację dla arcybiskupa Canterbury? - zapytała z przekazem Elizabeth Scarlatti starszego syna. Wezwała go do siebie, żeby omówić różne bieżące sprawy. Na jej biurku leżał plik zaproszeń.

- Nie możesz im mieć tego za złe. Trudno nazwać Ulstera zwykłym narzeczonym.

- Wiem. Ale przecież reszta Nowego Jorku nie może z tego powodu przestać funkcjonować. - Elizabeth podeszła do drzwi od biblioteki i zamknęła je. - Chancellor, chciałabym o czymś z tobą porozmawiać. Bardzo krótko, i jeśli masz odrobinę oleju w głowie, to nie powtórzysz nikomu ani słowa z tego, co ci powiem.

- Oczywiście.

Elizabeth przyglądała się synowi. Pomyślała, że tak naprawdę Chancellor był lepszym człowiekiem, niż to kiedykolwiek chciała przyznać. Problem polegał na tym, że wyglądał okropnie prowincjonalnie i całkowicie bezradnie. Kiedy odbywali konferencje, jego wiecznie bezmyślne spojrzenie sprawiało, że robił wrażenie durnia.

Konferencje. Być może było za dużo? konferencji, a za mało rozmów. Być może to jej wina.

- Chancellor, nie będę udawać, że podoba mi się sposób życia dzisiejszej młodzieży. Korzysta ze swobody, której nie było w czasach mojej młodości, i Bóg mi świadkiem, że to krok w dobrym kierunku, ale obawiam się, że wszystko zaszło już trochę za daleko.

- Całkowicie się z tobą zgadzam! - zawołał impulsywnie Chancellor Drew Scarlett. - Dziś to już rozpusta. Ja na pewno nie pozwolę zarazić tym moich dzieci.- Cóż, prawdopodobnie słuszne oburzenie tu nie wystarczy.

Młodzi, tak jak i czasy, są tacy, jakimi ich chcąc nie chcąc tworzymy... Ale to tylko tytułem wstępu. - Elizabeth podeszła do biurka i usiadła. - Obserwowałam Janet Saxon przez ostatnie tygodnie... "Obserwowałam" to może za dużo powiedziane. Widziałam ją raptem przy kilku okazjach, poczynając od tego idiotycznego przyjęcia zaręczynowego. Odniosłam wrażenie, że ona dosyć dużo pije. Niepotrzebnie dużo. Mimo to jest urocza. Inteligentna, bystra dziewczyna. Czy się mylę?

Chancellor Drew Scarlett był zdumiony. Nigdy nie traktował tego poważnie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, mam, że tak to odbierasz. Ale zapewniam cię... ,(

- W takim razie oczywiście mylę się i nie mówmy o tym więcej.

Starsza pani uśmiechnęła się i po raz pierwszy od długiego czasu obdarzyła syna serdecznym pocałunkiem. Coś jednak leżało Janet Saxon na sercu i Elizabeth Scarlatti o tym wiedziała.

Ceremonia ślubna Janet Saxon i Ulstera Stewarta Scarletta wypadła wspaniale. Rzecz jasna, Chancellor był drużbą i w orszaku panny młodej znalazła się piątka jego dzieci. Żona Chancellora, Allison Demerest Scarlett, nie mogła przyjść na wesele, ponieważ właśnie rodziła w Szpitalu Prezbiteriańskim.

Wyznaczenie terminu ślubu na kwiecień było źródłem sporu między Janet Saxon a jej rodzicami. Oni woleliby czerwiec, ostatecznie maj, ale Janet była nieugięta. Jej narzeczony nalegał, by w połowie kwietnia znaleźli się w Europie, więc tak będzie.

Poza tym miała własny, bardzo istotny powód, żeby okres narzeczeństwa był krótki.

Była w ciąży.

Janet wiedziała, że jej matka domyśla się tego. Ale wiedziała też, że matka jest zachwycona kandydatem na pana młodego i zgodzi się na wszystko. Marian Saxon pozwoliłaby córce na zawarcie małżeństwa nawet w synagodze i w Wielki Piątek, jeśli gwarantowało to dziedzica Scarlattich.

Ulster Scarlett przerwał swoje sesje w banku Waterman Trust.

Uznano, że po powrocie z przedłużonego miesiąca miodowego na Starym Kontynencie ze zdwojonym zapalem przystąpi do pracy.

Jefferson Cartwright był poruszony i zdumiony, kiedy Ulster oświadczył, że zabiera ze sobą sprawozdania dotyczące interesów Zakładów Scarlattich, by podczas podróży opanować wszystkie problemy związane z różnorodnymi sposobami lokowania kapitału.

Jefferson Cartwright był tak wzruszony, że podarował Ulsterowi ręcznie robiony skórzany neseser.

Pierwszy etap podróży nowożeńców zakłóciła choroba Janet.

Wyglądało to na poważny przypadek choroby morskiej. Lekarz stwierdził jednak poronienie, wskutek czego panna młoda całą drogę do Southampton spędziła w kabinie.

W Anglii odkryli, że brytyjska arystokracja stała się całkiem tolerancyjna wobec swoich amerykańskich kuzynów. Wszystko było tylko kwestią statusu społecznego i stanu posiadania.

Prymitywni, ale bogaci koloniści dorośli do przyjęcia - i przyjęto ich. Ci łatwiejsi do zaakceptowania - a w tej kategorii mieścili się Ulster Scarlett i jego żona - zostali wchłonięci od razu, bez zbędnych pytań.

Ktoś, kto mógł w jednym rozdaniu postawić równowartość najlepszego ogiera, musiał zrobić wrażenie nawet na właścicielach Blenheim. Zwłaszcza jeśli potrafił od razu ocenić, który ogier jest najlepszy.

Mniej więcej w tym czasie - w drugim miesiącu podróży młodej pary - do Nowego Jorku zaczęły docierać informacje na ich temat. Przywozili je głównie powracający do Stanów członkowie najlepszych nowojorskich rodzin. Wyglądało na to, że Ulster Stewart bardzo źle się prowadzi. Nabrał zwyczaju znikania na kilka dni z rzędu, a raz nawet wyjechał na prawie dwa tygodnie, zostawiając zakłopotaną i złą małżonkę samą.

Jednak nawet najniezwyklejsze plotki nie były roztrząsane, ponieważ Ulster Scarlett zachowywał się w końcu tak samo jako kawaler. A Janet Saxon złapała, było nie było, najlepszą partię na Manhattanie - i nie ma prawa narzekać! Tysiąc dziewcząt zgodziłoby się na wszystko, żeby tylko znaleźć się na jej miejscu. Te wszystkie miliony i do tego utytułowana rodzina! Nikt nie miał zbyt wiele współczucia dla Janet Saxon.

Potem wieści nabrały innego charakteru.

Państwo Scarlett zrezygnowali z dalszego pobytu w Londynie i ruszyli w podróż po Europie. Trasa tej podróży była całkiem zwariowana. Z zamarzniętych jezior Skandynawii na

ciepłe wybrzeże Morza Śródziemnego. Z lodowato zimnych ulic Berlina na gorące trotuary Madrytu. Z gór Bawarii do płaskich, brudnych gett Kairu.

Z Paryża w lecie na wyspy szkockie w zimie. Nigdy nie było wiadomo, gdzie Ulster Scarlett i jego żona znajdą się następnym razem. - Jefferson Cartwright był bardziej zaniepokojony niż ktokolwiek inny. Nie bardzo wiedział, co zrobić, postanowił więc nie robić nic, i tylko wysyłał Chancellorowi ostrożnie sformułowane memoranda.

Bowiem Waterman Trust przelewał w tym czasie grube tysiące dolarów do wszystkich możliwych banków w Europie. Każdy list od Ulstera Scarletta był starannie obmyślony i zawierał jednoznaczne instrukcje. W zleceniach podkreślano żądanie zachowania tajemnicy. Niedotrzymanie sekretu groziło natychmiastowym wycofaniem pieniędzy Ulstera z Watermana... Jednej trzeciej depozytów Scarlettów. Połowy dziedzictwa Scarlattich.

Nie było co do tego wątpliwości: Ulster Scarlett dobrze wykorzystał swoje sesje w banku. Wiedział dokładnie, jak przyspieszyć realizację swych żądań płatniczych, i robił to językiem bankierów.

Jefferson Cartwright niepokoił się coraz bardziej. Przecież odpowiadał za młodego Scarletta. W końcu jednak zawsze zostawały dwie trzecie depozytów i połowa spadku. Rozwiązał ten nierozwiązywalny problem przesyłając bratu Ulstera list następującej treści:

Drogi Chancellorze, żebyś był na bieżąco - wiedz, że Ulster przelewa znaczne sumy do europejskich banków na pokrycie wydatków związanych z wycieczką, która musi być najwspanialszą podróżą poślubną, jaką kiedykolwiek zrealizowano. Nic nie jest za dobre dla jego pięknej żony! Z radością pewnie przyjmiesz wiadomość, że jego korespondencja prowadzona jest bardzo urzędowym językiem. Wiele skorzystał na naszych sesjach u Watermana.

Chancellor Drew, który otrzymał kilka takich zawiadomień, uśmiechał się z zadowoleniem na myśl o przywiązaniu swojego odmienionego brata do żony. I pomyśleć, że pisał listy jak businessmen. Widać naprawdę zrobił postępy.

Jefferson Cartwright nie dodał jednak, że Waterman Trust otrzymywał również podpisane przez Ulstera nie kończące się rachunki i czeki z niezliczonych hoteli, linii kolejowych, sklepów i od pożyczkodawców z całej Europy. Cartwright obawiał się, że ponownie będzie musiał skorzystać z marginesu swobody i sięgnąć do drugiego funduszu, tak jak to zrobił podczas sprawy ze sterowcem.

Trudno było to sobie wyobrazić, ale stało się! Wydatki Ulstera Scarletta miały wkrótce przekroczyć dochód z pierwszego funduszu.

W przeciągu kilku miesięcy - jeśli wliczyć w to również sumę przelewów - Ulster Stewart Scarlett zbliżył się do granicy ośmiuset tysięcy dolarów.

Nie do pomyślenia, ale stało się.

A bankowi Waterman Trust groziła utrata jednej trzeciej wpływów z majątku Scarlattich, jeśli Cartwright ujawni tę informację.

W sierpniu Ulster Stewart Scarlett przysłał matce i bratu wiadomość, że Janet spodziewa się dziecka. Zostaną w Europie przez co najmniej trzy miesiące, ponieważ lekarze są zdania, że w początkowym okresie ciąży Janet powinna możliwie jak najmniej podróżować.

Janet zostanie w Londynie, a Ulster pojedzie z przyjaciółmi trochę popolować w południowych Niemczech.

Nie będzie go przez miesiąc, może półtora.

Zatelegrafuje, kiedy zdecydują się wracać do domu.

Telegram przyszedł w połowie grudnia. Państwo Scarlett będą w domu na święta. Janet nie mogła się zbytnio forsować, ponieważ ciąża była zagrożona. Ulster miał więc nadzieję, że

Chancellor skontaktował się z dekoratorami i żonie będzie wygodnie w domu na Pięćdziesiątej Czwartej.

Prosił też brata, żeby ktoś wyszedł na wcześniejszy statek i odebrał nową gospodynię, którą znalazł na kontynencie. Miała znakomite referencje i Ulster chciał, by czuła się jak u siebie w domu. Ma na imię Hannah.

Nie będzie problemu z językiem, ponieważ Hannah mówi po angielsku i po niemiecku.

Podczas ostatnich trzech miesięcy ciąży Janet Ulster kontynuował swoje sesje w Waterman Trust i już sama jego obecność uspokoiła Jeffersona Cartwrighta. Choć Ulster spędzał w banku nie więcej niż dwie godziny, wydawał się jakiś wyciszony i mniej podatny na napady rozdrażnienia niż przed podróżą poślubną. Zaczął nawet zabierać w ręcznie robionej skórzanej teczce papiery do domu.

W odpowiedzi na poufne pytania o duże kwoty wysyłane przez bank Ulsterowi do Europy, Scarlett przypomniał trzeciemu zastępcy prezesa Waterman Trust, że to właśnie od niego dowiedział się o możliwości zainwestowania dochodu z funduszu powierniczego.

i ponowił prośbę o zachowanie wszystkich europejskich transakcji w tajemnicy.

- Oczywiście. Doskonale rozumiem. Proszę jednak pamiętać, że w przypadku transferu kapitału z drugiego funduszu na pokrycie pańskich wydatków - a niewątpliwie w tym roku będziemy musieli tak zrobić - mam obowiązek zapisać to w księgach Scarlattich...

- Ale nie będzie pan musiał tego robić jeszcze przez dłuższy czas, prawda?

- Pod koniec roku budżetowego, który dla Zakładów Scarlatti nastąpi trzydziestego czerwca. Tak samo jak dla rządu.

- No cóż... - Ulster Stewart Scarlett westchnął spoglądając na zdenerwowanego południowca. - Trzydziestego czerwca będę po prostu musiał wypić to piwo. Nie pierwszy raz moja rodzina się zmartwi. Ale mam nadzieję, że ostatni.

W miarę zbliżania się czasu rozwiązania przez dom Ulstera Scarletta przewijały się coraz liczniejsze procesje kupców. Zespół trzech lekarzy miał stałą pieczę nad Janet, jej własna rodzina odwiedzała ją dwa razy dziennie. Dzięki temu zamieszaniu miała zajęcie, które odrywało ją od myślenia o czymś tak przerażającym i tak osobistym, że nie wiedziała, jak o tym mówić; nie miała zresztą nikogo wystarczająco bliskiego.

Mąż już z nią nie rozmawiał.

Opuścił łóżko małżeńskie w trzecim miesiącu jej ciąży. Odmówił współżycia z nią twierdząc, że powodem utraty poprzedniego dziecka był seks. A ona pragnęła seksu. Rozpaczliwie pragnęła seksu. Pragnęła zespolenia jego ciała ze swoim, ponieważ tylko wtedy czuła, że jest jej bliski. Tylko wtedy jawił się przed nią bez przebiegłości, bez fałszu, bez zimnego wyrachowania w oczach. Ale nawet to zostało jej odebrane.

Potem wyniósł się z ich wspólnego pokoju, rezerwując oddzielne sypialnie wszędzie, gdzie się zatrzymywali.

A teraz już nie odpowiadał także na jej pytania, sam też żadnych nie zadawał.

Ignorował ją.

Czuł dla niej pogardę.

Nienawidził jej.

Janet Saxon Scarlett. Absolwentka Yassar, zapraszana na wszystkie oficjalne przyjęcia, bywalczyni ekskluzywnych klubów.

I zawsze, zawsze zastanawiająca się, dlaczego właśnie ona, a nie ktoś inny, korzysta z tych wszystkich przywilejów. Była nie tylko uczestnikiem, ale i obserwatorem. A może przede wszystkim obserwatorem. |

Matka narzekała: "Nigdy się w nic nie angażujesz, Janet!

Musisz spróbować coś z tym zrobić!"

Trudno jednak było "coś z tym zrobić". Patrzyła na swoje życie jak na dwa obrazy w stereoskopie - różne, lecz nakładające się na siebie. W jednej soczewce była dobrze urodzona młoda dama o nieposzlakowanej opinii, ogromnym majątku i zapewnionej przyszłości u boku dobrze urodzonego męża o nieposzlakowanej opinii i ogromnym majątku. W drugiej - dziewczyna ze zmarszczonym czołem i pytającym spojrzeniem.

Bowiem ta dziewczyna myślała, że świat jest dużo większy niż to, co wolno jej było oglądać. Większy i dużo bardziej interesujący.

Nikt jednak nie pozwolił jej zobaczyć tego większego świata.

Z wyjątkiem męża.

Zaś to, co zobaczyła dzięki niemu - do zobaczenia czego ją zmusił - było przerażające.

I dlatego piła.

Trwały przygotowania do porodu, którym towarzyszył nieprzerwany strumień gości. Ulster Stewart Scarlett zrobił się dziwnie niemrawy. Dostrzegali to zwłaszcza ci, którzy uważnie go obserwowali, ale nawet dla innych było jasne, że jego normalnie gorączkowy tryb życia uległ spowolnieniu. Był spokojniejszy, czasem zamyślony, rzadziej zmieniały się jego nastroje. W pewnym okresie częstotliwość jego samotnych wyjazdów zwiększyła się. Nigdy jednak nie wyjeżdżał na dłużej niż trzy, cztery dni. Wiele osób, w tym Chancellor Drew, przypisywało to bliskiemu ojcostwu.

- Mówię ci, mamo, to po prostu cudowne. Stał się nowym człowiekiem! Wiesz, powiedziałem mu, że dzieci dają człowiekowi cel. Zobaczysz, kiedy to wszystko się skończy, będzie gotowy do prawdziwej, męskiej pracy.

- Masz niezwykle dar obserwacji, Chancellor. Jest dokładnie na odwrót. Twój brat uważa, że jego celem powinno być umknienie tego, co ty nazywasz prawdziwą, męską pracą. I podejrzewam, że jest na śmierć znudzony czekającą go rolą ojca.

- Jesteś dla niego zbyt surowa.

- Ja? Skądże - przerwała mu Elizabeth Scarlatti. - Myślę, że to on zrobił się zbyt surowy dla nas.

Chancellor Drew wyglądał na zdezorientowanego. Zmienił temat i zaczął czytać na głos opracowanie najnowszego przedsięwzięcia Fundacji Scarwyck.

Po tygodniu Janet Scarlett urodziła w Szpitalu Francuskim dziecko płci męskiej. Dziesięć dni później w katedrze Świętego Jana nadano mu imiona Andrew Roland Scarlett.

Następnego dnia po chrzcinach Ulster Stewart Scarlett zniknął.

# ROZDZIAŁ 11

Na początku nikt nie zwrócił na to uwagi. Ulster przedtem również często przebywał poza domem. Normalnie świeżo upieczeni ojcowie tak się nie zachowywali, ale wobec Ulstera trudno było stosować jakiegokolwiek normalne kryteria. Uznano, że nie wytrzymał rytuałów towarzyszących narodzinom męskiego potomka i uciekł w zajęcia, o których lepiej nic nie wiedzieć.

Ale kiedy po trzech tygodniach nie otrzymano od niego wiadomości, a żadne z wyjaśnień podsuwanych przez rozmaitych ludzi nie okazało się zadowalające, rodzina zaczęła się niepokoić.

Dwudziestego piątego dnia od jego zniknięcia Janet poprosiła Chancellora o zawiadomienie policji. Zamiast na policję, Chancellor zadzwonił do Elizabeth, co było dużo praktyczniejszym posunięciem.

Elizabeth starannie rozważyła wszystkie możliwości. Zawiadomienie policji oznaczało konieczność wszczęcia dochodzenia i prawdopodobnie duży rozgłos. Wobec zeszłorocznych poczynań młodszego Scarletta było to raczej niepożądane. Jeśli nieobecność Ulstera wynikała z jego własnej woli, takie działanie tylko go sprowokuje.

I bez tego nie można było przewidzieć, co zrobi; sprowokowany mógł się okazać całkiem nieznosny. Postanowiła wynająć dyskretną agencję detektywistyczną, której pracownicy zatrudniani byli często w sprawach o ubezpieczenie wnoszonych przeciw zakładom rodziny.

Jej szefowie okazali całkowite zrozumienie i zlecieli to zadanie swoim najlepszym, najbardziej zaufanym ludziom.

Elizabeth dała im dwa tygodnie na Odnalezienie swego syna.

Tak naprawdę spodziewała się, że Ulster przez ten czas sam się pojawi, gdyby jednak tak się nie stało, zamierzała przekazać sprawę w ręce policji.

Pod koniec pierwszego tygodnia detektywi przygotowali wielostronicowy raport o zwyczajach Ulstera. Miejsca, które najczęściej odwiedzał, przyjaciele (wielu), wrogowie (niewiele) oraz możliwie dokładna rekonstrukcja jego poczynań z ostatnich kilku dni przed zniknięciem. Przekazali te informacje Elizabeth.

Elizabeth i Chancellor uważnie przestudiowali cały raport, ale nic im to nie dało.

Drugi tydzień również mało przyczynił się do wyjaśnienia sprawy, tyle że dokładniej, co do dnia i godziny, ustalono, co robił Ulster.

Od powrotu z Europy jego codzienne zajęcia były niemal rytuałem.

Korty do gry w squasha i sauna w klubie sportowym; bank na Broadwayu, Waterman Trust; koktajle na Pięćdziesiątej Trzeciej między czwartą trzydzieści a szóstą po południu, wypad w świat rozrywki, do nocnych barów, i tradycyjne zakończenie wieczoru kolacją w klubie na Pięćdziesiątej, tuż przed powrotem do domu nie później niż o drugiej w nocy.

Jedna informacja zwróciła uwagę Elizabeth. Nie pasowała do całości. Dotyczyła środy.

Wyszedł z domu około 10.30 i od razu przed domem zatrzymał taksówkę.

Służąca zamiatała schody i słyszała, że pan Scarlett polecił zawieźć się na stację metra.

Elizabeth nie wyobrażała sobie Ulstera w metrze. Ale dwie godziny później, według niejakiego pana Mascolo, głównego kelnera w restauracji "Wenecja", jadł wczesny lunch z panną Dempsey (patrz: Znajomi - artyści teatralni). Restauracja oddalona była o dwie ulice od

domu Ulstera. Oczywiście nie to zastanowiło Elizabeth, lecz decyzja Ulstera o skorzystaniu z metra.

Pod koniec tygodnia Elizabeth Scarlatti skapitulowała i poleciła Chancellorowi zawiadomić policję.

Gazety miały o czym pisać.

Do policji nowojorskiej dołączyło Centralne Biuro Śledcze z uwagi na możliwość pogwałcenia praw międzystanowych. Dziesiątki szukających rozgłosu, a także wielu uczciwych ludzi zgłosiło się mówiąc, że widzieli Ulstera w ostatnim tygodniu poprzedzającym zniknięcie. Jacyś ponurzy dowcipnisie dzwoniли twierdząc, że znają miejsce jego pobytu, i domagając się za to pieniędzy. Nadeszło pięć listów z żądaniem okupu za jego uwolnienie. Sprawdzono wszystkie tropy. Wszystkie prowadziły donikąd.

Benjamin Reynolds zobaczył artykuł o zniknięciu na drugiej stronie dziennika "Washington Herald". Poza wzmianką o weselu była to pierwsza informacja, jaką przeczytał o Ulsterze Scarlattie po spotkaniu z Elizabeth Scarlatti ponad rok temu. Zgodnie z tym, co jej obiecał, w ciągu ostatnich miesięcy prowadził dyskretną obserwację i stwierdził, że młody Scarlatti wrócił do swojego świata. Elizabeth Scarlatti dobrze się spisała. Jej syn wycofał się z importowych interesów i ucichły pogłoski o jego powiązaniach z elementem przestępczym. Objął nawet jakąś mało ważną funkcję w nowojorskim banku Waterman Trust.

Wydawało się, że dla Bena Reynoldsa sprawa Scarlattich się skończyła.

A teraz to.

Czy to znaczy, że Grupa 20 znów zostanie wezwana?

Syn Scarlattich nie mógł po prostu zniknąć i nie zaniepokoić rządu. Zbyt wielu kongresmanów było dłużnikami Scarlattich jakaś fabryka, jakaś gazeta, a najczęściej okazały się czek na kampanię wyborczą. Wcześniej czy później ktoś sobie przypomni, że Grupa 20 już raz zajmowała się działalnością tego człowieka.

Reynolds odłożył gazetę, wstał z fotela i podszedł do drzwi.

- Glover - zwrócił się do podwładnego - mógłbyś przyjść do mnie na chwilę?

Wrócił do fotela i usiadł.

- Czytałeś artykuł o Scarlattie?

- Rano, idąc do pracy - odpowiedział Glover wchodząc do gabinetu.

- Co o tym sądzisz?

- Wiedziałem, że mnie zapytasz. Myślę, że dopadli go jacyś ubiegłorocznik kumple.

- Dlaczego?

Glover usiadł na krześle przed biurkiem Reynoldsa.

- Nie pytaj mnie dlaczego, bo wiesz to równie dobrze jak ja.

- Tak? Wcale nie jestem pewien.

- Daj spokój, Ben. Pan dziedzic zawiesił wypłaty. Ktoś ma zaklepaną dostawę i zwraca się do niego. On odmawia. Wtedy tamten spuszcza psy... Albo coś takiego, albo szantaż. Scarlett postanowił walczyć - i przegrał.

- Nie kupuję tego.

- Powiedz to policji w Chicago.

- On był zbyt potężny; miał zbyt wielu przyjaciół... Dlatego nie kupuję twojej teorii. Mogli się nim posłużyć, ale nie zabić. Mieli za dużo do stracenia.

- Więc co ty o tym sądzisz?

- Nie wiem. Dlatego pytałem ciebie. Masz robotę dziś po południu?

- Niech to szlag, mam. Ciągłe te same dwie rzeczy. Nie ma widoków na żadną przerwę.
- Tama w Arizonie?
- To jedno. Zleciłem tę robotę Canfieldowi.
- Wiem. Jak mu idzie?
- Stara się jak może.
- A drugi problem?
- Memorandum Ponda ze Sztokholmu...
- Musi wygrzebać coś więcej niż pogłoski, Glover. Dopóki nie da nam czegoś konkretniejszego, marnuje nasz czas. Już ci to mówiłem.
- Wiem, wiem. Ale przysłał też przez kuriera wiadomość nadeszła dziś rano z Departamentu Stanu - że transakcja doszła do skutku.
- Czy Pond nie może zdobyć żadnych nazwisk? Obligacje warte są trzydzieści milionów, a on nie może nam podać ani jednego nazwiska?
- To zamknięty syndykat. Nie zdobył żadnego.
- Co z niego za ambasador? Coolidge wybiera kiepskich ludzi.
- Pond podejrzewa, że cała impreza została nakręcona przez Donnerfelda.
- Ale nazwisko! Kim do cholery jest ten Donnerfeld?
- To nie osoba. Firma. Chyba największa na giełdzie w Sztokholmie.
- Jak doszedł do takiego wniosku?
- Z dwóch powodów. Po pierwsze, tylko duża firma mogła sobie z tym poradzić. Po drugie - w ten sposób łatwiej można wszystko wyciszyć. A wyciszyć będzie trzeba. Sprzedaż amerykańskich obligacji na szwedzkiej giełdzie to delikatna sprawa.
- Delikatna, a niech cię! Nie wolno tego robić!
- Pewnie nakręcają w ten sposób koniunkturę w Sztokholmie. Jedno i to samo, jeśli chodzi o pieniądze.
- Co zamierzasz z tym zrobić?
- Trzeba sprawdzić wszystkie korporacje mające powiązania ze Sztokholmem. Mrówcza robota. W samym Milwaukee jest ich kilkadziesiąt. Jak ci się to podoba? Zarabiają tu trochę grosza, po czym dalsze interesy robią z kuzynami w domu.



## ROZDZIAŁ 12

Po dwóch miesiącach z braku dalszych wieści, które można by było opublikować lub nadać na antenie, zniknięcie Ulstera Scarletta straciło urok nowości. Jedyna dodatkowa informacja uzyskana dzięki połączonym wysiłkom policji, Biura Osób Zaginionych i FBI dotyczyła jego zwyczajów i prowadziła donikąd. Było tak, jakby wyparował. W jednej chwili istniał, a już w następnej był tylko barwnym wspomnieniem.

Całe życie, stan posiadania, uprzedzenia i nawyki Ulstera zostały dokładnie zbadane przez specjalistów. Efekty tej pracy złożyły się na niezwykle portret bezcelowości. Człowiek posiadający niemal wszystko, czego może chcieć istota ludzka na tej ziemi, najwyraźniej żył w próżni. W bezsensownej próżni.

Elizabeth Scarlatti głowiła się nad obszernymi raportami przysyłanymi przez władze. Stało się to jej zwyczajem, rytuałem, nadzieją.

Jeśli jej syn został zabity, będzie to oczywiście bolesne, ale Elizabeth umiała pogodzić się ze stratą. Chciała jednak wiedzieć, jak i dlaczego do tego doszło.

Pewnego ranka stała w bibliotece przy oknie, patrząc na ulicę.

Rano ludzie zawsze tak się spieszyli. Nagle zobaczyła jedną ze służących. Zamiatła frontowe schody.

Patrząc na kobietę machającą miotłą Elizabeth przypomniała sobie inną służącą. I inne schody.

Pokojówka w domu Ulstera. Pokojówka, która pewnego ranka zamiatła schody i zapamiętała, jakie polecenie Ulster wydał taksówkarzowi.

Jakie?

Metro. Ulster chciał się dostać do stacji metra.

Pewnego dnia jej syn musiał pojechać metrem, ona jednak przedtem nie rozumiała, co to oznaczało. Co mogło oznaczać.

Był to jedynie blady, migocący płomyk świecy w bardzo ciemnym lesie, ale zawsze było to jakieś światło. Szybko podeszła do telefonu.

Trzydzieści minut później trzeci wiceprezes Jefferson Cartwright stanął przed Elizabeth Scarlatti. Wciąż jeszcze brakowało mu tchu z powodu nerwowego napięcia, w jakim przedstawiał swoje dzisiejsze zajęcia, żeby stawić się na wezwanie.

- Tak, naturalnie... - przeciągał słowa Wirgińczyk. - Wszystkie rachunki zostały starannie sprawdzone, jak tylko dowiedzieliśmy się o zniknięciu pana Scarletta. Wspaniały chłopak. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy podczas naszych sesji w banku.

- W jakim stanie są jego konta?

- Najzupełniej normalnym.

- Obawiam się, że to mi nic nie mówi.

Cartwright zawahał się przez chwilę.

- Oczywiście nie mamy jeszcze końcowych obliczeń, ale też nie mamy powodu sądzić, że jego wydatki przekroczyły roczny dochód ze zdeponowanego kapitału.

- Jaki to dochód, panie Cartwright?

- No cóż, sytuacja na rynku wciąż się zmienia - trudno więc podać dokładną sumę.

- W przybliżeniu.

- Zaraz... - Jeffersonowi Cartwrightowi nie podobał się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa. Pogratiulował sobie w duchu, że był na tyle przewidujący, by wysłać Chancellorowi owe ogólnikowe memoranda o wydatkach jego brata w Europie. Zaczął cedzić słowa jeszcze wolniej: - Mógłbym wezwać kilku urzędników, którzy lepiej znają portfolio pana Scarletta - ale jego dochód jest spory, madame Scarlatti.

- Spodziewam się więc, że jego osobiste potrzeby rzadko wykraczają poza tę drobną sumę. - Jefferson Cartwright nie podobał się Elizabeth Scarlatti.

- Dochód pana Scarletta z funduszu przeznaczonego na wydatki osobiste wynosi siedemset osiemdziesiąt trzy tysiące dolarów - szybko powiedział trzeci wiceprezes Waterman Trust.

- Bardzo się cieszę, że jego osobiste potrzeby rzadko wykraczają poza tę drobną sumę. - Elizabeth wyprostowała się na krześle, by pan Cartwright mógł w pełni odczuć siłę jej spojżenia.

Bankier zaczął mówić jeszcze szybciej i bardziej gorączkowo:

- Hmm, z pewnością wiedziała pani o ekstrawagancjach pana Scarletta. Zdaje mi się, że o wielu pisały gazety. Jak mówiłem, ja osobiście zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby go ostrzec, był jednak bardzo upartym młodzieńcem. Może przypomina sobie pani, że trzy lata temu pan Scarlett kupił sterowiec za prawie pół miliona dolarów. Ze wszystkich sił staraliśmy się go od tego odwieść, okazało się to jednak niemożliwe. Powiedział, że musi mieć ten sterowiec! Jeśli przejrzy pani rachunki syna, znajdzie wiele takich nierozsądnych zakupów. - Cartwright przyjął obronną postawę, chociaż dobrze wiedział, że Elizabeth nie może obarczyć go odpowiedzialnością za poczynania Ulstera.

- A ile było takich... zakupów?

- Cóż, oczywiście żaden nie był tak ekstrawagancki, jak ten sterowiec. Udało nam się zapobiec podobnym przypadkom tłumacząc panu Scarlettowi, że na takie cele nie należy przelewać pieniędzy z funduszu na inwestycje. Że musi ograniczyć swoje wydatki do kwoty, którą przynosi pierwszy fundusz. Na naszych sesjach w banku nieustannie podkreślaliśmy ten aspekt. Jednak tylko w zeszłym roku, kiedy był w Europie z piękną panią Scarlett... Mówiąc ogólnie, pani syn znacznie dopomógł gospodarce europejskiej... Zapewne pan Chancellor Scarlett mówił pani o wielu zawiadomieniach, które mu przesłałem w związku z ogromnymi sumami pieniędzy, jakie posyłał mi pan synowi do Europy.

Elizabeth uniosła brwi.

- Nie, nic mi nie powiedział.

- No cóż, madame Scarlatti, to była podróż poślubna pani syna. Nie było powodu...

- Panie Cartwright - przerwała mu ostro starsza pani - czy ma pan dokładny zapis wszystkich operacji bankowych mojego syna dokonanych tu i za granicą w ciągu ostatniego roku?

- Ależ oczywiście, madame.

- I listę bezpośrednich wypłat dokonanych przez was na podstawie jego podpisu?

- Naturalnie.

- Oczekuję, że mi je pan dostarczy najpóźniej jutro rano.

- Spisanie wszystkiego zabierze tydzień kilku pracownikom.

W takich sprawach pan Scarlett nie należał do najdokładniejszych...

- Panie Cartwright! Współpracuję z Waterman Trust od ponad ćwierćwiecza. Zakłady Scarlatti związane są wyłącznie z tym jednym bankiem, gdyż takie są moje polecenia. Mam

zaufanie do Waterman Trust, ponieważ nigdy nie dano mi powodów, by było inaczej. Czy wyrażam się jasno?

- Tak, jak najbardziej. Jutro rano. - Jefferson Cartwright wycofał się z pokoju w ukłonach, niczym ułaskawiony niewolnik, któremu arabski szejek pozwolił odejść.

- Aha, jeszcze jedno, panie Cartwright.

- Tak?

- Zdaje się, że nie pochwaliłam pana za utrzymanie wydatków mojego syna w granicach jego dochodu.

- Przykro mi... - Na czole Cartwrighta pojawiły się krople potu. - Niewiele mogłam...

- Chyba mnie pan nie rozumie, panie Cartwright. Mówię całkiem szczerze. Należy się panu pochwała. Do widzenia.

- Do widzenia, madame Scarlatti.

Cartwright i trzech urzędników Watermana spędziło całą noc próbując wyprowadzić na bieżąco rachunki Ulstera Stewarta Scarletta. Było to trudne zadanie.

O wpół do trzeciej nad ranem Jefferson Cartwright miał na biurku listę banków i firm maklerskich, w których potomek Scarlattich kiedyś lub ciągle jeszcze miał konta. Przy każdej pozycji widniały dokładne kwoty i daty ich przelewu. Lista ciągnęła się w nieskończoność. Poszczególne depozyty mogłyby spokojnie stanowić roczne dochody większości średnio zamożnych Amerykanów, ale dla Ulstera Stewarta były zaledwie tygodniówką. Sprawdzenie tego, co zostało, potrwa parę dni. Na liście znalazły się między innymi:

THE CHEMICAL CORN EXCHANGE, 900 Madison Avenue, Nowy Jork.

MAISON DE BANQUE, 22 rue de Violette, Paryż.

LA BANQUE AMERICAINE, rue Nouveau, Marsylia.

DEUTSCHE-AMERICANISCHE BANK, Kurfurstendamm, Berlin.

BANCO-TURISTA, Calle de la Sueiios, Madryt.

MAISON DE MONTE CARLO, rue du Feuillage, Monako.

WIENER STAEDTISCHE SPARKASSE, Salzburgerstrasse, Wiedeń.

BANQUE-FRANCAISE-ALGERIE, Harbor of Moons, Kair, Egipt.

I tak dalej. Ulster i jego oblubienica zwiedzili Europę. Rzecz jasna, tej liście, teoretycznie stanowiącej rubrykę "ma", przeciwstawiona była rubryka "winien", na którą składały się czeki wystawione w hotelach, domach towarowych, sklepach, restauracjach, agencjach samochodowych, biurach linii żeglugowych i kolejowych, stajniach, prywatnych klubach i kasy-nach. Wszystkie zostały pokryte przez Waterman Trust.

Jefferson Cartwright przejrzał szczegółowy raport dołączony do listy.

Według przyjętych w świecie biznesu norm stanowił on finansowy nonsens, ale życie Ulstera Stewarta Scarletta wskazywało, że dla niego było to najzupełniej normalne.

Naturalnie Waterman Trust wysłał do tutejszych i zagranicznych banków listy z prośbą o informacje pozwalające ustalić wysokość pozostałych depozytów. Transfer kapitału z powrotem do Watermana na podstawie pełnomocnictwa będzie już prostą sprawą. x

- Tak, tak - mruknął Cartwright do siebie. - Całkiem porządny kawał roboty, biorąc pod uwagę okoliczności.

Był przekonany, że stara Scarlatti rano będzie się do niego odnosić zupełnie inaczej. Prześpi się kilka godzin, weźmie zimny prysznic i osobiście zanieś jej raport. W skrytości ducha miał nadzieję, że będzie wyglądał na zmęczonego, i to bardzo. Może zrobi to na niej wrażenie.

Drogi panie Cartwright - prychnęła Elizabeth Scarlatti. - Nie zauważył pan, że przelewając setki tysięcy do banków w całej Europie równocześnie regulował pan należności, które w sumie wynoszą niemal ćwierć miliona dolarów? Nie przyszło panu do głowy, że przez połączenie tych dwóch kwot mój syn osiągnął pozornie nieosiągalne? W ciągu niecałych dziewięciu miesięcy wydał cały roczny dochód. Niemal do ostatniego centa!

- Proszę się uspokoić, madame Scarlatti. Dziś rano wysłamy listy do banków z żądaniem pełnej informacji. Jako pełnomocnicy, rzecz jasna. Jestem pewien, że część tych sum zostanie zwrócona.

- Ja nie jestem tego pewna.

- Jeśli mam być szczerzy, madame Scarlatti, to zupełnie nie pojmuję, do czego pani zmierza...

Ton Elizabeth na chwilę złagodniał.

- Prawdę mówiąc, sama nie wiem. Tylko że to nie ja do czegoś zmierzam, ja jestem prowadzona...

- Słucham?

- Czy mój syn w czasie sesji w banku mógł... zetknąć się z czymś... co spowodowało, że zaczął przysyłać takie sumy do Europy?

- Zadałem sobie to samo pytanie. Czułem, że moim obowiązkiem, jako jego doradcy, jest się tego dowiedzieć... Wydaje się, że pan Scarlett dokonał na kontynencie kilku inwestycji...

- Inwestycje w Europie? Mało prawdopodobne.

- Ma szerokie grono przyjaciół, madame Scarlatti. Przyjaciół, którym nie brakowało pomysłów... A muszę powiedzieć, że pani syn był coraz lepszy w analizie rynku.

- Był jaki...?

- Mam na myśli jego pracę nad portfolio Scarlattich. Tak, tak, bardzo się do tego przyłożył, w ogóle sobie nie pobłażał. Byłem bardzo dumny z jego osiągnięć. Naprawdę poważnie podchodził do naszych sesji. Nawet w podróż poślubną zabrał setki raportów Zakładów Scarlattich.

Elizabeth podniosła się z krzesła i powoli podeszła do okna wychodzącego na ulicę. Była do głębi wstrząśnięta niespodziewanym, niewiarygodnym oświadczeniem Wirgińczyka. Instynktownie poczuła, że zbliża się moment rozwiązania zagadki.

- Rozumiem, że mówi pan o szczegółowych spisach, określających stan posiadania Zakładów Scarlattich?

- To też, oczywiście, ale i dużo, dużo więcej. Pan Ulster analizował fundusze powiernicze swoje i Chancellora, a nawet pani, madame Scarlatti. Zamierzał napisać pełne sprawozdanie, ze specjalnym uwzględnieniem czynników rozwoju. Było to dosyć ambitne zadanie, lecz ani przez chwilę się nie zawahał...

- Więcej niż ambitne, panie Cartwright - przerwała mu Elizabeth. - Powiedziałabym, że niewykonalne bez gruntowniejszego przygotowania. - Nadal patrzyła na ulicę.

- Zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Przekonaliśmy go więc, żeby ograniczył badania do własnego kapitału. Uznałem, że w ten sposób łatwiej będzie mu pewne rzeczy tłumaczyć, no i naturalnie nie chciałem oblewać go zimną wodą, więc...

Elizabeth odwróciła się od okna i popatrzyła na bankiera.

Zamilkł pod jej spojrzeniem. Wiedziała już, że prawda znalazła się w zasięgu jej ręki.

-: Proszę, niech pan to sprecyzuje... W jaki sposób mój syn prowadził badania swojego kapitału?

- Przeglądał obligacje z funduszu powierniczego. Głównie papiery wartościowe zgromadzone w drugim depozycie - inwestycyjnym. Ich kursy są o wiele bardziej stabilne. Katalogował je, a następnie porównywał z innymi, które mogły być wówczas zakupione. Jeśli wolno mi dodać, był pod wrażeniem dokonanych wyborów. Sam mi powiedział.

- Katalogował je...? Co dokładnie ma pan na myśli?

- Spisywał wszystkie pakiety oddzielnie. Ich wartość, lata i miesiące płatności. Dzięki datom i kwotom mógł je następnie porównywać z innymi operacjami banku.

- Jak to robił?

- Bezpośrednio z akcji i weksli. Z rocznych portfeli.

- Gdzie?

- W sejfie, madame. W sejfie Scarlattich.

O Boże, pomyślała Elizabeth.

Położyła drżącą dłoń na parapecie. Mimo ogarniającego ją przerażenia powiedziała spokojnie:

- Jak długo mój syn prowadził te badania?

- No... przez kilka miesięcy. Od swojego powrotu z Europy.

- Rozumiem. Czy ktoś mu w tym pomagał? Chodzi mi o to, że miał tak mało doświadczenia.

Jefferson Cartwright spojrział na starszą panią. Nie był w końcu taki głupi.

- Nie było potrzeby. Katalogowanie obligacji nie jest trudne.

Proste zajęcie polegające na spisywaniu nazw, liczb i dat... Poza tym pani syn jest... był Scarlattim.

- Tak... był. - Elizabeth wiedziała, że bankier zaczyna czytać w jej myślach. Ale nie miało to już znaczenia. Nic nie miało teraz znaczenia oprócz prawdy.

Sejf.

- Panie Cartwright, będę gotowa za dziesięć minut. Wezwę samochód i pojedziemy razem do pańskiego biura.

- Jak pani sobie życzy.

Podróż do centrum upłynęła w milczeniu. Bankier i Elizabeth Scarlati siedzieli obok siebie na tylnym siedzeniu, lecz żadne się nie odzywało. Każde z nich zajęte było własnymi myślami.

Starsza pani myślała o tym, co naprawdę mogło się kryć za zniknięciem Ulstera.

Cartwright - o przetrwaniu. Jeśli sprawdzą się jego podejrzenia, będzie zrujnowany. Waterman Trust też może być zrujnowany. A on był wyznaczony na doradcę Ulstera Stewarta Scarletta.

Szofer otworzył drzwi i bankier wyskoczył na chodnik, po czym wyciągnął rękę do Elizabeth. Zauważył, że wysiadając z samochodu patrzyła gdzieś w dół.

Szybko poprowadził starszą panią przez bank, na tyły budynku.

Zjechali windą do ogromnych bankowych piwnic. Z windy skręcili w lewo i przeszli do wschodniego skrzydła.

Ściany były szare, o gładkich powierzchniach; błyszczące stalowe kraty zatopiono w grubej warstwie betonu. Nad portalem widniał napis:

Elizabeth pomyślała któryś raz z rzędu, że wygląda to jak grobowiec. Za kratami biegł wąski korytarz oświetlony jasnymi żarówkami uwiecznionymi w drucianych siatkach na suficie. Gdyby nie drzwi, po dwie pary z każdej strony, korytarz wyglądałby jak przedsionek do miej-

sca spoczynku jakiegoś faraona w środku ponurej piramidy. Wejście na samym końcu prowadziło do sejfu Zakładów Scarlatti.

Drzwi po obu stronach wiodły do skrytek przeznaczonych dla żony i trójki dzieci. Dla Chancellora i Ulstera z lewej, dla Elizabeth i Rolanda z prawej. Elizabeth nigdy nie zlikwidowała sejfu Rolanda.

Był to z jej strony wyraz uczucia do utraconego syna. Roland również był częścią imperium.

Strażnik w mundurze skinął głową i otworzył bramkę ze stalowych prętów.

Elizabeth stanęła przed wejściem do pierwszej skrytki z lewej.

Na tabliczce pośrodku metalowych drzwi widniał napis: Ulster Stewart Scarlatti.

Strażnik otworzył je i Elizabeth weszła do małego pokoju.

- Proszę zamknąć drzwi i zaczekać na zewnątrz.

- Oczywiście.

Została sama w pomieszczeniu przypominającym celę. Przyszło jej na myśl, że do tej pory tylko raz była w skrytce Ulstera. Z Giovannim.

Lata, wieki temu... Nakłonił ją na wypad do miasta i do banku, nie mówiąc nic o sejfach we wschodnim skrzydle. Był z nich taki dumny.

Prowadził ją przez pięć pomieszczeń niczym przewodnik oprowadzający turystów po muzeum. Pamiętała, że poklepywał szafy, jakby były zarodowym bydłem, które pewnego dnia da im ogromne stado.

Miał rację.

Pokój nic się nie zmienił. Mogło to być wczoraj.

W ścianę z jednej strony wbudowane były schowki zawierające papiery wartościowe - akcje, świadectwa własności setek przedsiębiorstw. Środki na bieżące wydatki. Pierwszy fundusz powierniczy Ulstera. Na pozostałych dwóch ścianach stały szafy-segregatory, po siedem z każdej strony. Szuflady oznaczone były datami, zmienianymi co roku przez urzędników Watermana. W każdym segregatorze było sześć szuflad, które zawierały setki otwartych obligacji. •

Drugi depozyt. Przeznaczony na rozwój firmy. Na ekspansję Scarlattich.

Elizabeth obejrzała kartki na szufladach pierwszego segregatora.

1926. 1927. 1928. 1929. 1930. 1931.

Dostrzegła taboret odsunięty o kilka kroków od szafy po prawej stronie. Ten, kto go ostatni używał, siedział pomiędzy pierwszym a drugim rzędem. Spojrzała na oznaczenia na drugim segregatorze.

1932. 1933. 1934. 1935. 1936. 1937.

Sięgnęła po taboret, przyciągnęła go przed pierwszą szafę i usiadła. Popatrzyła na najniższą szufladę, z liczbą 1926 nad uchwytem, i otworzyła ją.

Rok został podzielony według dwunastu miesięcy, każdy miesiąc był oddzielony małą zakładką, przed którą znajdowała się cienka metalowa teczka z dwoma miniaturowymi kółkami połączonymi drutem zanurzonym w wosku. Z wierzchu na wosku wyciśnięte były inicjały banku W.T. o staroangielskim kroju.

Rok 1926 był nietknięty. Żadna z cienkich metalowych teczek nie została otwarta, co oznaczało, że Ulster nie wydał żadnych instrukcji w sprawie inwestycji. Pod koniec grudnia pełnomocnicy sami się tym zajmą i bez wątpienia skonsultują się z Elizabeth, tak jak zawsze to robili z funduszem Ulstera.

Wyciągnęła rok 1927.

Ten również był nietknięty. Żadna z woskowych pieczęci nie została złamana.

Już miała zamknąć szufladę z rokiem 1927, kiedy coś ją powstrzymało. Kątem oka dostrzegła ślad na wosku. Maleńka, nieznaczna skaza, która przeszłaby nie zauważona, gdyby ktoś specjalnie nie przyglądał się pieczęciom.

Na teczce z sierpnia "T" z inicjałów W.T. było nierówne i zjeżdżało w dół. Tak samo wyglądał wrzesień, październik, listopad i grudzień.

Wyjęła sierpniową teczkę i potrząsnęła nią. Potem rozerwała drut. Woskowa pieczęć pękła i odpadła.

Teczka była pusta.

Odłożyła ją i sprawdziła pozostałe miesiące 1927 roku.

Pusto.

Otworzyła szufladę z rokiem 1928. Na każdej cienkiej metalowej teczce "T" w woskowej pieczęci było nierówne i zjeżdżało w dół.

Wszystkie były puste.

Przez ile miesięcy Ulster prowadził tę niezwykłą grę? Opróżniał sejf dokument po dokumencie. Obligacja po obligacji.

Jeszcze trzy godziny temu nie uwierzyłaby. A odkryła to tylko dlatego, że służąca zamiatająca frontowe schody wywołała wspomnienie innej służącej, zamiatającej inne schody. Służącej, która zapamiętała, jak jej syn wydawał taksówkarzowi polecenie jazdy do stacji metra.

Ulster Scarlett pojechał metrem.

Pewnego ranka nie mógł zaryzykować jazdy taksówką w ulicznych korkach. Mógłby się spóźnić.

Czy jest lepsza pora od przedpołudnia? Składanie wstępnych zamówień, chaos pierwszych transakcji na rynku.

Przed południem można przeoczyć nawet Ulstera Scarletta.

Sprawdziła resztę miesięcy i lat z pierwszej szafy, jak gdyby odprawiała bolesny obrzęd. Aż do grudnia 1931.

Pusto.

Zamknęła szufladę z rokiem 1931 i zaczęła od dolnej szuflady drugiej szafy. 1932.

Pusto.

Doszła do połowy - do 1934 - kiedy usłyszała, jak otwierają się metalowe drzwi. Szybko zamknęła szufladę i odwróciła się ze złością.

Jefferson Cartwright wszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Przecież kazałam panu zostać na zewnątrz!
- Madame Scarlatti, wygląda pani, jakby ujrzała ducha.
- Proszę wyjść!

Cartwright zignorował ją, podszedł szybko do pierwszego segregatora i wyciągnął jedną ze środkowych szuflad. Zobaczył metalowe teczki z połamanymi pieczęciami, podniósł jedną i otworzył.

- Zdaje się, że czegoś brak.
- Będzie pan zwolniony!

- Być może... Być może będę. - Wirgińczyk wyciągnął następną szufladę i upewnił się, że inne teczki z połamanymi pieczęciami także są puste.

Elizabeth stała obok bankiera w milczeniu, pełna pogardy.

W końcu powiedziała z wściekłością:

- Właśnie zakończył pan pracę w Waterman Trust!

- Być może. Przepraszam. - Cartwright delikatnie odsunął starszą panią od drugiego segregatora i dalej sprawdzał. Doszedł do roku 1936 i odwrócił się do Elizabeth. - Niewiele zostało, prawda?

Ciekawe, jak daleko to zaszło. Oczywiście natychmiast sporządzę dla pani pełen wykaz. Dla pani i dla moich zwierzchników. Zamknął szufladę roku 1936 i uśmiechnął się.

- To sprawa poufna dotycząca rodziny. Nic pan nie zrobi! Nic pan nie może zrobić!

- Niech pani da spokój! W tych szafach znajdowały się otwarte obligacje. Papiery wartościowe na okaziciela... Kto je ma w rękę, jest ich właścicielem. Są równe żywej gotówce... Pani syn zabrał stąd niełichy kawałek nowojorskiej giełdy! A nawet się nie rozejrzeliśmy do końca. Czy otworzymy jeszcze parę szuflad?

- Nie będę tego tolerować.

- Proszę bardzo. Pani robi, co zechce, ale ja muszę zawiadomić przełożonych, że Waterman Trust cholernie głęboko wdepnął w gówno. Zainteresowane przedsiębiorstwa mogą się mocno zdenerwować nie wiedząc, kto jest właścicielem czego... Niektóre akcje mogą nawet polecieć w dół... Natychmiast poinformuję o tym moich zwierzchników.

- Nie może pan! Nie wolno panu!

- Dlaczego? - Jefferson Cartwright rozłożył ręce.

Elizabeth odwróciła się od niego i spróbowała uporządkować myśli.

- Proszę dokładnie zobaczyć, czego nie ma, panie Cartwright.

- Mogę ocenić to, co już sprawdziliśmy. Jedenaście lat, w przybliżeniu trzy i pół miliona rocznie, to daje razem coś około czterdziestu milionów. Ale to pewnie dopiero początek.

- Powiedziałam... żeby obliczył pan straty. Chyba nie muszę panu mówić, że jeśli piśnie pan słowo komukolwiek - zniszczę pana. Spróbujmy dojść do porozumienia. - Odwróciła się powoli i spojrzała na Jeffersona Cartwrighta. - Panie Cartwright, przez przypadek wszedł w pan w posiadanie informacji, które mogą dać panu znacznie więcej niż pańskie talenty czy umiejętności. Ludzie mający takie szczęście powinni być ostrożni.

Elizabeth Scarlatti nie spała tej nocy.

Jefferson Cartwright również spędził bezseną noc. Ale nie w łóżku. Na taborecie, ze stosami papierów u stóp.

W miarę jak sprawdzał uważnie kolejne teczki porównując je z wyciągami z funduszków Scarlattich, liczby rosły.

Cartwright myślał, że oszaleje.

Ulster Stewart Scarlett zabrał z sejfu papiery wartościowe na łączną sumę ponad 270 milionów dolarów.

Kwota, która spowoduje kryzys na giełdzie.

Międzynarodowy skandal, który -jeśli rzecz wyjdzie na jaw zniszczy Zakłady Scarlatti... A wyjdzie na jaw, kiedy przyjdzie czas konwersji pierwszych brakujących obligacji. W najlepszym wypadku za niecały rok.



Jefferson Cartwright złożył razem ostatnie kartki i wepchnął je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Przycisnął rękę do piersi upewniając się, że papiery przylegają do ciała, i wyszedł z sejfu.

Krótkim gwizdnięciem dał znak strażnikowi przy wejściu.

Mężczyzna drzemał w czarnym skórzanym fotelu przy drzwiach.

- O Boże, pan Cartwright! Przestraszył mnie pan!

Bankier wyszedł na ulicę.

Spojrzał na szarawe światło na niebie. Wkrótce będzie ranek.

Dla niego to światło oznaczało początek nowego życia.

Bowiem Jefferson Cartwright, pięćdziesięcioletni były piłkarz Uniwersytetu Wirginii, który poślubił pieniądze, a następnie je stracił, miał teraz w kieszeni carte blanche na wszystko, czego kiedykolwiek pragnął.

Znów był na stadionie wśród wiwatujących tłumów.

Gol!

Niczego mu teraz nie odmówią.

## ROZDZIAŁ 13

Dwadzieścia po pierwszej w nocy Benjamin Reynolds siedział wygodnie w fotelu w swoim mieszkaniu w Georgetown. Trzymał na kolanach jedną z teczek przesłanych Grupie 20 przez biuro prokuratora generalnego. W sumie było ich szesnaście - podzielił je sprawiedliwie między siebie i Glovera.

Pod naciskiem Kongresu, a zwłaszcza pod naciskiem nowojorskiego senatora Brownle-  
e, prokuratura generalna zamierzała przewrócić każdy kamień w poszukiwaniu syna Scarlat-  
tich. Ponieważ Grupa 20 interesowała się przez jakiś czas życiem Ulstera Scarletta, spodzie-  
wano się, że Reynolds też coś dorzuci. Nawet jeśli miałyby się to okazać nieważne.

Jak wszystkie sprawozdania z poszukiwań zaginionych osób, tak i to pełne było niezbyt  
odkrywczych spostrzeżeń. Daty, godziny, minuty, ulice, domy, nazwiska, nazwiska, nazwi-  
ska. Zapis bez znaczenia, udający coś ważnego. Być może kiedyś, dla kogoś taki będzie.

Z pewnością jednak dla nikogo z Grupy 20.

Reynolds czuł wyrzuty sumienia na myśl o Gloverze przekopującym się przez takie sa-  
me bzdury.

Przeprosi go dzisiaj rano.

Nagle zadzwonił telefon. Jego dźwięk o tak niespodziewanej godzinie zaskoczył Rey-  
nolda.

- Ben? Tu Glover...

- Jezu! Śmiertelnie mnie wystraszyłeś! Co się stało?

- Nic, Ben. Przypuszczam, że to mogło poczekać do rana, ale pomyślałem sobie, że z  
przyjemnością położysz się spać z uśmiechem na ustach, stary draniu.

- Piłeś, Glover. Wyżywaj się na swojej żonie, nie na mnie. Co do cholery zrobiłem?

- Dałeś mi te osiem ksiąg z prokuratury, ot co... Znalazłem coś!

- Wielki Boże! Coś o sprawie nowojorskiej? Doki?

- Nie. Nic, co łączyliśmy ze Scarlettem. Może to nieważne, ale kto wie...

- Co?

- Szwecja. Sztokholm.

- Sztokholm? O czym ty do diabła mówisz?

- Raport Ponda.

- Waltera Ponda? Obligacje?

- Właśnie. Pierwsze memorandum od niego przyszło w maju.

Pierwsza wzmianka o obligacjach... Wartych trzydzieści milionów dolarów. Przypomi-  
nasz sobie teraz?

- Tak, tak. No i co?

- Zgodnie ze sprawozdaniem numer sześć, Ulster Scarlett był w zeszłym roku w Szwec-  
cji. Zgadniesz, kiedy?

Reynolds zawahał się, nim odpowiedział. Uwagę jego przykuła niemal niewyobrażalna  
suma trzydziestu milionów dolarów.

- Na pewno nie w Boże Narodzenie - stwierdził po chwili cicho.

- Chyba że w Szwecji Boże Narodzenie przypada w maju...

- Porozmawiamy o tym rano. - Reynolds odłożył słuchawkę nie czekając, aż jego podwładny odpowie albo się pożegna. Powoli wrócił do miękkiego fotela i usiadł.

Jeśli Glover słusznie zakładał, że Ulster Scarlett był zamieszany w kombinacje w Sztokholmie, należało wnioskować, że żyje. I jeśli było to prawdą, w takim razie to on wystawił nielegalnie na sprzedaż na sztokholmskiej giełdzie amerykańskie obligacje wartości trzydziestu milionów dolarów.

Nikt, nawet Ulster Stewart Scarlett, nie mógł położyć ręki na obligacjach o takiej wartości.

Chyba że kryło się za tym coś więcej.

Ale co?

Jeżeli Elizabeth Scarlatti również jest zamieszana w tę sprawę a trzeba było ją wziąć pod uwagę wobec ogromu sumy - to dlaczego?

Czyżby zupełnie się co do niej pomylił?

Możliwe.

Możliwe też, że rok temu miał rację. Syn Scarlattich nie zrobił wtedy tego, co zrobił, dla zabawy czy dlatego, że wpadł w złe towarzystwo. Nie, jeśli Sztokholm miał z tym związek.

Glover chodził po pokoju.

- Wiza Scarletta wskazuje, że wjechał do Szwecji dziesiątego maja. Memorandum Ponda ma datę piętnastego.

- Widzę. Umieję czytać - burknął Reynolds.

- Co zamierzasz?

- Co zamierzam? Nic nie mogę zrobić. Tak naprawdę, to nic tu nie ma. Po prostu oświadczenia zwracające naszą uwagę na pewne pogłoski i data wjazdu amerykańskiego obywatela do Szwecji.

A ty co jeszcze widzisz?

- Zakładając, że istnieje podstawa do tych pogłosek, związek jest oczywisty i wiesz o tym równie dobrze jak ja! Stawiam dyche, że jeśli informacje z ostatniego komunikatu Ponda są prawdziwe, to Scarlett jest teraz w Sztokholmie.

- Oczywiście jeśli ma co sprzedać.

- Sądzę, że ma.

- O ile mnie pamięć nie myli, ktoś musi zgłosić kradzież, zanim inni zaczną wołać: "łapać złodzieja!" Jeśli wysuniemy jakieś oskarżenia, a rodzina Scarlattich stwierdzi, że nie ma pojęcia, o czym mówimy, będziemy ugotowani. Zresztą mogą po prostu odmówić odpowiedzi. Nasza agencja nie budzi sympatii w tych, którzy o niej wiedzą. Wtykamy nos w cudze rachunki, a to nie każdemu się podoba.

Wielu ludzi w Waszyngtonie chętnie zobaczyłoby nas na bruku.- Przekażmy więc te informacje do prokuratury i niech sami wyciągają wnioski. Chyba tylko to nam pozostało.

Benjamin Reynolds odepchnął się nogami od podłogi, jego fotel obrócił się powoli do okna.

- Pewnie powinniśmy tak zrobić. I zrobimy, jeśli będziesz nalegał.

- To znaczy...? - Glover zadał pytanie plecami swojego szefa.

Reynolds ponownie obrócił fotel i spojrzał na Glovera.

- Myślę, że sami załatwimy to lepiej. Ci z Ministerstwa Sprawiedliwości, Departamentu Skarbu czy nawet FBI muszą się spowiadać dziesięciu komisjom. My nie.

- Przekraczamy nasze kompetencje.

- Nie sądzę. Dopóki siedzę w tym fotelu, decyzja należy do mnie, prawda?

- Tak. Czemu chcesz, żebyśmy się tym sami zajęli?

- Ponieważ w tej sprawie jest coś chorego. Widziałem to w oczach staruszki.

- Niezbyt logiczne wyjaśnienie.

- Wystarczy. Widziałem.

- Jeżeli wyjdzie na jaw coś, co okaże się ponad nasze siły, pójdziesz z tym do prokuratora?

- Oczywiście. Słowo.

- W porządku. Więc co teraz robimy?

Benjamin Reynolds wstał.

- Czy Canfield wciąż siedzi w Arizonie?

- W Phoenix.

- Ściągnij go.

Canfield. Skomplikowany człowiek do skomplikowanego zadania. Reynolds go nie lubił i niezbyt mu ufał, Canfield jednak popchnie rzecz do przodu szybciej niż ktokolwiek inny.

A gdyby chciał się sprzedać, Ben Reynolds będzie o tym wiedział. Wtedy dopadnie go i wyciągnie z niego prawdę o Scarlattich.

Tak, Matthew Canfield to dobry wybór. Jeżeli zajmie się Scarlattimi na warunkach Grupy 20, nie będą chcieli od niego niczego więcej. Jeśli przejdzie na ich stronę - zostanie wezwany i ukarany. Ale oni tak czy tak poznają prawdę.

Ben Reynolds usiadł i zamyślił się nad własnym cynizmem.

Nie było wątpliwości. Najszybsza droga do rozwiązania tajemnicy Scarlattich prowadziła poprzez Matthew Canfielda.

## ROZDZIAŁ 14

Elizabeth nie mogła spać. Wciąż siadała w łóżku, żeby zapisywać swoje refleksje, przypuszczenia, fakty - wszystko, co jej się nasunęło w związku z Ulsterem. Rysowała małe kwadraciki, wpisywała w nie nazwiska, daty, miejsca i usiłowała połączyć je w jakiś logiczny ciąg. Mniej więcej o trzeciej nad ranem zredukowała swoje zapiski do następującej listy:

Kwiecień 1925. Ulster i Janet pobrali się po okresie narzeczeństwa trwającym tylko trzy tygodnie. Dlaczego...? Młodzi popłynęli do Southampton statkiem linii Cunard. Ulster zrobił rezerwacje już w lutym. Skąd wiedział?

Maj-grudzień 1925. Waterman Trust przesłał z grubsza licząc 800 tysięcy dolarów do szesnastu różnych banków w Anglii, Francji, Niemczech, Austrii, Holandii, Włoszech, Hiszpanii i Algierii.

Styczeń-marzec 1926. Z banku Waterman znikają obligacje wartości około 270 milionów. Wartość rynkowa przy sprzedaży przymusowej między 150 a 200 milionów. Wszystkie rachunki i opłaty na nazwisko Ulstera i Janet w bankach europejskich pokryte w całości do lutego 1926. Marzec, widoczna zmiana w zachowaniu Ulstera: jest znacznie spokojniejszy, wy-ciszony.

Kwiecień 1926. Narodziny Andrew. Chrzcziny. Ulster znika.

Lipiec 1926. Potwierdzenie wcześniejszego wycofania pieniędzy z czternastu europejskich banków - w ciągu czterech tygodni od złożenia depozytu. Dwa banki, w Londynie i w Hadze, zgłaszają, że wciąż mają depozyty w wysokości dwudziestu sześciu i dziewiętnastu tysięcy dolarów.

Taki był chronologiczny porządek wydarzeń związanych ze zniknięciem Ulstera. Układały się w całość. Widać było, że zostały przygotowane z premedytacją: rezerwacja zrobiona w lutym; krótkie narzeczeństwo; podróż poślubna; ciągłe przelewy i szybkie odbieranie depozytów; kradzież obligacji i wreszcie samo zniknięcie Ulstera. Od lutego 1925 do kwietnia 1926. Plan obejmujący czternaście miesięcy i przeprowadzony z ogromną dokładnością, z zagwarantowaniem ciąży włącznie... Czyżby Ulster był aż tak pomysłowy? Elizabeth nie wiedziała. Naprawdę wiedziała o nim bardzo mało, a raporty tylko zaciemniły obraz.

Uznała, że poszukiwania należy zacząć od banków w Europie.

Bowiem niezależnie od zawiłości związanych z rozwojem rynku kapitałowego, podstawowe zasady działania banków pozostały nie zmienione od czasu faraonów. Wpłaca się pieniądze, a potem się je wypłaca, przechodzą w inne miejsce. I to inne miejsce albo miejsca chciała znaleźć Elizabeth. Ponieważ pieniądze przesłane przez Waterman Trust do szesnastu europejskich banków były jedynym źródłem, z którego mógł korzystać Ulster - do momentu, aż będzie można sprzedać obligacje.

Za dziesięć dziewięć kamerdyner otworzył drzwi nowemu drugiemu wiceprezesowi banku Waterman Trust, Jeffersonowi Cartwrightowi. Zaprowadził go do biblioteki, gdzie za biurkiem siedziała Elizabeth, oczywiście z filiżanką kawy w ręku.

Cartwright usiadł na małym krześle.

- Przyniósł pan listy?

- Są tu, madame Scarlatti - odpowiedział bankier kładąc teczkę na kolanach i otwierając ją. - Pozwolę sobie skorzystać z okazji i podziękować za łaskawe wstawiennictwo u dyrektora.

Bardzo to uprzejme z pani strony.

- Dziękuję. Rozumiem, że został pan mianowany drugim wiceprezesem.

- Zgadza się, madame, i uważam, że stało się to dzięki pani dobremu słowu. Jeszcze raz dziękuję. - Wręczył starszej pani papiery.

Zaczęła przeglądać pierwsze strony. Wydawały się w porządku.

Cartwright odezwał się cicho:

- Te listy upoważniają panią do żądania wszelkich informacji dotyczących transakcji dokonywanych przez pani syna w różnych bankach. Depozyty, wypłaty, przelewy. Umożliwiają dostęp do wszystkich skrytek. Każdy bank otrzymał list wyjaśniający z fotokopią pani podpisu. Podpisałem je jako reprezentant Waterman Trust posiadający wszystkie pełnomocnictwa pana Scarletta, choć wiąże się to dla mnie z pewnym ryzykiem...

- Gratuluję panu.

- To po prostu niewiarygodne - mówił bankier półgłosem. Obligacje warte ponad dwieście siedemdziesiąt milionów dolarów.

Zniknęły, jak kamień w wodę. Nawet największe syndykaty bankowe miałyby trudności ze zgromadzeniem takiego kapitału. Kiedy to wyjdzie na jaw... Naprawdę nie wiem, co robić.

- Zachowując swoje uwagi dla siebie może pan przeżyć wiele lat, otrzymując znaczną pensję za nieznaczny wysiłek. W przeciwnym wypadku istnieje możliwość, że...

- Chyba wiem, jaka jest ta druga możliwość - przerwał Jefferson Cartwright. - Jak rozumiem, szuka pani informacji związanych ze zniknięciem pani syna. Może je pani znajdzie, a może nie. Ma pani dwanaście miesięcy, zanim brak pierwszych obligacji zostanie zauważony. Dwanaście miesięcy. Niektórzy z nas mogą już wówczas opuścić ten padół. Innym grozić będzie ruina.

- Przepowiada pan mój koniec?

- Mam nadzieję, że nie. Ale moja własna sytuacja jest w najwyższym stopniu delikatna. Sprzeniewierzyłem się polityce mojej firmy i podstawowym zasadom etyki bankiera. Ponieważ mianowano mnie doradcą finansowym pani syna, padnie zarzut, że byłem z nim w zmo-wie...

- I czułby się pan lepiej mając zabezpieczenie, tak? - Elizabeth odłożyła listy. - Mądra strategia. Ile?

- Przykro mi, że pani tak to odbiera. Nie chcę pieniędzy. To byłoby niegodne.

- Więc czego pan chce? - Elizabeth miała już dosyć.

- Przygotowałem oświadczenie. W trzech egzemplarzach. Jedna kopia dla pani, jedna dla Fundacji Scarwyck i jedna, rzecz jasna, dla mojego adwokata. Byłbym zobowiązany, gdyby je pani przeczytała i podpisała.

Cartwright wyjął z teczki maszynopis i położył go przed Elizabeth. Zobaczyła, że jest to list adresowany do Fundacji Scarwyck, zawiadamiający o zawarciu umowy.

Niniejszym oświadczam, że między panem Jeffersonem Cartwrightem a mną, Elizabeth Wyckham Scarlatti, przewodniczącą Rady Nadzorczej Fundacji Scarwyck, mieszczącej się przy Piątej Alei 525 w Nowym Jorku, została zawarta umowa o podanej poniżej treści.

Ponieważ pan Cartwright poświęcał swój czas i umiejętności zawodowe pracując dla mnie i dla Fundacji Scarwyck, zostaje on mianowany konsultantem Fundacji z uposażeniem rocznym w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów (\$ 50 000), przy czym wyżej wymienione stanowisko piastować będzie dożywotnio.

Pan Cartwright występował w moim imieniu i na rzecz Fundacji Scarwyck, działając często wbrew swoim opiniom i najgłębszym przekonaniom. Wykonywał powierzone mu za-

dania w sposób uznany przez klienta, czyli przeze mnie, za najkorzystniejszy dla Fundacji Scarwyck, często bez znajomości całości transakcji, toteż nie może być za nie obarczany odpowiedzialnością.

W związku z powyższym postanawia się, że w przypadku jakichkolwiek kar, grzywien czy innych finansowych restrykcji w stosunku do pana Cartwrighta, będących następstwem jego wyżej wymienionych działań, będą one w całości uregulowane z mojego osobistego konta.

Należy dodać, że nie przewiduje się takich następstw, jednakże, ponieważ Fundacja Scarwyck działa na arenie międzynarodowej, włączenie powyższego oświadczenia do niniejszego dokumentu wydaje się wskazane.

Nadzwyczajne usługi oddane mi w ciągu ostatnich miesięcy przez pana Cartwrighta były trzymane w tajemnicy, nie mam jednak zastrzeżeń, by od dnia dzisiejszego wiadomość o stanowisku pana Cartwrighta w Fundacji Scarwyck została podana do wiadomości publicznej.

Pod spodem z prawej strony były dwie linijki na podpisy stron zawierających umowę i pośrodku trzecia na podpis świadka.

Elizabeth zdała sobie sprawę, że był to dokument sporządzony przez profesjonalistę. Nic nie mówił, a zawierał wszystko.

- Chyba nie spodziewa się pan, że to podpiszę.

- Ależ jak najbardziej. Widzi pani, jeśli pani tego nie zrobi, poczucie odpowiedzialności każe mi udać się prosto do prokuratury generalnej... Wyobraża pani sobie, jakie to wywoła międzynarodowe zamieszanie? Sam fakt, że czcigodna madame Scarlatti zamierza sprawdzać banki, w których jej syn robił interesy...

- Wszystkiemu zaprzeczę.

- Niestety, nie będzie pani mogła zaprzeczyć, że obligacje zniknęły. Jeszcze przez rok nie trzeba ich konwertować, ale przecież naprawdę ich nie ma.

Elizabeth patrzyła na Cartwrighta wiedząc, że została pokonana.

Usiadła i w milczeniu sięgnęła po pióro. Podpisała papiery, po czym on zrobił to samo.

## ROZDZIAŁ 15

Bagaż Elizabeth zostały umieszczone na pokładzie brytyjskiego statku "Calpurnia". Powiedziała rodzinie, że wydarzenia ostatnich miesięcy nadszarpnęły jej nerwy i zdrowie i że planuje dłuższy pobyt w Londynie - sama. Wy pływa następnego ranka. Chancellor przyznał, że taka wycieczka może dobrze matce zrobić, nalegał jednak, żeby wzięła kogoś do towarzystwa. Zaproponował Janet.

Elizabeth poradziła mu, żeby zatrzymał swoje pomysły dla Fundacji Scarwyck, niemniej jednak problem Janet należało rozwiązać.

Na dwa dni przed wypłynięciem "Calpurni" Elizabeth zaprosiła synową do siebie.

- Trudno uwierzyć w to, co mówisz, Janet. Nie tyle o moim synu, co o sobie. Kochałaś go?

- Tak. Tak myślę. A może po prostu przytłoczył mnie sobą.

Z początku było tylu ludzi, tyle miejsc. Wszystko działo się tak szybko. Potem powoli zaczęło docierać do mnie, że on mnie nie lubi. Nie mógł znieść mojej obecności w tym samym pokoju. Byłam denerwującą koniecznością. Boże!

Elizabeth przypomniała sobie słowa syna. "Czas, żebym się ożenił... Będzie dobrą żoną." Dlaczego było to dla niego takie ważne? Dlaczego tak powiedział?

- Był ci wierny?

Dziewczyna odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się.- Czy wie pani, jak to jest, kiedy dzieli się męża nie wiadomo z kim?

- Psychologia mówi, że mężczyźni często się tak zachowują z potrzeby kompensacji. Chcą przekonać sami siebie, że... mogą.

- Nic z tych rzeczy, madame Scarlatti! - Janet wymówiła nazwisko Elizabeth z lekką pogardą. - Pani syn mógł. Aż nadto.

Być może nie powinnam tego mówić, ale seksu nam nie brakowało.

Czas i miejsce nie miały dla niego znaczenia. Jak również to, czy ja miałam ochotę, czy nie. To było najmniej ważne.

- Dlaczego nie odeszłaś?

Janet Scarlett sięgnęła do torebki. Wyjęła paczkę papierosów i nerwowo zapaliła jednego.

- Tyle już pani powiedziałam, czemu więc nie resztę...

Bałam się.

- Czego?

- Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Może chodziło o zachowanie pozorów.

- Wybacz, ale wydaje mi się to niemądre.

- Zapomina pani, że byłam żoną Ulstera Stewarta Scarletta.

Złapałam go... Niełatwo przyznać przed wszystkimi, że nie umiałam go utrzymać dłużej niż parę miesięcy.

- Rozumiem... Obie wiemy, że rozwód z powodu opuszczenia byłby dla ciebie najlepszy, ale krytykowano by cię wtedy bezlitośnie.



- Wiem. Dlatego postanowiłam odczekać rok, zanim wystąpię o rozwód. Rok jest rozsądnym okresem.

- Rozumiem cię, ale nie jestem pewna, czy to najlepsze wyjście.

- Dlaczego nie?

- Odizolujesz się całkowicie od rodziny Scarlattich. Będę z tobą szczerą. Nie ufam zbyt wiele Chancellorowi...

- Nie rozumiem.

- Kiedy wystąpisz o rozwód, sięgnie po każdą dozwoloną prawem broń, by odebrano ci prawa rodzicielskie.

- Co?

- Zaopiekuje się i dzieckiem, i spadkiem.

- Pani chyba żartuje!

Elizabeth mówiła dalej, jakby nie słysząc Janet:

-- Na szczęście poczucie przyzwoitości Chancellora powstrzyma go przed podjęciem działań mogących wywołać skandal. Ale jeśli go sprowokujesz... Nie, Janet, rozwód nie jest dobrym rozwiązaniem.

- Czy pani wie, co mówi?

- Zapewniam cię, że tak... Gdybym ci mogła obiecać, że za rok będę jeszcze żyła, byłabyś bezpieczna. Ale gdy mnie nie będzie, Chancellor zmieni się w dzikie zwierzę.

- Chancellor nie może mi nic zrobić, nic! Ani mojemu dziecku!

- Proszę cię, moja droga... Nie jestem moralistką, ale twoje zachowanie nie było bez zarzutu. A on może to wykorzystać.

- Nie będę tego wysłuchiwać! - Janet podniosła się z sofy, otworzyła torebkę, schowała paczkę papierosów i wyjęła rękawiczki.

- Nie osądzam cię. Jesteś inteligentna. Z pewnością niczego nie robisz bez powodu... I wiem, że spędziłaś rok w piekle.

- Tak. Rok w piekle. - Janet zaczęła, wciągając rękawiczki.

Elizabeth mówiła szybko, podchodząc do biurka przy oknie:

- Gdyby Ulster był tutaj albo w jakimkolwiek znanym nam miejscu, cichy rozwód za obopólną zgodą mógłby zostać przeprowadzony bez większych trudności. Ale jedna ze stron jest nieobecna, być może nie żyje, choć oficjalnie nie jest jeszcze uznana za zmarłą.

I jest dziecko, jednak. To dziecko jest dziedzicem Ulstera. W tym problem.

Elizabeth zastanawiała się, czy dziewczyna zaczyna rozumieć, o co jej chodzi. Kłopot z młodymi bogaczami nie polega na tym, że traktują pieniądze jako coś naturalnego, ale że nie rozumieją, iż prowadzą one do władzy i przez to stają się czymś przerażającym.

- Jak tylko zrobisz pierwszy ruch, rzucą się na ciebie ze wszystkich stron. W efekcie nazwisko Scarlati będzie krążyć jako żart w szatniach klubów sportowych. Nie dopuszczę do tego!

Wyjęła z szuflady biurka kilka teczek i wybrała jedną z nich.

Usiadła za biurkiem i popatrzyła na dziewczynę.

- Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Tak, chyba tak - powiedziała Janet powoli, spoglądając na swoje ręce w rękawiczkach.

- Dla własnej wygody chce mnie pani gdzieś schować, by nic nie przeszkadzało pani ukochanym Scarlettom. - Zawahała się, po czym uniosła głowę i odwzajemniła spojrzenie teściowej.

- A przez chwilę myślałam, że chce mi pani pomóc...

- Raczej trudno cię zaliczyć do osób potrzebujących pomocy - zauważyła Elizabeth.

- Chyba tak. Ale to i tak nie ma znaczenia. Przypuszczam, że pani usiłuje być dla mnie na swój sposób dobra.

- Zrobisz więc, jak mówię? - Elizabeth przesunęła teczkę, zamierzając z powrotem schować ją do szuflady.

- Nie - odpowiedziała stanowczo Janet Saxon Scarlett. Zrobię dokładnie to, na co będę miała ochotę. I nie sądzę, bym miała się stać przedmiotem żartów w klubach sportowych.

- Nie bądź tego taka pewna! - Elizabeth z irytacją trzasnęła teczką o blat biurka.

- Poczekam, aż minie rok - rzekła Janet. - A potem postąpię tak, jak będę musiała. Mój ojciec będzie wiedział, co robić.

Zrobię, co on powie.

- Twój ojciec może mieć pewne zastrzeżenia. Jest również biznesmenem.

- Ale jest także moim ojcem!

- Doskonale to rozumiem, moja droga. I radzę ci przed wyjściem odpowiedzieć na kilka moich pytań.

Elizabeth wstała i podeszła do drzwi. Zamknęła je na mosiężną zasuwkę.

Janet przyglądała się starszej pani z ciekawością i pewnym niepokojem. Jej teściowa nigdy nie stosowała takich środków ostrożności, to nie było w jej stylu. Każdy intruz był natychmiast wyprasany.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. Chcę wyjść.

- Cóż, rzeczywiście niewiele możesz powiedzieć - wpadła jej w słowo Elizabeth, która zdążyła już wrócić za biurko. - Dobrze się bawiłaś w Europie, moja droga? Paryż, Marsylia, Rzym... Ale Nowy Jork najwyraźniej cię nudzi. Widać za oceanem mają dużo więcej do zaoferowania.

- O co pani chodzi?

- To proste. Wydaje się, że bawiłaś się dosyć nierozsądnie. Mój syn znalazł sobie dobrego kompana do swoich eskapad. Chociaż, nie da się ukryć, zachowywał się często dyskretniej niż ty.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

Elizabeth otworzyła teczkę i przejrzała kilka kartek.

- Zaraz, zobaczmy. Kolorowy trębacz w Paryżu...

- Co?! O czym pani mówi?

- Przywiózł cię do hotelu, w którym mieszkałaś, przepraszam, w którym mieszkaliście razem z Ulsterem, o ósmej rano. Oczywiście spędziłaś z nim noc.

Janet z niedowierzaniem spoglądała na teściową. Choć była oszołomiona, odpowiedziała szybko i spokojnie:

- Spędziłam z nim noc, ale nie w taki sposób, jak pani myśli.

Próbowałam dotrzymać kroku Ulsterowi."A potem przez pół nocy usiłowałam go znaleźć.

- Nic takiego tu nie ma. Widziano cię powracającą do hotelu w asyście kolorowego mężczyzny. Pijaną...

- To kłamstwo!

Starsza pani przewróciła stronę.

- A tydzień na południu Francji? Pamiętasz tamten weekend, Janet?

- Nie - odparła dziewczyna z wahaniem. - Co pani tam ma?  
Elizabeth wstała trzymając teczkę z dala od oczu dziewczyny.

- Daj spokój. Tamten weekend u madame Auriole. Jak nazywany jest jej "zamek" - "Cień"? Dosyć osobliwa nazwa.

- Była przyjaciółką Ulstera!

- A ty, naturalnie, nie miałaś pojęcia, co oznaczał, i wciąż oznacza, "Cień" madame Auriole na południu Francji.

- Chyba nie sugeruje pani, że miałam z tym coś wspólnego?

- Co się działo w "Cieniu" madame Auriole? - Elizabeth podniosła głos.

- Ja nie... nie wiem. Nie wiem!

- Co tam się działo?

- Nie powiem!

- Bardzo roztropnie, ale na nic się to nie zda! Powszechnie wiadomo, że głównymi daniami w karcie u madame Auriole są narkotyki - opium, haszysz, marihuana, heroina... To schronienie dla narkomanów.

- Nie wiedziałam o tym!

- Nic o tym nie słyszałaś? Przez cały weekend? Przez trzy dni w pełni sezonu?

- Nie...! Tak, dowiedziałam się i wyjechałam. Wyjechałam natychmiast, kiedy się zorientowałam, co oni robią!

- Orgie dla narkomanów, trwające dzień i noc. Świetna okazja dla eleganckich zбочzeńców, którzy lubią sobie popatrzeć. A pani Scarlett o niczym nie miała pojęcia!

- Przysięgam, że nie!

Ton Elizabeth złagodniał.

- Jestem tego pewna, moja droga, ale nie wiem, kto w to uwierzy. - Przerwała na chwilę. - Jest tego dużo więcej. Przejechała palcem po kartkach, ponownie siadając za biurkiem. Berlin, Wiedeń, Rzym. A zwłaszcza Kair.

Janet podbiegła do Elizabeth Scarlatti i oparła się o biurko, jej oczy były pełne przerażenia.

- Ulster zostawił mnie wtedy samą prawie na dwa tygodnie!  
Nie wiedziałam, gdzie jest. Byłam ogłupiała!

- Widziano cię w najdziwniejszych miejscach, moja droga.

Popełniłaś także jedno z najpoważniejszych międzynarodowych przestępstw. Kupiłaś człowieka. Nabyłaś niewolnicę.

- Nie! Wcale nie! To nieprawda!

- A właśnie, że tak. Kupiłaś trzynastoletnią arabską dziewczynkę, którą sprzedawano na ulicę. Jako obywatelkę amerykańską obowiązują cię pewne prawa...

- To nieprawda! - przerwała jej Janet. - Powiedziano mi, że jeśli zapłacę, dowiem się od tego Araba, gdzie jest Ulster. Zrobiłam tylko tyle!

- Nie, nie tylko. Dałaś mu prezent. Twoim prezentem była mała, trzynastoletnia dziewczynka, i ty o tym dobrze wiesz.

- Chciałam tylko znaleźć Ulstera! Chciałam jedynie znaleźć Ulstera i wydostać się z tamtego okropnego miejsca!

- Nie będę się z tobą spierać. Ale inni będą.

- Kto? - Dziewczyna była roztrzęsiona.

- Na przykład sądy. Albo prasa. - Elizabeth patrzyła na przestraszoną Janet.

- I pani pozwoliłaby... żeby ktoś wykorzystał te kłamstwa przeciwko mnie?

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- I przeciw pani własnemu wnukowi?

- Wątpię, żeby długo jeszcze był twoim dzieckiem, w sensie prawnym oczywiście. Jestem przekonana, że sąd przejmie opiekę nad nim do chwili, aż Chancellor zostanie uznany za odpowiedniego dla niego opiekuna.

Janet powoli usiadła na brzegu krzesła i rozplakała się.

- Janet. Nie proszę cię, żebyś wstąpiła do klasztoru. Nie proszę cię nawet, żebyś przestała zaspokajać normalne potrzeby kobiety w twoim wieku i z twoimi wymaganiami. Nie ograniczałaś się w ciągu ostatnich kilku miesięcy i nie oczekuję od ciebie, żebyś teraz zaczęła. Proszę tylko o odrobinę dyskrecji, może nieco więcej niż dotychczas, i trochę ostrożności.

Janet Saxon Scarlett odwróciła głowę, oczy miała mocno zaciśnięte.

- Pani jest straszna - wyszeptała.

- Wierzę, że taka ci się teraz wydaję. Ale mam nadzieję, że pewnego dnia zmienisz zdanie.

Młoda kobieta poderwała się z krzesła.

- Proszę mnie wypuścić z tego domu!

- Na miłość boską, postaraj się zrozumieć. Chancellor i Allison zaraz tu będą. Potrzebuję cię, moja droga.

Janet rzuciła się do drzwi zapominając o zasuwie. Nie mogła ich otworzyć. W głosie jej brzmiała panika:

- Czego jeszcze może pani chcieć ode mnie?

Elizabeth wiedziała już, że wygrała.

## ROZDZIAŁ 16

Matthew Canfield oparł się o ścianę domu stojącego na południowo-wschodnim rogu Piątej Alei przy Sześćdziesiątej Trzeciej, jakieś czterdzieści metrów od imponującego wejścia do rezydencji Scarlattich. Opatulił się dokładnie płaszczem, żeby obronić się przed chłodem przyniesionym przez jesienny deszcz, i spojrzął na zegarek: za dziesięć szósta. Stał na stanowisku od ponad godziny. Dziewczyna weszła do środka za kwadrans piąta i najprawdopodobniej będzie tam siedziała do północy albo i, nie daj Boże, do rana. Zorganizował zmiennika na drugą, jeśli wcześniej nic się nie wydarzy. Nie było specjalnie żadnej przyczyny, dla której cokolwiek miałyby się wydarzyć, ale instynkt mówił mu co innego. Starsza pani miała poju-trze wsiąść na statek i nie zabierała ze sobą nikogo. Wszyscy wiedzieli o jej rozpaczach po zaginionym czy też zmarłym synu. Jej smutek był tematem niezliczonych artykułów w prasie, chociaż ukrywała go dobrze.

Żona Scarlettta była inna. Jeżeli nawet opłakiwała utraconego męża, to nie było tego widać. Natomiast widać było, że nie wierzy w jego śmierć. Cóż takiego powiedziała w barze klubu w Oyster Bay? Chociaż jej głos nabrzmiały był whisky, mówiła wyraźnie:

- Moja kochana teściowa myśli, że jest taka cwana. Nie cierpię jej. Ona go znajduje.

Dziś miała miejsce konfrontacja obu kobiet i Matthew Canfield żałował, że nie może być tego świadkiem.

Mżawka przechodziła. Canfield postanowił przejść przez Aleję na chodnik przylegający do parku. Wyjął z kieszeni gazetę, rozłożył ją na ławce przed murkiem Central Parku i usiadł. Przed schodami wiodącymi do domu starszej pani zatrzymali się mężczyzna i kobieta. Było już dosyć ciemno i nie widział, kim byli. Kobieta mówiła coś z ożywieniem, mężczyzna zdawał się jej nie słuchać, skupiony bardziej na wyciąganiu zegarka z kieszeni i sprawdzaniu godziny. Canfield ponownie zerknął na własny i stwierdził, że jest za dwie szósta. Powoli wstał i zaczął niespiesznie przechodzić przez ulicę. Mężczyzna stanął twarzą do krawężnika, żeby spojrzeć na zegarek w świetle latarni. Kobieta nie przestawała mówić.

Canfield nie zdziwił się, kiedy rozpoznał Chancellora Drew Scarlettta i jego żonę Allison. i Szedł dalej Sześćdziesiątą Trzecią. Chancellor wziął Allison pod rękę i razem przeszli do drzwi domu Scarlattich. Dochodząc do alei Madison inspektor usłyszał głośne trzaskanie. Odwrócił się i zobaczył, że ktoś otworzył frontowe drzwi rezydencji Elizabeth Scarlatt z taką siłą, iż odgłos zderzenia z niewidoczną ścianą rozszedł się echem po całej ulicy.

Po ceglanych schodach zbiegła Janet Scarlett, potknęła się, szybko wstała i kulejąc oddaliła się ku Piątej Alei. Canfield zawrócił i ruszył za nią.

Inspektor znajdował się trzydzieści metrów od żony Ulstera Scarlettta, kiedy nadjechał sportowy samochód, lśniący czarny pierce-arrow. Zbliżył się do dziewczyny.

Canfield zwolnił i patrzył. Zobaczył, jak mężczyzna w aucie pochyła się do prawego okna. Światło latarni ulicznej padało prosto na jego twarz. Był przystojny, chyba tuż po pięćdziesiątce, i miał równo przystrzyżone, wypomadowane wąsiki. Wyglądał na człowieka, którego Janet Scarlett mogłaby znać.

Mężczyzna zatrzymał samochód, otworzył drzwi i szybko wysiadł. Pospiesznie obszedł wóz i zbliżył się do dziewczyny.

- Proszę, pani Scarlett. Niech pani wsiada.

Janet Scarlett złapała się za zranione kolano. Oszołomiona patrzyła na człowieka z przylizanymi wąsami. Canfield zatrzymał się w cieniu przy drzwiach.

- Co? Pan nie jest taksówkarzem... Nie, ja pana nie znam...

- Proszę wsiadać! Zawiozę panią do domu. Szybko! - Mężczyzna mówił rozkazującym tonem. Złapał Janet za ramię.

- Nie! Nie wsiadę! - Próbowwała wyrwać rękę.

Canfield wynurzył się z mroku.

- Dobry wieczór, pani Scarlett. Tak myślałem, że to pani.

Mogę w czymś pomóc?

Elegancki mężczyzna puścił dziewczynę i spojrzał na Canfielda.

Wydawał się zmieszany i zły. Ale zamiast coś powiedzieć, wybiegł na ulicę i wskoczył do samochodu.

- Chwileczkę, niech pan zaczeka! - Inspektor podbiegł do auta i położył dłoń na klamce.  
- Może mógłby nas pan podrzucić...

Silnik zawył i wóz ruszył w dół ulicy, gwałtownie wrywając klamkę z zaciśniętej dłoni Canfielda, który upadł na ziemię. Wstał obolały i odezwał się do Janet Scarlett:

- Cholernie mało uczynny ten pani przyjaciel.

Janet Scarlett popatrzyła na inspektora.

- W życiu go nie widziałam... Przynajmniej tak mi się wydaje...

Może... Przykro mi, ale nie pamiętam pańskiego nazwiska. Przepraszam i bardzo panu dziękuję.

- Nie ma potrzeby przepraszać. Spotkaliśmy się tylko raz.

Kilka tygodni temu w klubie w Oyster Bay.

- Aha. - Dziewczyna wyraźnie nie miała ochoty przypominać sobie tamtego wieczoru.

- Przedstawił mnie pani Chris Newland. Nazywam się Canfield.

- A, tak.

- Matthew Canfield. Ten z Chicago.

- Tak, teraz pamiętam.

- Chodźmy. Złapię taksówkę.

- Pana ręka krwawi.

- Pani kolano też.

- Tylko się zadrapałam.

- Ja też. Wygląda gorzej, niż jest w rzeczywistości.

- Może powinien pan iść do lekarza.

- Wystarczy mi chustka do nosa i trochę lodu. Chustka na rękę, a lód do szkockiej. Oto potrzebna mi kuracja. - Doszli do Piątej Alei i Canfield zatrzymał taksówkę.

Janet Scarlett uśmiechnęła się wsiadając do samochodu.

- Tyle mogę panu zapewnić.

Hol w domu Scarlettów na Pięćdziesiątej Czwartej był dokładnie taki, jak Canfield sobie wyobrażał. Obszerny, z grubymi drzwiami i imponującą klatką schodową na wprost wejścia, wysoką na dwie kondygnacje. Na obu ścianach wisiały zabytkowe lustra, obok nich naprzeciwko siebie znajdowały się podwójne przeszklone drzwi. Te po prawej były otwarte i Canfield zobaczył konwencjonalnie umeblowaną jadalnię. Zamknięte drzwi z lewej prowa-

dziły prawdopodobnie do salonu. Na parkiecie leżały drogie wschodnie dywany. Canfielda zaszokowały jednak kolory samego korytarza.

Ściany pokryte były głęboko czerwonym adamaszkiem, a na oszklonych drzwiach wisały czarne zasłony z grubego aksamitu, zupełnie nie pasujące do delikatnych francuskich mebli.

Janet Scarlett dostrzegła jego reakcję i odezwała się, zanim zdołał ją ukryć:

- Paskudne, prawda?

- Nie zauważyłem nic paskudnego - odpowiedział grzecznie.

- Mój mąż nalegał na tę ohydną czerwień, zastąpił też moje różowe jedwabie tymi okropnymi czarnymi draperiami. Zrobił mi potworną awanturę, kiedy się sprzeciwiłam. - Otworzyła podwójne drzwi i weszła w ciemność, żeby zapalić lampę.

Canfield wszedł za nią do niezwykle urządzonego salonu. Miał wielkość pięciu kortów do squasha, a liczba kanap, sof i foteli przyprawiała o zawrót głowy. Na niezliczonych stolikach ustawionych przy miejscach do siedzenia stały ozdobione frędzlami lampy.

W rozstawieniu mebli nie było żadnej myśli. W przyćmionym świetle jednej lampy wzrok Canfielda przyciągnęły niewyraźne refleksy znad kominka. Były to zdjęcia. Tuziny fotografii rozmaitej wielkości w cienkich czarnych ramkach. Ułożono je jak kompozycję kwiatową, której punktem centralnym był arkusz papieru w złotym obramowaniu umieszczony nad środkiem kominka.

- Tam są napoje i lód - powiedziała dziewczyna wskazując na barek. - Poczęstuj się. Przepraszam na chwilę. Pójdę zmienić pończochy. - Zniknęła w holu.

Canfield podszedł do barku ze szklanym blatem i nalał szkockiej do dwóch szklanek. Z kieszeni spodni wyjął czystą chustkę do nosa, zanurzył ją w wodzie z lodem i owinął lekko krwawiącą dłoń.

Następnie zapalił drugą lampę, żeby oświetlić wystawę nad kominkiem.

Niewiarygodne. Była to pełna fotograficzna prezentacja kariery wojskowej Ulstera Stewarta Scarletta. Od szkoły oficerskiej do zaokrętowania, od przybycia do Francji do chwili znalezienia się w okopach. Pomiedzy zdjęciami wisały mapki z pozycjami zaznaczonymi grubymi czerwonymi i niebieskimi liniami. Na większości fotografii głównym bohaterem był Ulster.

Canfield widział już wcześniej zdjęcia Scarletta, były to jednak głównie ujęcia z przyjęć albo fotki robione z okazji różnych sportowych zmagani - przy polo, tenisie albo na żaglach - na których wyglądał dokładnie tak, jak życzyła sobie tego firma fotograficzna Brooks Brothers. Tu jednak był między żołnierzami i Canfield zobaczył, że Scarlett jest niemal o pół głowy wyższy od najwyższego z nich. Wszędzie byli żołnierze, wszystkich stopni i wszystkich formacji. Niezdarni kaprale, zmęczeni sierżanci ustawiający w szeregu jeszcze bardziej zmęczonych szeregowców, wpatrzeni w Scarletta oficerowie - wszyscy robili to, co robili, bo tak chciał energiczny szczupły porucznik, który w jakiś sposób skupiał na sobie całą ich uwagę. Na wielu zdjęciach młody oficer obejmował ramionami sztucznie uśmiechniętych towarzyszy, jakby zapewniając ich, że te szczęśliwe dni wkrótce powrócą.

Twarz Scarletta promieniała optymizmem. Zimny i bardzo zadowolony z siebie, pomyślał Canfield. Znajdujący się na środku ozdobnie obramowany arkusz okazał się aktem nadania Srebrnej Gwiazdy za waleczność pod Meuse-Argonne. Ze zdjęć wynikało, że Ulster Scarlett był najlepiej przystosowanym bohaterem, jaki kiedykolwiek miał szczęście znaleźć się na wojnie. Cała ta wystawa wydawała się groteskowo nie na miejscu. Powinna znajdować się w gabinecie zasłużonego wojownika, który walczył przez pół wieku, a nie tu, na Pięćdziesiątej Czwartej, w przeładowanym salonie człowieka uganiającego się za przyjemnościami.

- Ciekawe, prawda? - Janet wróciła do pokoju.

- Robią wrażenie, mówiąc oględnie.

- Otóż to. Gdyby ktoś zapomniał, wystarczy, żeby wszedł tutaj, i zaraz sobie przypomni.

- Rozumiem, że ta... obrazkowa historyjka wojenna nie była twoim pomysłem. - Wręczył Janet drinka; zauważył, że chwyciła go mocno i natychmiast podniosła do ust.

- Z całą pewnością nie. - Odstawiła prawie pustą szklankę. Proszę, siadaj.

Canfield szybko wypił większą część swojej szkockiej.

- Pozwolisz, że najpierw zajmę się tym. - Wziął od niej szklankę. Usiadła na dużej sofie twarzą do kominka, a on podszedł do barku. - Nigdy nie sądziłem, że twój mąż cierpi na tego rodzaju... - przerwał i kiwnął głową w stronę kominka - ...kaca.

- Trafne porównanie. Jesteś filozofem.

- Niechcący. Po prostu nigdy nie myślałem, że to taki typ człowieka. - Przyniósł drinki, podał jej jeden i stanął obok.

- Nie czytałeś jego sprawozdań? Myślałam, że prasa nie pozostawiła wątpliwości co do tego, kto naprawdę jest odpowiedzialny za porażkę kajzera. - Napila się.

- Cóż, tacy są chłopcy z prasy. Muszą sprzedać swoje gazety.

Czytałem je, ale nie brałem tego na serio. Sądziłem, że on też nie.

- Mówisz, jakbyś znał mojego męża.

Canfield zrobił zdziwioną minę i odsunął szklankę od ust.

- Nie wiedziałas?

- Czego?

- Że go znałem. I to całkiem dobrze. Byłem pewien, że wiesz.

Przepraszam.

Janet ukryła zaskoczenie.

- Nie ma za co przepraszać. Ulster miał szerokie grono przyjaciół. Nie mogę znać ich wszystkich. Czy byłeś jego nowojorskim znajomym? Nie pamiętam, żeby wspominał o tobie.

- Nie, niezupełnie. Spotykaliśmy się czasem, kiedy przyjeżdżałem na wschód.

- Ach, prawda, jesteś z Chicago.

- Tak. Ale moja praca zmusza mnie do podróży po całym kraju.

- A co robisz?

Canfield usiadł.

- Mówiąc prozaicznie, jestem sprzedawcą.

- Co sprzedajesz? Znam mnóstwo ludzi, którzy sprzedają różne rzeczy. •

- Hmm... Nie handluję ani akcjami, ani domami, ani nawet mostami. Sprzedaję korty tenisowe.

Janet roześmiała się. Miała przyjemnie brzmiący śmiech.

- Żartujesz!

- Nie, poważnie. Sprzedaję korty tenisowe.

Odstawił szklankę i udawał, że szuka czegoś po kieszeniach.

- Zobaczą, czy mam jakiś przy sobie. Naprawdę są bardzo ładne. Piłka doskonale się odbija. Standard wimbledoński, tyle że bez trawy. Tak się zresztą nazywa nasza firma. Wim-



bledon. Proszę mi wierzyć, to świetne korty. Prawdopodobnie grałaś na wielu nie wiedząc, komu to zawdzięczasz.

- Dlaczego ludzie kupują od was korty? Nie mogą sobie sami ich zrobić?

- Jasne, że mogą. Wolą jednak nasze.

- Nabierasz mnie. Kort to kort.

- Tylko jeśli chodzi o trawiaste, moja droga. Ale one nigdy nie są gotowe na wiosnę, a jesienią zawsze brązowieją. Nasze są całoroczne.

Znów się roześmiała.

- Naprawdę to bardzo proste. Moja firma wynalazła rodzaj asfaltu, który podwaja odbicie kortu trawiastego. Nie mięknie od gorąca, nie pęka od mrozu. Życzysz sobie może taki kort? Za trzy dni będą tu nasze ciężarówki, a przez ten czas zamówimy pierwszą partię żwiru. Zanim się obejrzyysz, będziesz miała piękny kort na Pięćdziesiątej Czwartej.

Zaśmiali się oboje.

- Zakładam, że jesteś mistrzem tenisa.

- Nie. Gram, ale słabo. Nie przepadam za tenisem. Naturalnie mamy na liście płac kilku międzynarodowych asów, którzy reklamują nasze korty. Tak na marginesie, gwarantujemy pokazowy mecz na twoim korcie w dniu zakończenia robót. Możesz zaprosić przyjaciół i urządzić przyjęcie.

- Jestem pod wrażeniem.

- Oferujemy najlepsze korty i najlepsze przyjęcia od Atlanty po Bar Harbor. - Uniósł szklankę.

- Ach, więc sprzedałeś Ulsterowi kort?

- Nigdy nie próbowałem. Pewnie by się udało. Kiedyś kupił sterowiec, a w końcu czym jest kort tenisowy w porównaniu ze sterowcem?

- Jest bardziej płaski. - Zachichotała i wyciągnęła szklankę w jego stronę. Wstał i podszedł do baru odwiązując z dłoni chustkę i chowając ją do kieszeni. Janet powoli zgasiła papierosa w stojącej przed nią popielniczce. - Skoro nie jesteś z kręgu nowojorskich znajomych mojego męża, to gdzie go poznałeś?

- Po raz pierwszy spotkaliśmy się na studiach. Ale na krótko, bardzo krótko. Przerwałem studia w połowie pierwszego roku. Canfield zastanawiał się, czy Waszyngton umieścił w Princeton papiery dawno zapomnianego studenta.

- Awersja do książek?

- Brak pieniędzy. Miała je nie ta gałąź rodziny. Potem byliśmy razem w wojsku, też bardzo krótko.

- W wojsku?

- Owszem. Ale nie w tym okresie. - Wskazał na kominek i wrócił na kanapę.

- Nie?

- Rozstaliśmy się po szkoleniu w New Jersey. On pojechał do Francji, po sławę. Ja do Waszyngtonu i nudy. Przedtem jednak niezłe spędzaliśmy razem czas. - Canfield pochylił się ku niej nieznacznie, pozwalając, by w jego głosie zabrzmiała lekka poufalość, pojawiająca się zazwyczaj pod wpływem alkoholu. - Oczywiście jego szaleństwa skończyły się po ślubie...

- Niezupełnie, panie Canfield.

Popatrzył na nią uważnie.

- W takim razie był większym głupcem, niż myślałem.

Spojrzała mu w oczy tak, jak się patrzy na list, który próbuje się czytać nie między wierszami, lecz jakby pod słowami.

- Jesteś bardzo pociągający. - Podniosła się szybko, trochę chwiejnie, i odstawiła drinka na mały stolik obok kanapy. - Nie jadłam obiadu i jeśli zaraz czegoś nie zjem, zacznę mówić od rzeczy.

Nie lubię mówić od rzeczy.

- Zapraszam do restauracji.

- Mam pozwolić, żebyś zakrwaawił garniturek jakiegoś biednego kelnera?

- Koniec z krwawieniem - Canfield pokazał rękę. - Chciałbym zjeść z tobą kolację.

Wzięła swojego drinka i kiwając się lekko podeszła do kominka.

- Wiesz, co miałam właśnie zrobić?

- Nie. - Siedział dalej w niedbałej pozie na kanapie.

- Miałam cię prosić, żebyś sobie poszedł.

Canfield zaczął powoli wstawać.

- Zaraz, poczekaj. Chciałam zostać sama, przegryźć coś w samotności, ale może nie jest to taki dobry pomysł.

- Myślę, że okropny...

- Więc nie zrobię tego. Ale nie chcę wychodzić. Zjesz ze mną to, co się znajdzie w domu?

- Czy to nie za duży kłopot?

Janet Scarlett pociągnęła za sznur zwisający obok kominka.

- Tylko dla naszej gospodyni. A ona nie przepracowywała się zbyt, odkąd mój mąż... wyjechał.

Gospodyni odpowiedziała na wezwanie tak szybko, że Canfield zastanawiał się, czy nie podsłuchiwała pod drzwiami. Była chyba najbrzydszą kobietą, jaką w życiu widział. Jej koścista twarz okolona ściągniętymi z tyłu siwymi włosami, była jakaś taka nieprzyjemnie ostra, męska. Miała ogromne, Rzucające się w oczy ręce.

- Słucham? Nie spodziewaliśmy się pani dziś wieczór. Mówiła pani, że zje obiad z madame Scarlatti.

- Wygląda na to, że zmieniłam zdanie, prawda, Hannah? Pan Canfield i ja zjemy tutaj. Powiedziałam mu, że zdajemy się na los, więc podaj, co jest.

- Dobrze, proszę pani.

Środkowoeuropejski akcent, Niemka, a może Szwajcarka, pomyślał Canfield.

Za chwilę podano im znakomity posiłek.

Kiedy ta stara suka czegoś chce, trzęsie wszystkimi, aż dopnie swego - powiedziała Janet. Wrócili do salonu i sącząc brandy siedzieli ramię w ramię na pełnej poduszek kanapie.

- To chyba oczywiste. Z tego, co słyszałem, właśnie ona wszystkim dyryguje.

- Mój mąż nigdy tak nie uważał - rzekła dziewczyna. Wściekała się na niego.

Canfield zauważył obojętnym tonem:

- Naprawdę? Nie wiedziałem, że były między nimi nieporozumienia.

- Och, żadne nieporozumienia. Ulster nigdy nie troszczył się o nic ani o nikogo na tyle, żeby rozrabiać. Nie walczył. Po prostu robił, co chciał. Był jedyną osobą, której nie potrafiła kontrolować, i bardzo jej się to nie podobało.

- Mogła mu przecież odciąć dopływ pieniędzy - stwierdził Canfield naiwnie.

- Miał własne.  
- Prawdopodobnie doprowadzał ją do szaleństwa.  
Młoda mężatka patrzyła na kominek.  
- Mnie też doprowadzał do szaleństwa. Ona jest taka sama.  
- Jest jego matką...  
- A ja jego żoną. - Była już pijana, wpatrywała się z nie ukrywaną nienawiścią w fotografię. - Ona nie ma prawa zamykać mnie w klatce jak zwierzę i straszyć głupimi plotkami! Kłamstwa!  
Miliony kłamstw! To byli koledzy mojego męża, nie moi!  
- Kumple Ulstera zawsze byli trochę dziwni, tu się z tobą zgadzam. Jeśli ci nie pasują, zignoruj ich. Nie są ci potrzebni.  
Janet roześmiała się.  
- Tak właśnie zrobię! Pojadę do Paryża, do Kairu i diabli wiedzą gdzie jeszcze, i dam do gazet ogłoszenia. Wszyscy przyjaciele tego drania Ulstera Scarletta, mam was gdzieś! Podpisane: J. Saxon Scarlett, wdowa. Przynajmniej taką mam nadzieję.  
Inspektor wykorzystał okazję.  
- Czy ona ma o tobie informacje, które w jakiś sposób mogą ci zaszkodzić?  
- O, ona niczego nie przegapi. Zresztą nieważne. Niech idzie do diabła.  
- Po co jedzie do Europy?  
- Czemu cię to interesuje?  
- Zwyczajna ciekawość. Czytałem o tym w gazetach.  
- Nie mam pojęcia.  
- Czy ma to coś wspólnego z plotkami, z tymi kłamstwami zbieranymi w Paryżu... i gdzie indziej? - Usiłował mówić niewyraźnie, i przychodziło mu to z łatwością.  
- Sam ją o to zapytaj. Wiesz, dobra ta brandy. - Wypiła resztę z kieliszka i odstawiła go. Inspektor miał jeszcze większą część swojej porcji. Wstrzymał oddech i łyknął wszystko.  
- Masz rację. To suka.  
- Suka. - Dziewczyna przyłgnęła do ramienia Canfielda, zwracając ku niemu twarz. - Ty nie jesteś suką, prawda?  
- Nie. Poza tym ja jestem rodzaju męskiego. Czemu jedzie do Europy?  
- Mnóstwo razy zadawałam sobie to pytanie, ale nie wymyśliłam żadnej odpowiedzi. I wszystko mi jedno. Czy naprawdę jesteś taki miły, jak mi się wydaje?  
- Naprawdę.  
- Zamierzam cię pocałować i sprawdzić.  
- Nie masz aż takiej praktyki...  
- Ależ mam. - Objęła Canfielda za szyję i przyciągnęła do siebie. Drżała. Wyglądała na zdesperowaną, a on nie wiedzieć czemu czuł, że pragnie ją chronić. Zdjęła rękę z jego ramienia.- Chodźmy na górę - rzekła.  
Na górze pocałowali się i Janet Scarlett ujęła w dłoń jego twarz.  
- Korzyści z bycia panią Scarlett bez Scarletta u boku... Tak powiedziała.  
- Kto? Kto tak powiedział?  
- Mama Suka. Ona.  
- Jego matka?

- Dopóki go nie znajdzie... jestem wolna. Weź mnie, Matthew.

Proszę cię, weź mnie, na miłość boską!

Prowadząc ją do łóżka Canfield postanowił przekonać jakoś swoich przełożonych, że koniecznie musi się znaleźć na pokładzie "Calpurni".

## ROZDZIAŁ 17

Jefferson Cartwright wyszedł z sauny w klubie i stanął pod prysznicem, poddając się ostremu strumieniowi bijącemu go w czubek głowy. Potem podniósł do góry twarz, aż igiełki wody zaczęły ranić mu skórę. Przekręcił kurek tak, by woda robiła się coraz zimniejsza, na końcu lodowata.

Zeszłej nocy spał się na umór. Właściwie to zaczął pić już wczesnym popołudniem, a o północy był tak zalany, że postanowił zostać w klubie zamiast iść do domu. Miał co świętować. Od ostatniego, zwycięskiego spotkania z Elizabeth Scarlatti spędził kilka dni, uważnie analizując sprawy Fundacji Scarwyck. Teraz był przygotowany na wejście między lwy. Cały czas myślał o swojej umowie z Elizabeth.

Nosił ją w teczce, dopóki nie dowiedział się o Scarwyck wszystkim, co trzeba. Kiedy woda rozpryskiwała mu się na głowie, przypomniał sobie, że zamknął teczkę w skrytce na dworcu Grand Central. Wielu jego znajomych uważało, że skrytki dworcowe są bezpieczniejsze od sejfów. Na pewno były bezpieczniejsze niż sejf Scarlattich!

Po lunchu weźmie teczkę i zanieś umowę swoim adwokatom.

Będą zdumieni. Miał nadzieję, że postawią mu parę pytań o Scarwyck. Zarzuci ich tyłoma faktami i liczbami, że będą zaszokowani.

Jakby już ich słyszał: "To ci dopiero, Jeff! Nie mieliśmy pojęcia!"

Roześmiał się głośno pod prysznicem.

On, Jefferson Cartwright, był teraz najważniejszy. Wszyscy ci napuszeni, protekcyjni buce z północy, którzy nie umieją nawet zadowolić własnych żon, muszą się teraz liczyć ze starym Jeffem.

Mój Boże, pomyślał, mogę teraz kupić i sprzedać połowę członków tego klubu! Cudowny dzień!

Po kąpeli ubrał się i rozkoszując się swoimi nowymi możliwościami radośnie wszedł do baru "Tylko dla członków klubu".

Większość z nich przyszła już na lunch, kilku bez specjalnego entuzjazmu przyjęło jego zaproszenie na drinka. Ich niechęć zmieniła się jednak szybko w przyjazne zainteresowanie, kiedy Jefferson rzucił niedbale, że "przejmuje sprawy finansowe Fundacji Scarwyck".

Dwóch czy trzech gości stwierdziło nagle, że ten prostak Jefferson Cartwright ma zalety, których wcześniej nie dostrzegali.

Naprawdę, niezły facet, jak się tak zastanowić... Ma w sobie coś!

Po chwili skórzane fotele wokół okrągłego dębowego stolika, przy którym usiadł Jefferson, były zajęte.

Kiedy wskazówki zegarka zbliżyły się do drugiej trzydzieści, goście Jeffersona przeprosili go i ruszyli do swoich biur i telefonów.

Natychmiast rozeszły się wieści o nieoczekiwanym wejściu Cartwrighta do Fundacji Scarwyck.

Jednakże nie wszyscy wyszli. Wraz z kilkoma wytrwałymi pozostał także nie znany nikomu mężczyzna z wypielegnowanymi wąsikami, który dołączył do świty Jeffersona Cartwrighta. Miał jakieś pięćdziesiąt lat i wyglądał tak, jak chcieliby wyglądać wszyscy starsi panowie z towarzystwa.

Choć goście przy stoliku nie wiedzieli, jak on się nazywa, nikt nie chciał się do tego przyznać. W końcu byli w klubie.

Mężczyzna usadowił się obok Jeffersona, jak tylko zwolniło się krzesło. Opowiadał zabawne historyjki i nalegał, żeby zamówić następną kolejkę.

Kiedy podano drinki, elegancki dżentelmen sięgnął po kieliszki i postawił je przed sobą w trakcie opowiadania anegdotki. Skończywszy mówić, wręczył jeden Jeffersonowi.

Jefferson wziął drinka i wypił go do dna.

Mężczyzna przeprosił i wyszedł. Dwie minuty później Jefferson Cartwright padł na stół. Nie miał zamglonych ani zamkniętych oczu, jakie zazwyczaj miewają ludzie, którzy osiągnęli szczyt możliwości pochłaniania alkoholu. Jego oczy były otwarte i wytrzeszczone.

Jefferson Cartwright był martwy.

Nie znany nikomu dżentelmen już nie wrócił.

W drukarni nowojorskiej gazety w centrum miasta stary zecer składał krótką notatkę prasową. Miała się ukazać na dziesiątej stronie.

**ŚMIERĆ BANKIERA W ELEGANCKIM MĘSKIM KLUBIE** Zecer nie okazał zainteresowania.

Kilka maszyn dalej drugi pracownik drukarni wystukiwał inną notatkę. Ta z kolei umieszczona była pomiędzy drobnymi ogłoszeniami na stronie czterdziestej ósmej.

**WŁAMANIE DO SKRYTKI NA DWORCU GRAND CENTRAL** Drukarz zamyślił się. Czy nie ma już żadnych bezpiecznych miejsc?

## ROZDZIAŁ 18

Siadając przy kapitańskim stoliku w jadalni pierwszej klasy "Calpurni", Elizabeth Scarlatti z pewnym zdziwieniem stwierdziła, że jej towarzyszem z prawej strony jest młody, najwyżej trzydziestoletni mężczyzna o nazwisku Canfield. Zazwyczaj, kiedy podróżowała samotnie, dyrekcja linii sadzała koło niej jakiegoś starego dyplomatę albo emerytowanego malkera dobrze grającego w karty;

kogoś bliższego jej wiekiem.

Nie miała jednak o to pretensji, ponieważ sprawdziła listę pasażerów - zawsze to robiła, by uniknąć kłopotliwych spotkań z przeciwnikami w interesach - i zauważyła, że Matthew Canfield pracuje w firmie sprzedającej artykuły sportowe, która robiła duże zakupy w Anglii. Ktoś z towarzystwa, uznała.

Tak czy owak, dało się go lubić. Grzeczny młody człowiek, wprowadzie nieco powierzchowny, pomyślała, ale zapewne dobry sprzedawca, jak sam oznajmił z wdziękiem.

Pod koniec obiadu do stolika podszedł oficer pokładowy: do madame Scarlatti był telegram.

- Może pan go tu przynieść - powiedziała Elizabeth z irytacją.

Oficer dodał coś cicho.

- Dobrze. - Podniosła się z krzesła.

- Mogę w czymś pomóc, madame Scarlatti? - zapytał Matthew Canfield, wstając wraz z innymi stołownikami.

- Nie, dziękuję.

- Jest pani pewna?

- Najzupełniej. Dziękuję. - Wyszła z sali za oficerem.

W kabinie radiotelegrafisty posadzono ją przy stoliku za kontuarem i wręczono telegram. Zauważyła widniejącą na początku instrukcję: "Pilne - sprowadzić adresata do pomieszczenia służbowego i natychmiast wysłać odpowiedź".

Podniosła wzrok na oficera pokładowego, który czekał po drugiej stronie kontuaru, żeby odprowadzić ją z powrotem do sali.

- Przepraszam, postąpił pan zgodnie z poleceniem.

Przeczytała tekst telegramu.

MADAME ELIZABETH SCARLATTI: HMp CALPURNIA, NA MORZU WICEPREZES CARTWRIGHT NIE ŻYJE STOP POWÓD ŚMIERCI NIEJASNY STOP PRZED ŚMIERCią CARTWRIGHT PUBLICZNIE OZNAJMIŁ ŻE ZAJĄŁ WAŻNE STANOWISKO W FUNDACJI SCARWYCK STOP NIC NAM JESZCZE NIE WIADOMO O TAKIM STANOWISKU ALE INFORMACJA POCHODZI Z WIARYGODNEGO ŹRÓDŁA STOP WOBEC POWYŻSZEGO CZY ŻYCZY SOBIE PANI TO SKOMENTOWAĆ ALBO PRZEKAZAĆ NAM JAKIEŚ INSTRUKCJE STOP WYDARZENIE NADZWYCZAJ TRAGICZNE I KŁOPOTLIWE DLA KLIENTÓW BANKU STOP NIE BYLIŚMY ŚWIADOMI DODATKOWEJ DZIAŁALNOŚCI WICEPREZESA CARTWRIGHTA STOP OCZEKUJEMY PANI ODPOWIEDZI STOP HORACE BOUTIER PREZES WATERMAN TRUST COMPANY Elizabeth była wstrząśnięta. Wysłała Boutierowi wiadomość, że

wszystkie oświadczenia w imieniu Zakładów Scarlatti wyda w ciągu tygodnia Chancellor Drew Scarlett. Do tego czasu nie będzie żadnych komentarzy.

Drugi telegram wysłała do Chancellora.

SCARLETT, 66 ULICA 129, NOWY JORK W SPRAWIE JEFFERSONA CARTWRIGHTA ŻADNYCH OŚWIADCZEŃ POWTARZAM NIE BĘDZIE ŻADNYCH OŚWIADCZEŃ PUBLICZNYCH ANI PRYWATNYCH POWTARZAM PUBLICZNYCH ANI PRYWATNYCH DOPÓKI NIE ZADZWONIĘ DO CIEBIE Z ANGLII STOP POWTARZAM ŻADNYCH OŚWIADCZEŃ STOP ZAWSZE KOCHAJĄCA MATKA Elizabeth czuła, że powinna wrócić do stolika, by nie wzbudzać zbytniego zainteresowania sprawą. Kiedy powoli szła wąskimi korytarzami za oficerem pokładowym, coraz lepiej rozumiała, że to, co się stało, było ostrzeżeniem. Natychmiast odrzuciła hipotezę, że "dodatkowa działalność" Cartwrighta stała się przyczyną jego śmierci. Był zbyt niepoważny, by komukolwiek naprawdę zagrażać.

Jednak musiała się przygotować na to, że jej umowa z Cartwrightem wyjdzie na jaw. Można było podać kilka wyjaśnień, lecz i tak prawdopodobnie wszyscy uznają, że jej wiek w końcu dał o sobie znać. Umowa tego rodzaju z człowiekiem takim jak Jefferson Cartwright stawiała pod znakiem zapytania wiarygodność Elizabeth jako szefa Zakładów.

Nie obchodziło to madame Scarlatti. Nie przejmowała się opinią innych.

Obchodziło ją za to, i to bardzo, coś innego. Coś, czego naprawdę się obawiała: że umowa nie zostanie odnaleziona.

Wróciwszy do stolika usprawiedliwiła swoją nieobecność krótkim stwierdzeniem, że zmarł jeden z jej zaufanych pracowników, którego dosyć lubiła. Ponieważ wyraźnie nie miała ochoty na rozwijanie tematu, towarzystwo przy stole złożyło jej wyrazy współczucia i po stosownej przerwie w rozmowie wróciło do przerwanych wątków.

Kapitan "Calpurni", otyły Anglik z krzaczastymi brwiami i kwadratową szczęką, zauważył z zadumą, że utratę dobrego pracownika porównać można do utraty bosmana.

Młody człowiek siedzący obok Elizabeth pochylił się ku niej i odezwał cicho:

- On jest jakby żywcem wzięty z Gilberta i Sullivana -, prawda?

Starsza pani odwzajemniła konspiracyjny uśmiech Canfielda i wśród szmeru rozmów odparła półgłosem:

- Oto prawdziwy władca na morzu. Wyobraża pan sobie, jak skazuje winnych na chłostę?

- Nie - odparł Canfield. - Ale mogę sobie wyobrazić, jak gramoli się z wanny. To zabawniejsze.

- William Gilbert i Arthur Sullivan - autorzy operetek, popularnych w Anglii pod koniec XIX wieku.

- Niegrzeczny chłopiec. Jeśli wpadniemy na górę lodową, będę pana unikać.

- Nie uda się to pani. Znajdę się w pierwszej szalupie, a z pewnością ktoś z obecnego tu grona zarezerwuje w niej miejsce dla pani. - Uśmiechnął się rozbajająco.

Elizabeth roześmiała się. Ten młody mężczyzna bawił ją przyjemnie było być traktowaną z pewnego rodzaju dobroduszną beczelnością. Ale kiedy gawędzili o swoich przyszłych zajęciach w Anglii, żadne z nich nie miało zamiaru powiedzieć drugiemu nic istotnego.

Po obiedzie goście kapitana przeszli do salonu gier i podzielili się na pary do brydża.

- Zakładam, że gra pani beznadziejnie - powiedział Canfield do Elizabeth z łobuzerskim uśmiechem. - Ponieważ ja jestem niezły, pociągnę panią.

- Trudno odmówić tak zachęcającemu zaproszeniu...



Po chwili Canfield zapytał:

- Kto umarł? Może go znam?
- Wątpię, młody człowieku.
- Nigdy nic nie wiadomo. Kto to był?
- Jakim cudem mógłby pan znać skromnego pracownika mojego banku?
- Odniosłem wrażenie, że był dosyć ważną figurą.
- Sądzę, że niektórym mógł się rzeczywiście takim wydawać.
- No cóż, jeżeli był wystarczająco bogaty, mogłem mu sprzedać kort tenisowy...
- Jest pan niemożliwy, panie Canfield. - Elizabeth roześmiała się.

Podczas gry zauważyła, że mimo zadatków na pierwszorzędnego brydżyste młody handlowiec w rzeczywistości nie gra najlepiej.

W jednym- rozdaniu tak licytował, że został dziadkiem, złożyła to jednak na karb jego uprzejmości. Spytał stewarda o pewien gatunek cienkich cygar, a kiedy ten zaproponował mu inne, przeprosił ich mówiąc, że przyniesie je z kajuty.

Elizabeth przypomniała sobie, że w jadalni przy kawie uroczy pan Canfield otworzył świeżą paczkę cienkich cygar.

Wrócił w kilka minut -po zakończeniu rozdania tłumacząc się, że musiał odprowadzić do kabiny starszego pasażera, któremu morze dało się we znaki.

Elizabeth spojrzała uważnie na młodego mężczyznę i z pewną satysfakcją, a także z niepokojem stwierdziła, że unika on jej spojrzenia.

Gra skończyła się dosyć wcześnie, bowiem "Calpurnią" coraz mocniej bujało. Canfield odprowadził Elizabeth Scarlatti do jej apartamentu.

- Był pan uroczy - powiedziała. - Teraz pana zwalniam, może pan się zająć młodszą generacją.

Uśmiechnął się i wręczył jej klucze do kabiny.

- Skoro pani nalega... Ale skazuje mnie pani na nudę.

Wie pani o tym.

- Czasy naprawdę się zmieniły, a może zmienili się młodzi ludzie - stwierdziła Elizabeth.

- Może. - Kiedy to powiedział, wydało się jej, że chce jak najprędzej odejść.

- Cóż, starsza pani dziękuje.

- A nie taki młody pan dziękuje pani. Dobranoc, madame Scarlatti.

Odwróciła się do niego.

- Czy wciąż chciałby pan wiedzieć, kim był człowiek, który zmarł?

- Uznałem, że nie chce mi pani powiedzieć. To zresztą nieważne. Dobranoc.

- Nazywał się Cartwright. Jefferson Cartwright. Znał go pan? - Uważnie patrzyła mu w oczy.

- Niestety nie. - Spojrzenie miał spokojne, najzupełniej niewinne. - Dobranoc.

- Dobranoc, młody człowieku. - Weszła do apartamentu i zamknęła drzwi. Słyszała jego kroki zamierające na zewnętrznym korytarzu. Spieszył się.

Zdjęła futro z norek i przeszła do dużej, wygodnej sypialni.

Zapaliła lampę przymocowaną do nocnego stolika i usiadła na brzegu łóżka. Próbowwała przypomnieć sobie szczegółowo, co kapitan "Calpurni" powiedział o tym człowieku, kiedy przedstawiał jej do zatwierdzenia listę gości siedzących przy jej stoliku.

- ...no i jeszcze jeden młody facet. Wiem, że ma dobre stosunki, nazywa się Canfield. Elizabeth nie poświęciła tej skróconej biografii więcej uwagi niż innym.

- Związany jest z firmą handlującą artykułami sportowymi i dość regularnie pływa z nami. Ta jego firma nazywa się chyba Wimbledon. |

A potem, jeśli pamięć jej nie myliła, kapitan dodał:

- To polecenie od dyrekcji. Pewnie syn któregoś ze starszych panów. Szkolna przyjaźń albo coś takiego. Musiałem dla niego skreślić doktora Barstowa.

Elizabeth wyraziła zgodę nie zadając żadnych pytań.

Więc ten młody człowiek został posadzony przy stoliku kapitańskim na specjalne polecenie właściciela angielskich linii oceanicznych...?

Żeby uspokoić pracującą bez wytchnienia wyobraźnię, Elizabeth podniosła słuchawkę telefonu i poprosiła o połączenie z kabiną radiową.

- "Calpurnia", radio, dobry wieczór. - Brytyjski akcent zmienił słowo "wieczór" w brzęczenie.

- Tu Elizabeth Scarlatti, apartament AA3. Chciałabym mówić z oficerem dyżurnym.

- Mówi oficer pokładowy Peters. Czym mogę służyć?

- Czy to pan był na służbie późnym popołudniem?

- Tak, proszę pani. Pani telegramy do Nowego Jorku zostały natychmiast nadane. Powinny dojść w ciągu godziny.

- Dziękuję. Ale dzwonię w innej sprawie... Obawiam się, że minęłam się z osobą, którą miałam spotkać przy waszej kabinie.

Czy ktoś o mnie pytał? - Wsłuchiwała się uważnie, czekając na najdrobniejsze zawahanie głosu swego rozmówcy. Nie było żadnego.

- Nie, proszę pani, nikt o panią nie pytał.

- Cóż, może było mu głupio. Naprawdę mam wyrzuty sumienia.

- Przykro mi, pani Scarlatti. Poza panią było tu tylko troje pasażerów. Pierwsza noc, wie pani.

- Skoro było ich tylko troje, mógłby pan ich opisać?

- Oczywiście. Najpierw starsi państwo z klasy turystycznej, a potem pewien trochę wstawiony dżentelmen, który chciał zarezerwować sobie czas nadawczy.

-Co...? • . .

- Czas nadawczy. Dla pierwszej klasy mamy trzy dziennie. O dziesiątej, dwunastej i drugiej. Miły gość. Tylko wypił jeden kieliszek za dużo.

- Młody człowiek? Pod trzydziestkę? W smokingu?

- Zgadza się, madame.

- Dziękuję, panie Peters. To sprawa bez znaczenia, ale będę wdzięczna za dyskrecję.

- Oczywiście.

Elizabeth wstała i przeszła do saloniku. Jej partner brydżowy nie gra zbyt dobrze w karty, ale za to jest świetnym aktorem.

# ROZDZIAŁ 19

Matthew Canfield spieszył się bardzo, bo żołądek zaczynał odmawiać mu posłuszeństwa. Może poczuje się lepiej na pokładzie B - w barze i wśród ludzi. Dotarł na miejsce i zamówił brandy.

- Niezła zabawa, co?

Potężny, barczysty mężczyzna wyglądający na członka drużyny futbolowej przyparł Canfielda do stojącego obok stołka.

- Tak, rzeczywiście - odparł Canfield z uśmiechem.

- Znam cię! Siedzisz przy stole kapitańskim. Widzieliśmy cię przy kolacji.

- Dają tam dobre jedzenie.

- Wiesz co? Mogłem też tam siedzieć, ale powiedziałem, że sram na kapitański stół.

- Hmm... mielibyśmy interesującą przystawkę.

- Nie, mówię serio. - Akcent natręta wskazywał na Park Avenue. - Mój wuj jest właścicielem mnóstwa akcji. Ale powiedziałem, że sram na to.

- Możesz zająć moje miejsce, jeśli chcesz.

Tamten zachwiał się lekko i przytrzymał się baru.

- Dla mnie to zdecydowanie za nudne. Hej, barman! Whisky z wodą!

Złapał równowagę, po czym pochylił się w stronę Canfielda.

Oczy miał zamglone. Bardzo jasne włosy spadały mu na czoło.

- W jakiej siedzisz branży, kolego? A może jeszcze wciąż w szkole?

- Dzięki za komplement. Nie, pracuję dla firmy Wimbledon, Artykuły sportowe. A ty? - Canfield odwrócił się, by mieć oko na tłum gości.

- Godwin i Rawlins. Maklerzy. Właścicielem jest teść. Piąty największy dom w mieście.

- Nie byle co.

- A twoje plecy?

- Co...?

- No, wejścia. Kto ci załatwił kapitański stół?

- Chyba przyjaciele z firmy. Współpracujemy z angielskimi przedsiębiorstwami.

- Wimbledon... To w Detroit.

- Chicago.

- Ach tak. Abercrombie od raketek. Chwytasz? Abercrombie od raketek.

- My jesteśmy wypłacalni...

Canfield powiedział to niezbyt uprzejmie, ale pijany atleta zaczynał go już irytować.

- Nie bądź taki drażliwy. Jak się nazywasz?

Przedstawiciel firmy Wimbledon już miał odpowiedzieć, kiedy jego wzrok przyciągnął krawat pijanego. Nie wiedział dlaczego. Po chwili zauważył spinki. Duże, w paski o kolorach tak intensywnych jak te na krawacie. Ciemna czerwień i czern.

- Słoń ci nadepnął?

- Słucham...?

- Jak się nazywasz? Ja jestem Boothroyd. Chuck Boothroyd. Ponownie przytrzymał się mahoniowej listwy baru, żeby złapać równowagę. - Zasuwasz dla Abercrombie i... o, przepraszam, dla firmy Wimbledon? - Wyglądało na to, że Boothroyd jest już niezbyt przytomny.

Inspektor zdecydował, że brandy jemu też chyba nie służy. Czuł się naprawdę źle.

- Taak, zasuwam. Słuchaj, przyjacielu, nie czuję się najlepiej.

Nie obraż się, ale chyba powinienem się stąd zabrać, zanim coś mi się przytrafi. Dobranoc, panie...

- Boothroyd.

- Racja. Dobranoc.

Pan Boothroyd otworzył oczy do połowy i wykonał gest pożegnania, sięgając równocześnie po swojego burbona. Canfield wyszedł szybko, choć niepewnie.

- Chuck, koteczku! - Na stołek obok zalanego Boothroyda opadła ciemnowłosa kobieta. - Zawsze znikasz, kiedy cię szukam!

- Nie zachowuj się jak dziwka, najdroższa.

- Będę tak się zachowywać za każdym razem, jak mi to zrobisz!

Barman przypomniał sobie o jakiejś nie załatwionej sprawie i pospiesznie odszedł.

Boothroyd popatrzył na żonę i na kilka króciutkich chwil przestał się kiwać. Utkwił w niej wzrok, jego spojrzenie nie było już niepewne. Dla postronnego obserwatora wyglądali na małżeństwo kłócące się z powodu pijaństwa męża z gwałtownością, która skutecznie odstrasza osoby trzecie. Ale Chuck Boothroyd był zupełnie trzeźwy. Korzystając z hałasu, jaki robili bawiący się, mówił do żony:

- Nie ma problemu, malutka.

- Jesteś pewien?

- Najzupełniej.

- Kim on jest?

- Awansowany sprzedawca. Myślę, że poluje na interes.

- Jeśli jest sprzedawcą, to czemu posadzono go obok niej?

- Och, daj spokój. Panikujesz.

- Jestem po prostu ostrożna.

- On pracuje dla tego sklepu z rzeczami sportowymi w Chicago. Wimbledon. Połowę swoich towarów importują od Angoli. Boothroyd zrobił przerwę, jakby wyjaśniał prosty problem dziecku. - To jest statek brytyjski. Ze staruszką warto nawiązać stosunki, więc przysłali kogoś, żeby ją zbajerował. Poza tym on jest teraz pijany jak bela i słaby jak kot.

- Daj-łyka. - Pani Boothroyd sięgnęła po szklankę męża.

- Proszę bardzo, poczęstuj się.

- Kiedy chcesz to zrobić?

- Za jakieś dwadzieścia minut.

- Dlaczego właśnie dzisiaj?

- Cały statek jest pijany i mamy wspaniałą, cudownie obrzydliwą pogodę. Wszyscy, którzy nie są zalani, rzygają. Albo jedno i drugie.

- Co mam robić?

- Uderz mnie w twarz. A potem wróć do tego kogoś, z kim byłeś, i obróć to wszystko w żart. Po kilku minutach zwałę się na podłogę. Załatw, żeby dwóch facetów zaniósł mnie do kajuty.

Albo trzech.

- Nie wiem, czy jest ktoś wystarczająco trzeźwy.
- Więc zawołaj stewarda. Albo barmana, tak będzie nawet lepiej.
- Dobrze. Masz klucz?
- Mam. Dał mi go twój ojciec dziś rano w porcie.

## ROZDZIAŁ 20

Canfield dotarł do kajuty czując, że zaraz nastąpi katastrofa. Nie kończące się, teraz już gwałtowne kołysanie statku dawało mu się porządnie we znaki. Zastanawiał się, dlaczego ludzie żartowali z choroby morskiej. Dla niego to wcale nie było śmieszne.

Rzucił się na łóżko zdejmując jedynie buty. Z ulgą zapadał w sen. Miał za sobą dwadzieścia cztery godziny bezustannego napięcia.

Wtedy rozległo się pukanie.

Najpierw cicho. Tak cicho, że Canfield zignorował je i przekręcił się na drugi bok. Potem coraz głośniejsze i szybsze. Jakby ktoś pukał jednym palcem - ostry stukot, który rozlegał się echem po całej kabinie.

Canfield, wciąż na wpół śpiący, zawołał:

- O co chodzi?

- Lepiej, żebyś otworzył drzwi, stary.

- Kto tam? - Inspektor usiłował zatrzymać wirujący pokój.

Znowu zaczęło się energiczne pukanie.

- Na litość boską, już dobrze, dobrze!

Podniósł się z trudnością i chwiejnie podszedł do drzwi kajuty.

Otwarcie zasuwki wymagało ogromnego wysiłku. Do środka wpadł umundurowany operator radiowy.

Canfield pozbierał się i spojrzał na niego.

- Czego u diabła chcesz?

- Powiedział pan, żeby przyjść, jeśli będę coś miał. Wie pan.

Ta sprawa, która pana tak interesuje.

- I...?

- No cóż, chyba nie oczekuje pan od brytyjskiego marynarza, że bez powodu złamię przepisy?

- Ile?

- Dziesięć naszych.

- A ile to jest dziesięć "waszych"?

- Jak dla pana, pięćdziesiąt dolarów.

- Cholernie drogo.

- Warto.

- Dwie dychy.

- Daj pan spokój! - syknął marynarz.

- Trzydzieści i ani centa więcej. - Canfield ruszył w stronę łóżka.

- Dobra. Dawaj pan forszę.

Canfield wyjął portfel i wręczył operatorowi trzy banknoty dziesięciodolarowe.

- A więc? Za co zapłaciłem trzydzieści dolarów?

- Przydybała pana. Madame Scarlatti. - I już go nie było.

Canfield umył się w zimnej wodzie, żeby się obudzić, i rozważył różne możliwości wyjścia z sytuacji.

Przyłapano go bez sensownego alibi, więc logicznie rzecz biorąc przestał być użyteczny. Ktoś będzie musiał go zastąpić, a to zabierze czas. Jedyne, co mógł zrobić, to zmylić starszą panią co do swoich mocodawców.

Szczerze żałował, że nie ma przy nim Benjamina Reynoldsa, który służyłby mu dobrą radą. Potem przypomniało mu się, co Reynolds powiedział innemu inspektorowi, który wpadł: "Wykorzystaj część prawdy i znajdź jakieś wytłumaczenie dla swojego postępowania".

Wyszedł z kajuty i wspinał się po schodkach na pokład A.

Znalazł apartament Elizabeth i zapukał do drzwi.

Charles Conaway Boothroyd, wiceprezes firmy maklerskiej Godwin i Rawlins, leżał bez przytomności na podłodze w świetlicy.

Trzej stewardzi, dwaj podchmieleni goście, żona i przechodzący właśnie nawigator zdołali przetaszczyć ogromne ciało ze świetlicy do kajuty. Śmiejąc się zdjęli jasnowłosemu olbrzymowi buty i spodnie, po czym okryli go kocem.

Pani Boothroyd przyniosła dwie butelki szampana i poczęstowała swoich pomocników. Sama również się napiła. Stewardzi i oficer "Calpurni" wypili tylko dlatego, że pani Boothroyd bardzo nalegała, i czym prędzej wyszli. Najpierw jednak pani Boothroyd postarała się, żeby wszyscy zobaczyli, jak Bardzo pijany jest jej mąż.

Kiedy została tylko z dwoma ochotnikami, zapytała:

- Który z was ma wolną kabinę?

Okazało się, że tylko jeden z nich jest kawalerem; żona drugiego bawiła się w salonie.

- Spław ją, zabawimy się sami! - rzuciła. - Sami we trójkę.

Uwielbiam to! Dacie mi radę, chłopcy?

Chłopcy zaczęli kiwać głowami niczym chomiki, które zwęszyły cedrowe wiórki. Pani Boothroyd trochę się zataczając otworzyła drzwi. Mężczyźni niemal zderzyli się na progu, wychodząc za nią z kabiny.

Kiedy kabina opustoszała, Charles Boothroyd odrzucił koc i włożył spodnie. Potem wyjął z szuflady jedną z pończoch żony.

Wciągnął pończochę na głowę, wstał z łóżka i przejrzał się w lustrze. To, co zobaczył, zadowoliło go. Zdjął pończochę i otworzył walizkę.

Pod kilkoma koszulami leżała para tenisówek i cienka elastyczna linka długości około półtora metra.

Włożył tenisówki i zawiązał sznurowadła, linkę rzucił obok nóg.

Naciągnął czarny sweter na atletyczny tors. Uśmiechał się.

Elizabeth Scarlatti leżała już w łóżku, kiedy usłyszała pukanie.

Sięgnęła do szuflady nocnej szafki i wyciągnęła mały rewolwer.

Wstała i podeszła do drzwi prowadzących na zewnątrz.

- Kto tam? - zapytała głośno.

- Matthew Canfield. Chciałbym z panią porozmawiać.

Elizabeth była zaskoczona i zbita z tropu. Powiedziała powoli:

- Jestem pewna, że odrobinę za dużo pan wypił, panie Canfield.

Czy to nie może poczekać do rana?

- Wie pani doskonale, że nie wypilem za duzo i że to nie może czekać. Myślę, że powinniśmy porozmawiać teraz. - Canfield liczył na to, że wiatr i morze przytłumia jego głos. Liczył też, że wobec zaistniałych okoliczności jakoś uda mu się powstrzymać kolejny atak choroby morskiej.

Starsza pani podeszła jeszcze bliżej do drzwi.

- Nie widzę najmniejszego powodu, dla którego mielibyśmy teraz rozmawiać. Mam nadzieję, że nie będę musiała wzywać policji okrętowej.

- Na miłość boską, kobieto, otwórz drzwi! Chyba że woli pani, żebym to ja zadzwonił po policję i powiedział im, że oboje interesujemy się kimś, kto jeździ po Europie z ukradzionymi papierami wartymi miliony...

- Co pan powiedział? - Elizabeth stała teraz przy samych drzwiach.

- Madame Scarlatti, proszę posłuchać... - Matthew Canfield zwinął dłoń w trąbkę i przyłożył ją do drewnianych drzwi. Prawdopodobnie ma pani teraz przy sobie rewolwer. W porządku.

Proszę otworzyć drzwi i jeśli nie będę miał rąk nad głową, jeśli ktoś będzie za mną stał, proszę strzelać! Czy to pani wystarczy?

Otworzyła. Canfield stał na progu, od torsji powstrzymywała go jedynie myśl o czekającej go rozmowie. Kiedy zamknął za sobą drzwi, Elizabeth zorientowała się, w jakim jest stanie.

- Proszę skorzystać z mojej łazienki. Jest tam. Porozmawiamy, gdy doprowadzi się pan do porządku.

Charles Conaway Boothroyd ułożył na łóżku pod kocem dwie poduszki. Podniósł linkę i zręcznie zrobił pętlę. Chrzęst włókien brzmiał w jego uszach jak słodka muzyka. Wsadził do kieszeni pończochę żony i cicho wyszedł z kabiny. Ponieważ znajdował się na pokładzie A po stronie sterburty, musiał jedynie przejść przez pokład spacerowy, żeby znaleźć się na miejscu. Oceniał boczne i wzdłużne kołysanie statku na wzburzonym morzu i szybko ustalił, który moment będzie najwłaściwszy, żeby ciało ludzkie wpadło do wody o nic nie zahaczając. Był prawdziwym profesjonalistą.

Niedługo wszyscy się przekonają, ile jest wart.

Canfield wyszedł z toalety czując znaczną ulgę. Elizabeth patrzyła na niego siedząc w fotelu ustawionym w pewnej odległości za łóżkiem i trzymając gotowy do strzału rewolwer.

- Jeśli usiądę, odłóż pani to cholerstwo?

- Prawdopodobnie nie. Proszę jednak usiąść, porozmawiamy.

Canfield przysiadł na łóżku i przerzucił nogi na drugą stronę, tak że znalazł się twarzą w twarz z Elizabeth. Starsza pani odwiodła kurek.

- Mówił pan przez drzwi o czymś interesującym, panie Canfield, i tylko dlatego ten rewolwer jeszcze nie wystrzelił. Czy mógłby pan kontynuować?

- Tak. Po pierwsze, chciałem pani powiedzieć, że nie jestem...

Nagle zeszywniał.

Ktoś otwierał zamek od drzwi wejściowych. Inspektor wyciągnął rękę do Elizabeth, która bez wahania wręczyła mu broń.

Canfield szybkim ruchem chwycił ją za rękę i delikatnie, ale stanowczo, pociągnął na łóżko. Wyraz jego oczu powiedział jej, co ma robić.

Wyciągnęła się na kocu, oświetlona jedynie nocną lampką, podczas gdy Canfield wycofał się w cień za otwartymi drzwiami do sypialni. Dał jej znak, żeby zamknęła oczy. Nie spo-



dziewał się co prawda, że go posłucha, ale posłuchała. Głowa opadła jej na lewe ramię. Obok prawej ręki leżała gazeta. Wyglądało to, jakby zasnęła podczas lektury.

Ktoś szybko otworzył i zamknął drzwi do kabiny.

Canfield oparł się plecami o ścianę i zacisnął mocno dłoń na małym rewolwerze. Przy stalowym zabezpieczeniu drzwi była szpara szeroka na trzy palce, przez którą mógł wyglądać.

W tym momencie nieproszony gość pojawił się w polu widzenia inspektora.

Był atletycznej budowy, wyższy od Canfielda o dobrych kilkanaście centymetrów, z potężną klatką piersiową i szerokimi barami.

Miał na sobie czarny sweter i czarne rękawiczki, a całą jego głowę okrywała przejrzysta, cieniutka tkanina, może jedwab, która całkowicie zamazywała rysy twarzy.

Intruz wszedł do sypialni i stanął u stóp łóżka, nie dalej niż o krok od Canfielda. Patrzył na starszą panią, wyciągając jednocześnie z kieszeni spodni cienką linkę. Potem ruszył ku lewej stronie łóżka, pochylając się do przodu.

Canfield skoczył ku niemu i z całej siły uderzył go rewolwerem w głowę. Cios przeciął skórę, przez naciągnięty na głowę jedwab wypłynęła strużka krwi. Mężczyzna runął na twarz, zamortyzował jednak upadek rękami i odwrócił się do Canfielda. Był zamroczony jedynie przez kilka sekund.

- Ty! - Nie był to zwykły okrzyk wściekłości. Wyglądało na to, że napastnik rozpoznał Canfielda. - Ty skurwysynu!

Inspektor zaczął szukać w pamięci, przywoływać daty i wydarzenia, lecz mimo to nie miał zielonego pojęcia, kim był ten potężnie zbudowany człowiek. Ale było jasne, że powinien go znać;

a to, że go sobie nie przypominał, mogło okazać się niebezpieczne.

Elizabeth Scarlatti skuliła się u wezgowia łóżka, obserwując rozgrywającą się scenę ze strachem, ale bez paniki.

- Zadzwońię po policję okrętową - zaproponowała.

- Nie! - powiedział ostro Canfield. - Proszę nie dotykać telefonu!

- Pan chyba oszalał!

- Chcesz pójść na ugodę, kolego? - odezwał się nagle intruz.

Ten głos też był jakby znajomy. Inspektor przyłożył rewolwer do głowy mężczyzny.

- Żadnej ugody. Zdejmij maskę.

Tamten powoli podniósł obie ręce.

- O nie, kolego! Jedną ręką. Usiądź na drugiej. Wnętrze dłoni do góry.

- Panie Canfield, nalegam! - odezwała się ponownie Elizabeth. - Ten człowiek włamał się do mojej kabiny. Chciał mnie obrabować, a może zabić. Mnie, nie pana. Muszę zawiadomić odpowiednie władze.

Canfield nie wiedział, jak przekonać starszą panią, że nie powinna tego robić. Perspektywa oficjalnej ochrony była zachęcająca, ale czy rzeczywiście byłaby to ochrona? Nawet jeśli tak, to facet siedzący na podłodze był jedynym ewentualnym ogniwem łączącym go z zaginionym Ulsterem Scarlettem. Inspektor zdawał sobie sprawę, że jeśli wezwą służby okrętowe, intruz zostanie potraktowany jak zwykły złodziej. Możliwe, że rzeczywiście był tylko złodziejem, ale Canfield mocno w to wątpił.

Groźba klęski sprawiła, że siedzący u stóp inspektora zamaskowany Charles Boothroyd zaczął tracić panowanie nad sobą.

Canfield odezwał się cicho do Elizabeth:

- Proszę zauważyć, że ten człowiek wcale się nie włamał. On otworzył drzwi, co oznacza, że ktoś mu dał klucz.

- Właśnie! To prawda! Chyba nie chcesz zrobić nic głupiego, co, kolego? Dobijmy targu. Dam ci pięćdziesiąt razy- więcej, niż zarabiasz na tych swoich rękawicach do baseballu. Co ty na to?

Canfield spojrział ostro na mężczyznę. Nowa, niepokojąca wiadomość. Wiedziano, za kogo się podaje? Nagły skurcz żołądka uświadomił mu, że być może polowano także na niego.

- Ściągnij tę cholerną szmatę z głowy!

- Panie Canfield, tym statkiem podróżowało tysiące pasażerów.

Zdobycie klucza nie byłoby zbyt trudne. Nalegam...

Prawa ręka olbrzyma owinęła się nagle wokół nóg Canfielda.

Pociągnięty do przodu inspektor strzelił. Rewolwer miał niewielki kaliber, więc strzał nie był głośny.

Obcy puścił kostkę Canfielda i kurczowo złapał się za ramię, w którym utkwiała kula. Inspektor podniósł się szybko i z całej siły kopnął faceta w głowę. Czubkiem lakierka trafił go w szyję, przecinając skórę pod maską z pończochy. Mimo to mężczyzna rzucił się na Canfielda, usiłując złapać go w pasie jak w futbolu amerykańskim. Inspektor strzelił jeszcze raz; tym razem trafił mężczyznę w bok. Canfield przywarł do ściany, podczas gdy jego napastnik opadł na kolana skręcając się z bólu. Kula rozerwała mięsień i uszkodziła kość.

Kiedy Canfield sięgnął w dół, żeby ściągnąć tamtemu jedwabną maskę, teraz całą we krwi, klęczący olbrzym zamachnął się nagle lewą ręką i przygwoździł go z powrotem do ściany. Inspektor rąbnął mężczyznę kolbą w głowę, usiłując jednocześnie odepchnąć muskularne ramię. Gdy szarpnął za nadgarstek, czarny sweter pękł, odsłaniając rękaw białej koszuli. W mankiecie tkwiła duża spinka w ukośne czerwono-czarne pasy.

Canfield na moment zamarł, próbując przyswoić sobie tę nową informację. Jego przeciwnik rzeził z bólu. Inspektor rozpoznał go i był zupełnie zdezorientowany. Opanowując z wysiłkiem drżenie prawej ręki, wycelował starannie w kolano mężczyzny. Nie było to łatwe; potężna pięść wbijała mu się w pachwinę z siłą ogromnego tłoka. Już miał wystrzelić, kiedy napastnik dźwignął się w górę i zgięty w pół napał na niego całym ciałem. Canfield odruchowo pociągnął za spust. Kula trafiła w górną część brzucha.

Charles Boothroyd ponownie upadł.

Matthew Canfield spojrział w stronę starszej pani, która sięgała właśnie po stojący przy łóżku telefon. Przeskoczył przez Boothroyda i siłą odebrał jej aparat. Odłożył słuchawkę na widełki.

- Proszę! Wiem, co robię!

- Jest pan pewien?

- Tak. Proszę mi wierzyć!

- Wielki Boże! Niech pan uważa! - krzyknęła nagle.

Canfield odwrócił się. Niewiele brakowało, a dostałby w plecy od sianiającego się na nogach Boothroyda, któremu jakoś udało się podnieść. Zaraz jednak runął na łóżko i sturlał się na podłogę.

Inspektor odsunął starszą panią i wymierzył w napastnika.

- Nie wiem, jak to robisz, ale jeśli nie przestaniesz, następnym strzałem trafię cię prosto w czoło. Słowo snajpera, kolego. Kiedy to mówił, przypomniał sobie, że był jedynym członkiem grupy treningowej, który dwa razy z rzędu oblał strzelanie z broni ręcznej.

Leżąc na podłodze, niewiele widząc z powodu bólu i zakrwawionej jedwabnej maski zakrywającej twarz, Charles Boothroyd zrozumiał, że przegrał. Oddychał z trudem, tchawicę zalewała mu krew. Jeśli miał przeżyć, musiał się jakoś dostać do swojej kajuty i wezwać żonę. Ona będzie wiedziała, co robić. Zapłaci majątek lekarzowi pokładowemu za wykurowanie go.

Zaczął się podnosić z ogromnym trudem. Mruknął coś niezrozumiale, siadając na materacu.

- Nie próbuj wstawać, przyjacielu. Odpowiedz tylko na pytanie.

- Co... Co? Przestań...

- Gdzie jest Scarlett? - Canfield czuł, że walczy z czasem.

Mężczyzna lada moment straci przytomność.

- Nie wiem...

- Żyje?

- Kto...

- Dobrze wiesz, kto, do cholery! Scarlett! Jej syn!

Ostatkiem sił Boothroyd zrobił coś, co wydawało się niemożliwe.

Wczepił się w materac i zatoczył w tył, jakby tracąc przytomność, a kiedy Canfield zrobił krok do przodu, nagle podniósł materac i cisnął nim w inspektora. Gdy materac znalazł się w powietrzu, Boothroyd całym ciałem rzucił się do przodu. Canfield wystrzelił w sufit, padając wraz ze starszą panią pod ciężarem napastnika.

Boothroyd pchnął ich jeszcze raz, przyciskając oboje do ściany i podłogi - i stanął dzięki temu pchnięciu na nogi. Odwrócił się i wytoczył z pokoju. Kiedy znalazł się w drugim pomieszczeniu, zdjął pończochę, otworzył drzwi i wypadł na zewnątrz.

Elizabeth Scarlatti jęczała z bólu, trzymając się za kostkę.

Canfield odsunął materac, po czym pochylił się nad nią, by pomóc jej wstać.

- Chyba mam złamaną kostkę albo jakąś część stopy.

Canfield myślał tylko o tym, żeby pobiec za Boothroydem, ale nie mógł zostawić starszej pani w takim stanie. Poza tym, gdyby ją zostawił, złapałaby od razu za telefon, a w obecnej sytuacji nie byłoby to pożądane.

- Zaniosę panią na łóżko.

- Na litość boską, niech pan najpierw położy z powrotem materac. Jestem połamana!

Canfield wahał się, czy zdjąć pasek, związać Elizabeth ręce i pobiec za Boothroydem, czy też wykonać jej polecenie. Ale pierwsze rozwiązanie nie było najlepsze - narobiłaby straszego wrzasku.

Położył więc materac na łóżku i delikatnie przeniósł ją na nie.

- Jak się pani czuje?

- Okropnie. - Skrzywiła się, kiedy układał poduszki.

- Chyba powinienem wezwać lekarza. - Nie zrobił jednak żadnego ruchu w stronę telefonu. Gorączkowo szukał argumentów, które by ją przekonały, że musi mu pozwolić działać tak, jak on chce.

- Mamy na to mnóstwo czasu. Chce pan złapać tego człowieka, prawda?

Canfield spojrział na nią.

- Tak.

- Dlaczego? Myśli pan, że on ma coś wspólnego z moim synem?

- Każda sekunda, którą poświęcę na wyjaśnienia, zmniejsza nasze szansę dowiedzenia się czegoś.

- Skąd mam wiedzieć, że będzie pan działał w moim interesie?

Nie pozwolił mi pan zadzwonić po pomoc, kiedy była nam potrzebna. Tak naprawdę to oboje omal nie zginęliśmy przez pana.

Myślę, że należy mi się wyjaśnienie.

- Teraz nie ma czasu. Proszę mi zaufać.

- Dlaczego mam panu zaufać?

Wzrok Canfielda padł na sznur upuszczony przez Boothroyda.

- Choćby dlatego, że gdyby mnie tu nie było, zostałaby pani zamordowana. - Wskazał na cienką linkę na podłodze. - Jeśli sądzi pani, że ten sznur miał służyć do związania pani rąk, to grubo się pani myli. Ręce mogłaby pani z tego uwolnić. - Podniósł sznur i rzucił jej na kolana. - Gardła nie.

Patrzyła na niego uważnie.

- Kim pan jest? Dla kogo pan pracuje?

Canfield przypomniał sobie cel tej wizyty - powiedzieć część prawdy. Postanowił wcześniej, że poda się za dziennikarza z jakiejś prywatnej gazety interesującej się Ulsterem Scarlettem. W tych okolicznościach byłoby to idiotyczne. Boothroyd nie był złodziejem: był zabójcą działającym na zlecenie. Na Elizabeth Scarlatti wydano wyrok, nie mogła być więc w to wszystko zamieszana.

- Jestem przedstawicielem rządu Stanów Zjednoczonych.

- O Boże! Ten osioł senator Brownlee! Nie miałam pojęcia!

- On też nie ma, zapewniam panią. Włączył nas do sprawy, ale to wszystko, jeśli chodzi o niego.

- Przypuszczam, że teraz cały Waszyngton bawi się w detektywów nic mi nie mówiąc.

- Zdziwiłbym się, gdyby w całym Waszyngtonie było dziesięciu ludzi, którzy o tym wiedzą. Jak pani kostka?

- Wytrzyma, tak jak i ja.

- Kiedy wezwę lekarza, opowie mu pani jakąś historyjkę o upadku. Ale teraz niech mi pani da czas. To wszystko, o co proszę.

- Dobrze, panie Canfield. Może pan iść. Później wezwiemy lekarza, jeśli będzie trzeba... - Otworzyła szufladę szafki nocnej i wręczyła mu klucz do kajuty.

Canfield ruszył do drzwi.

- ...ale pod jednym warunkiem. - Starsza pani podniosła głos, żeby go zatrzymać.

- Jakim?

-- Że rozważy pan propozycję, którą muszę panu zrobić.

Canfield odwrócił się i spojrzał na nią pytająco.

- Cóż to za propozycja?

- Będzie pan pracował dla mnie.

- Niedługo wrócę - powiedział inspektor i wybiegł z kabiny.

# **CZEŚĆ DRUGA**

# ROZDZIAŁ 21

Trzy kwadranse później Canfield po cichu otworzył drzwi do kajuty Elizabeth Scarlatti. Słyszając zgrzyt klucza w zamku, starsza pani zawołała z przestraszeniem:

- Kto tam?

- Canfield.

Wszedł do pokoju.

- Znalazł go pan?

- Znalazłem. Mogę usiąść?

- Proszę. Co się stało? Na miłość boską, panie Canfield, co się stało? Kto to był?

- Nazywał się Boothroyd. Pracował dla nowojorskiej firmy maklerskiej. Najwyraźniej był wynajęty albo wyznaczony, żeby panią zabić. Nie żyje, a jego ciało zostało jakieś trzy mile za nami.

- Wielki Boże! - Starsza pani usiadła.

- Może zaczniemy od początku?

- Młody człowieku, wie pan, co pan zrobił? Będą poszukiwania, dochodzenie! Przewróć statek do góry nogami!

- O, na pewno ktoś się wścieknie, nie ma wątpliwości.

Podejrzewam jednak, że skończy się na rutynowym śledztwie bez rozgłosu. A rozpaczająca małżonka nie ruszy się ze swej kabiny.

- Co pan ma na myśli?

Canfield powiedział jej, że znalazł Boothroyda martwego koło jego kajuty, obszukał ciało i wyrzucił je za burtę, po czym wrócił do baru i dowiedział się, że Boothroyd kilka godzin wcześniej podobno upił się do nieprzytomności. Barman powiedział, choć pewnie przesadził, że potrzeba było sześciu facetów, by go wynieść i położyć do łóżka.

- Widzi pani, alibi, które Boothroyd sobie przygotował, jest jednocześnie najbardziej logicznym wytłumaczeniem jego... zniknięcia.

- Będą przeszukiwać statek, dopóki nie dopłyniemy do portu.

- Nie będą.

- Dlaczego?

- Oderwałem mu kawałek swetra i przyczepiłem do narożnego słupka relingu przed jego kabiną. Wygląda to tak, jakby pan Boothroyd usiłował wrócić na zabawę i miał tragiczny wypadek.

Pijany człowiek na pokładzie plus paskudna pogoda to kiepska kombinacja. - Canfield przerwał i zastanowił się. - Jeśli działał sam, mamy to z głowy. Jeśli nie... - Uznał, że lepiej nie rozwijać tego tematu.

- Musiał pan wyrzucić go za burtę?

- Mieli go znaleźć z czterema kulami w ciele?

- Trzema. Jedna utkwiała w suficie sypialni.

- Tym gorzej. Powiązano by go z panią. Jeżeli ma kumpla na statku, nie przeżyłaby pani do rana.

- Chyba ma pan rację. I co teraz robimy?
  - Czekamy. Rozmawiamy i czekamy.
  - Na co?
  - Na kogoś, kto będzie chciał sprawdzić, co się stało. Może na jego żonę. Może na tego, kto mu dał klucz. Na kogoś.
  - Myśli pan, że przyjdą?
  - Myślę, że będą musieli, jeśli na statku jest ktoś, z kim Boothroyd pracował. Muszą sprawdzić, co się stało.
  - Może był tylko złodziejem?
  - Nie. Był zabójcą. Nie mówię tego po to, żeby panią przestraszyć.
- Starsza pani uważnie popatrzyła Canfieldowi w oczy.
- Kim są ci "oni", panie Canfield?
  - Nie wiem. Dlatego musimy porozmawiać.
  - Uważa pan, że to ma związek ze zniknięciem mojego syna, prawda?
  - Tak... A pani nie?
- Nie odpowiedziała mu wprost.
- Powiedział pan, że powinniśmy zacząć od początku. Co jest tym początkiem dla pana?
  - Odkrycie, że na giełdzie za granicą sprzedawane są w tajemnicy amerykańskie obligacje wartości milionów dolarów.
  - Co to ma wspólnego z moim synem?
  - Był tam w chwili, gdy rozeszły się pogłoski na ten temat. Rok później, już po jego zniknięciu, otrzymaliśmy wiarygodną informację, że dokonano sprzedaży. Wtedy również tam był. Oczywiście, prawda?
  - Zbieg okoliczności.
  - Ta hipoteza upadła, kiedy godzinę temu otworzyła mi pani drzwi.
- Starsza pani wpatrywała się w inspektora rozpartego w fotelu.
- On również przyglądał się jej spod półprzymkniętych powiek.
- Zauważył, że była wściekła, ale opanowana.
- To tylko domysły, panie Canfield.
  - Nie sądzę. Poza tym wiedząc, kim był pani niedoszły zabójca i dla kogo pracował - Godwin i ktoś tam z Wall Street - mamy chyba jasny obraz. Ktoś z piątego domu maklerskiego w Nowym Jorku jest na panią na tyle zły albo na tyle się pani boi, że chce panią zabić.
  - Spekulacje.
  - Do diabła! Moje sińce dowodzą, że nie!
  - Jak Waszyngton doszedł do tego... wątpliwego wniosku?
  - "Waszyngton" oznacza zbyt wielu ludzi. Nasz dział jest bardzo mały. Zajmujemy się złodziejami, tyle że wysoko postawionymi.
  - Brzmi to groźnie.
  - Wcale nie. Jeśli wujek ambasadora w Szwecji nagle robi majątek na imporcie, my dyskretnie przywołujemy go do porządku. - Obserwował ją uważnie.
  - Teraz z kolei wydaje się pan nieszkodliwy.
  - Niesłusznie, zapewniam panią.
  - A co z obligacjami?

- Rzeczywiście ambasador w Szwecji... - Canfield uśmiechnął się. - Który nie ma jednak żadnego wujka zajmującego się importem.

- Ambasador w Szwecji? Powiedział pan, że senator Brownlee.

- To nie ja powiedziałem, tylko pani. Brownlee narobił tyle szumu, że Ministerstwo Sprawiedliwości skontaktowało się ze wszystkimi, którzy kiedykolwiek mieli do czynienia z Ulsterem Scarlettem. A nam się to kiedyś zdarzyło.

- Pracuje pan dla Reynoldsa!

- Znów to pani tak twierdzi, nie ja.

- Niech pan przestanie się bawić w ciuciubabkę. Pracuje pan dla Reynoldsa, prawda?

- Cóż to za przesłuchanie? Nie jestem pani więźniem.

- No dobrze. Co z tym ambasadorem?

- Nie zna go pani? Nic pani nie wie o Sztokholmie?

- Och, na litość boską, oczywiście, że nie!

Inspektor uwierzył jej.

- Czternaście miesięcy temu ambasador Walter Pond przysłał do Waszyngtonu wiadomość, że sztokholmski syndykat zobowiązał się wyłożyć trzydzieści milionów dolarów na duże pakiety amerykańskich papierów wartościowych, jeśli zostaną one przemycone przez granicę. Jego raport miał datę piętnastego maja. Pani syn wjechał do Szwecji dziesiątego maja.

- Był wtedy w podróży poślubnej. Wypad do Szwecji nie jest niczym niezwykłym.

- Pojechał sam. Jego żona została w Londynie.

Elizabeth podniosła się z otomany i zaczęła chodzić po pokoju.

Canfield mówił dalej:

- Niedawno ambasador Pond zawiadomił nas, że transakcja doszła do skutku.

- Kiedy?

- Dwa miesiące temu. Zaraz po tym, jak pani syn zniknął.

Elizabeth zatrzymała się i spojrzała na Canfielda.

- Zanim pobiegł pan za tamtym człowiekiem, zadałam panu pytanie.

- Pamiętam. Zaproponowała mi pani pracę.

- Czy wystarczy pana zgoda, żeby wasza agencja nawiązała ze mną współpracę? Mamy ten sam cel. Nie ma żadnego konfliktu.

- O co pani chodzi?

- Czy może pan przekazać swoim zwierzchnikom, że proponuję wam współpracę? Moje życie było w niebezpieczeństwie.

Gdyby nie pan, byłabym martwa. Jestem przerażoną starą kobietą.

- Uznają, że pani nie wierzy w śmierć Ulstera.

- Mam pewne podejrzenia...

- Dlaczego? Z powodu obligacji?

- Odmawiam odpowiedzi. Najpierw niech pan odpowie na moje pytania. Czy byłoby możliwe skorzystanie z usług waszej agencji bez dalszych wyjaśnień...? Tylko pan byłby wprowadzony w szczegóły.

- Myślę, że to możliwe.

- Także w Europie?



- Mamy umowy dwustronne z większością europejskich...

- Oto moja oferta - przerwała mu Elizabeth - sto tysięcy dolarów. Płatne w ratach do uzgodnienia.

Matthew Canfield wpatrywał się w starszą panią i nagle się przestraszył. Było coś przerażającego w wymienionej przez nią sumie. Powtórzył niemal bezgłośnie jej słowa:

- Sto tysięcy...

- "Oto wartość twoja", panie Canfield. Proszę się zgodzić, nie będzie pan tego żałował.

Inspektor spociał się, choć w kabinie nie było wcale gorąco.

- Chyba już zna pani moją odpowiedź.

- Tak myślałam... Niech pan nie traci głowy. Nietrudno przyzwyczać się do pieniędzy. Będzie pan miał ich wystarczająco dużo, żeby wygodnie żyć, ale nie tyle, żeby czuć się za cokolwiek odpowiedzialnym. To byłoby już niewygodne... A więc, na czym stanęliśmy?

- Słucham...?

- Ach tak. Dlaczego podejrzewam, że mój syn żyje? Niezależnie od obligacji, o których pan mówił.

- No właśnie, dlaczego?

- Od kwietnia do grudnia zeszłego roku mój syn przelał setki tysięcy dolarów do banków w całej Europie. Myślę, że chce żyć z tych pieniędzy. - Elizabeth zorientowała się, że inspektor jej nie wierzy. - Tak się składa, że mówię prawdę.

- Ale obligacje też są prawdą?

- Jest pan teraz u mnie na liście płac... Zaprzeczę wszystkiemu poza tą kajutą... Tak, są prawdą.

- Dlaczego pani zaprzeczy?

- Brak obligacji zostanie odkryty za niecały rok. Oficjalnie nie mam prawa sprawdzać funduszy depozytowych mojego syna nikt nie ma takiego prawa - do czasu nadejścia terminów płatności.

Gdybym to zrobiła, oskarżyłabym w ten sposób publicznie rodzinę Scarlattich. To by rozbiło Zakłady Scarlatti - podważyłoby wiarygodność firmy na całym świecie. A że w grę wchodzi ogromne sumy, mogłoby to wywołać panikę w setkach korporacji.

Canfield poczuł, że ma dość.

- Kto to był Jefferson Cartwright?

- Jedyń człowiek, który oprócz mnie wiedział o tych obligacjach.

- O Boże! - Inspektor wyprostował się gwałtownie.

- Naprawdę myśli pan, że zabito go z powodu, który podano w telegramie?

- Nie wiedziałem, że podano jakiś powód.

- Nie wprost. Cartwright był okropnym flirciarzem...

Inspektor spojrzał starszej pani w oczy.

- I mówi pani, że był jedynym człowiekiem, który wiedział o obligacjach?

- Tak.

- Więc według mnie dlatego go zabito. W pani dzielnicy nie morduje się człowieka za to, że spał z cudzą żoną. Wykorzystuje się to jako pretekst, żeby przespać się z jego własną.

- Miałam rację, że pana wynajęłam... - westchnęła Elizabeth.

- Co zamierzała pani zrobić po przyjeździe do Anglii?

- Zacząć poszukiwania od banków.

- Co by to dało?

- Złożone w nich sumy były dość pokaźne. Gdzieś te pieniądze muszą być. Z pewnością nikt ich nie będzie woził w papierowych torbach. Być może są inne rachunki, na fałszywe nazwisko, albo ulokowano je w jakichś firmach - nie wiem. Wiem za to, że właśnie te pieniądze będą wykorzystywane, dopóki obligacje są płynne.

- Chryste, przecież pani syn ma trzydzieści milionów w Sztokholmie.

- Niekoniecznie. Może mieć konta w Szwajcarii na łączną sumę trzydziestu milionów - pewnie płatne złotem - ale na jakiś czas zablokowane.

- Na jak długo?

- Dopóki nie zostanie potwierdzona autentyczność każdego dokumentu. Ponieważ zostały sprzedane na zagranicznej giełdzie, może to trochę potrwać.

- A więc chce pani sprawdzić konta w bankach?

- Wygląda na to, że nie mam innego punktu zaczepienia. Elizabeth Scarlatti wysunęła szufladę biurka i wyjęła kosmetyczkę.

Otworzywszy ją, wyciągnęła kartkę papieru. - Rozumiem, że ma pan kopię. Ale proszę to przeczytać i odświeżyć pamięć. - Wręczyła mu kartkę. Była to lista zagranicznych banków, w których Waterman Trust zdeponował pieniądze dla Ulstera Scarletta. Canfield pamiętał ją z materiałów przysyłanych przez Ministerstwo Sprawiedliwości.

- Tak, widziałem to, ale nie mam kopii... Niecały milion dolarów.

- Zauważył pan daty wypłat?

- Pamiętam, że ostatnia miała miejsce jakieś dwa tygodnie przed powrotem pani syna z żoną do Nowego Jorku. Niektóre konta są wciąż otwarte? Tak, tu...

- Londyn i Haga - przerwała mu starsza pani, po czym mówiła dalej: - Ale nie to miałam na myśli, mówiąc o datach.

Chodzi o układ geograficzny.

- Jaki układ...?

- Najpierw jest Londyn, potem północ, Norwegia; potem znów południe, Anglia - Manchester; jeszcze raz północ, Dania;

południe, Marsylia; zachód, Hiszpania i Portugalia; północny wschód, Berlin; znowu południe, Afryka i Kair; północny zachód przez Włochy i Rzym; potem Bałkany; z powrotem zachód Szwajcaria; i tak dalej. Galimatias. - Starsza pani recytowała z głowy, podczas gdy Canfield usiłował porównywać to z listą.

- Do czego pani zmierza, madame Scarlatti?

- Nic pana w tym nie zastanawia?

- Pani syn był w podróży poślubnej. Nie wiem, jak wyglądają wasze podróże poślubne. Dla mnie to wodospad Niagara.

- Nie jest to normalna trasa.

- Nie domyśliłbym się.

- Ujmijmy sprawę w ten sposób... Nie pojechałby pan chyba na wycieczkę z Waszyngtonu do Nowego Jorku, potem do Baltimore, a potem do Bostonu?

- Raczej nie.

- Mój syn jeździł tam i z powrotem w obrębie półkola.

Ostatnia i największa wypłata dokonana została w miejscu, w którym logicznie rzecz biorąc powinien się znaleźć kilka miesięcy wcześniej.

Canfield pogubił się, próbując nadążyć za nią z listą banków i dat.

- Niech pan się nie trudzi, panie Canfield. To było w Niemczech. Nieznane miasteczko w południowych Niemczech. Tassing...

Dlaczego?

## ROZDZIAŁ 22

Drugi i trzeci dzień podróży "Calpurnią" minęły spokojnie, zarówno jeśli chodzi o pogodę, jak i o pasażerów pierwszej klasy.

Wiadomość o śmierci jednego z nich położyła się cieniem na nastrojach podróżników. Pani Boothroyd dostała ataku hysterii na wieść o losie męża i trzeba było zaaplikować jej dużą dawkę środków uspokajających. Pozostawała teraz w kabinie pod stałą opieką lekarza i usługujących jej pielęgniarek.

Już na trzeci dzień wraz z poprawą zdrowia nastąpiła poprawa nastroju pasażerów.

Elizabeth Wyckham Scarlatti i towarzyszący jej przy stole młodzieniec pamiętali, żeby rozdzielać się po każdym posiłku. Ale co wieczór o dziesiątej trzydzieści Matthew Canfield wchodził do apartamentu Elizabeth i pełnił całonocną wartę na wypadek powtórnego napadu. Żadne z nich nie było zadowolone z takiego rozwiązania.

- Gdybym była o sto lat młodsza, mógłby pan uchodzić za jednego z tych obrzydliwych facetów, którzy zabawiają bogate podstarzałe poszukiwaczki przygód - mówiła Elizabeth.

- Gdyby wykorzystwała pani swoje pieniądze, o których tyle się mówi, na zakup prywatnego transatlantyku, mógłbym się w nocy wysypiać - odpowiadał jej inspektor.

Jednakże te nocne sesje na coś się przydały. Ich plany zaczęły nabierać realnych kształtów. Przedyskutowano też dyplomatycznie obowiązki Canfielda jako pracownika Elizabeth Scarlatti.

- Rozumiem - powiedziała Elizabeth - że nie mogę oczekiwać od pana, by zrobił pan coś niekorzystnego dla rządu. Albo wbrew pańskiemu sumieniu.

- Domyślam się jednak, że pani sama chciałaby decydować, co jest korzystne, a co nie, prawda?

- Do pewnego stopnia... Uważam, że mam do tego prawo.

- A jeśli ja będę innego zdania?

- Zastanowimy się nad tym, kiedy tak będzie.

- Wspaniale...

Stało na tym, że Matthew Canfield będzie nadal przysyłał raporty Grupie 20 w Waszyngtonie, ale zostaną one najpierw zatwierdzone przez Elizabeth Scarlatti. Natomiast we wszystkich sprawach dotyczących fizycznego bezpieczeństwa starsza pani będzie bez szermowania spełniać polecenia inspektora.

Matthew Canfield otrzyma dziesięć wypłat po dziesięć tysięcy dolarów każda, poczynając od pierwszego dnia w Londynie.

W banknotach amerykańskich o niskich nominałach.

- Wie pan, panie Canfield, na naszą umowę można spojrzeć także od innej strony.

- Mianowicie?

- Pański wydział wykorzystuje moje wcale niemałe talenty za darmo. Bardzo to opłacalne dla podatników.

- Wspomnę o tym w następnym raporcie.

Główny problem umowy nie został jednak rozwiązany. Aby inspektor mógł wypełnić swe zobowiązania wobec obydwu pracodawców, należało znaleźć powód, dla którego miałyby

towarzyszyć starszej pani. Udawanie, że są razem dla towarzystwa albo z powodu interesów, byłoby głupie i wzbudziłoby podejrzenia.

Matthew Canfield zapytał:

- Dogaduje się pani jakoś ze swoją synową?

- Zakładam, że chodzi panu o żonę Ulstera. Bo nikt nie dogaduje się z żoną Chancellora.

- Tak.

- Lubię ją. Ale jeśli chciałby pan ją w to włączyć, muszę panu powiedzieć, że ona mnie nie znosi. Ma ku temu wiele powodów, w większości słusznych. Musiałam ją dosyć brzydko potraktować, żeby dopiąć swego. Na swoją obronę mam tylko to, że chciałam jej dobra.

- Jestem do głębi poruszony. Może jednak moglibyśmy pozyskać jej współpracę? Spotkałem ją parę razy.

- Nie jest zbyt odpowiedzialna. Przypuszczam, że pan o tym wie.

- Tak. Wiem też, że domyśla się, w jakim celu jedzie pani do Europy...

- Zdaję sobie z tego sprawę. Myślę, że mogłaby nam pomóc, gdybyśmy ją w to wciągnęli. Nie sądzę jednak, żeby dało się to załatwić telegraficznie, a na pewno nie napiszę wszystkiego w liście.

- Mam lepszy pomysł. Wrócę po nią i wezmę ze sobą pisemne wyjaśnienie od pani. Oczywiście niezbyt szczegółowe. Resztą sam się zajmę.

- Musi pan znać ją bardzo dobrze.

- Wcale nie. Gdyby udało mi się ją przekonać, że pani i ja jesteśmy po jej stronie... myślę, że nam pomoże.

- Mogłaby być przydatna. Pokazałaby nam miejsca...

- I ludzi.

- Ale co ja zrobię, jak pan będzie w Ameryce? Bez wątpienia zabiją mnie, zanim pan wróci.

Canfield pomyślał już o tym.

- Kiedy dopłyniemy do Anglii, usunie się pani od świata na jakiś czas.

- Co proszę?

- Dla dobra pani nieśmiertelnej duszy. I duszy pani syna oczywiście.

- Nie rozumiem.

- Klasztor. Cały świat wie o pani żałobie, więc będzie to logiczny krok. Wydamy oświadczenie dla prasy, że schroniła się pani w klasztorze w północnej Anglii, klasztorze, którego nazwy nie ujawnimy.

Potem wyślemy panią gdzieś na południe. Moja agencja nam pomoże.

- Wygaduje pan zupełnie idiotyzmy!

- Będzie pani do twarzy w czarnych szatach.

Zawołowana, szlochająca pani Boothroyd została sprowadzona ze statku z pierwszą grupą pasażerów. Przy odprawie celnej czekał na nią mężczyzna, który pospiesznie załatwił wszelkie formalności i poprowadził ją do czekającego na ulicy rolls-royce'a. Canfield szedł za tą parą do samochodu, po czym wrócił po swój bagaż.

Czterdzieści pięć minut później zameldował się w hotelu.

Z automatu zadzwonił do londyńskiego łącznika; ustalili, że się spotkają, jak tylko londyńczyk przyjedzie. Potem przez pół godziny inspektor rozkoszował się drzemką na nieru-

chomym, stojącym na ładzie łóżku. Z przygnębieniem myślał o powrocie na pokład, ale wiedział, że nie ma innego wyjścia. Janet będzie najrozsądniejszym wytłumaczeniem jego obecności u boku starszej pani, a cóż bardziej naturalnego jak to, że żona i matka zaginionego Ulstera Scarletta podróżują razem. Po za tym Canfield nie miał nic przeciwko dalszej znajomości z Janet Scarlett. Była niespokojnym duchem, bez dwóch zdań, zaczął jednak wątpić, czy była dziwką.

Już miał zasnąć na dobre, kiedy zerknął na zegarek i zorientował się, że jest spóźniony na spotkanie z Elizabeth. Podniósł słuchawkę telefonu i z przyjemnością wsłuchał się w suchy brytyjski akcent osoby udzielającej mu odpowiedzi:

- Madame Scarlatti jest w apartamencie piątym. Mamy polecenie zawiadamiać ją telefonicznie o gościach.

- Bardzo proszę. Pójdę prosto do niej. Dziękuję.

Canfield dosyć głośno powiedział swoje nazwisko, zanim Elizabeth Scarlatti otworzyła drzwi. Starsza pani wskazała mu krzesło, a sama usiadła na ogromnej wiktoriańskiej sofie koło okna.

- No i co teraz?

- Zadzwoń do naszego człowieka w Londynie prawie godzinę temu. Powinien tu zaraz być.

- Kto to jest?

- Powiedział, że nazywa się James Derek.

- Pan go nie zna?

- Nie. Dostajemy numer telefonu, a kiedy zadzwonimy, przydzielają nam kogoś.

- Ile będzie chciał wiedzieć?

- Tyle, ile my będziemy chcieli mu powiedzieć. Nie spyta o nic, dopóki nie zażądamy czegoś, co szkodzi interesom rządu brytyjskiego albo jest tak kosztowne, że trzeba to uzasadnić; tym będzie się najbardziej martwić.

- Bardzo zabawne.

- Pieniądze podatników. - Canfield spojrzął na zegarek. Poprosił, żeby przyniósł listę klasztorów.

- Naprawdę myśli pan o tym poważnie?

- Tak. Chyba że on ma lepszy pomysł. Nie będzie mnie przez jakieś dwa i pół tygodnia. Napisała pani do synowej?

- Oczywiście. - Wręczyła mu kopertę.

W drugim końcu pokoju zadzwonił telefon stojący na stoliku przy drzwiach. Elizabeth podeszła szybko do stolika i podniosła słuchawkę.

- To Derek? - zapytał Canfield, kiedy skończyła.

- Tak.

- Dobrze. Madame Scarlatti, proszę słuchać i nic nie mówić.

Ale jeśli zadam pani pytanie, będę oczekiwał szczerzej odpowiedzi.

- Mam mu zaproponować drinka albo herbatę, czy jest to zabronione?

- Myślę, że kieliszek czegoś mocniejszego będzie mile widziany.

- Zadzwoń do kelnera i poproszę o barek do pokoju.

- Znakomicie.

Elizabeth Scarlatti podniosła słuchawkę i zamówiła pełen zestaw win i wódek. Canfield uśmiechnął się na tę rozrzutność i zapalił jedno ze swoich cienkich cygar.

James Derek był mężczyzną tuż po pięćdziesiątce, o miłej powierzchowności, raczej pulchnym, sprawiającym wrażenie zamożnego kupca. Był bardzo grzeczny, ale chłodny.

- Sprawdziliśmy rejestrację rollsa z portu. Należy do markiza Jacquesa Louisa Bertholde'a. Obywatel francuski mieszkający tu na stałe. Zbieramy o nim informacje - powiedział Derek.

- Świetnie. A co z klasztorami?

Brytyjczyk wyjął kartkę z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Mamy kilka do wyboru w zależności od tego, czy madame Scarlatti życzy sobie kontaktować się ze światem zewnętrznym, czy też nie.

- A są takie, w których ten kontakt jest niemożliwy?

- Naturalnie, katolickie. Są tu trzy czy cztery.

- Jakże to klasztory? - spytał Canfield.

- Benedyktynki i karmelitanek. Nawiasem mówiąc, oba na południowym zachodzie. Karmelitanki są koło Cardiff.

- Chwileczkę! - przerwała władczo starsza pani. - Są pewne granice, panie Canfield, i proponuję je teraz ustalić. Nie będę się zadawać z tego rodzaju ludźmi!

- Który klasztor w Anglii jest najmodniejszy, najczęściej odwiedzany, panie Derek? - zapytał inspektor, ignorując protesty Elizabeth.

- Cóż, księżna Gloucester co roku spędza pewien czas w opactwie Abbey. Kościół anglikański oczywiście.

- Doskonale. Wyślemy wiadomość do wszystkich agencji prasowych, że madame Scarlatti schroniła się tam na miesiąc.

- To jest do przyjęcia - stwierdziła starsza pani.

- Jeszcze nie skończyłem. - Canfield odwrócił się do rozbawionego londyńczyka. - Proszę nas zapowiedzieć u karmelitanek.

Jutro zawiezie pan tam madame Scarlatti.

- Jak pan sobie życzy.

- Chwileczkę, panowie. Nie zgadzam się! Jestem pewna, że pan Derek postąpi zgodnie z moim życzeniem.

- Bardzo mi przykro, madame. Mam polecenie słuchać tylko pana Canfielda.

- Proszę pamiętać o naszej umowie, madame Scarlatti - powiedział z naciskiem inspektor. - A może chce pani ją zerwać?

- O czym ja będę rozmawiać z tymi kobietami? Nie znoszę tej całej szopki reżyserowanej przez Rzym!

- Nie usłyszysz pani ani słowa od nikogo - powiedział Derek. - Tam obowiązuje ślub milczenia.

Będzie pani kontemplować - dodał Canfield. - To podobno zapewnia nieśmiertelność duszy.

## ROZDZIAŁ 23

YORK, ANGLIA, 12 sierpnia 1926. Potężny wybuch i pożar zniszczyły dziś o świcie zachodnie skrzydło słynnego opactwa York. Znajdowały się tam pokoje mieszkalne zakonnic. Nie podano liczby sióstr i nowicjuszek, które poniosły śmierć na skutek tego tragicznego wypadku. Uważa się, że przyczyną wybuchu było wadliwe działanie ogrzewania zainstalowanego niedawno w klasztorze.

Canfield przeczytał tę notatkę w gazecie pokładowej na dzień przed przybyciem do Nowego Jorku.

Odrobili pracę domową, pomyślał. I choć cena była boleśnie wysoka, dowodziło to niezbiecie dwóch rzeczy: że oświadczenie dla prasy zostało przeczytane oraz że celem zamachu była madame Scarlatti.

Inspektor sięgnął do kieszeni i wyciągnął list starszej pani do Janet. Czytał go wielokrotnie i uważał, że list powinien odnieść skutek. Przeczytał go jeszcze raz.

Moje drogie dziecko, zdaję sobie sprawę, że niezbyt mnie lubisz i przyznaję, iż masz pełne prawo czuć to, co czujesz - rodzina Scarlattich nie była dla ciebie miła. Jednakże, bez względu na przykrości, jakich doznałeś, jesteś teraz członkiem tej rodziny i wydałeś na świat Scarlattiego. Być może właśnie ty sprawisz, że staniemy się lepsi. Często ci z nas, po których się tego najmniej spodziewaliśmy, osiągają więcej niż inni.

Proszę, byś rozważyła taką możliwość.

Proszę też, byś głęboko przemyślała to, co powie ci pan Matthew Canfield. Ufam mu. Ufam mu, ponieważ uratował mi życie, omal nie tracąc przy tym własnego. Jego i nasze interesy są nierozdzielnie związane. Powie ci, co będzie mógł, i poprosi cię w moim imieniu o pomoc.

Jestem starą, bardzo starą kobietą, moja droga, i nie zostało mi już wiele czasu. Ale może się zdarzyć, że miesiące czy lata, które mi pozostały (cenne chyba tylko dla mnie), zostaną mi zabrane w sposób niezupełnie moim zdaniem zgodny z wyrokami boskimi. Naturalnie z ochotą przyjmuję to ryzyko jako głowa rodu Scarlattich i jeśli uda mi się wykorzystać czas, jaki mi pozostał, by zapobiec hańbie grożącej naszej rodzinie, z wdzięcznym sercem dołączę do mojego męża.

Oczekuję Twojej odpowiedzi za pośrednictwem pana Canfielda. Jeśli będzie taka, jaką chciałabym usłyszeć, wkrótce się spotkamy. Jeśli nie, wiedz, że nadal masz moją miłość i zrozumienie.

Elizabeth Wyckham Scarlatti Canfield włożył list z powrotem do koperty. Niezły, stwierdził ponownie. Nic nie wyjaśniał, a jednocześnie prosił o wiarę, że sprawa jest naprawdę bardzo poważna. Jeśli mu się uda, dziewczyna pojedzie z nim do Anglii. Jeżeli jej nie przekona, trzeba będzie znaleźć inne rozwiązanie.

Należący do Ulstera Scarletta dom z brązowej cegły na Pięćdziesiątej Czwartej był właśnie odnawiany. Wokół niego stały rusztowania, na których pilnie pracowali liczni robotnicy. Ogromna taksówka zatrzymała się przed wejściem i Matthew Canfield wszedł na schody.

Nacisnął dzwonek; drzwi otworzyła korpulentna gospodyni.

- Dzień dobry, Hannah. Nie wiem, czy mnie pamiętasz, nazywam się Canfield. Matthew Canfield do pani Scarlett.



Hannah nie ruszyła się ani o centymetr, nie zaprosiła Canfielda do środka, - Czy pani Scarlett oczekuje pana?

- W zasadzie nie, ale jestem pewien, że mnie przyjmie. - Nie miał zamiaru telefonować. Zbyt łatwo mogłaby odmówić.

- Nie wiem, czy pani jest w domu.

- Wobec tego będę musiał zaczekać. Czy mam zostać tu, na schodach?

Hannah niechętnie odsunęła się wpuszczając Canfielda do holu. Po raz kolejny uderzyła go niesamowita kolorystyka wnętrza.

- Sprawdź, czy jest, proszę pana - powiedziała gospodyni i ruszyła w kierunku schodów. Po kilku minutach Janet zeszła na dół, za nią kołysząca biodrami Hannah. Janet była bardzo spokojna, a w jej jasnych, bystrych oczach nie dojrzał ani śladu paniki, którą pamiętał. Była panią sytuacji i bezsprzecznie piękną kobietą.

Canfield nagle poczuł się gorszy. Należał do niższej klasy.

- Pan Canfield, cóż za niespodzianka.

Nie mógł wyczuć, czy to powitanie miało być miłe, czy nie.

Wydało mu się chłodne, pełne rezerwy.

- Mam nadzieję, że nie przykra, pani Scarlett.

- Ależ skąd.

Hannah doszła do końca schodów i ruszyła w stronę drzwi do jadalni.

Canfield odezwał się szybko:

- W czasie podróży spotkałem faceta, którego firma produkuje sterowce. Pomyślałem sobie, że cię to zainteresuje. - Canfield obserwował Hannah kątem oka, nie poruszając głową. Gospodyni odwróciła się gwałtownie i spojrzała na inspektora.

- Naprawdę? Dlaczego miałoby mnie to obchodzić? - Dziewczyna była zdziwiona.

- Zdawało mi się, że twoi przyjaciele z Oyster Bay byli zdecydowani kupić sterowiec dla klubu. Proszę, mam tu wszystkie informacje. Ceny zakupu, wynajmu, opis techniczny, zasady działania... Pokażę ci.

Inspektor chwycił Janet Scarlett za łokieć i poprowadził ją do salonu. Hannah zawahała się nieznacznie, ale pod wpływem spojrzenia rzuconego przez Canfielda wycofała się do jadalni.

- Co ty wyprawiasz? Nie zamierzam wcale kupować sterowca.

Inspektor stanął przy zamkniętych drzwiach salonu, gestem nakazując dziewczynie milczenie.

- Co...?

- Bądź przez chwilę cicho, proszę - powiedział półgłosem.

Odczekał jakieś dziesięć sekund, po czym gwałtownie otworzył drzwi.

Na wprost, po drugiej stronie korytarza, przy stole w jadalni stała Hannah i mężczyzna w białym kombinezonie, najwyraźniej jeden z malarzy. Zobaczywszy Canfielda, oddalili się pospiesznie.

Canfield zamknął drzwi i zwrócił się do Janet:

- Ciekawe, prawda?

- Co ty wyprawiasz? Co ciekawe?

- To, że twoja służąca jest taka wścipska.

- Ach, to. - Janet odwróciła się i z pudełka na stoliku wyjęła papierosa. - Służba zawsze jest taka.

Canfield podał jej ogień.

- Malarze też?

- Przyjaciele Hannah to jej sprawa. Nic mnie nie obchodzi.

Hannah też niewiele mnie obchodzi...

- Nie wydaje ci się ciekawe, że Hannah omal się nie przewróciła, kiedy wspomniałem o sterowcu?

- Nie rozumiem cię.

- Przyznaję, że sam za sobą nie nadążam.

- Czemu nie zadzwoniłeś?

- Gdybym zadzwonił, umówiłabyś się ze mną?

Janet zastanowiła się przez chwilę.

- Chyba tak... Nie widzę powodu, dla którego miałabym cię obrażać, bez względu na to, co sobie zarzucałam po twojej ostatniej wizycie.

- Nie chciałem ryzykować.

- To bardzo miłe z twojej strony, jestem wzruszona. Ale skąd takie dziwne zachowanie?

Nie było sensu przedłużać sprawy. Wyjął z kieszeni kopertę.

- Poproszono mnie, żebym ci to przekazał. Mogę usiąść, kiedy będziesz czytać?

Zaskoczona Janet wzięła kopertę i natychmiast rozpoznała charakter pisma teściowej. Otworzyła kopertę i przeczytała list.

Jeśli była zdumiona czy wstrząśnięta, to dobrze skrywała te uczucia.

Powoli opadła na sofę i odłożyła papierosa. Spojrzała na list, potem na Canfielda, potem znów na list. Nie podnosząc wzroku zapytała cicho:

- Kim ty jesteś?

- Pracuję dla rządu. Jestem urzędnikiem... urzędnikiem niższej rangi w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

- Dla rządu? Nie jesteś sprzedawcą?

- Nie.

- Więc spotkanie i rozmowa ze mną to po prostu twoje zadanie służbowe?

- Tak.

- To dlaczego mówiłeś, że sprzedajesz korty tenisowe?

- Nie zawsze możemy się ujawniać.

- Rozumiem.

- Przypuszczam, że chcesz wiedzieć, o co chodzi twojej teściowej?

- Niczego nie przypuszczaj - powiedziała zimno.

Wstała, zrobiła dwa kroki dzielące ją od inspektora i z całej siły uderzyła go w twarz. Cios był mocny, bolesny.

- Ty sukinsynu! Wynoś się stąd! Wynoś się, zanim wezwę policję!

- Boże jedyny, Janet, przestań! - Złapał ją za ramiona, próbowała się wyrwać. - Posłuchaj!

W jej oczach błyszczała nienawiść i, jak wydawało się Canfieldowi, odrobina melancholii. Trzymał ją mocno i mówił dalej:

- Tak, wyznaczono mnie, żebym się z tobą spotkał i wyciągnął wszystkie informacje, jakie się da. "

Plunęła mu w twarz. Nie próbował się wytrzeć.

- Zdobyłem potrzebne mi informacje i wykorzystałem je, ponieważ za to mi płacą! Przyjmij także do wiadomości, że od dawna już byłeś pod obserwacją. Ty i twoi towarzysze zabaw...

Może cię zainteresuje fakt, że pominąłem co śmieszniejsze szczegóły twoich codziennych zajęć!

Oczy dziewczyny zaczęły wypełniać się łzami.

- Nie wierzę ci!

- Guzik mnie to obchodzi, czy mi wierzysz, czy nie. Pracuję najlepiej, jak umiem, i nie jestem wcale pewien, czy właśnie ty powinnaś krzyknąć: "ratunku, gwałcą!" Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale twojemu mężowi, czy też byłemu mężowi, czy kim on tam do diabła jest, prawdopodobnie bardzo daleko do śmierci. Mnóstwo Bogu ducha winnych osób, które nigdy o nim nie słyszały - kobiet takich jak ty i młodziutkich dziewcząt - zginęło przez niego w płomieniach. Wielu innych ludzi też spotkała z jego powodu śmierć, choć niektórym może się to akurat należało.

- Co ty mówisz?

Zwolnił trochę uścisk, ale nadal trzymał ją mocno.

- Wiem tylko, że tydzień temu zostawiłem twoją teściową w Anglii. Niezłą mieliśmy podróż! Pierwszej nocy na statku ktoś próbował ją zabić. I mogę dać głowę, że zakwalifikowano by to jako samobójstwo! Powiedzieliby, że z rozpaczy rzuciła się do morza. Żadnych śladów... Przed tygodniem przesłaliśmy do prasy wiadomość, że schroniła się w klasztorze w miejscowości York, w Anglii. A zaraz potem wybuchła tam instalacja grzewcza zabijając Bóg wie ile siostr zakonnych! Oczywiście wypadek!

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Mam skończyć, czy nadal chcesz, żebym sobie poszedł?

Oczy żony Ulstera Scarletta pełne były smutku.

- Chyba lepiej, żebyś został... i dokończył.

Usiedli na kanapie i Canfield zaczął opowiadać.

## ROZDZIAŁ 24

Benjamin Reynolds pochylił się w fotelu, wycinając artykuł z niedzielnego dodatku do nowojorskiego "Heralda" z zeszłego tygodnia. Było tam zdjęcie Janet Saxon Scarlett w towarzystwie "pracownika firmy sprzedającej artykuły sportowe, M. Canfielda", na wystawie psów w Madison Square Garden. Reynolds uśmiechnął się na wspomnienie uwagi rzuconej przez Canfielda przez telefon: "Zniosę wszystko, tylko nie te cholerne wystawy psów. Psy są dla bardzo bogatych albo dla bardzo biednych. Dla nikogo pośrodku!"

Nie szkodzi, pomyślał szef Grupy 20. Polecono Canfieldowi spędzić dodatkowe dziesięć dni na Manhattanie i pogłębić znajomość z żoną Ulstera Scarletta przed powrotem do Anglii.

Benjamin Reynolds zastanawiał się, czy rzeczywiście ich związek był tylko -na pokaz. Może kryło się za tym coś więcej? Łatwość, z jaką nawiązał współpracę z Elizabeth Scarlatti, też była podejrzana.

- Ben! - Do biura wszedł z wawym krokiem Glover. - Chyba mamy to, czego szukamy! - Zamknął starannie drzwi i podszedł do biurka Reynoldsa.

- Co masz? W związku z czym?

- Coś, co może pasować do sprawy Scarlatti. Jestem tego pewien.

- Pokaż.

Glover położył kilka kartek na rozłożonej gazecie i wskazał na zdjęcie Canfielda z dziewczyną.

- Niezły parawan, co?

- Dokładnie to, czego chcieliśmy.

- Canfield spisuje się znakomicie. Są już z powrotem na statku, tak?

- Wczoraj odpłynęli... Więc co tu masz?

- Wygrzebali to statystycy. Okolice Zurychu. Czternaście posiadłości kupionych w ciągu ubiegłego roku. Spójrz na rozmieszczenie działek. Przylegają do siebie. A graniczy z B, B z C, C z D, dokładnie wzdłuż tej linii. Setki tysięcy akrów, tworzących olbrzymi ogrodzony teren.

- Scarlatti jest jednym z nabywców?/

- Nie... Ale jedna z posesji została kupiona na nazwisko Boothroyd. Charles Boothroyd.

- Jesteś pewien? Co to znaczy, że "została kupiona na nazwisko"?

- Teść kupił ją dla córki i jej męża. Nazywa się Rawlins.

Thomas Rawlins. Współwłaściciel domu maklerskiego Godwin i Rawlins. Jego córka ma na imię Cecily. Żona Boothroyda.

Reynolds podniósł kartkę z listą nazwisk.

- Kim są ci ludzie?

Glover sięgnął po pozostałe dwie kartki.

- Czterech Amerykanów, dwóch Szwedów, trzech Anglików, dwóch Francuzów i trzech Niemców. W sumie czternaście osób.

- Sprawdziłeś ich?

- Tylko Amerykanów. Ale niedługo dostaniemy informacje na temat pozostałych.

- Kim oni są? Poza Rawlinsem oczywiście.
- Niejaki Howard Thornton, San Francisco. Siedzi w budownictwie. I dwóch nafciarzy z Teksasu. Louis Gibson i Avery Landor.
- Ci dwaj mają więcej szybów niż pięćdziesięciu ich konkurentów razem wziętych.
- Coś ich łączy?
- Na- razie nic. Sprawdzamy.
- A reszta? Szwedzi, Francuzi? Anglicy i Niemcy?
- Mamy tylko nazwiska.
- Ktoś znajomy?
- Kilku. Niejaki Innes-Bowen, Anglik, chyba od przemysłu włókienniczego. Znam też nazwisko Daudet. Francuz. Właściciel linii oceanicznych. Poza tym dwóch Niemców. Kindorf- Zagłębie Ruhry. Węgiel. I von Schnitzler, z firmy I.G. Farben. Pozostałych nie znam, o Szwedach też nic nie słyszałem.
- Pod jednym względem są do siebie podobni... - zauważył Reynolds.
- Właśnie. Wszyscy są bogaci jak diabli. Zresztą takich terenów nie kupuje się na kredyt. Mam skontaktować się z Canfieldem?
- Koniecznie. Wyślij list przez kuriera. Powiadomimy Canfielda telegraficznie, żeby czekał na niego w Londynie.
- Może madame Scarlatti zna któregoś z nich.
- Liczę na to... Jest jednak pewien problem.
- Jaki?
- Staruszkę będzie kusilo, żeby pojechać do Zurychu... Jeśli pojedzie, zginie. A wraz z nią Canfield i żona Scarletta.
- Nie przesadzasz, Ben?
- Chyba nie. Pomyśl: grupa bogatych facetów ze względu na wspólny interes kupiła czternaście przylegających do siebie posiadłości. Jednym z nich - dzięki hojności teścia - był Boothroyd.
- Co łączy Zurych ze Scarlatti...
- Otóż to. Boothroyd chciał ją zabić, prawda?
- Tak.
- Ale pani Scarlatti żyje. Boothroydowi się nie udało.
- Cóż... rzeczywiście.
- A majątek został kupiony wcześniej.
- Nie mogło być inaczej.
- Więc skoro Zurych ma związek z Boothroydem, oznacza to, że tamci chcieli śmierci madame Scarlatti. Chcieli ją powstrzymać, zanim do nich dotrze. I zakładali, że Boothroydowi się powiedzie... że się wywiąże z zadania.
- A teraz, kiedy skrewił - wpadł mu w słowo Glover Zurych będzie się obawiał, że Elizabeth Scarlatti domyśli się, kim był jej niedoszły zabójca. A może nawet i więcej... Ben, chyba zabrnęliśmy za daleko. Lepiej zamknijmy sprawę. Napisz raport dla Ministerstwa Sprawiedliwości i odwołaj Canfielda.
- Jeszcze nie. Jesteśmy już blisko czegoś... A kluczem do wszystkiego jest teraz madame Scarlatti. Damy jej porządną ochronę.

- Nie chcę załatwiać sobie alibi na wyrost, ale to już twoja sprawa. I twoja odpowiedzialność.

- W porządku. Pamiętaj tylko, że w naszych instrukcjach dla Canfielda jedno musi być absolutnie jasne. Ma się trzymać z dala od Zurychu. Pod żadnym pozorem nie wolno mu jechać do Szwajcarii. Dopilnujesz tego?

- Dobrze.

Reynolds odwrócił się od biurka i popatrzył przez okno. Po chwili odezwał się do swego podwładnego:

- I... miej na oku tego Rawlinsa. Teścia Boothroyda. Może to właśnie on zrobił błąd.

## ROZDZIAŁ 25

Piętnaście kilometrów od dawnych granic Cardiff, w dolinie zagubionej w walijskim lesie stoi klasztor Marii Panny, dom sióstr karmelitanek. Wysokie, białe mury przywodzą na myśl pełną nadziei pannę młodą.

Przed wejście zajechał samochód. Wsiadł z niego Canfield i podszedł do małych, zwieńczonych łukiem drzwi, pośrodku których było małe okienko. Zastukał czarną żelazną kołatką, wiszącą na drzwiach; czekał kilka minut, zanim pojawiła się zakonnica.

- Czym mogę służyć?

Inspektor wyciągnął legitymację i pokazał ją zakonnicy.

- Nazywam się Canfield, siostrzo. Przyjechałem po madame Elizabeth Scarlatti. Jest ze mną jej synowa.

- Proszę zaczekać. Można...? - Dała mu znak, że chce zabrać jego legitymację. Podał ją przez okienko.

- Oczywiście.

Okienko zamknęło się, po czym ponownie zostało zaryglowane.

Canfield wrócił do auta i powiedział do Janet:

- Są bardzo ostrożne. Wzięła moją legitymację, żeby sprawdzić, czy to rzeczywiście ja, a nie ktoś inny.

- To chyba dobrze, prawda? - powiedziała Janet. Po chwili dodała: - Pięknie tu. Tak spokojnie.

- Chwilowo. Nie ręczę za to, co się stanie, kiedy zobaczymy się z twoją teściową...

Pańska gruboskórność i obojętność wobec tego, co mnie tu spotyka, przekracza absolutnie wszystko! Czy ma pan pojęcie, na czym te idiotki śpią? Powiem panu! Na pryczach!

- Przykro mi... - Canfield z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- A wie pan, co jedzą? Pomyje, jakich nie dałabym nawet świniom!

- Słyszałem, że same uprawiają warzywa... - powiedział inspektor.

- Zbierają nawóz, a warzywa zostawiają w ziemi!

W tym momencie rozległy się dzwony na Anioł Pański.

- Hałasują tak dniem i nocą! Zapytałam tę wariatkę, matkę MacCree, czy jak jej tam, czemu zaczynają tak wcześnie rano i wiecie, co mi odpowiedziała?

- Co, mamó? - spytała Janet.

- "Tak postanowił Chrystus", powiedziała. "Ale nie dobry Chrystus Kościoła episkopalnego!", odparłam. To było nie do wytrzymania! Dlaczego przyjechaliście tak późno? Mieliście tu być cztery dni temu, tak przynajmniej mówił pan Derek.

- Musiałem poczekać na kuriera z Waszyngtonu. Chodźmy.

Zaraz pani wszystko opowiem.

Elizabeth usiadła z tyłu bentleya i zabrała się do czytania listu z Zurychu.

- Zna pani kogoś z tych ludzi? - zapytał Canfield.

- Osobiście nie. Ale ze słyszenia prawie wszystkich.

- Na przykład?

- Amerykanie, Louis Gibson i Avery Landor to dwaj samozwańczy panowie Teksasu. Myślą, że ich pola naftowe są jedyne na świecie. O Landorze słyszałam, że to świnia. Harold Leacock, jeden z Anglików, jest potęgą na brytyjskiej giełdzie. Bardzo inteligentny.

Ten Szwed Myrdal także działa na rynku europejskim. W Sztokholmie. - Elizabeth podniosła wzrok i napotkała w lusterku spojrzenie Canfielda.

- Ktoś jeszcze?

- Tak. Thyssen w Niemczech. Fritz Thyssen. Przemysł stalowy.

Wszyscy znają Kindorfa - węgiel w Zagłębiu Ruhry. I von Schnitzlera. Teraz I.G. Farben... Jeden z Francuzów, D'Almeida, jest właścicielem linii kolejowych, tak mi się wydaje. Nie znam Daudeta, choć słyszałam to nazwisko.

- Ma tankowce i parostatki.

- Racja. No i Masterson. Sydney Masterson, Anglik. Handel z Dalekim Wschodem, o ile mnie pamięć nie myli. Innes-Bowena nie znam, choć nazwisko również obito mi się o uszy.

- Nie wspomniała pani o Rawlinsie. Thomas Rawlins.

- Uznałam, że nie ma potrzeby. Godwin i Rawlins. Teść Boothroyda.

- Nie zna pani czwartego Amerykanina, Howarda Thorntona?

Pochodzi z San Francisco.

- Nie.

- Janet twierdzi, że pani syn znał jakiegoś Thorntona z San Francisco.

- Cóż... Wcale mnie to nie dziwi.

Na drodze z Pontypridd, na obrzeżach Rhondda Valley, Canfield uświadomił sobie, że w lusterku regularnie pojawia mu się jakiś samochód. Jechał daleko za nimi, ledwie widoczny punkcik, ale cały czas w zasięgu wzroku, z wyjątkiem zakrętów. I zawsze, kiedy Canfield skręcał, tamten wóz pojawiał się ponownie dużo szybciej, niżby wskazywała na to dzieląca ich odległość. Na długich prostych zostawał daleko z tyłu i kiedy tylko było to możliwe, wpuszczał między nich inne samochody.

- Co się dzieje, panie Canfield? - Elizabeth obserwowała inspektora, nieustannie spoglądającego w boczne lusterko.

- Nic. Naprawdę nic.

- Ktoś nas śledzi?

- Nie sądzę. W końcu nie ma zbyt wielu dobrych dróg z Walii do Anglii.

Dwadzieścia minut później zauważył, że podejrzany samochód zbliża się coraz bardziej. Po pięciu minutach zrozumiał. Między nimi nie było teraz żadnych innych samochodów. Tylko szosa - bardzo długi zakręt - ze skalistym, niezbyt stromym zboczem z jednej strony i położonym piętnaście metrów niżej jeziorem z drugiej.

Zobaczył, że za zakrętem zbocze przechodzi w pastwisko czy zarośnięte pole. Dodał gazu. Musiał dojechać do tego płaskiego kawałka.

Jadący za nimi samochód przyspieszył, pokonując dzielący ich dystans. Zjechał na prawy pas przylegający do skały. Canfield wiedział, że jeśli tamten ustawi się równolegle, z ła-twością zepchnie go z drogi i Bentley spadnie do wody. Wcisnął gaz i skręcił na środek, usiłując zjechać prześladowcy drogę.

- Co się dzieje? Co robisz? - Janet złapała się deski rozdzielczej.

- Trzymajcie się!



Jechał środkiem, zjeżdżając na prawo za każdym razem, gdy goniący ich wóz próbował się wcisnąć między niego a skalną ścianę.

Płaskie pole było już blisko. Jeszcze sto metrów.

Dwukrotnie rozległ się przenikliwy, głośny zgrzyt, kiedy bentley zadrżał pod naporem drugiego samochodu. Janet Scarlett zaczęła krzyczeć. Starsza pani w milczeniu chwyciła dziewczynę od tyłu za ramiona, pomagając jej utrzymać równowagę.

Płaskie pastwisko znajdowało się teraz po lewej stronie, Canfield skręcił więc gwałtownie i zjechał z drogi, starając się pozostać na żwirowym brzegu.

Ich prześladowca popędził dalej z ogromną prędkością. Wzrok inspektora przykuła odalająca się czarno-biała tablica rejestracyjna.

Wykrzyknął:

- E,B,I... albo L! Siedem! Siedem albo dziewięć! Jeden, jeden, trzy! - zawołał. Zwolnił i zatrzymał bentleya.

Plecy Janet przyciśnięte były do oparcia. Obiema rękami trzymała dłonie teściowej. Starsza pani pochylona była do przodu, przyciskała policzek do głowy synowej.

Po chwili odezwała się.

- Wymienił pan litery E,B,I albo L. Cyfry - siedem lub dziewięć, jeden, jeden, trzy.

- Nie zauważyłem marki samochodu...

Elizabeth zdjęła dłonie z ramion Janet i powiedziała:

- Mercedes-benz.

## ROZDZIAŁ 26

Samochód, o który chodzi, to mercedes-benz model 1925. Numer rejestracyjny EBI 9113. Zarejestrowany na nazwisko Jacquesa Louisa Bertholde'a - powiedział James Derek.

Stał obok Canfielda przed Elizabeth i Janet, które siedziały na kanapie. Czytał ze swojego notatnika i zastanawiał się, czy ci dziwni Amerykanie wiedzą, kim jest markiz Bertholde, który również zatrzymywał się zazwyczaj w hotelu "Savoy" i był chyba tak samo bogaty jak Elizabeth Scarlatti.

- To ten sam, który w porcie wyszedł na spotkanie żonie Boothroyda? - zapytał Canfield.

- Tak. To znaczy niezupełnie. Z twojego opisu wynika, że w porcie był Bertholde. Ale wczoraj to nie mógł być on. Ustaliliśmy, że został w Londynie. Lecz samochód zarejestrowany jest na niego.

- Co pan o tym sądzi, panie Derek? - Elizabeth Scarlatti wygładziła sukienkę i starała się nie patrzeć na Anglika. Coś w tym człowieku działało jej na nerwy.

- Nie wiem, zupełnie nie wiem... Powinienem jednak wam powiedzieć, że markiz de Bertholde jest człowiekiem o wielkich wpływach i pozycji...

- Jest właścicielem przedsiębiorstwa Bertholde i Synowie, o ile sobie przypominam. - Starsza pani podniosła się z sofy i wręczyła Canfieldowi pusty kieliszek po sherry. Nie chciała już wina, była jednak zbyt zdenerwowana, żeby usiedzieć na miejscu. - Bertholde i Synowie to stara, znana firma.

Inspektor podszedł do barku i napełnił kieliszek Elizabeth.

- Czyli spotkała pani markiza. Zna go pani dobrze?

Ta insynuacja Dereka nie spodobała się Elizabeth Scarlatti.

- Nie, nie znam go. Możliwe, że spotkałam jego ojca. Nie jestem pewna. Bertholde'owie to stara rodzina.

Canfield wręczył starszej pani kieliszek i zapytał:

- Czym ten Bertholde się zajmuje?

- Interesami. W liczbie mnogiej. Nafta na Bliskim Wschodzie, kopalnie i wiercenia w Afryce, import - Australia i Ameryka Południowa...

- Dlaczego mieszka na stałe w Anglii?

- Łatwo to wyjaśnić - odparła Elizabeth wracając na kanapę. - Jego firmy znajdują się prawdopodobnie w koloniach lub protektoratach brytyjskich.

- Zgadza się, madame - powiedział Derek. - A ponieważ większość jego przedsiębiorstw leży na terenach należących do Wielkiej Brytanii, wszystkie swoje sprawy załatwia z Whitehall.

- Czy Bertholde ma swoją teczkę w archiwach rządowych? spytał Canfield.

- Oczywiście, przecież jest obywatelem innego państwa.

- Możesz ją dla mnie wydostać?

- Musiałbym mieć ważne powody.

- Panie Derek! - przerwała im Elizabeth. - Na pokładzie "Calpurni" próbowano mnie zabić. Wczoraj w Walii jakiś samochód usiłował zepchnąć nas z drogi. W obu przypadkach pojawia się markiz de Bertholde. Nazwałabym to ważnymi powodami.

- Obawiam się, że muszę zaprzeczyć. Pani mówi o sprawach, które należą do policji. Nawet jeśli wiem, że tak nie jest, moje informacje są tajne i muszę o tym pamiętać. To śliski teren, zapewniam panią. Inspektor Canfield wie, co mam na myśli.

Canfield spojrzał na Elizabeth. Zrozumiała, że nadszedł czas wyjawienia części prawdy. Wytłumaczył jej już, że w końcu będą musieli to zrobić. Wywiad Brytyjski nie zamierzał pełnić funkcji czyjejs prywatnej policji. Potrzebne było inne uzasadnienie. Uzasadnienie, które zostanie potwierdzone przez Waszyngton. Inspektor popatrzył na Anglika i powiedział cicho:

- Rząd Stanów Zjednoczonych nie działałby za pośrednictwem naszego wydziału, gdyby w grę nie wchodziły sprawy wykraczające poza kompetencje policji. Kiedy syn madame Scarlatti - a mąż pani Scarlett - odwiedził w zeszłym roku Europę, przekazano mu znaczne sumy pieniędzy w formie zbywalnych papierów wartościowych różnych amerykańskich korporacji. Uważamy, że zostały one nielegalnie sprzedane na giełdach europejskich. Z brytyjską włącznie.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś usiłuje stworzyć monopol amerykański w Europie?

- Departament Stanu uważa, że cała operacja została zorganizowana przez personel naszej własnej ambasady. Ci ludzie są teraz w Londynie.

- Personel waszej ambasady! I myślicie, że Scarlett maczał w tym palce?

- Myślimy, że go wykorzystano - odezwała się Elizabeth. Wykorzystano, a następnie wyeliminowano.

- Płatał się wśród nich tak samo jak markiz de Bertholde powiedział Canfield.

James Derek schował mały notatnik do kieszeni na piersi i zwrócił się do inspektora:

- Jutro dostaniesz kopię jego akt... Dobranoc paniom. I wyszedł.

- Gratuluję, młody człowieku. Personel ambasady! Naprawdę bardzo sprytnie.

- Uważam, że był wspaniały! - zawołała Janet Scarlett uśmiechając się do Canfielda.

- To nam załatwi sprawę - mruknął inspektor, połykając resztę swojej szkockiej. - A teraz proponuję, żebyśmy wszyscy odpoczęli.

Jeśli o mnie chodzi, jestem zmęczony. Co powiecie na kolację w jednym z tych lokali, do których wy, bogacze, chodzicie? Nienawidzę tańczyć, ale przysięgam, że zatańczę was obie do upadłego.

Elizabeth i Janet roześmiały się.

- Nie, ale dziękuję - rzekła Elizabeth. - Idźcie we dwoje i zabawcie się. - Spojrzała na inspektora z sympatią. - Starsza pani znowu panu dziękuje, panie Canfield.

- Zamknie pani drzwi i okna?

- Na siódmym piętrze...? Oczywiście, jeśli pan sobie życzy.

- Życzę sobie - odparł twardo Canfield.

## ROZDZIAŁ 27

Jest bosko! - zawołała Janet ponad wrzawą wypełniającą restaurację "U Claridge'a". - Matthew, nie miej takiej kwaśnej miny!

- Wcale nie mam kwaśnej miny. Po prostu cię nie słyszę.
- Właśnie że masz. Nie podoba ci się tu. Ale pozwól mnie się bawić.
- Proszę bardzo! Chcesz zatańczyć?
- Nie. Przecież wiem, że nie cierpisz tańca. Chcę tylko patrzeć.
- Za to się nie płaci. Patrz sobie. Dobra ta whisky.
- Dobre co...?
- Whisky!
- Nie, dziękuję. Widzisz? Umiem być grzeczna. Wyprzedzasz mnie o dwa drinki.
- Jak tak dalej pójdzie, wyprzedzę cię o sześćdziesiąt.
- Słucham, kochanie?
- Mówię, że pewnie będę po sześćdziesiątce, jak stąd wyjdziemy.
- Och, przestań. Rozluźnij się!

Canfield popatrzył na siedzącą naprzeciwko dziewczynę i znowu ogarnęła go fala radości. Janet była zachwycająca. Przepęłniała go rozkoszą i ciepłem.

- Bardzo cię kocham - powiedział.

Usłyszała go przez muzykę, śmiech i zgiełk rozmów.

- Wiem. - Spojrzała na niego, w oczach miała łzy. - Ja ciebie też. Czy to nie nadzwyczajne?

- Chcesz teraz zatańczyć?

Dziewczyna odrzuciła głowę w tył.

- Och, Matthew! Kochany Matthew. Nie, najdroższy. Nie musisz tańczyć.
- Ale ja chcę.

Klasnęła w dłonie.

- Zatańczymy sami, całkiem sami, później.

Matthew Canfield postanowił, że pozostanie z tą kobietą na całe życie.

Był jednak zawodowcem i na chwilę zwrócił myśli ku starszej pani w hotelu "Savoy".

Elizabeth Wyckham Scarlatti wstała właśnie z łóżka i narzuciła szlafrok. Czytała gazetę "Manchester Guardian". Przewracając cienkie stronicę usłyszała dwa ostre, metaliczne stuknięcia. Nie była zaskoczona tym dźwiękiem; zamknęła drzwi wejściowe na zasuwę i przypuszczała, że to synowa grzebała kluczem w zamku, nie mogąc otworzyć. W końcu była druga w nocy, dziewczyna powinna już wrócić. Zawołała:

- Poczekaj chwilę. Nie śpię jeszcze.

Zostawiła zapaloną lampkę nocną i kiedy przechodziła, frędzle abażuru poruszyły się, rzucając na ścianę drżące małe cienie.

Doszła do drzwi i zaczęła otwierać. Przypominając sobie o instrukcjach inspektora zatrzymała się na chwilę.

- To ty, kochanie, prawda?

Odpowiedzi nie było.

Natychmiast z powrotem zaryglowała drzwi.

- Janet? Panie Canfield? Czy to wy?

Cisza.

Ogarnął ją strach. Na pewno słyszała ten dźwięk, starość nie popsowała jej słuchu. Ale może nie było to stukanie do drzwi? Może w pokoju ktoś już był? Poczowała ściskanie w dołku.

Kiedy odwróciła się, żeby wrócić, do sypialni, dostrzegła, że jedno z dużych okien jest uchylone - nie więcej niż kilka centymetrów, wystarczająco jednak, by wpadający powiew poruszył delikatnie jedwabne firanki.

Czując zamęt w głowie usiłowała sobie przypomnieć, czy zamykała je wcześniej. Wydawało jej się, że tak, ale nie była tego pewna, ponieważ nie wzięła polecenia Canfielda zbyt poważnie. Po co? Byli przecież na siódmym piętrze.

Nie, chyba jednak go nie zamknęła. A jeśli tak, to niedokładnie, pewnie haczyk się ześlizgnął. Nic w tym niezwykłego. Podeszła do okna i zamknęła je starannie.

I wtedy usłyszała:

- Witaj, mamo.

Z mroku drugiego końca pokoju wynurzył się wysoki mężczyzna ubrany na czarno. Miał ogoloną głowę i był bardzo opalony.

Przez kilka sekund nie poznawała go. Światło jedynej lampki było przyćmione, a mężczyzna stał w końcu pokoju. Kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do oświetlenia, zrozumiała, dlaczego wydał się jej obcy. Twarz była zmieniona. Połyskliwe czarne włosy zostały ogolone; nos miał inny kształt - był teraz mniejszy, z szerszymi nozdrzami - inne też były uszy - bardziej przylegały do głowy;

nawet oczy - dawniej z charakterystycznymi, lekko opadającymi powiekami - teraz były wielkie, jakby w ogóle bez powiek. Wokół ust i na czole widniały czerwone plamy. To nie była twarz, lecz jakaś makabryczna maska. I to był jej syn.

- Ulster! Mój Boże!

- Jeżeli w tej chwili umrzesz na atak serca, zrobisz idiotów z kilku dobrze opłaconych zabójców.

Starsza pani próbowała myśleć, próbowała z całej siły powstrzymać się od paniki. Zaciśnęła dłoń na oparciu krzesła;

wydawało się, że żyły na jej rękach przebijają skórę.

- Jeśli przyszedłeś mnie zabić...

- Człowiek, który polecił cię uśmiercić, wkrótce sam zginie.

Był głupi.

Ulster, Scarlett podszedł do okna i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz, po czym - Odwrócił się. Matka zauważyła, że pozostał mu wdzięk, z jakim się zawsze poruszał, ale nie było w nim teraz spokoju, dawnej arystokratycznej niedbałości. Teraz jego ruchy były prężne, celowe, pełne napięcia i jakiejś drapieżności. Podkreślały to jeszcze czarne rękawiczki ciasno okrywające dłonie i długie, zakrzywione palce.

Elizabeth powoli odnajdywała słowa.

- Dlaczego tu przyszedłeś?

- Z powodu twojej ciekawości i uporu. - Przeszedł szybko do telefonu stojącego na stoliku z zapaloną lampą i dotknął widełek, jakby chciał się upewnić, że telefon działa. Wrócił i stanął blisko matki, która na widok jego twarzy, teraz w pełnym świetle, zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, tarł dłonią prawą brew, mocno zaczerwienioną.

- Jeszcze się nie zagoiło. Czasem swędzi - wyjaśnił.

- Co ty ze sobą zrobiłeś?

- Zacząłem nowe życie. Stworzyłem sobie nowy świat. Świat, który z twoim nie ma nic wspólnego. Na razie...

- Zapytałam, co zrobiłeś.

- Wiesz, co zrobiłem, w przeciwnym razie nie byłoby cię w Londynie. Musisz zrozumieć, że Ulster Scarlett już nie istnieje.

- Dlaczego przychodzisz z tym właśnie do mnie?

- Ponieważ uznałaś, że to nieprawda, a twoje wścibstwo może pokrzyżować moje plany. Starsza pani zebrała się w sobie, zanim odpowiedziała:

- Wobec tego bardzo możliwe, że rozkaz zlikwidowania mnie nie był taki głupi.

- Jesteś bardzo odważna. Zastanawiam się jednak, czy pomyślałaś o innych?

- Jakich innych...?

Scarlett usiadł na tapczanie i naśladując krzykliwą włoską wymowę powiedział:

- "La Famiglia Scarlatti." Tak to się mówi, prawda...? W sumie jedenaście osób. Głowa rodu, matka i babka zarazem - oraz jej jedyny pozostały przy życiu syn, dwie synowe i siedmioro wnucząt.

Nagle cały ród Scarlattich ginie w krwawej masakrze... Koniec plemienia! Jak ci się to podoba?

- Jesteś szalony! Powstrzymałabym cię! Nie masz co się mierzyć ze mną, chłopcze!

- Głupia stara baba! Mamy nieograniczone środki. Teraz ważne jest tylko to, jak je wykorzystamy.

- Znajdą się poza twoim zasięgiem! Każę cię ścigać i zniszczyć.

Ulster zerwał się z tapczanu i podszedł do matki.

- Tracimy czas. Postawmy sprawę jasno. Dzwonię do Nowego Jorku i wydaję rozkaz. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin rodzina Scarlattich schodzi z tego świata! Znika!

- Twoje dziecko też?

- On będzie pierwszy. Wszyscy zginą. Pozornie bez powodu.

Tajemnica klanu zwariowanych Scarlattich.

- Jesteś nienormalny - powiedziała to tak cicho, że ledwo ją było słychać.

- Mów głośniej! Pewnie myślisz teraz o swoich wnukach baraszkujących na plaży w Newport... Co będzie, jeśli wszyscy zginą?

Cóż za tragedia. Żeby chociaż jeden ocalał! Wystarczyłby ci jeden z tej całej bandy, żeby plemię Scarlattich przetrwało! Mam zadzwonić?

Starsza pani, stojąca dotąd bez ruchu, ruszyła powoli w stronę jednego z foteli. Usiadła w nim z trudem i zapytała:

- Czy to, czego chcesz ode mnie, jest aż tak cenne, że zależy od tego życie całej mojej rodziny?

- Dla mnie tak. Widzisz, mogło być gorzej. Mogłem zażądać dodatkowego miliona.

- Czemu więc nie zażadasz? Wiesz, że w tych okolicznościach zapłaciłabym.

Ulster roześmiał się.

- Pewnie, że byś zapłaciła. Ale wywołałoby to panikę w gabinetach dyrektorskich wielu firm. Nie, dziękuję. Nie potrzebuję.

Pamiętaj, mamy nieograniczone środki.

- Czego więc chcesz? - Siedziała w fotelu, splatając na kolanach szczupłe ręce.

- Po pierwsze proszę o listy do banków. I tak na nic ci się nie przydadzą.

Miała więc rację! Zawsze idź śladem rzeczy praktycznych.

Pieniądzy.

- Listy do banków...?

- Ligty, które dał ci Cartwright.

- Zabiłeś go! Wiedziałaś o naszej umowie?

- Daj spokój, mam. Osioł z Południa zostaje nagle wiceprezesem firmy Waterman Trust! Czy to nie zastanawiające?

Śledziliśmy go przez trzy dni. Mamy jego kopie waszej umowy, więc nie próbuj mnie zwodzić. Poproszę o listy.

Starsza pani wstała z fotela i przeszła do sypialni. Wróciwszy, wręczyła mu spory pakiet. Szybko rozerwał koperty, wyjął kartki ze środka, rozłożył na tapczanie i policzył.

- Cartwright nie dostał pieniędzy za nic - stwierdził.

Zebrał wszystkie listy i niedbale usiadł na kanapie.

- Nie miałam pojęcia, że są takie ważne.

- Tak naprawdę nie są ważne. Nie dla ciebie przynajmniej.

Nic byś nimi nie osiągnęła. Wszystkie konta zostały zlikwidowane, a pieniądze... powiedzmy, że umieszczono je gdzie indziej.

- Dlaczego więc tak ci na tych listach zależało? - spytała wciąż stojąc.

- Gdyby znalazły się w bankach, zaczęto by snuć wiele domysłów.

A my nie życzymy sobie teraz żadnego szumu wokół naszej sprawy.

- Co to za "my"? W co ty się wplątałaś? - spytała z narastającym lękiem.

Odpowiedział jej groteskowy uśmiech krzywych ust poniżej zdeformowanych nozdrzy.

- Dowiesz się w swoim czasie. Oczywiście nie usłyszysz nazwiska, ale będziesz wiedziała, o kogo chodzi...; Może nawet będziesz dumna, choć nigdy się do tego nie przyznasz. - Spojrzał na zegarek. - Ale do rzeczy...

- Co jeszcze?

- Powiedz mi, co się stało na "Calpurni". Tylko nie kłam! Wbił wzrok w Elizabeth.

Napięła mięśnie twarzy, by powstrzymać się od jakiegokolwiek reakcji na to pytanie.

- Nie rozumiem.

- Kłamiesz!

- Nie wiem, co masz na myśli. Dostałam wtedy telegram od pana Boutier w sprawie śmierci Cartwrighta...

- Przestań! - Pochylił się w jej stronę. - Nie zadawałabyś sobie trudu z tą historyjką o opactwie York, gdyby nic się nie stało.

Chcę wiedzieć, gdzie on jest.

- Kto? Cartwright?

- Nie rób ze mnie idioty!

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Ze statku zniknął pewien człowiek. Mówią, że wypadł za burtę...

- A tak, przypominam sobie. Ale co ja mam z tym wspólnego? - Była uosobieniem niewinności.

- Nic nie wiesz o tym wypadku?

- Tego nie powiedziałam.

- A co powiedziałaś?

- Rozeszły się pewne pogłoski...

- Jakie pogłoski? |

Starsza pani wiedziała, że jej odpowiedź musi zabrzmieć w miarę prawdziwie, lecz z drugiej strony powinna mieć charakter plotki, niepełnej i niesprawdzalnej.

- Że ten człowiek był pijany i awanturował się. Wdał się w bójkę w świetlicy... Trzeba było go obezwładnić i zanieść do kabiny. Usiłował wrócić i wypadł za burtę. Znałeś go?

Ulster odpowiedział obojętnym tonem:

- Nie, to chyba nikt od nas. - Nie był w pełni usatysfakcjonowany, ale dalsze wyjaśnianie tej sprawy uznał chyba za stratę czasu.

Pogrążony w myślach, nie patrzył na matkę. W końcu się odezwał:

- Jeszcze jedno. Wyruszyłaś, żeby odnaleźć zaginionego syna...

- Żeby odnaleźć złodzieja! - przerwała mu ostro.

- Jeśli to tak wygląda z twojego punktu widzenia... Ja po prostu znalazłem się dalej w czasie.

- Nieprawda! Okradłeś Scarlattich. To, co dla ciebie przeznaczaliśmy, miało być wykorzystane wspólnie!- Znów tracimy czas...

- Chciałam wyjaśnić tę kwestię.

- Wyjechałaś, by mnie znaleźć, i udało ci się to. Czyż nie tak?

- Tak.

- Ale teraz życzę sobie, byś nic nie mówiła, nic nie robiła i wracała do Nowego Jorku. Ponadto masz zniszczyć wszystkie pozostałe listy i instrukcje, które mnie dotyczą.

- To życzenia niemożliwe do spełnienia!

- Wobec tego wysyłam rozkaz zgładzenia rodziny Scarlattich!

Ulster Scarlett wstał z wiktoriańskiej kanapy i zanim starsza pani zdołała się zorientować, sięgnął po telefon. W jego ruchach nie było najmniejszego wahania. Podniósł słuchawkę i czekał, aż zgłosi się centrala.

Elizabeth podniosła się chwiejnie.

- Nie rób tego!

Odwrócił się ku niej.

- Dlaczego?

- Zrobię wszystko, czego żądasz.

Odłożył słuchawkę.

- Jesteś pewna?

- Tak - odpowiedziała.

Rozciągnął w uśmiechu zniekształcone wargi.

- Zakończyliśmy więc rozmowę, mamusiu.



- Niezupełnie. - Elizabeth zamierzała jeszcze walczyć, choć wiedziała, że próba ta może kosztować ją życie.

- O...?

- Chciałabym "pogdybać". Tylko przez minutkę.

- Na jaki temat?

- Powiedzmy, że zdecydowałabym się zerwać nasze porozumienie?

- Wiesz, czym to grozi? Nie lekceważ tego.

- Jednakże czas może działać na moją korzyść.

- Obligacje poszły już w świat. Nie ma sensu o nich myśleć.

Mów dalej.

- Jeżeli sam o tym nie pomyślałeś, to na pewno ktoś ci powiedział, że jedynym inteligentnym sposobem spieniężenia tych papierów jest sprzedaż ich na giełdzie za gotówkę po obniżonej cenie.

- Nikt mi nie musiał tego mówić.

- No dobrze, wobec tego powiedz mi, jak trudne, według ciebie, będzie wyśledzenie depozytów tej wielkości, w złocie czy w innej formie? Gdzie mieszczą się jedyne banki na świecie mające możliwość przyjęcia takich sum?

- Oboje znamy odpowiedź.

- A w którym z wielkich banków w Szwajcarii pracują sami nieprzekupni?

Ulster się zawahał.

- Teraz ty jesteś szalona - powiedział cicho.

- Skądże. Obracasz dużymi pieniędzmi, ale nie ogarniasz całości... Przypuśćmy, że po marmurowych salach Berna i Zurychu rozchodzi się wieść, że za pewne poufne informacje można dostać milion dolarów amerykańskich...

- Co przez to zyskasz?

- Nazwiska.

- Rozśmieszasz mnie.

- Krótco będziesz się śmiał...! To oczywiste, że masz współpracowników; są ci potrzebni. I pewna jestem, że dobrze im płacisz... Moje pytanie brzmi: kiedy ich poznam - i oni poznają mnie - czy będą w stanie oprzeć się mojej cenie? Z pewnością w tym nigdy mi nie dorównasz! Twoje środki nie są nieograniczone.

Groteskowa twarz Ulstera wykrzywiła się jeszcze bardziej, a z jego zniekształconych ust wydobył się ochrypły, przeciągły śmiech.

- Czekałem całe lata, żeby ci powiedzieć, jak śmierdzą mi te twoje logarytmiczne teorie! Skończyły się twoje cuchnące intrygi:

"kup mnie, sprzedaj mnie"! Robiłaś wszystko po swojemu! Ale to już przeszłość! Koniec! Kropka...! Kim ty niby jesteś, żeby manipulować innymi? I ci twoi spiskujący bankierzy! Twoi śmierdzący Żydzi! Jesteście skończeni! Wasz gatunek wymiera...! Nie dyskutuj ze mną o moich współpracownikach. Nie dotknęliby ani ciebie, ani twoich pieniędzy! - Ulster aż spurpurowiał z wściekłości.

- Wierzysz w to? - zapytała Elizabeth.

- Całkowicie! - Nie zagojona skóra na twarzy Ulstera Scarletta była czerwona od uderzającej mu do głowy krwi. Mamy też coś innego! Nie możesz nas tknąć!

- Przyznasz jednak, że - tak jak w przypadku listów - mogę okazać się kłopotliwa. I to w dużo większym stopniu. Chcesz zaryzykować?

- Podpisujesz jedenaście wyroków śmierci! Pamiętaj o tym.  
Naprawdę chcesz tego?

-, Chyba na oba pytania odpowiedź brzmi: nie.  
Ulster Scarlett zamilkł na chwilę, po czym odezwał się cicho, ale dobitnie:

- Daleko ci do mnie. Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, że jesteś mi równa.  
- Co się stało, Ulster? Co się stało?... Dlaczego?

- Nic i wszystko! Robię to, czego żadne z was nie jest w stanie zrobić. Co musi być zrobione! Ale nie przez was.  
- Czyja... my... chcielibyśmy to zrobić?  
- Być może bardziej, niż cokolwiek na świecie! Ale nie macie odwagi! Jesteście słabi!  
Zadzwoił telefon.

- Nie masz po co odbierać - powiedział Ulster. - To sygnał, że moja żona i jej nowy fagas wyszli od Claridge'a.

- Rozumiem więc, że nasze spotkanie dobiegło końca powiedziała Elizabeth. Dostrzegła z ulgą, że zgodził się z tym.  
Zorientowała się już, że był niebezpieczny. Skóra przy jego prawym oku coraz częściej drgała w nerwowym tiku. Powolnym, celowym ruchem rozczapierzył palce.

- Pamiętaj, co powiedziałem. Jeden błąd...  
Przerwała mu, zanim skończył.

- Pamiętaj, kim jestem! Rozmawiasz z żoną Giovanniego Merighi Scarlatti. Zresztą nie ma potrzeby się powtarzać. Zawarliśmy umowę. Wracaj do swoich brudnych interesów. Nie mam zamiaru dalej się tobą zajmować.  
Ulster Scarlett ruszył szybkim krokiem do drzwi, mówiąc:

- Nienawidzę cię...  
- Mam nadzieję, że osoby, co do których żywisz podobne uczucia, odpłacą ci tym samym.

- Nigdy tego nie zrozumiesz! - Otworzył drzwi i wyslizgnął się na zewnątrz, po czym z hukiem zamknął je za sobą.  
Elizabeth Scarlatti stanęła przy oknie i rozsunęła zasłony.  
Oparła się o zimną szybę, jakby szukając w niej oparcia. Cały Londyn spał i jedynie nieliczne rozproszone światelka zaznaczały kropkami obecność ludzi.  
Boże jedyny, co on zrobił?  
To, co dotąd było tylko wstrętne, zmieniło się w coś przerażającego, ponieważ teraz Ulster miał broń. Broń, jaką daje władza i której dostarczyli mu ona i Giovanni.  
Ze starych oczu niespodziewanie popłynęły łzy. Elizabeth nie płakała od ponad trzydziestu lat.  
Oderwała się od okna i zaczęła krążyć po pokoju. Miała mnóstwo spraw do przemyślenia.

## ROZDZIAŁ 28

W Home Office, brytyjskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, James Derek przeglądał teczkę z aktami: "Jacques Louis Aumont Bertholde, czwarty markiz de Chatellerault".

Wszedł urzędnik wydający akta.

- Cześć, James. Widzę, że masz dziś nocny dyżur.

- Obawiam się, że tak, Charles. Zabieram kopię tych akt.

Dostałeś moje zamówienie?

- Mam je tutaj. Podaj mi dane, to podpiszę ci zezwolenie.

Tylko się streszczaj. Gram w karty w biurze.

- Dobra. Krótko i zwięźle. Amerykanie podejrzewają personel swojej ambasady o sprzedaż jankeskich papierów wartościowych na naszym czarnym rynku. Bertholde obraca się w kręgach dyplomatycznych. Może się to wiązać ze Scarlattim.

- Kiedy to wszystko się stało?

- Jakiś rok temu, jeśli dobrze zrozumiałem.

Urzędnik spojrział na Jamesa Dereka.

- Rok temu?

- Tak.

- I ten Amerykanin chce sprawdzić ludzi z ambasady teraz?

Tutaj?

- Zgadza się.

- Cóż, znalazł się po złej stronie Atlantyku. Cały personel ambasady amerykańskiej wyprowadził się stąd cztery miesiące temu. Nie ma tu teraz nikogo - nawet sekretarki - z tych, którzy byli w Londynie w zeszłym roku.

- To bardzo dziwne - stwierdził Derek cicho.

- Powiedziałbym, że twój amerykański przyjaciel ma kiepską łączność ze swoim Departamentem Stanu.

- Znaczą, że kłamie.

- Chyba tak.

Janet i Matthew wysiedli z windy na siódmym piętrze i ruszyli korytarzem w stronę apartamentu Elizabeth. Mieli do przejścia zaledwie trzydzieści metrów, ale zatrzymywali się cztery razy, żeby się objąć i pocałować. Kiedy już wreszcie doszli do drzwi, dziewczyna wyjęła z torebki klucz i wręczyła inspektorowi.

Włożył go w zamek i równocześnie nacisnął klamkę, zanim jeszcze przekręcił klucz. Drzwi otworzyły się i inspektor natychmiast wytrzeźwiał.

Wpadł do pokoju.

Elizabeth Scarlatti siedziała na kanapie przy słabym świetle nocnej lampki. Nie wstała, podniosła tylko wzrok na Canfielda i synową.

- Słyszałam was w korytarzu.

- Kazałem pani zamknąć drzwi!

- Przepraszam, zapomniałam.

- Akurat! Słyszałem, jak pani zasuwa rygiel!
  - Zamawiałam kawę do pokoju.
  - Gdzie jest taca?
  - W sypialni...
  - Czyżby?
  - No cóż, jeszcze raz przepraszam...! Kazałam ją zabrać.
- Jestem trochę rozkojarzona. Proszę mi wybaczyć.
- Dlaczego? Co się stało?

Elizabeth Scarlatti przez chwilę milczała, po czym odparła, patrząc na synową:

- Otrzymałam nadzwyczaj przykry telefon. Sprawa służbowa, nie mająca z panem żadnego związku. W grę wchodzi ogromne pieniądze i muszę podjąć decyzję, zanim otworzą brytyjską giełdę.

- Mogę zapytać, co jest aż tak ważne, że nie stosuje się pani do moich poleceń?

- Kilka milionów dolarów. Może mógłby pan mi pomóc w podjęciu decyzji. Czy Zakłady Scarlatti mają zdecydować się na zakup obligacji wymiennych fabryki sztućców, i przez dokonanie wymiany zyskać kontrolę nad firmą Sheffield, czy też nie?

Wciąż niezbyt przekonany inspektor zapytał:

- Dlaczego jest to takie... przykre?
- Ponieważ ta firma wciąż przynosi straty.
- Niech więc pani nie kupuje tych obligacji. Nie powinno to pani spędzać snu z oczu.

Elizabeth Scarlatti popatrzyła na niego zimno.

- Fabryka sztućców Sheffield to jedna z najstarszych i najlepszych firm w Anglii. Ich wyroby są znakomite. Problem nie leży w zarządzaniu, tylko w zalewie rynku japońskimi imitacjami. Jeśli uda się zahamować ten trend, akcje firmy odzyskają swą pierwotną wartość...

Starsza pani podniosła się z kanapy i weszła do sypialni, zamykając za sobą drzwi. Inspektor odwrócił się do Janet.

- Czy ona nie ma żadnych doradców?

Janet patrzyła na drzwi od sypialni. Zdjęła szal i odezwała się cicho:

- Elizabeth nie mówi prawdy.

- Z czego to wnosisz?

- Ze sposobu, w jaki na mnie patrzyła, kiedy mówiła do ciebie. Usiłowała dać mi coś do zrozumienia.

- Niby co?

Dziewczyna wzruszyła niecierpliwie ramionami i powiedziała szeptem:

- Nie mam pojęcia, ale wiesz, o co mi chodzi. Jesteś w jakimś towarzystwie i zaczynasz coś zmyślać albo opowiadać niestworzone historie, i kiedy to robisz, patrzysz na męża czy kumpla, który zna prawdę... a oni wtedy wiedzą, że mają cię nie poprawiać.

- Kłamała mówiąc o tych obligacjach?

- Nie, to prawda. Chancellor od miesięcy próbuje ją przekonać, żeby je kupiła. Ale ona ciągle odmawia.

- Dlaczego więc skłamała?

- Nie wiem.

Nagle uwagę Canfielda przykuło płócienne obicie z tyłu fotela, na którym miał zamiar usiąść. Materiał był zmięty, jakby ktoś szarpał go lub ścisnął w garści. Nie pasowało to do wymuskanego apartamentu.

- O co chodzi, Matthew?

- O nic. Zrób mi drinka, dobrze?

- Oczywiście, kochanie. - Podeszła do barku, a Canfield rozsunął zasłony i obejrzał okno. Zdjął haczyk i otworzył lewe skrzydło. Znalazł to, czego szukał. Drewno framugi było porysowane, a na parapecie widniał brudny ślad zostawiony zapewne przez but na gumowej podeszwie. Otworzył prawe skrzydło i wyjrzał.

Poniżej znajdowało się sześć pięter w linii prostej, powyżej dwa i, jak pamiętał, spadzi-  
sty dach. Zamknął okno.

- Co ty tam u licha robisz?

- Mieliśmy nieproszonego gościa.

Janet znieruchomiała.

- O Boże!

- Nie bój się. Twoja teściowa nie zrobiłaby nic głupiego, uwierz mi.

- Staram się. Co zrobimy?

- Dowiemy się, kto to był. Weź się w garść, będziesz mi potrzebna.

- Dlaczego nic nie powiedziała?

- Nie wiem, ale może tobie uda się tego dowiedzieć.

- Jak?

- Jutro rano pewnie wróci do tej sprawy z Zakładami Sheffield.

Wtedy powiesz jej, że pamiętasz tę sprawę... że nie pozwoliła Chancellorowi kupić tej fabryki. Będzie musiała się jakoś wytłumaczyć.

- Kiedy Elizabeth Scarlatti nie chce mówić, to po prostu nie mówi. I nic wtedy nie poradzisz.

-• Nie naciskaj jej zbyt mocno. Może coś jednak powie...

Choć była już prawie trzecia nad ranem, przez hall cały czas przewijali się maruderzy wracający z różnych zabaw. Ubrani byli przeważnie w stroje wieczorowe, wielu z nich miało kłopoty z utrzymaniem równowagi i wszyscy byli zmęczeni.

Canfield podszedł do recepcjonisty i odezwał się przyciszonym, poufałym głosem:

- Słuchaj, stary, mam mały problem.

- Tak, proszę pana. Czym mogę służyć?

- Hm, to dosyć delikatna sprawa... Przyjechałem tu z madame Scarlatti i jej synową...

- A tak, rzeczywiście. Pan Canfield, prawda?

- Właśnie. No więc... staruszka jest już leciwa, a sąsiedzi z góry bawią się do późna w nocy.

Recepcjonista, który słyszał co nieco o bogactwie Scarlattich, zaczął gorąco przeproszać.

- Strasznie mi przykro, panie Canfield. Natychmiast pójde na górę i zwrócę im uwagę.

- Ach nie, już się uspokoili.

- Zapewniam pana, że to się nie powtórzy. Ale musieli się chyba naprawdę głośno zachowywać. "Savoy" ma bardzo grube mury.

- Pewnie mieli otwarte okna. Proszę jednak nic im nie mówić.

Chciałbym tylko wiedzieć, kim oni są. Sam z nimi pogadam.

Recepcjonista był bardzo zadowolony z zaproponowanego przez Canfielda rozwiązania.

- Cóż, skoro pan nalega... Apartament osiem-W-jeden zajmują wicehrabia i wicehrabina Roxbury, urocza para, starsi państwo, o ile wiem. Dziwna sprawa. Nie pasuje do nich ten hałas... Ale mogli mieć gości.

- A kto mieszka nad nimi?

- Nad nimi, panie Canfield? Nie sądzę, żeby...

- Proszę mi powiedzieć.

- Hm, numer dziewięć-W-jeden... - Recepcjonista przewrócił kartkę. - Jest wolny...

- Wolny? To dość niezwykle jak na tę porę roku, nieprawdaż?

- Powinienem powiedzieć - pusty. Apartament dziewięćW-jeden został wynajęty na miesiąc na służbowe konferencje.

- To znaczy, że w nocy nikogo tam nie ma?

- Tak. Oczywiście mają prawo do noclegów, ale z niego nie korzystają.

- Kto go wynajął?

- Firma Bertholde i Synowie.

## ROZDZIAŁ 29

Jamesa Dereka obudził telefon przy łóżku.

- Mówi Canfield. Potrzebuję pomocy, sprawa nie może czekać.

- Być może tylko ty tak uważasz. O co chodzi?

- Włamano się do apartamentu madame Scarlatti.

- Naprawdę?! A co na to administracja hotelu?

- Nic o tym nie wiedzą.

- Sądzę, że powinieneś ich zawiadomić.

- To nie takie proste. Ona tego nie potwierdzi.

- Twój problem. Po co do mnie dzwonisz?

- Myślę, że ona się boi... Weszli przez okno.

- Mój drogi, jej pokoje znajdują się na siódmym piętrze. Masz zbyt bujną wyobraźnię. A może niedobrzy chłopcy umieją latać?

Amerikanin odczekał wystarczająco długo, by tamten zrozumiał, że go to nie bawi.

- Wiedzieli, że nie otworzy drzwi... Już samo to jest zastanawiające, nie uważasz? Ktoś został opuszczony z jednego z pokoi powyżej. Dowiedziałeś się czegoś o Bertholdzie?

- Wszystko w swoim czasie. - Derek zaczął traktować Canfielda serio.

- Myślę, że to jedna i ta sama sprawa. Firma Bertholde wynajęła lokal dwa piętra wyżej.

- Co?

- Dokładnie tak. Na miesiąc. Codzienne konferencje służbowe.

- Chyba powinniśmy porozmawiać.

- Starsza pani jest przerażona. Możesz postawić tam paru ludzi?

- Uważasz, że to konieczne?

- Nie wiem. Ale nie chciałbym się przekonać, że nie miałem racji.

- W porządku, dam ci dwóch tajniaków. Jednego postaw w korytarzu, drugiego na ulicy.

- Dzięki. Zaczynasz się budzić?

- Tak, a niech cię. Spotkamy się za pół godziny. Przyniosę wszystko, co udało mi się wykopać o Bertholdzie. I obejrzymy sobie ich apartament.

Canfield wyszedł z budki i ruszył z powrotem do hotelu. Zaczął odczuwać brak snu i żałował, że nie jest w jakimś mieście w Ameryce, gdzie w całonocnych barach zawsze można się napić kawy. Anglicy nie mają racji uważając się za cywilizowany naród, pomyślał. Żaden kraj, w którym nie ma całonocnych barów, nie jest cywilizowany.

Wszedł do przestronnego hallu i zauważył, że zegar nad recepcją wskazuje za piętnaście czwartą. Skierował się ku zabytkowym windom.

- Panie Canfield! Proszę pana! - Recepcjonista wybiegł za nim.

- Tak? - Canfield pomyślał o Janet i serce przestało mu bić.

- Gdy pan wyszedł... Nie minęły nawet dwie minuty od pana wyjścia...! Rzadko się zdarza, żeby tak późno w nocy...

- O czym pan do diabła mówi?

- Przeszedł telegram do pana. - Recepcjonista wręczył mu kopertę.

- Dziękuję - powiedział Canfield z ulgą, wziął telegram i wszedł do windy. Po drodze dokładnie obejrzał kopertę. Była gruba. Benjamin Reynolds? Być może będzie miał sporą porcję tekstu do rozszyfrowania. Miał tylko nadzieję, że zdąży przed przyjściem Dereka.

Dotarł do swojego pokoju, usiadł w fotelu obok stojącej na podłodze lampy i zaczął czytać.

Rozszyfrowywanie okazało się zbędne. Wszystko napisane było zwyczajnym, urzędowym językiem, jednak właściwa informacja była zrozumiała tylko dla Canfielda. Oddzielił kartki i zaczął czytać.

Z PRZYKROŚCIĄ ZAWIADAMIAM ŻE RAWLINS THOMAS I LILIAN MIELI WYPADEK SAMOCHODOWY POWTARZAM WYPADEK GÓRY POCONO STOP OBOJE NIE ŻYJĄ STOP WIEM ŻE NASZA DROGA PRZYJACIÓŁKA SIĘ ZMARTWI STOP ZAJMIJ SIĘ NIĄ W TYCH SMUTNYCH CHWILACH STOP CO DO SPRAW WIMBLEDONU ZROBILIŚMY WSZYSTKO STOP PODKREŚLAM WSZYSTKO W CELU POROZUMIENIA Z NASZYMI ANGIELSKIMI DOSTAWCAMI I UZYSKANIA JAK NAJWIĘKSZEJ ILOŚCI TOWARU STOP ROZUMIEJĄ NASZE KŁOPOTY ZE SKANDYNAWSKIM EKSPORTEM STOP SĄ GOTOWI CI POMÓC W NEGOCJACJACH W SPRAWIE UZYSKANIA KORZYSTNEGO RABATU PRZY MAKSYMALNYM ZAKUPIE STOP WIEDZĄ O NASZEJ KONKURENCJI W SZWAJCARII PODKREŚLAM W SZWAJCARII I POZOSTAŁYCH FIRMACH PODKREŚLAM FIRMACH STOP WIEDZĄ O KONKURUJĄCYCH Z NAMI TRZECH BRYTYJSKICH PRZEDSIĘBIORSTWACH STOP POMOGĄ CI WE WSZYSTKIM STOP OCZEKUJEMY ŻE SKONCENTRUJESZ SIĘ PODKREŚLAM SKONCENTRUJESZ SIĘ NA NASZYCH SPRAWACH W ANGLII STOP NIE PRÓBUJ PODKREŚLAM NIE PRÓBUJ PRZELICYTOWAĆ NASZYCH RYWALI ZE SZWAJCARII STOP NIE MIESZAJ SIĘ DO TEGO STOP NIC NIE ZDZIAŁASZ STOP J. HAMMER WIMBLEDON NOWY JORK Canfield zapalił cienkie cygaro, położył kartki telegramu na podłodze między wyciągniętymi nogami i pochylił się nad nimi.

Hammer to był pseudonim, którego używał Reynolds wysyłając inspektorowi wiadomości najwyższej wagi. Słowo "podkreślam"

wzmacniało, natomiast "powtarzam" oznaczało zaprzeczenie tego, do czego się odnosiło.

A więc Rawlinsowie - Canfield musiał się przez chwilę zastanowić, zanim sobie przypomniał, że Rawlinsowie byli teściami Boothroyda - zostali zamordowani. Nie zginęli w wypadku.

Reynolds obawiał się o życie Elizabeth Scarlatti. Waszyngton zawarł porozumienie z rządem brytyjskim, by zapewnić sobie współpracę Anglików - w zamian powiedziano im o szwedzkich obligacjach i zakupie ziemi w Szwajcarii, co, jak uważano, miało ze sobą związek. Jednakże nie ujawniono, kim są ludzie z Zurychu.

Poinformowano tylko, że istnieją i że na liście znajduje się również trzech biznesmenów angielskich. Canfield przypomniał sobie ich nazwiska - Masterson z Indii, Leacock z giełdy brytyjskiej i Innes-Bowen, magnat włókienniczy.

Najważniejsze dla Reynoldsa było to, żeby Canfield chronił Elizabeth i trzymał się z daleka od Szwajcarii.

Rozległo się pukanie do drzwi. Canfield zebrał kartki i wsadził je do kieszeni.

- Kto tam?



- A niech cię, hipopotam! Szukam barłogu, żeby się przespać. - Dźwięczny brytyjski akcent należał oczywiście do Jamesa Dereka. Canfield otworzył drzwi i Anglik wszedł do środka nie witając się. Rzucił na łóżko grubą kopertę, położył na biurku melonik i usiadł na najbliższym krześle.

- Masz wspaniały kapelusz, James...

- Modłę się, żeby uchronił mnie od aresztowania. Londyńczyk kręcący się o tej porze po "Savoyu" musi wyglądać niezwykle szacownie.

- I tak wyglądasz, daję słowo.

- Nie uwierzyłbym ci na słowo w żadnej sprawie, ty nocny marku.

- Chcesz whisky?

- Rany boskie, nie...! Madame Scarlatti nic nie powiedziała?

- Ani słowa. Gorzej - próbowała odwrócić moją uwagę.

A potem po prostu zamknęła się w sypialni.

- Nie do wiary. Myślałem, że wy dwoje współpracujecie ze sobą. - Derek wyjął z kieszeni klucz do pokoju z numerkiem wytłoczonym na drewnianej przywieszce. - Zamieniłem parę zdań z hotelowym gliną. Dał mi ten klucz...

- Można mu zaufać?

- To bez znaczenia. On myśli, że obstawiam przyjęcie na drugim piętrze. Klucz jest uniwersalny.

- No to idę. Poczekaj tu na mnie. Złap trochę snu.

- Chwileczkę. Ty masz pilnować madame Scarlatti. Ja pójdę.

Inspektor zastanowił się. To, co mówił Derek, miało pewien sens. Zresztą prawdopodobnie brytyjski agent był dużo lepszy w takich podchodach niż on. Z drugiej jednak strony nie był pewien, na ile można mu zaufać.

- Dzięki, James, ale wolałbym iść sam. Nie ma powodu, żebyś się w to wplątywał. Zadzwoń mi z prośbą o pomoc, a nie o zastępstwo - powiedział.

- Proponuję więc kompromis... Pójdę pierwszy, a ty poczekasz w korytarzu obok windy. Sprawdź pokoje i dam ci znak.

- Jaki?

- Na przykład krótki gwizd.

Kiedy Canfield usłyszał krótki, przenikliwy świst, szybko przeszedł przez hol do numeru 9-W-1.

Zamknął za sobą drzwi i ruszył w kierunku światła latarki.

- Wszystko w porządku?

- Dobrze utrzymany apartament hotelowy. Może bez takiego przepychu, jak lubią Amerykanie, ale za to urządzony dużo bardziej swojsko.

- Pociuszające.

- Żebyś wiedział. Naprawdę nie lubię roboty tego rodzaju.

- Zdawało mi się, że to dla was normalka.

W czasie tej pogawędki rozpoczęli szybkie, staranne przeszukiwanie pokoi. Ich rozkład był identyczny jak w apartamencie Scarlatti dwa piętra niżej, ale zamiast normalnych mebli na środku salonu stał długi stół, otoczony chyba dwunastoma krzesłami.

- Stół konferencyjny, jak sądzę.

- Musimy obejrzeć okno.

- Które?

Canfield zastanowił się.

- Chyba to tutaj. - Podeszedł do dużych okien znajdujących się dokładnie nad oknami Elizabeth Scarlatti.

- Trafieś. Zobacz. - Anglik odsunął Canfielda świecąc latarką.

Na parapecie widniało świeżo zrobione wgłębienie przechodzące przez farbę aż do żywego drewna. W miejscu połączenia parapetu z zewnętrzną ścianą wierzchnia warstwa zabrudzonego tynku została starta i kolor maleńkiego fragmentu muru zmienił się z czarnego w jasnoszary. Rysa miała jakieś cztery centymetry szerokości i najwyraźniej wyżłobiona została przez trącą o parapet grubą linę.

- Ten ktoś musiał być kotem - stwierdził Canfield.

- Rozejrzyjmy się.

Dwaj mężczyźni weszli najpierw do sypialni po lewej stronie, w której stało podwójne, starannie zaścienione łóżko. Komody były puste, na biurku leżał tylko czysty papier i przybory do pisania.

W szafach gołe wieszaki i pokrowce na buty. Łazienka idealnie wysprzątana i pusta. W drugiej sypialni, z prawej strony, znaleźli to samo, jedynie narzuta na łóżku była lekko zmięta. Ktoś na niej spał lub odpoczywał.

- Miał chyba metr osiemdziesiąt albo i więcej - powiedział Anglik.

- Po czym poznajesz?

- Ślad po tyłku. Widzisz? O tu, poniżej połowy łóżka.

- Nie przyszłoby mi to do głowy.

Inspektor otworzył drzwi do szafy.

- Hej, poświeć tutaj! \

- Proszę bardzo.

- Jest!

Na dnie szafy leżał niedbale rzucony zwój liny. Pod spodem widać było trzy szerokie skórzane pasy, przytwierdzone do niej metalowymi zaciskami.

- Alpejska - zauważył angielski agent.

- Do wspinaczki?

- Właśnie. Bardzo bezpieczna. Profesjonaliści takich nie używają, bo niesportowe. Stosowane głównie w akcjach ratowniczych.

- Weszłoby się z nią na ścianę "Savoya"?

- Oczywiście. Szybko, bezpiecznie. Miałeś rację.

- Wynośmy się stąd - powiedział Canfield.

Chętnie bym się teraz czegoś napił - stwierdził Derek, kiedy po paru godzinach wszedł do pokoju inspektora.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Canfield z trudem podniósł się z łóżka. - Szkocka z wodą sodową, przyjacielu?

- Dzięki.

Amerikanin podeszedł do stolika przy oknie służącego mu za barek i nalał do szklanek dwie duże porcje whisky. Wręczył jedną z nich Jamesowi Derekowi, a swoją wznosił toast.

- Dobra robota, James.

- Sam też jesteś niezły. Myślę, że miałeś rację zabierając stamtąd tę linę.

- Narobiłaby tylko zamieszania.
  - Otóż to. I może się nam przydać... To bardzo amerykański sprzęt.
  - Nie rozumiem.
  - Nie bierz tego do siebie. Po prostu wy, Amerykanie, macie bzika na punkcie ekwipunku. Na polowanie na ptaki w Szkocji zabieracie ze sobą armatę wielkiego kalibru... Łowiąc ryby w Lowland macie w pudełku sześćset błystek i sztucznych much. Amerykanina mistrzem w sporcie czynią jego zakupy, a nie umiejętności...
  - Powinieneś występować w radiu z programem "Godzina nienawiści do Amerykanów".
  - Przestań, Matthew. Usiłuję ci tylko powiedzieć, że moim zdaniem masz rację. Ten, kto włamał się do apartamentu Scarlatti, był Amerykaninem. Lina może zaprowadzić nas do kogoś w twojej ambasadzie. Nie przyszło ci to do głowy?
  - Może zaprowadzić nas gdzie?
  - Do twojej ambasady. Jeśli to ktoś stamtąd. Ktoś, kto zna Bertholde'a. Jeden z tych, których podejrzewasz w sprawie obligacji... I chyba ktoś, kto miał do czynienia ze wspinaczką. Nawet przy tego rodzaju linie potrzebny jest doświadczony alpinista. Ilu wspinaczy może znajdować się wśród personelu ambasady? Scotland Yard sprawdzi to w jeden dzień.
  - Nie... Sami to załatwimy.
  - Strata czasu. W końcu mają teczki całego personelu. Tak samo jak Bertholde'a. Ilu z nich się wspina?
- Inspektor odwrócił się od Dereka i nalał sobie jeszcze jednego drinka.
- Uznano by to wtedy za sprawę policji. A tego nie chcemy.
- Sami zrobimy dochodzenie.
- Jak chcesz. Tam jest dwadzieścia, maksimum trzydzieści osób. To nie powinno być trudne.
  - Na pewno. - Canfield podszedł do łóżka i usiadł.
  - Powiedz mi - zapytał Anglik dopijając whisky - masz aktualną listę pracowników ambasady?
  - Oczywiście.
  - I jesteś absolutnie pewien, że ludzie pracujący tam teraz zamieszani byli w ten szwindel z obligacjami w zeszłym roku?
  - Tak. Przecież ci mówiłem. Przynajmniej tak uważa Departament Stanu. Mógłbyś już zejść z tego tematu.
  - Właśnie miałem zamiar. Jest późno, na biurku mam kupę roboty, którą zaniedbałem. - Brytyjski agent wstał z krzesła i podszedł do sekretarzyka, na którym położył kapelusz. - Dobranoc, Matthew.
  - Idziesz już...? Znalazłeś coś w aktach Bertholde'a? Przeczytam je później, teraz jestem zbyt skonany.
- James Derek stanął przy drzwiach i popatrzył na inspektora.
- Znalazłem w nich wiele rzeczy... ale jedną szczególnie interesującą.
  - Co mianowicie?
  - Do sportowych zainteresowań markiza należy między innymi wspinaczka wysokogórska. Jest nawet członkiem Klubu Matterhorn.
- Jako jeden z niewielu zdobył północną ścianę Jungfrau. O ile wiem, to nie byle jaka sztuka. T Canfield zerwał się i krzyknął z gniewem:
- Dlaczego mi nic nie powiedziałeś, na litość boską?

- Myślałem, że bardziej cię ciekawią jego powiązania z twoją ambasadą. I tego szukałem. /

Inspektor w zamyśleniu gapił się na Dereka./

- A więc to był Bertholde. Ale dlaczego...?

- Naprawdę nie wiem. Miłej lektury, Canfield. Dossier tego faceta jest fascynujące... Co prawda nie znajdziesz tam zbyt wielu informacji dotyczących amerykańskiej ambasady... ale przecież wcale nie o to ci chodzi, prawda?

Brytyjczyk wyszedł, głośno zamykając za sobą drzwi. Canfield popatrzył za nim, zbyt zmęczony, żeby się naprawdę przejąć uwagą Dereka.

## ROZDZIAŁ 30

Obudził go telefon.

- Matthew? - Dzwoniła Janet.

- Tak, kochanie?

- Jestem na dole. Powiedziałam mamie Scarlatti, że muszę zrobić zakupy.

Inspektor spojrział na zegarek. Była jedenasta trzydzieści.

- Co się stało?

- Nigdy jej takiej nie widziałam, Matthew. Jest przerażona.

- To nowość. Wspomniała coś o sprawie firmy Sheffield?

- Nie. Sama musiałam ją o to zapytać. Wykręciła się sianem, powiedziała, że sytuacja się zmieniła.

- Nic więcej? Tylko tyle?

- Tak... Nie, było coś jeszcze. Powiedziała, że porozmawia z tobą po południu. Podobno w Nowym Jorku pojawiły się pewne problemy, którymi trzeba się zająć. Myślę, że zamierza wyjechać z Anglii i wrócić do domu.

- To niemożliwe. Co dokładnie powiedziała?

- Wyrażała się niejasno. Że Chancellor jest durniem i że nie ma sensu tracić czasu na daremne poszukiwania.

- Sama w to nie wierzy!

- Wiem, że nie. Ale to, co mówi, brzmi serio. Co masz zamiar z tym zrobić?

- Cóż... spróbuję ją zaskoczyć. Rób zakupy jeszcze przez co najmniej dwie godziny, dobrze?

Umówili się na późny lunch i pożegnali. Trzydzieści minut później inspektor przeszedł przez hall do restauracji i zamówił śniadanie.

Wziął ze sobą akta Bertholde'a. Obiecał sobie przeczytać je, a przynajmniej większą ich część, przy jedzeniu. Otworzył teczkę, umieścił ją z lewej strony talerza i zaczął od strony tytułowej.

Jacques Louis Aumont Bertholde, czwarty markiz de Chatellerault.

Dossier typowe dla bogaczy. Wyczerpujące dane o całym rodzie.

Stanowiska i tytuły każdego członka rodziny poprzez kilka generacji - w interesach, w rządzie, w społeczeństwie - wszystkie brzmiące imponująco i wszystkie bez znaczenia dla osób z zewnątrz.

Ogromny majątek - głównie w koloniach brytyjskich. Elitarna uczelnia i szybka kariera w świecie handlu. Ekskluzywne kluby i eleganckie hobby - samochody, hodowla koni, psy. Ulubione dyscypliny sportowe - polo, żeglarstwo, wspinaczka wysokogórska.

Na końcu były opinie znajomych o charakterze bohatera dossier.

Najciekawsza część, lekceważona jednak przez wielu fachowców.

Pochlebne wypowiedzi najczęściej pochodziły od przyjaciół albo osób mających nadzieję coś zyskać. Niepochlebne - od wrogów lub rywali pragnących osłabić pozycję markiza.

Canfield wyjął ołówek i zaznaczył dwa miejsca w dossier.

Pierwsze na stronie osiemnastej, w akapicie piątym.

Bez specjalnej przyczyny, jedynie dlatego, że podana informacja nie pasowała do reszty i zawierała nazwę miasta, które znajdowało się na trasie europejskiej podróży poślubnej Ulstera Scarletta.

Rodzina Bertholde miała znaczne udziały w Zagłębiu Ruhry, ale zostały one sprzedane niemieckiemu Ministerstwu Finansów na kilka tygodni przed zamachem w Sarajewie. Zamknięto biura firmy w Stuttgarcie i w Tassing. Sprzedaż tych udziałów wywołała sporo komentarzy w kręgach francuskiego biznesu; rodzina Bertholde była krytykowana przez Zgromadzenie Narodowe oraz prasę. Jednakże oskarżenie o sprzyjanie wrogowi upadło wobec wyjaśnienia, że niemieckie ministerstwo zapłaciło bardzo wysoką cenę. Wyjaśnienie okazało się prawdziwe. Po wojnie odkupiono udziały od rządu weimarskiego i ponownie otwarto biura w Stuttgarcie oraz Tassing.

Drugi zaznaczony fragment, na stronie dwudziestej trzeciej, akapit drugi, odnosił się do jednej z niedawno założonych przez Bertholde'a korporacji i zawierał informację, że partnerami markiza de Bertholde'a w przedsiębiorstwie importowym są pan Sydney Masterson i pan Harold Leacock...

Masterson i Leacock.

Obaj byli na liście z Zurychu. Każdy posiadał jedną z czternastu posesji w Szwajcarii.

Nic zaskakującego. Po prostu jeszcze jedno potwierdzenie powiązań Bertholde'a z grupą z Zurychu, ale miło wiedzieć, że pasuje kolejny kawałek łamigłówki.

Kiedy inspektor kończył kawę, podszedł do niego nieznanemu mężczyzna w hotelowym uniformie.

- Z recepcji, proszę pana. Dwie wiadomości.

Canfield zaniepokoił się. Wyciągnął rękę po kartki.

- Mogliście mnie wywołać.

- Obaj nadawcy prosili, by tego nie robić.

- Rozumiem. Dziękuję.

Pierwsza wiadomość była od Dereka: Skontaktuj się ze mną natychmiast.

Druga od Elizabeth Scarlatti: Proszę przyjść do mnie o drugiej trzydzieści. Wcześniej nie mogę pana przyjąć.

Canfield zapalił jedno ze swoich cienkich cygar i rozsiadł się na rzeźbionym hotelowym krześle. Derek może poczekać. Anglik dowiedział się pewnie o nowej umowie Benjamina Reynoldsa z rządem brytyjskim i albo był wściekły, albo chciał przeprosić.

Odłoży Dereka na później.

Natomiast Elizabeth Scarlatti... Jeśli Janet miała rację, zwijała manatki. Zapominając na chwilę o własnej stracie pomyślał, że nigdy nie wytłumaczy jej odwrotu Reynoldsowi, Gloverowi, czy w ogóle komukolwiek z Grupy 20. Wydał tysiące dolarów, ponieważ zakładano, że zapewnił sobie współpracę starszej pani.

Inspektor pomyślał o "gościu" Elizabeth, czwartym markizie de Chatterault, zdobywcy Matterhornu i Jungfrau. Dlaczego włamał się do apartamentu w taki sposób? Czy tylko z powodu zamkniętych drzwi i świadomości, że mu ich nie otworzą? Czy chciał zastraszyć Elizabeth? A może czegoś szukał?

Co takiego powiedział Bertholde stanąwszy twarzą w twarz z Elizabeth Scarlatti, że złamał jej wolę? Co mogło ją przestraszyć?

Mógł zagrozić jej śmiercią syna, jeśli ten jeszcze żyje. To by wystarczyło... Ale czy na pewno? Syn ją zdradził. Zdradził Zakłady Scarlatti. Canfield miał przeczucie, że Elizabeth wolałaby ujrzeć syna martwego, niż pozwolić mu działać dalej na ich szkodę.

Mimo to wycofywała się.

Canfield znowu, tak jak na "Calpurni", poczuł, że to wszystko go przerasta. Zadanie, które miało dotyczyć kradzieży, zostało skomplikowane przez niezwykle wydarzenia i niezwykłych ludzi.

Wrócił myślą do Elizabeth Scarlatti. Był pewien, że nie mogła go "przyjąć" przed drugą trzydziestą, ponieważ załatwiała sprawy związane ze swoim nagłym odwrotem.

No cóż, ma dla niej niespodziankę. Wie, że miała nocnego gościa. I ma akta markiza Bertholde'a oraz linę alpinistyczną.

Napisałam panu, że nie mogę się z panem zobaczyć przed wpół do trzeciej. Czy mógłby pan się stosować do moich życzeń?

- To nie może czekać. Proszę mnie natychmiast wpuścić!

Otworzyła pełna niesmaku, zostawiła otwarte drzwi i stanęła na środku pokoju. Canfield zamknął je i głośno zarygłował, po czym odezwał się:

- Przeczytałem akta. Wiem już, dlaczego pani gość nie musiał otwierać drzwi.

Zareagowała tak, jakby przed jej starą twarzą wystrzelono z pistoletu. Odwróciła się prostując gwałtownie i wyciągnęła szyję.

Gdyby była o trzydzieści lat młodsza, rzuciłaby się na niego z furją.

Odezwała się z taką wściekłością, jakiej nigdy jeszcze u niej nie słyszał:

- Ty draniu bez sumienia! Jesteś kłamcą! Złodziej! Kłamca!

Kłamca! Spędzisz resztę życia w więzieniu, już ja się o to postaram!

- Bardzo dobrze. Atak za atak. Raz się pani udało, ale teraz to nie przejdzie. Derek był ze mną. Znaleźliśmy linę. Lina alpejska, tak ją nazwał - po której pani gość opuścił się z góry.

Starsza pani postąpiła niepewnie parę kroków w jego stronę.

- Na miłość boską, proszę się uspokoić! Jestem po pani stronie! - Złapał ją za szczupłe ramiona.

- Trzeba go kupić! O Boże! Trzeba go kupić! Niech go pan tu ściągnie!

- Dlaczego? Jak to kupić? Kogo?

- Dereka. Od kiedy wiecie? Panie Canfield, zaklinam pana na wszystkie świętości, niech pan powie, od kiedy wiecie?

- Mniej więcej od piątej rano.

- A więc powiedział już innym! Boże jedyny, powiedział innym! - Zupełnie się zatraciła i Canfield zaczął się o nią obawiać.

- Prawdopodobnie tak. Ale tylko swoim bezpośrednim przełożonym, a o ile wiem, sam jest dosyć ważny. A czego się pani spodziewała?

Elizabeth z całej siły próbowała się opanować.

- Możliwe, że jest pan przyczyną wymordowania całej mojej rodziny. Jeśli tak, dopilnuję, żeby pan zginął.

- Mocne słowa! Lepiej, żeby je pani wytłumaczyła.

- Nie powiem nic, dopóki nie zadzwoni pan do Dereka.

Inspektor podszedł do aparatu i podał telefonistce numer brytyjskiego agenta. Przez chwilę rozmawiał z nim nerwowym, przyciszonym głosem, po czym zwrócił się do starszej pani:

- Za dwadzieścia minut idzie na zebranie. Przygotował szczegółowy raport, który ma przedstawić.

Starsza pani podeszła szybko do Canfielda.

- Proszę mi dać słuchawkę!

Podał jej cały aparat.

- Panie Derek! Tu Elizabeth Scarlatti. Bez względu na to, co to za zebranie, niech pan nie idzie! Nie mam zwyczaju błagać, ale zaklinam pana, niech pan nie idzie! Proszę nie mówić nikomu o ostatniej nocy! Jeśli pan piśnie słowo, będzie pan odpowiedzialny za śmierć wielu niewinnych osób. Nic więcej nie mogę teraz powiedzieć... Tak, tak, jak pan sobie życzy... Zobaczą się z panem, oczywiście. Za godzinę. Dziękuję. Dziękuję!

Odłożyła słuchawkę i powoli, z wielką ulgą odstawiła aparat na stół. Spojrzała na inspektora.

- Bogu niech będą dzięki.

Inspektor obserwował ją uważnie. Zaczął iść w jej kierunku.

- Zaczynam rozumieć. Tamto alpejskie cudo... Akrobacje o drugiej w nocy. Nie chodziło tylko o to, żeby panią śmiertelnie przestraszyć.

- O czym pan mówi?

- Myślałem, że to był Bertholde! I że zjawił się w taki sposób, żeby panią nastraszyć! Ale nie trzymało się to kupy. Przecież mógł zatrzymać panią w hallu, w sklepie, w jadalni, gdziekolwiek. To musiał być ktoś, kto nie mógł tego zrobić! Ktoś, kto nie mógł zaryzykować pokazania się w żadnym z tych miejsc!

- Pan bredzi! Mówi pan od rzeczy!

- Jasne, teraz chce pani wszystko odkręcić. Czemu nie?

W końcu osiągnęła pani cel wyprawy. Znalazła go pani! Znalazła pani zaginionego syna!

- Bzdura!

- O nie, wcale nie. To takie oczywiste, że powinienem wpaść na to już wcześniej! Cała ta cholerna sprawa była tak dziwaczna, że aż się prosiła o wariackie wyjaśnienie. Myślałem, że chodzi o perswazję za pomocą terroru. Ale wcale nie o to chodziło! Nasz czcigodny bohater wojenny powrócił do świata żywych. Ulster Stewart Scarlett! Jedyne człowiek, który nie mógł zatrzymać pani na zewnątrz. Jedyne, który nie mógł zaryzykować, że nie otworzy pani drzwi! /-- To tylko domysły! Wszystkiemu zaprzeczam!

- Może pani sobie zaprzeczać! Teraz ma pani do wyboru...

Derek będzie tu za niecałą godzinę. Albo wyjaśnimy wszystko między sobą, zanim on przyjdzie, albo wychodzę i wysyłam telegram do mojego biura, że uważam, iż znaleźliśmy Ulstera Scarletta!

i zabieram ze sobą pani synową.

Starsza pani podeszła z wahaniem do inspektora. Ściszyła głos prawie do szeptu:

- Jeśli żywi pan jakiegokolwiek uczucia dla tej dziewczyny, zrobi pan, o co proszę. W przeciwnym razie ona zginie.

Inspektor ryknął z furją:



- Niech mnie pani nie straszy! Nie boję się ani pani, ani jej zwyrodniałego synalka! Nie macie prawa mi grozić! Nie kupiła mnie pani na własność! Niech mu pani powie, że go zabiję, jeśli jej dotknie!

Elizabeth Scarlatti błagalnym ruchem trąciła go w ramię.

Odsunął się szybko.

- To nie ja grożę. Proszę, na Boga, niech mnie pan posłucha.

Proszę zrozumieć... Jestem bezsilna. I nie można mi pomóc!

Inspektor zobaczył, że po jej pomarszczonych policzkach płyną łzy. Miała pobladłą twarz i podkrążone ze zmęczenia oczy. Pomyślał zupełnie bez związku, że patrzy na zapłakanego trupa. Opuścił go gniew.

- Nikt nie musi być bezsilny. Niech pani nie da sobie tego wmówić.

- Pan ją kocha, prawda?

- Tak. I właśnie dlatego nie musi się pani tak bać. Jestem oddany swej służbie. Ale dużo bardziej oddany wam obu...

- Pańska pewność siebie nie zmienia sytuacji.

- Nie może pani tego rozstrzygnąć, dopóki nie powie mi pani, jaka jest ta sytuacja.

- Nie mam wyboru?

- Nie. Żadnego.

- Niech więc Bóg ma pana w swojej opiece. Bierze pan na siebie straszliwą odpowiedzialność. Odpowiedzialność za nasze życie.

Powiedziała mu.

A Matthew Canfield dokładnie wiedział, co teraz zrobi. Nadszedł czas, by stanąć twarzą w twarz z markizem de Bertholde.

# ROZDZIAŁ 31

Dziewięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Londynu znajduje się nadmorska miejscowość Ramsgate. Niedaleko miasta, na polu położonym z dala od głównej drogi stała niewielka drewniana szopa. Miała dwa małe okna, poprzez poranną mgłę widać było sączące się z nich blade światło. Jakies sto metrów na północ stał drugi budynek - dawniej stodoła - pięć razy większy od szopy. Służył teraz za hangar dwóm jednopłatowym samolotom.

Jeden z nich wytaczany był właśnie przez trzech mężczyzn w szarych kombinezonach.

W szopie mężczyzna z ogoloną głową siedział przy stole pijąc czarną kawę i pogryzając chleb. Czerwonawa blizna nad prawym okiem była zaogniona i nieustannie jej dotykał.

Przeczytał leżącą przed nim wiadomość i podniósł wzrok na posłańca, człowieka w stroju szofera. Treść listu wprawiła go we wściekłość.

- Markiz posunął się za daleko. Instrukcje Monachium były wyraźne. Rawlinsowie nie powinni byli zginąć w Stanach. Mieli być sprowadzeni do Zurychu! Mieli być zabici w Z u r y c h u!

- Nie ma powodu do niepokoju. Zostali załatwieni w sposób nie budzący podejrzeń. Markiz chce, by pan o tym wiedział.

Uznano to za wypadek.

Kto? Do jasnej cholery, kto? Idź do diabła, wszyscy idźcie do diabła! Monachium nie chce ryzyka! W Zurychu nie byłoby ryzyka! - Ulster Scarlett wstał z krzesła i podszedł do okienka wychodzącego na pole. Jego samolot był już prawie gotowy. Miał nadzieję, że przejdzie mu wściekłość, zanim wystartuje. Nie lubił latać, kiedy był zły. Popełniał wtedy w powietrzu błędy. W miarę jak przybywało kłopotów, zdarzało się to coraz częściej.

Przeklęty Bertholde! Oczywiście Rawlins musiał zginąć. Powodowany paniką po znalezieniu Cartwrighta, rozkazał zięciowi zabić Elizabeth Scarlatti. Poważny błąd! Zauważył, że nie myśli już o staruszce jako o matce. Była po prostu Elizabeth Scarlatti... Ale zamordowanie Rawlinsa prawie sześć tysięcy kilometrów stąd było szaleństwem. Skąd mogli wiedzieć, czy nie dotrą do Bertholde'a jako rozkazodawcy?

- Niezależnie od tego, co się stało... - zaczął Labishe.

- Co? - Scarlett odwrócił się od okna. Podjął już decyzję.

- Markiz pragnie, żeby pan wiedział, iż niezależnie od tego, co się stało z Boothroydem, wszystkie nasze z nim związki zostały pogrzebane wraz z Rawlinsami.

- Niezupelnie, Labishe. Niezupelnie. - Scarlett mówił cicho, ale twardo. - Markizowi de Bertholde polecono... otrzymał rozkaz z Monachium, żeby sprowadzić Rawlinsów do Szwajcarii. Nie posłuchał. Godne pożałowania.

- Pardon, monsieur?

Scarlett sięgnął po kurtkę zawieszoną na oparciu krzesła.

Wypowiedział cicho tylko dwa słowa:

- Zabij go.

- Monsieur!

- Zabij go! Zabij markiza de Bertholde, i to jeszcze dzisiaj!

- Monsieur! Nie wierzę własnym uszom!

- Słuchaj! Nie mam zwyczaju się tłumaczyć! Kiedy dolecę do Monachium, ma tam na mnie czekać telegram z informacją, że ten idiota nie żyje...! I, Labishe, załatw to tak, żeby nie było wątpliwości, kto go zabił. Ty! Nie możemy sobie teraz pozwolić na żadne dochodzenie! Potem wróc tutaj. Wywieziemy cię samolotem z kraju.

- Monsieur! Jestem u markiza od piętnastu lat! Był dla mnie dobry. Nie mogę...

- Co?

- Monsieur... - Francuz opadł na jedno kolano. - Niech pan mnie nie prosi...

- Ja nie proszę. Ja rozkazuję! Monachium rozkazuje!

Korytarz na trzecim piętrze w budynku firmy Bertholde i Synowie był ogromny. Kończył się imponującymi drzwiami w stylu Ludwika XIV, prowadzącymi najwyraźniej do sanctorum sanctorum markiza de Bertholde. Po prawej stronie stało półkolem sześć skórzanych foteli - takich, jakie mogłyby się znaleźć u bogatego ziemianina i masywny, prostokątny niski stół. Na stole leżały ułożone porządnie najlepsze czasopisma - dla najlepszego towarzystwa i najważniejszych biznesmenów. Po lewej stronie ustawiono duże białe biurko ze złoceniami. Za biurkiem siedziała bardzo atrakcyjna brunetka, której głowę okalały drobnutkie loczki. Wszystkie te szczegóły Canfield zauważył dopiero w drugiej kolejności. Minęło parę chwil, zanim otrząsnął się z pierwszego wrażenia.

Kiedy otworzył drzwi windy, przytłoczyła go kolorystyka wnętrza.

Intensywnie czerwone ściany i spływające z zawieszonych pod sufitem karniszy zwoje czarnego welvetu.

Dobry Boże, powiedział do siebie. Znalazłem się w hallu domu położonego pięć i pół tysiąca kilometrów stąd!

Na fotelach siedzieli obok siebie dwaj panowie w średnim wieku, nienagannie ubrani, i czytali magazyny. Nieco dalej na prawo stał z założonymi z tyłu rękami mężczyzna w stroju szofera, bez czapki.

Canfield podszedł do biurka. Kędzierzawa sekretarka powitała go, zanim się odezwał:

- Pan Canfield?

- Tak.

- Pan markiz prosi pana do siebie. - Mówiąc to dziewczyna wstała i skierowała się ku olbrzymim białym drzwiom. Człowiek siedzący po lewej stronie mruknął kilka razy "cholera" i wrócił do swojego Czasopisma.

- Dzień dobry, panie Canfield. - Czwarty markiz Chatellerault stał za wielkim białym biurkiem i wyciągał rękę. Oczywiście nie znamy się, ale wysłannik Elizabeth Scarlatti jest zawsze mile widziany. Proszę, niech pan siada.

Bertholde był prawie taki, jak go Canfield sobie wyobrażał, może tylko trochę niższy. Starannie ubrany, dość przystojny, bardzo męski, o głosie tak dźwięcznym, że wypełniłby całą salę operową. Jednakże, mimo bijącej od markiza męskości - przywodzącej na myśl Matherhorn i Jungfrau - było w nim coś sztucznego, coś miękkiego. Może to sprawa ubioru, bardzo wykwintnego i modnego. Aż za modnego.

- Bardzo mi miło. - Canfield uśmiechnął się potrząsając dłonią Francuza. - Monsieur Bertholde? Czy może raczej monsieur le marguise! Nie jestem pewien, jak się mam do pana zwracać.

- Mógłbym panu podpowiedzieć niejedno niepoehlebne przezwisko nadane mi przez pańskich rodaków - zaśmiał się markiz. Bardzo proszę, niech pan zastosuje zwyczaj francuski... Wystarczy samo Bertholde. Markizowie wyszli już z mody. - Francuz uśmiechnął się i poczekał, aż inspektor usiądzie na krześle przed biurkiem, po czym wrócił na swoje miejsce.

Canfield stwierdził, że Jacques Louis Aumont Bertholde, czwarty markiz Chatellerault, jest niezwykle sympatyczny.

- Dziękuję, że zechciał pan zmienić dla mnie swój rozkład dnia.
- Rozkłady dnia są po to, żeby je zmieniać. Inaczej życie byłoby nudne, nieprawdaż?
- Żeby nie marnować pańskiego czasu... Elizabeth Scarlatti chce negocjacji.

Jacques Bertholde odchylił się do tyłu. Wyglądał na zaskoczonego.

- Negocjacji...? Obawiam się, że nie rozumiem, monsieur...

Jakich negocjacji?

- Ona wie, Bertholde... Wie tyle, ile trzeba. I chce się z panem spotkać.
- Z największą radością spotkam się z madame Scarlatti, ale nie mam pojęcia, o czym moglibyśmy dyskutować.

- Może kluczem do tego jest jej syn.

Bertholde skierował na inspektora uważne spojrzenie.

- Ale ja nie mam zamka do tego klucza, monsieur. Nie miałem przyjemności... Wiem, tak jak wiedzą wszyscy, którzy czytają gazety, że zniknął kilka miesięcy temu. I to wszystko.

- I nic pan nie wie o Zurychu?

Jacques Bertholde wyprostował się gwałtownie.

- Quoi? Zurych!\

- Wiemy o Zurychu. \

- Czy to jakiś kawał?

- Nie. Czternaście osób w Zurychu. Może piętnastą byłaby...

Elizabeth Scarlatti.

Canfield słyszał oddech Bertholde'a.

- Gdzie pan zdobył te informacje? Co pan ma na myśli?

- Ulster Scarlett. Jak pan sądzi, dlaczego tu jestem?

- Nie wierzę panu! Nie wiem, o czym pan mówi! - Bertholde zerwał się z fotela.

- Na litość boską! Ona jest zainteresowana... Nie ze względu na niego! Ze względu na pana! I innych. Ma sporo do zaoferowania, więc na pana miejscu wysłuchałbym jej.

- Ale nie jest pan na moim miejscu, monsieur! Niestety muszę prosić, żeby pan stąd wyszedł. Madame Scarlatti i firma Bertholde nie prowadzą razem interesów.

Canfield nie ruszył się. Siedział dalej i mówił cicho:

- Ujmijmy to inaczej. Myślę, że powinien pan się z nią spotkać. Porozmawiać... dla pańskiego dobra. Dla dobra ludzi z Zurychu.

- Pan mi grozi?

- Nie. Ale obawiam się, że ona zrobi jakiś drastyczny krok, jeśli pan z nią nie porozmawia. Nie muszę panu mówić, że to potężna kobieta... Pan ma powiązania z jej synem... Ale ona spotkała się z nim ostatniej nocy!

Bertholde stał jak skamieniały. Canfield próbował odgadnąć, czy widoczne niedowierzanie tamtego dotyczyło wiadomości o wizycie Scarletta, czy też faktu, że on wie o tym.

Po paru sekundach Bertholde odpowiedział:

- Nie- rozumiem, o czym pan mówi. Nie mam z tym nic wspólnego.

- Och, niech pan da spokój. Znalazłem linę! Linę alpejską!

Znalazłem ją na dnie szafy w pańskim służbowym apartamencie w "Savoyu".

- Co?

- Dobrze pan słyssał! Przestańmy się wreszcie oszukiwać!

- Włamał się pan do pomieszczeń mojej firmy?

- Owszem! A to dopiero początek. Mamy listę. Być może zna pan niektóre nazwiska... Daudet i D'Almeida, pańscy rodacy, jak sądzę... Olaffsen, Landor, Thyssen, von Schnitzler, Kindorf... Dalej...

ach, tak. Pan Masterson i pan Leacock! Pańscy aktualni partnerzy, o ile wiem. Jest jeszcze paru, ale jestem pewien, że zna pan ich nazwiska lepiej niż ja!

- Dosyć! Dosyć, monsieur! - Markiz de Bertholde usiadł powoli, z namysłem. Wpatrywał się w Canfielda. - Zaraz porozmawiamy. Ludzie czekają. To źle wygląda. Proszę poczekać na zewnątrz. Szybko się ich pozbęde.

Inspektor wstał, a Bertholde podniósł słuchawkę i nacisnął guzik, żeby połączyć się z sekretarką.

- Monsieur Canfield zostanie. Chciałbym jak najszybciej załatwić wszystkie sprawy. Proszę przerwać mi każdą rozmowę po pięciu minutach, jeśli sam wcześniej nie skończy. Co? Labishe?

Świetnie, niech wejdzie. Przekażę ich jemu.

Canfield podszedł do białych podwójnych drzwi. Zanim jeszcze dotknął mosiężnej gałki, lewe skrzydło zostało energicznie otwarte.

- Bardzo przepraszam, monsieur - powiedział mężczyzna w uniformie.

- Voici les clefs, Labishe.

- Mer ci, monsieur le marquis! Je regrette... J'ai un billet...

Szofer zamknął drzwi. Canfield uśmiechnął się do sekretarki i podszedł do półkola foteli. Kiedy dwaj panowie podnieśli wzrok, skinął im uprzejmie głową, usiadł w fotelu stojącym najbliżej wejścia do biura Bertholde'a i wziął do ręki "London Illustrated News". Zauważył, że mężczyzna bliżej niego kręcił się, był zdenerwowany i zniecierpliwiony. Przerzucał strony pisma "Punch", ale nie czytał. Drugi zatopiony był w lekturze artykułu w "Quarterly Review".

Nagle uwagę Canfielda przykuł nieistotny w sumie gest zniecierpliwionego mężczyzny. Wysunął on lewą rękę z rękawa marynarki, obrócił nadgarstek i spojrział na zegarek. Najzupełniej normalne zachowanie w takiej sytuacji. Inspektora jednak zaskoczył widok jego spinki w mankiecie. Była kwadratowa, obciągnięta materiałem, ozdobiona dwoma biegnącymi ukośnie paskami koloru czerwonego i czarnego. Miał przed sobą replikę spinki, dzięki której rozpoznał zamaskowanego Charlesa Boothroyda w kabinie Elizabeth Scarlatti na pokładzie "Calpurni". Spinki o barwach tapet na ścianach i welwetowych draperii spływających spod sufitu hallu markiza.

Niecierpliwym gościowi dostrzegł spojrzenie Canfielda, pospiesznie schował mankiet pod rękaw marynarki i opuścił rękę.

- Próbowałem sprawdzić godzinę na pańskim zegarku. Mój się spieszy.

- Czwarta dwadzieścia.

- Dziękuję.

Zniecierpliwiony dżentelmen założył ręce na brzuchu i wyprostował się w fotelu. Drugi mężczyzna powiedział:

- Basil, dostaniesz zawału, jeśli się nie uspokoisz.

- Łatwo ci mówić, Arturze! Jestem już spóźniony na spotkanie.

Powiedziałem markizowi, że mam dziś straszny dzień, ale nalegał, żebym przyszedł.

- Potrafi być uparty.
- Potrafi też być bardzo niegrzeczny!

Nastąpiło pięć minut ciszy, przerywanej jedynie szelestem papierów na biurku sekretarki.

Lewe skrzydło białych drzwi otworzyło się, pojawił się szofer.

Canfield zauważył, że zamknąwszy za sobą drzwi przekręcił jeszcze gałkę. Osobliwe zachowanie.

Człowiek w uniformie podszedł do biurka sekretarki i pochylił się szepcząc coś do niej. Zareagowała pełnym rezygnacji niezadowoleniem. Wzruszył ramionami i szybko poszedł do drzwi z prawej strony windy. Canfield zobaczył schody, tak jak się zresztą spodziewał.

Sekretarka włożyła jakieś dokumenty do dużej koperty i popatrzyła na trzech mężczyzn.

- Przykro mi, panowie, ale markiz de Bertholde nie przyjmie już dziś nikogo. Bardzo panów przepraszamy.

- Zaraz, zaraz, młoda damo! - Niecierpliwy mężczyzna zerwał się na równe nogi. - To skandal! Siedzę tu od trzech kwadransów na usilną prośbę markiza! Diabła tam prośbę! Na jego rozkaz!

- Przykro mi, proszę pana, poinformuję markiza o pańskim niezadowoleniu!

- Zrobi pani więcej! Poinformuje pani markiza Bertholde'a, że nie ruszę się stąd, dopóki się z nim nie zobaczę! - Usiadł cały nadęty.

Mężczyzna nazwany Arturem wstał i podszedł do windy.

- Na miłość boską, człowieku, nie próbuj uczyć Francuza dobrych manier. Innym nie udało się to przez wieki. Chodź, Basil.

- Nie mogę, Arturze. Zostaję tutaj.

- Jak chcesz. Będziemy w kontakcie.

Canfield siedział dalej w fotelu obok zniecierpliwionego Basila.

Wiedział tylko, że zostanie, dopóki Bertholde nie wyjdzie. Basil był jego najlepszą bronią.

- Niech pani jeszcze raz połączy się z markizem - poprosił Basil.

Spróbowała. Raz, potem drugi. Odpowiedzi nie było.

Inspektor zaniepokoił się. Podniósł się z fotela, podszedł do wielkich drzwi i zapukał. Cisza. Usiłował je otworzyć; były zamknięte.

Basil opuścił ręce i wstał. Sekretarka automatycznie podniosła słuchawkę i ponownie zaczęła naciskać brzęczyk, w końcu wcisnęła go na dobre.

- Proszę otworzyć drzwi - polecił inspektor.

- Och, nie wiem...

- Ale ja wiem! Niech mi pani da klucz!

Dziewczyna już zaczęła otwierać szufladę biurka, ale znów zawahała się i podniosła wzrok na Amerykanina.

- Może powinniśmy zaczekać...

- Cholera jasna! Niech mi pani da klucz!

- Tak jest! - Wyjęła kółko z kluczami, wybrawszy jeden odpięła go i wręczyła Canfieldowi. Szybko otworzył drzwi.

Ujrzeni przed sobą Francuza rozciągniętego na biurku. Z ust sączyła mu się krew, spuchnięty język był na wierzchu, oczy wybałuszone, na szyi tuż pod brodą miał długą ranę. Został fachowo zgarotowany.

Dziewczyna zaczęła krzyczeć, ale nie zemdląła - Canfield nie był pewien, czy nie byłoby to lepsze. Basil trząśł się i powtarzał w kółko: "O mój Boże!" Inspektor podszedł do biurka i chwyciwszy za rękaw marynarki, podniósł rękę denata. Kiedy ją puścił, opadła bezwładnie.

Dziewczyna wrzeszczała coraz głośniej. Przez drzwi od klatki schodowej wpadło dwóch niemłodych urzędników. Rzut oka przez podwójne drzwi wystarczył im, by się zorientować, co się dzieje.

Jeden podbiegł z powrotem do schodów wykrzykując coś głośno, drugi powoli, z obawą wszedł do gabinetu Bertholde'a.

-i Le bon Dieu!

W ciągu minuty schody zapelnili pracownicy biegnący w górę i w dół i tłoczący się w przejściu.

Canfield potrząsnął sekretarką próbując ją uciszyć. Powtarzał, że musi zadzwonić na policję, ale nie przyjmowała tego do wiadomości. Inspektor sam nie chciał telefonować, ponieważ całą uwagę zamierzał poświęcić otaczającym go ludziom, zwłaszcza Basilowi.

Do sekretarki i Canfielda przepchnął się przez tłum wysoki szpakowaty mężczyzna w eleganckim dwurzędowym garniturze w prążki.

- Panno Richards! Panno Richards! Co się stało, na Boga?

- Otworzyliśmy drzwi i znaleźliśmy go w takim stanie! Oto, co się stało!. - krzyknął inspektor ponad rosnącym harmidrem podnieconych głosów.

Przyjrzał się uważnie pytającemu. Chyba gdzieś już go widział.

A może nie? Facet wyglądał jak setki innych ze świata Scarlattich.

Razem ze swoim starannie przylizanym wąsikiem.

- Wezwaliście policję? - spytał mężczyzna.

Canfield dostrzegł, że Basil przeciska się przez rozhisteryzowaną grupę przy drzwiach do biura.

- Nie, jeszcze nie - zawołał obserwując Basila przedzierającego się przez tłum. - Niech pan zadzwoni...! Chyba dobrze by było zamknąć te drzwi. - Ruszył w kierunku wyjścia. Elegancki mężczyzna z wypomadowanymi wąsami przytrzymał go jednak za klapę.

- Pan go znalazł?

- Tak. Proszę mnie puścić!- Jak pan się nazywa, młody człowieku?

- Co?

- Pytam o pana nazwisko!

- Derek, James Derek! Niech pan wezwie policję i puści mnie wreszcie!

Chwycił tamtego za przegub i mocno nacisnął żyły. Mężczyzna cofnął obolałą rękę i inspektor wbiegł za Basilem między kłębiących się ludzi.

Dżentelmen w prążkowanym garniturze skrzywił się i odwrócił do sekretarki.

- Usłyszała pani jego nazwisko, panno Richards? Bo ja nie.

Dziewczyna szlochała.

- Tak, proszę pana. Darren albo Derrick. James na imię.

Mężczyzna z wypomadowanymi wąsami popatrzył na sekretarkę.

Rzeczywiście usłyszała...

- Policja, panno Richards. Proszę wezwać policję.

- Dobrze, panie Poole.

Człowiek o nazwisku Poole utorował sobie drogę przez tłum.

Musiał dotrzeć do swojego biura, musiał być sam. Zrobili to!

Ludzie z Zurychu kazali zabić Jacquesa! Jego najbliższego przyjaciela, mentora, bliźszego mu niż ktokolwiek inny na świecie.

Człowieka, który dał mu wszystko, wszystko umożliwił.

Zapłacą za to! Będą płacić i płacić!

On, Poole, nigdy w życiu nie zawiódł Bertholde'a. Teraz, w godzinie śmierci, też go nie zawiedzie!

Były jednak pytania, na które musi odpowiedzieć. Dużo pytań.

Ten Canfield, który przed chwilą podał mu fałszywe nazwisko.

Elizabeth Scarlatti.

No i przede wszystkim Heinrich Kroeger, syn Elizabeth. Bertholde mu powiedział.

Zastanawiał się, czy ktoś jeszcze wie o tym.

Z podestu trzeciego piętra, wypełnionego po brzegi pracownikami firmy Bertholde w rozmaitych stadiach hysterii, Canfield zobaczył, jak piętro niżej Basil zbiega na dół trzymając się poręczy. Inspektor zaczął wykrzykiwać:

- Z drogi! Z drogi! Na dole czeka lekarz! Muszę go wprowadzić! Z drogi!

Podstęp trochę pomógł i Canfield przyspieszył. Kiedy dotarł do korytarza na pierwszym piętrze, Basil zniknął mu z oczu. Inspektor wybiegł głównym wyjściem na ulicę. Zobaczył Basila przed następną przecznicą, kuśtykającego środkiem Vauxhall Road i machającego ręką na taksówkę. Spodnie na kolanach miał pokryte błotem od upadku spowodowanego pośpiechem.

Z okien firmy cały czas dochodziły krzyki, ściągając pod próg biura dziesiątki przechodniów.

Inspektor przedzierał się przez tłum w kierunku utykającej postaci.

Zatrzymała się taksówka, Basil złapał klamkę. Kiedy otworzył drzwi i wsiadł, dogonił go Canfield i wsunął się za nim do środka, popychając go, żeby zrobił mu miejsce.

- Co pan wyrabia? - Basil był przestraszony, nie podniósł jednak głosu. Kierowca nieustannie odwracał głowę patrząc to na drogę przed sobą, to na pozostawioną z tyłu rosnącą grupę gapiów.

Zanim Anglik zdążył pomyśleć, inspektor chwycił go za prawą rękę i podciągnął rękaw, odsłaniając przegub i czerwono-czarną spinę.

- Zurych, Basil! - powiedział cicho.

- O czym pan mówi?

- Ty cholerny głupcze, jestem z tobą! Albo będę, jeśli zostawia cię przy życiu!

- O Boże! Boże! - wybełkotał Basil.

Inspektor zwolnił uścisk. Patrzył prosto przed siebie, jakby ignorując tamtego.

- Jesteś idiotą. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Ja pana nie znam! Nie znam pana! - Anglik był bliski apopleksji.

- Możemy temu zaradzić. Mogę okazać się wszystkim, co ci pozostało.

- Nie miałem z tym nic wspólnego! Byłem razem z panem w poczekalni! Nie miałem z tym nic wspólnego!



- Oczywiście, że nie. Nie ma wątpliwości, że to był szofer. Ale kilku ludzi będzie chciało wiedzieć, dlaczego uciekłeś. Może miałeś się upewnić, że robota została wykonana?

- To niedorzeczne!

- No więc dlaczego uciekłeś?

- Ja... ja...

- Gdzie możemy jednocześnie być widziani i nie niepokojeni?

Nie chcę, żeby wyglądało, że przepadliśmy, a musimy spokojnie porozmawiać.

- Chyba... w moim klubie.

- Podaj kierowcy adres!

## ROZDZIAŁ 32

Jak to byłem tam, co to do cholery znaczy? - krzyczał James Derek do telefonu. - Siedziałem w "Savoyu" całe popołudnie...!

Tak, oczywiście. Od trzeciej, czy coś koło tego... Nie, jest tu ze mną. Brytyjski agent nagle wciągnął powietrze. Kiedy odezwał się ponownie, ledwie było słychać jego pełne niedowierzania słowa: Wielki Boże!... Potworne... Tak. Tak, słyszałem, co mówiłeś.

Elizabeth Scarlatti siedziała na kanapie po drugiej stronie pokoju, pochłonięta lekturą dossier Bertholde'a. Na dźwięk głosu Dereka podniosła wzrok. Popatrzył na nią, po czym odezwał się ponownie:

- Tak. Wyszedł stąd mniej więcej o wpół do czwartej. Z Fergusonem od nas. Mieli się spotkać z panią Scarlett u Tippina, stamtąd miał iść do Bertholde'a... Nie wiem. Wydał polecenie, że pani Scarlett ma zostać pod opieką Ferguson'a do jego powrotu.

Ferguson ma zaraz przyjść... Rozumiem. Na miłość boską, informujcie mnie na bieżąco. Zadzwoń, jeśli tu coś się zmieni.

Odłożył słuchawkę i dalej siedział przy stole.

- Bertholde został zabity.

- Dobry Boże! Gdzie jest moja synowa?

- Z naszym człowiekiem. Cała i zdrowa. Meldował się godzinę temu.

- Canfield! Gdzie jest Canfield?

- Sam chciałbym wiedzieć.

- Nic mu się nie stało?

- Jak mam na to odpowiedzieć, skoro nie wiem, gdzie on jest?

Podał się za mnie i zniknął ze sceny!

- Jak zginął Bertholde?

- Garota. Drut na szyi.

- Och! - Elizabeth stanął nagle przed oczyma Matthew Canfield, rzucający jej sznur po próbie zabójstwa podjętej przez Boothroyda na pokładzie "Calpurni". - Jeśli go zabił, widocznie musiał mieć powód!

- Co...?

- Żeby go zabić. Widocznie musiał!

- Bardzo ciekawe.

- Cóż takiego?

- Że według pani Canfield musiał go zabić.

- Nie mogło być inaczej! On nie jest mordercą!

- I nie zabił Bertholde'a, jeśli to panią pocieszy.

Jej ulga była widoczna.

- Wiedzą, kto to zrobił?

- Tak im się wydaje. Chyba szofer Bertholde'a.

- Dziwne.

- Bardzo. Pracował u niego od lat.

- Może Canfield go teraz ściga?  
- Mało prawdopodobne. Facet wyszedł kilkanaście minut przed tym, zanim znaleźli markiza.

James Derek podszedł do Elizabeth. Widać było, że jest zdenerwowany.

- Wobec tego, co się stało, chciałbym panią o coś zapytać...

Oczywiście nie musi pani odpowiadać...

- O co?

- Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób pan Canfield uzyskał pełne poparcie brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych dla swoich działań.

- Nie wiem, na czym to miałyby polegać.

- Niech pani da spokój. Nie chce pani mówić, proszę bardzo, uszanuję to. Ale skoro moje nazwisko zostało zamieszane w sprawę zabójstwa wpływowego człowieka, chyba mam prawo do czegoś więcej niż... kolejne kłamstwo.

- Kolejne kłamstwo? Pan mnie obraża, panie Derek.

- Czyżby? A więc pani i Canfield nadal zastawiacie wymyślne pułapki na personel ambasady, który wrócił do Stanów ponad cztery miesiące temu?

- Och! - Elizabeth opadła z powrotem na kanapę. Nie przejmowała się wyrzutami agenta; żałowała jedynie, że nie ma tu Canfielda, który by mu wyjaśnił tę sprawę. - Przykro mi, to było konieczne.

- Mnie również... Rozumiem więc, że nie chce pani odpowiedzieć na moje pytanie.

- Wręcz przeciwnie, już panu odpowiedziałam. - Elizabeth podniosła wzrok na Dereka.

- Ale chciałam, żeby mi pan wytłumaczył, co kryje się pod słowami "pełne poparcie"?

- Nadzwyczajna współpraca najwyższych czynników rządowych. Takie działanie Ministerstwa Spraw Zagranicznych ma na ogół miejsce w przypadku poważnych kryzysów politycznych, a nie wojen akcyjno-obligacyjnych pomiędzy zwaśnionymi milionerami...

Ani, proszę wybaczyć, osobistej tragedii zwykłego obywatela.

Elizabeth Scarlatti znieruchomiała.

To, co przed chwilą powiedział Derek, było dla głowy rodu Scarlattich nadzwyczaj niewygodne. Musiała działać poza "najwyższymi czynnikami" i zależało jej na tym bardziej niż na czymkolwiek innym. Dla dobra Scarlattich. Wydawało się, że podrzędna agencja Canfielda jest darem niebios. Umowa z nim zapewniła Elizabeth korzyści płynące z oficjalnej współpracy bez potrzeby odpowiadania przed kimś ważniejszym. Gdyby chciała, żeby było inaczej, wciągnęłaby w to dowolną liczbę osób z pionu wykonawczego albo ustawodawczego rządu Stanów Zjednoczonych. Nie byłoby to trudne... Teraz jednak wyglądało na to, że raczej nieważny wydział Canfielda nagle nabrał znaczenia. A może jej syn jest zamieszany w przedsięwzięcie dużo bardziej groźne, niż przypuszczała?

Czy odpowiedź znajdowała się w aktach Bertholde'a? - zastanawiała się Elizabeth.

- Z pańskiego tonu wnioskuję, że to poparcie jest świeżą sprawą.

- Poinformowano mnie o tym dziś rano.

Więc jednak dossier Bertholde'a, pomyślała Elizabeth. Oczywiście! Także Matthew Canfield zaczął to rozumieć. Tylko że jego zrozumienie płynęło wyłącznie ze skojarzenia pewnych słów, nazwisk. Zaznaczył jakieś strony... Elizabeth wzięła akta do ręki.

"Po wojnie odkupiono udziały Zagłębia Ruhry... Biura w Stuttgarcie i Tassing..."

Tassing.

Niemcy. Kryzys ekonomiczny.

Republika Weimarska.

"...partnerami w firmie importowej są panowie Sydney Masterson i Harold Leacock..."

Masterson i Leacock. Zurych!

Tassing!

- Czy miasto Tassing z czymś się panu kojarzy?

- To nie miasto, tylko podmiejska dzielnica Monachium.

Czemu pani pyta?

- Mój syn spędził tam sporo czasu i wydał sporo pieniędzy...

tak samo zresztą jak w innych miejscach. Czy kojarzy się panu z czymś szczególnym?

- Monachium?

- Tak.

- Ognisko radykalizmu. Wylęgarnia malkontentów.

- Malkontentów... Komuniści?

- Nie, to nie to. Strzelają do czerwonych bez ostrzeżenia. Do Żydów też. Nazywają się Schutzstaffel. Chodzą i biją ludzi pałkami. Uważają się za rasę lepszą od innych.

Rasa wyższa.

O Boże!

Elizabeth spojrzała na trzymane w rękę dossier. Powolnym ruchem odłożyła je i wstała. Nie zaszczycając Anglika ani jednym słowem, skierowała się ku drzwiom do sypialni i weszła do środka.

Zamknęła za sobą drzwi.

James Derek został na środku pokoju. Nic nie rozumiał.

W sypialni Elizabeth podeszła do biurka, na którym leżały porozrzucane papiery. Przerzucała je, aż znalazła listę zuryską.

Uważnie przeczytała wszystkie nazwiska.

EVERY LANDOR, USA - ropa LOUIS GIBSON, USA - ropa THOMAS RAWLINS, USA - papiery wartościowe HOWARD THORNTON, USA - budownictwo przemysłowe SYDNEY MASTERSON, WIELKA BRYTANIA - import DAVID INNES-BOWEN, WIELKA BRYTANIA - tekstylia HAROLD LEACOCK, WIELKA BRYTANIA - tekstylia LOUIS FRANCOIS D'ALMEIDA, FRANCJA - koleje PIERRE DAUDET, FRANCJA - statki INGMAR MYRDAL, SZWECJA - papiery wartościowe CHRISTIAN OLAFSEN, SZWECJA - stal OTTO VON SCHINTZLER, NIEMCY - I.G. Farben FRITZ THYSEN, NIEMCY - stal ERICH KINDORF, NIEMCY - węgiel Można powiedzieć, że na liście z Zurychu znaleźli się najpotężniejsi na półkuli zachodniej ludzie biznesu.

Elizabeth odłożyła listę i sięgnęła po oprawiony w skórę notes, w którym zapisywała numery telefonów i adresy. Przytrzymała kciukiem literę O.

Ogilvie i Storm, Ltd., Wydawnictwo. Bayswater Road, Londyn.

Zadzwoni do Thomasa Ogilvie i poprosi, żeby jej przysłał wszelkie informacje, jakie zdobędzie o Schutzstaffel.

Sama słyszała już co nieco na ich temat. Czytała gdzieś, że w świecie polityki byli znani jako Narodowi Socjaliści i że przewodził im człowiek o nazwisku Hitler.

## ROZDZIAŁ 33

Facet nazywał się Basil Hawkwood. Canfieldowi natychmiast stanęła przed oczami firmowa nazwa "hawkwood" - przez małe "h" - pojawiająca się na rozmaitych wyrobach ze skóry. Firma Hawkwood była jedną z największych w Anglii w tej branży, zaraz za Mark Cross.

Zdenerwowany Basil wprowadził Canfielda do ogromnej czytelnicy klubowej. Wybrali dwa krzesła przy oknie wychodzącym na Knightsbridge, tak aby nie mógł ich słyszeć żaden z członków klubu.

Basil jękał się ze strachu, mówił bez ładu i składu. Ale chciał wierzyć, że siedzący naprzeciw niego młody człowiek potrafi mu pomóc.

Canfield oparł się wygodnie i słuchał z niedowierzaniem opowieści Anglika.

Prezes Wytwórni Wyrobów Skórzanych Hawkwood wysyłał do mało znanej firmy w Monachium transporty rzekomo uszkodzonych towarów. Przez ponad rok dyrektorzy przedsiębiorstwa godzili się ze stratami z powodu "uszkodzeń", teraz jednak zażądali wyjaśnień.

Dziedzic rodu Hawkwood znalazł się w potrzasku. Musi chwilowo zawiesić dostawy.

Prosił Canfielda o zrozumienie. Błagał, żeby ten zapewnił wszystkich o jego lojalności, ale buty, pasy i olstra będą musieli wziąć od kogoś innego.

- Dlaczego nosisz te spinki? - zapytał Canfield.

- Założyłem je dzisiaj, żeby przypomnieć markizowi o moim zaangażowaniu. Bertholde sam mi je dał... Nie założyłeś swoich.

- Moje zaangażowanie nie kwalifikuje mnie do ich noszenia.

- A moje owszem, do diabła! Nie oszczędzałem się do tej pory i nie zamierzam tego robić w przyszłości! - Hawkwood pochylił się. - Obecna sytuacja nie ma wpływu na moje poczucie obowiązku!

Przekaż to w raporcie. Cholerni Żydzi! Radykałowie! Bolszewicy!

Pełno ich w całej Europie! Spisek, żeby pogrzebać wszystkie uczciwe zasady, według których od stuleci żyją dobrzy chrześcijanie!

Wymordują nas w naszych własnych łóżkach! Będą gwałcić nasze córki! Skażą naszą rasę! Nigdy w to nie wątpiłem! Zrobię wszystko, by temu zapobiec. Masz na to moje słowo! /Wkrótce będziemy mieć do dyspozycji miliony!

Inspektorowi zrobiło się nagle niedobrze. Chryste Panie, w co on się władował? Podniósł się z krzesła na miękkich nogach.

- Przekażę pańskie słowa, panie Hawkwood.

- Porządnym z ciebie gościem. Wiedziałem, że zrozumiesz.

- Zaczynam. - Szybkim krokiem skierował się ku wyjściu, zostawiając tamtego przy stoliku.

Stojąc pod markizą klubu "Knights" i czekając na taksówkę Canfield czuł, że drętwieje z przerażenia. Przestał obracać się w świetle, który rozumiał. Miał do czynienia z potęgami i powiązaniem przekraczającymi zdolność jego pojmowania.

## ROZDZIAŁ 34

Elizabeth porozkładała na kanapie wycinki z gazet i czasopism.

Wydawcy Ogilvie i Storm spisali się znakomicie. Dostarczyli więcej materiałów, niż Elizabeth i Canfield mogliby przeczytać przez tydzień.

Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza założona została przez fanatyków. Do Schutzstaffel należeli nieokrzesani maniacy, nikt jednak nie traktował ich poważnie. Artykuły, fotografie, nawet krótkie nagłówki - wszystko to sprawiało groteskowe i komiczne wrażenie.

Po co pracować dla ojczyzny skoro można się przebrać i udawać Wagnera?

Canfield wziął część dodatku niedzielnego i przeczytał nazwiska przywódców: Adolf Hitler, Erich Ludendorff, Rudolf Hess, Gregor Strasser. Imiona jak z wodewilu: Adolf, Erich, Rudolf, Gregor.

Jednak pod koniec artykułu jego rozbawienie zniknęło. Zobaczył hasła:

"...spisek Żydów i komunistów..."

"...córki gwałcone przez bolszewickich terrorystów...!"

"...krew aryjska skażona przez podstępnych Semitów...!"

"...plan na następne tysiąc lat...!"

Przed oczyma stanęła mu twarz Basila Hawkwooda, właściciela jednego z największych zakładów przemysłu skórzanego w Anglii, szepczącego gorączkowo te same frazesy. Pomyślał o dostawach wyrobów skórzanym do Monachium. Wyrobów bez firmowego znaczka "hawkwood", które stały się częścią mundurów widocznych na zdjęciach. Przypomniał sobie machinacje nieżyjącego Bertholde'a i wszystkie poprzednie wydarzenia.

Elizabeth siedziała przy biurku, robiąc notatki z artykułu.

Miała już pewien obraz, lecz niepełny, jakby brakowało części tła.

Ale i tak wiedziała już dosyć.

- Działa na wyobraźnię, prawda? - powiedziała wstając z krzesła.

- Co pani o tym sądzi?

- Jestem przerażona. Ta wynaturzona organizacja polityczna jest po cichu finansowana przez grupę najbogatszych ludzi świata.

Ludzi z Zurychu. I mój syn jest jednym z nich.

- Ale dlaczego?

- Jeszcze nie wiem. - Elizabeth podeszła do okna. - Muszę się jeszcze dowiedzieć wielu rzeczy. Ale jedno jest jasne: jeśli ta banda fanatyków umocni swoją pozycję w Niemczech, ludzie z Zurychu będą mieli w rękach potęgę ekonomiczną, o jakiej dotąd nie słyszano.

- Wobec tego muszę natychmiast wracać do Waszyngtonu!

Musimy zacząć działać!

- Nie możecie! - Elizabeth odwróciła się do Canfielda, podnosząc głos. - Żaden rząd nie ma prawa wtrącać się do polityki wewnętrznej innego kraju. Ale jest inny sposób, zresztą dużo skuteczniejszy. Wiąże się jednak z ogromnym ryzykiem i muszę go przemyśleć. - Starsza pani przycisnęła dłoń do ust i odsunęła się od Canfielda.

- Jaki sposób? Jakie ryzyko?

Lecz Elizabeth już go nie słyszała. Była bardzo skupiona. Po kilku minutach odezwała się z drugiego końca pokoju:

- Jest taka wyspa na jeziorze w Kanadzie... Kupił ją mój mąż, dawno temu. Stoi tam kilka domków, trochę prymitywnych, ale nadających się do zamieszkania... Gdybym dała panu do dyspozycji niezbędne środki, czy mógłby pan zapewnić tej wyspie stuprocentową ochronę?

- Myślę, że tak.

- To za mało. Nie może być najmniejszych wątpliwości. Życie całej mojej rodziny zależy będzie od całkowitej izolacji. Środki, o których mówię, są praktycznie nieograniczone.

- W porządku. Mógłbym.

- I mógłby pan przewieźć ich tam w tajemnicy?

- Tak.

- Da się to załatwić w tydzień?

- Tak.

- Dobrze. Przedstawię wobec tego panu mój plan. Niech mi pan wierzy, to jedyny sposób.

- Co pani proponuje?

- Zakłady Scarlatti zniszczą ekonomicznie wszystkich inwestorów z Zurychu. Doprowadzą ich do ruiny finansowej.

Canfield popatrzył na pewną siebie starszą panią. Przez parę sekund nie odzywał się, usiłując znaleźć jakąś odpowiedź.

- Pani zwariowała - powiedział wreszcie cicho. - Jest pani sama. Ich jest czternastu... nie, trzynastu. Trzynaście grubych ryb.

Nie da im pani rady.

- Panie Canfield, nieważne, ile kto jest wart. Ważne, jak szybko może obracać swoim majątkiem. Czas jest najpotężniejszą bronią w biznesie, i niech nikt panu nie wmawia, że jest inaczej. A ja dysponuję jeszcze dodatkowym atutem: mogę sama decydować o wszystkim, - Co to znaczy?

- Gdybym zechciała zlikwidować całe Zakłady Scarlatti, nie ma takiej siły na świecie, która zdołałaby mi w tym przeszkodzić.

Inspektor nie był pewien, czy dobrze ją zrozumiał. Patrzył na nią przez chwilę, zanim powiedział:

- Och, czyżby?

- Głupcze...! Wątpię, czy poza Rotszyldami i może jeszcze kilkoma indyjskimi maharadzami istnieje ktoś drugi mający takie możliwości jak ja!

- Niby dlaczego? Dlaczego tamci z Zurychu nie mogliby zrobić tego samego?

Starsza pani zniecierpliwiła się. Złożyła dłonie i podniosła splecione palce do brody.

- Jak na człowieka o wyobraźni znacznie przewyższającej inteligencję, zdumiewa mnie pan. A może to strach nie pozwala panu ogarnąć tego wszystkiego?

- Proszę nie odpowiadać pytaniem na pytanie!

- Wszystko to jest ze sobą powiązane, zapewniam pana.

Panowie z Zurychu nie mogą zrobić tego co ja - i nie zrobią przede wszystkim ze strachu. Ze strachu przed zobowiązaniami, inwestycjami i inwestorami oraz niezwyklejmi decyzjami; a także z obawy przed paniką, która zawsze jest następstwem takich decyzji. I, co najważniejsze, ze strachu przed ruiną.

- A pani to nie dotyczy? Czy to właśnie chce mi pani powiedzieć?  
- Zakłady Scarlatti nie są związane niczym i z nikim. Do mojej śmierci liczy się tylko jeden głos. Mój. Scarlatti to ja.  
- A co z całą resztą? Z decyzjami, paniką, ruiną...?  
- Moje decyzje nie spowodują żadnych komplikacji. Nie będzie paniki.  
- I nie będzie też ruiny, co...? Jest pani cholernie pewna siebie!  
- Znów pan nie zrozumiał. Wobec zaistniałej sytuacji uważam upadek Zakładów Scarlatti za nieunikniony. Niczego już nie uratuję.

Teraz wreszcie do Canfielda dotarło.

- Mój Boże...  
- Muszę zdobyć ogromne sumy. Takie, o jakich panu się nie śniło, a którymi można dysponować od ręki. Pieniądze, za które można wykupić olbrzymie majątki, kwoty, które wstrząsną całym rynkiem. Kiedy ta operacja zostanie przeprowadzona, żaden kapitał na ziemi nie postawi Zakładów Scarlatti z powrotem na nogi.

Stracimy zaufanie wszystkich.

- Więc będzie pani skończona.

- Nieodwracalnie.

Starsza pani zbliżyła się do inspektora. Patrzyła na niego, ale nie było to spojrzenie, do którego był przyzwyczajony. Mogłaby być zatroskaną babcią z wyschniętych nizin Kansas pytającą pastora, czy teraz Pan Bóg sprowadzi deszcz.

- Nie mam już argumentów. Proszę, niech mi pan pozwoli na tę ostatnią bitwę. Na ten ostatni gest.

- Prosi pani o bardzo dużo.

- Nie, jeśli pan to przemyśli. Gdyby pan wyjechał, minąłby tydzień, zanim dotarłby pan do Waszyngtonu. Drugi tydzień straciłby pan na spisanie wszystkiego, przez co przeszliśmy. Potem jeszcze parę dni, by dostać się do ludzi z rządu, którzy powinni pana wysłuchać, jeśli w ogóle udałoby się panu ich do tego skłonić.

Z moich obliczeń wynika, że zabrałoby to przynajmniej trzy albo cztery tygodnie. Zgadza się pan?

Canfield czuł się głupio, stojąc tak przed Elizabeth. Tylko po to, żeby zwiększyć dzielącą ich odległość, przeszedł na środek pokoju.

- Cholera, sam już nie wiem, z czym się zgadzam!

- Niech mi pan da cztery tygodnie. Tylko cztery tygodnie, licząc od dzisiaj... Jeśli mi się nie uda, zrobimy tak, jak pan sobie życzy... Pojadę nawet z panem do Waszyngtonu. Złożę zeznania przed jakąś komisją, jeśli będzie trzeba. Zrobię wszystko, co pan i pańscy ludzie uznają za konieczne. Ponadto podwyższę trzykrotnie pańskie osobiste konto.

- No dobrze, a co z pani rodziną? Nie mogą przecież siedzieć do końca życia nad jakimś kanadyjskim jeziorom.

- Nie będą musieli. Zniszczę mojego syna. Pokażę światu, kim jest Ulster Scarlett, i w Zurychu skażę go na śmierć.

Inspektor milczał przez chwilę i patrzył na Elizabeth.

- Wzięła pani pod uwagę osobiste zagrożenie? Fakt, że może pani zginąć?

- Tak.

- Zaryzykowałaby pani życie... Sprzedałaby pani Zakłady.



I zniszczyła wszystko, co zbudowała. Czy to jest tego warte? Aż tak go pani nienawidzi?

- Tak. Tak jak nienawidzi się zarazy. Nawet bardziej, bo jestem odpowiedzialna za jej rozwój.

Canfield odstawił szklanekę, mając ochotę na następnego drinka.

- Chyba pani przesadza.

- Nie powiedziałam, że stworzyłam tę zarazę, ale że jestem odpowiedzialna za jej rozprzestrzenienie. Nie dlatego, że dostarczyłam pieniędzy, lecz dlatego, że zaszczepiłam ideę, która została tak straszliwie wypaczona.

- Nie wierzę. Nie jest pani święta, ale przecież wcale pani tak nie myśli. - Wskazał na leżące na kanapie papiery.

Starsza pani przymknęła zmęczone oczy.

- Każdy z nas nosi w sobie trochę tej... nienormalności.

Razem z mężem poświęciliśmy lata na budowę przemysłowego imperium Scarlattich. Po jego śmierci podwajałam, mnożyłam, dodawałam, budowałam... Podniecająca, absorbująca gra... A ja byłam dobrym graczem. I podczas tych wszystkich lat mój syn nauczył się tego, co wielu innym umyka: że zyski czy dobra materialne w gruncie rzeczy nie mają znaczenia - to produkt uboczny. Ważne jest zdobywanie władzy... Ja też pragnęłam władzy, ponieważ wierzyłam, że potrafię ją udźwignąć. Im bardziej byłam o tym przekonana, tym bardziej było dla mnie oczywiste, że inni tego nie potrafią... Zdobywanie władzy stało się moim osobistym posłannictwem, tak mi się wydaje. Mój syn to widział, rozumiejąc lub nie... Możemy mieć z Ulsterem podobne cele, nawet motywy.

Dzieli nas jednak ogromna przepaść.

- Daję pani cztery tygodnie, sam nie wiem czemu. Ale nie wyjaśniła mi pani jeszcze, dlaczego chce pani zaryzykować wszystko.

- Czasem wolno pan myśli. Jeśli pana obrażam, to dlatego, że według mnie pan rozumie i umyślnie prosi mnie, żebym przedstawiła wszystko czarno na białym. - Przeniosła notatki na stolik przy drzwiach, do sypialni. Zapadał zmierzch, zapaliła więc lampę, wprawiając przy tym w ruch frędzle abażuru. - Zdaje mi się, że my wszyscy - jak mówi Biblia, możni tego świata - chcemy odejść zostawiając po sobie jakieś zmiany. W miarę upływu lat to mgliste, nieokreślone pragnienie staje się naprawdę ważne. Ilu z nas zabawiało się układaniem własnych nekrologów...? - Odwróciła się od lampy i spojrzała na inspektora.

- To zupełnie inna sprawa.

- Widzi pan... Bogactwo uważa się w naszym świecie za coś naturalnego. Każda trudna decyzja, każde szarpiące nerwy ryzyko musi być prostym dokonaniem, którego wszyscy się spodziewali.

W moim przypadku dokonaniem lekceważonym, nie zaś podziwianym, ponieważ po pierwsze jestem kobietą, a po drugie groźnym przeciwnikiem. Mało ciekawe połączenie... Jeden syn zginął w czasie wojny. Drugi wyrósł na pompatycznego fajtłapę, ludzie śmieją się z niego. A teraz to. Szaleniec w szeregach bandy psychopatycznych malkontentów... Oto, co po mnie zostaje. Co zostaje po Scarlattich, panie Canfield... Nie ma czego zazdrościć, nieprawdaż?

- Nie ma.

- Dlatego zrobię wszystko, żeby zapobiec temu szaleństwu... Zebrała swoje notatki i weszła do sypialni. Zamknęła za sobą drzwi, zostawiając Canfielda na środku salonu.

## ROZDZIAŁ 35

Lot jednopłatowca nad Kanałem odbył się spokojnie - wiatr był słaby, widoczność znakomita. Scarlett miał szczęście, ponieważ swędzenie nie zagojonych ran pooperacyjnych w połączeniu z przepełniającą go wściekłością zmieniłoby trudniejszą podróż w katastrofę. Ledwo koncentrował się na kompasie i kiedy dojrzał brzeg Normandii, nie poznał go, choć przecież widział już ten krajobraz z dziesięć razy.

Na małym lotnisku pod Lisieux spotkała go grupa, składająca się z dwóch Niemców i Gaskończyka, którego gardłowy dialekt brzmiał prawie tak samo jak język jego towarzyszy.

Trzej Europejczycy spodziewali się, że mężczyzna, z którym mieli wyznaczone spotkanie - nie znali jego nazwiska - każe im wrócić do Paryża i tam czekać na dalsze rozkazy.

Ale mężczyzna miał inne zamiary. Musieli siedzieć niewygodnie ściśnięci z przodu, kiedy on rozwałił się sam na tylnym siedzeniu.

Kazał jechać do Vernon, gdzie dwóch z nich wysiadło z poleceniem powrotu do Paryża na własną rękę. Kierowca został.

Zaprotestował nieśmiało, gdy Scarlett rozkazał mu jechać na zachód, do Montbeliard, małego miasteczka przy granicy ze Szwajcarią.

- To czterysta kilometrów! Dziesięć godzin albo i więcej, po tych okropnych drogach!
- A więc dojedziemy na kolację. I siedź cicho, Kircher!
- Prościej by było, gdyby pan zatankował i poleciał...
- Nie latam, kiedy jestem zmęczony.
- Jawohl, mein Oberfuhrer! - Kircher uśmiechnął się wiedząc, że tak naprawdę wydający rozkazy mężczyzna był dobrym zwierzchnikiem.

Scarlett zamyślił się. Nieudacznicy! Ale pewnego dnia pozbędą się ich wszystkich!

Montbeliard niewiele różniło się od dużej wioski. Głównym źródłem utrzymania jego mieszkańców było rolnictwo - większość zbiorów sprzedawali w Szwajcarii i Niemczech. Jak w wielu przygranicznych miastach, na miejscową walutę składały się franki, marki i franki szwajcarskie.

Scarlett i jego kierowca dotarli tam kilka minut po dziewiątej wieczorem. Poza paroma przystankami w celu nabrania benzyny i lunchem w południe parli naprzód nie rozmawiając ze sobą. Cisza działała uspokajająco na Scarletta. Mógł myśleć bez złości, choć złość cały czas w nim była. Kierowca miał rację mówiąc, że lot z Lisieux do Montbeliard byłby prostszy i mniej męczący, ale Scarlett nie mógł ryzykować, że straci panowanie nad sobą z powodu zmęczenia.

W ciągu dnia albo wieczorem - nie ustalono godziny - miał spotkać pewnego Prusaka, bardzo ważną figurę, który mógł więcej niż inni. W czasie spotkania musiał być rzeński, musiał mieć sprawnie działające szare komórki. Nie mógł dopuścić, żeby ostatecznie kłopoty zaprzętały jego uwagę. Konferencja z Prusakiem była punktem kulminacyjnym całych miesięcy, lat pracy. Od pierwszego pamiętnego spotkania z Gregorem Strasserem do przelania pieniędzy na konta szwajcarskie. On, Heinrich Kroeger, posiadał zasoby finansowe tak bardzo potrzebne Narodowym Socjalistom. Przyznano wreszcie, że jest dla partii ważny.

Podjął decyzję. Howard Thornton zostanie odizolowany, może zabity. Zdradził ich. Jeśli odkryto operację sztokholmską, trzeba ją zwalić na Thorntona.

Trzeba się zająć Thorntonem.

Tak jak tym francuskim dandysem, markizem Bertholde.

Thornton i Bertholde! Dwaj nieudacznicy! Chciwi, głupi nieudacznicy!

Co się stało z Boothroydem? Zabity na "Calpurni". Ale jak?

Dlaczego? Nieważne, zasługiwał na śmierć! Tak samo jak jego teść, Rawlins. Wydane przez niego polecenie zamordowania Elizabeth Scarlatti było głupotą! Wybrał fatalny moment! Czy nie rozumiał, że zostawiłaby po sobie listy, dokumenty? Martwa stanowiła większe zagrożenie niż żywa. Przynajmniej było tak do czasu rozmowy, którą z nią przeprowadził i w której zagroził jej ukochanym Scarlattim. Teraz może sobie umierać! Nie będzie to miało znaczenia.

Nie ma Bertholde'a, nie ma Rawlinsa, Thorntona lada chwila zginie i nie zostanie nikt, kto by znał jego nazwisko. Nikt! Był teraz Heinrichem Kroegerem, liderem nowego porządku!

Zajechali przed "L'Auberge des Moineaux", małą restaurację oferującą buvette oraz pokoje dla podróżnych i gości, którzy potrzebowali spokoju z innych powodów. Tu właśnie wyznaczono spotkanie.

- Zaparkuj trochę dalej - powiedział Kircherowi. - Będę w jednym z pokoi. Zjedz kolację... Zawołam cię później...

Ulster Scarlett wysiadł z samochodu i przeciągnął się. Czuł się lepiej, bliźni mniej mu dokuczały, a zbliżająca się konferencja napełniała go podnieceniem. Zawsze powinien tak pracować, zajmować się sprawami najwyższej wagi.

Począł, aż samochód oddalił się na tyle, żeby Kircher nie mógł go widzieć w lusterku. Zawrócił spod wejścia w stronę wykładanej kamieniami ścieżki. Nieudacznikom nie należy mówić

nic, co nie ma związku z ich konkretnym zadaniem.

Dotarł do nie oświetlonych drzwi i kilkakrotnie zapukał.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich, jakby blokując wejście zamiast witać gościa, dosyć wysoki mężczyzna o gęstych czarnych włosach i krzaczastych ciemnych brwiach. Ubrany był w bawarski szary płaszcz i brązowe spodnie do kolan. Miał smagłą twarz i duże oczy o bystrym spojrzeniu. Nazywał się Rudolf Hess.

- Gdzieś się podziewał? - Hess dał znak, żeby Scarlett wszedł, i zamknął drzwi. W niedużym pokoju stał stół otoczony krzesłami, komoda i dwie lampy stanowiące całe oświetlenie. Drugi mężczyzna, który wyglądał przez okno, widocznie po to, żeby zidentyfikować nadchodzącego, kiwnął Scarlettowi głową. Był to niski brzydki człowieczek o ptasim profilu. Kiedy szedł ku nim, widać było, że utyka.

- Joseph...? - zwrócił się do niego Scarlett. - Nie spodziewałem się ciebie.

Joseph Goebbels spojrzał na Hessa. Słabo znał angielski.

Hess szybko przetłumaczył słowa Scarletta i Goebbels wzruszył ramionami.

- Pytałem, gdzieś się podziewał? - powtórnie zapytał Hess.

- Miałem kłopoty w Lisieux. Nie dostałem drugiego samolotu, więc musiałem przyjechać samochodem. To był ciężki dzień, więc bardzo proszę, nie denerwuj mnie.

- Jechałeś z Lisieux? Daleka droga. Zamówię ci coś do jedzenia, ale musisz się spieszyć. Rheinart czeka od dwunastej.

Scarlett zdjął kurtkę i rzucił ją na komodę.

- W jakim jest nastroju?

Goebbels zrozumiał wystarczająco dużo, żeby się wtrącić.

- Reinhart...? Znie-cier-pli-wio-ny! - Źle wymówił to słowo i Scarlett uśmiechnął się. Goebbels pomyślał, że stojący przed nim wielkolud wygląda okropnie. Opinia była wzajemna.

- Jedzenie jest nieważne. Reinhart czeka zbyt długo...

Gdzie jest?

- W swoim pokoju. Numer dwa, na końcu korytarza. Wyszedł po południu na spacer, ale cały czas się boi, że ktoś go rozpozna, więc wrócił po dziesięciu minutach.

- Idź po niego... I przynieś trochę whisky. - Popatrzył na Goebbelsa. Wolałby, żeby go tu nie było. Niedobrze, że on i Hess będą rozmawiali z pruskim arystokratą przy nim.

Wiedział jednak, że nie może nic zrobić. Hitler przyjaźnił się z Goebbelsem.

Wydawało się, że Joseph Goebbels czytał w myślach Amerykanina.

- Ich werde dabei sitzen wahrend Sie sprechen. - Przynął krzesło do ściany i usiadł.

Hess wyszedł i dwaj mężczyźni zostali w pokoju sami. Żaden się nie odezwał.

Hess wrócił po czterech minutach. Za nim wszedł stary, otyły Niemiec niższy o kilka centymetrów od Hessa, ubrany w dwurzędowy garnitur i koszulę z wysokim kołnierzykiem. Twarz miał nalaną, siwe włosy krótko ostrzyżone. Trzymał się idealnie prosto, kroczył dumnie, ale mimo imponującego wyglądu Scarlett dostrzegł w nim coś miękkiego, nie pasującego do potężnego ciała. Hess zamknął drzwi na klucz.

- Generał Reinhart - przedstawił nowo przybyłego stojąc na baczność.

Goebbels wstał i skłonił się stukając obcasami.

Scarlett podszedł do starego generała i wyciągnął rękę, - Herr General...

Reinhart spojrział na niego i choć starał się ukryć swoją reakcję na jego widok, była ona jednoznaczna. Wymienili oficjalny uścisk dłoni.

- Proszę, niech pan siądzie, Herr General. - Hess wyglądał na ogromnie przejętego obecnością gościa. Reinhart usiadł na krześle przy końcu stołu. Scarlett był zły. Sam chciał zająć to krzesło, ponieważ stało w najważniejszym miejscu.

Hess spytał generała, czy ma ochotę na whisky, dzin albo wino.

Reinhart odmówił machając ręką.

- Ja też nie będę pił - powiedział Scarlett siadając z lewej strony Reinharta. Hess odstawił tacę i zajął swoje miejsce. Goebbels kulejąc wrócił pod ścianę.

Scarlett się odezwał:

- Przepraszam za spóźnienie. Niestety było nieuniknione. Pilne sprawy z naszymi współpracownikami w Londynie.

- Pańskie nazwisko? - przerwał mu Reinhart, mówiąc po angielsku z silnym niemieckim akcentem.

Scarlett rzucił szybkie spojrzenie Hessowi, po czym odparł:

- Kroeger, Herr General. Heinrich Kroeger.

Reinhart nie odrywał oczu od Scarletta.

- Nie sądzę, żeby pan się tak nazywał. Pan nie jest Niemcem - stwierdził beznamiętnie.

- Jestem po waszej stronie i dlatego pragnę być znany jako Heinrich Kroeger.

- Herr Kroeger ma ogromne zasługi. Bez niego nie zaszlibyśmy tak daleko, generale - wtrącił Hess.

- Amerikaner... Przez niego nie mówimy po niemiecku?

- Z czasem to się zmieni - stwierdził Scarlett. W rzeczywistości mówił po niemiecku niemal bezbłędnie, ciągle jednak nie czuł się zbyt pewnie. - I nie jestem Amerykaninem, generale... Jestem obywatelem nowego porządku...! Dałem wiele, chyba więcej niż ktokolwiek inny, żywy czy umarły, żeby zobaczyć jego nadejście... Proszę o tym pamiętać podczas naszej rozmowy.

Rheinhart wzruszył ramionami.

- Nie wątpię, że ma pan powody, tak jak i ja, żeby być przy tym stole.

- Może być pan tego pewien. - Scarlett rozluźnił się i przysunął swoje krzesło do stołu.

- Dobrze, panowie, do rzeczy. Jeśli to możliwe, chciałbym dziś w nocy opuścić Montbeliard. - Rheinhart sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął zwiniętą kartkę. - Wasza partia zrobiła pewne postępy w Reichstagu. Można powiedzieć, że po waszej klęsce w Monachium jest to ogromny krok naprzód...

Hess wtrącił z entuzjazmem:

- To dopiero początek! Niemcy podniosą się po hańbie klęski spowodowanej zdradą! Będziemy panami całej Europy!

Rheinhart trzymał w dłoni zwinięty papier i patrzył na Hessa.

Odpowiedział cicho, władczo:

- Wystarczy, jeśli będziemy panami samych Niemiec. Chcemy tylko bronić własnego kraju.

- To pierwsza z rzeczy, które wam zagwarantujemy, generale. - Głos Scarletta był równie cichy.

- I jedyna gwarancja, jakiej pragniemy. Nie interesują nas pomysły głoszone przez waszego Adolfa Hitlera.

Na dźwięk nazwiska Hitlera Goebbels usiadł prosto. Był wściekły, że nie rozumie treści rozmowy.

- Was gibt's mit Hitler? Was sagen sie iiber ihn?

Rheinhart odpowiedział Goebbelsowi po niemiecku:

- Er ist ein sehr storener geriosse.

- Hitler ist der Weg! Hitler ist die Hoffnung fur Deutschland!

- Vielleicht fur Sie.

Scarlett popatrzył na Goebbelsa. Oczy tamtego błyszczały nienawiścią. Generał mówił dalej rozkładając kartkę:

- Czasy, w jakich żyje nasz naród, wymagają niezwykłych sojuszy... Rozmawiałem z von Schnitzlerem i Kindorfem. Krupp nie chce z nami rozmawiać, jak zapewne dobrze wiecie... Niemiecki przemysł jest w nie lepszej sytuacji niż armia. Jesteśmy wszyscy pionkami dla wersalskiej Komisji Międzynarodowej. Ich zarządzenia w jednej minucie dają nam odechnąć, w następnej nas dobijają.

Nie możemy na nic liczyć. Panowie, mamy wspólny cel: Traktat Wersalski.

- To tylko jeden z celów. Są też inne - stwierdził Scarlett.

- Ale ten jest jedyną przyczyną mojego przyjazdu do Montbeliard! Tak jak przemysł niemiecki musi oddychać i eksportować, tak samo armia niemiecka musi mieć odpowiednią potęgę! Ograniczenie do stu tysięcy żołnierzy przy prawie tysiącu kilometrów granic jest śmieszne! Obiecują, wciąż obiecują - a potem grożą. Na nic nie można liczyć. Żadnego zrozumienia. Nie pozwalają nam na niezbędny rozwój.

- Zostaliśmy zdradzeni! Zdradzeni w tysiąc dziewięćset osiemnastym, i zdrada ta trwa nadal! Zdraycy są wciąż w Niemczech! Widać było, że Hess wiele by dał, żeby znaleźć się w gronie przyjaciół Rheinharta i jego oficerów. Generał to rozumiał, ale nie robiło to na nim wrażenia.

- Ja. Ludendorff ciągle upiera się przy tej teorii. Niełatwo mu żyć ze wspomnieniem Meuse-Argonne.

Ulster Scarlett wykrzywił się w swoim groteskowym uśmiechu.

- Zupełnie inaczej niż niektórym z nas, generale Rheinhart.

Rheinhart spojrzał na niego.

- Nie będę z panem tego roztrząsał.

- A powinien pan.

- Panie Kroeger... Pan ma swoje powody, ja swoje. Mnie pańskie nie interesują, choć pan został zmuszony zainteresować się moimi. - Generał popatrzył na Hessa, a potem na ukrytą w cieniu pod ścianą postać Goebbelsa. - Panowie, nie będę owijał w bawełnę. Zresztą to i tak sekret poliszynela... Za wschodnią granicą Polski, w kraju bolszewików, są tysiące niemieckich oficerów.

Przygotowują rosyjskich dowódców! Szkołą chłopską Armię Czerwoną... Dlaczego? Po co? Niektórzy dla zabawy. Inni usprawiedliwiają się tym, że jakieś fabryki rosyjskie przemycają dla nas armaty i broń... Nie podoba mi się ten stan rzeczy, panowie. Nie ufam Rosjanom. Weimar jest słaby. Ebert nie chce spojrzeć prawdzie w oczy, a Hindenburg jest jeszcze gorszy - żyje monarchistyczną przeszłością. Trzeba zmusić polityków, żeby zajęli się sprawą Wersalu! Wyzwolenie musi przyjść od wewnątrz!

Rudolf Hess położył dłonie na stole.

- Ma pan słowo Adolfa Hitlera i wszystkich nas znajdujących się w tym pokoju, że pierwszym punktem politycznego programu Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotniczej jest bezwarunkowe zniesienie Traktatu Wersalskiego i jego restrykcji!

- Tak przypuszczam. Zastanawiam się jednak, czy będziecie w stanie skutecznie zjednoczyć różne obozy polityczne Reichstagu.

Nie przeczę, macie zwolenników. Więcej niż inni... Ale chcielibyśmy, i jestem pewien, że nasi partnerzy też, uzyskać odpowiedź na pytanie, czy wytrzymacie? Czy jesteście w stanie przetrwać? Czy przetrwacie...? Zdelegalizowano was parę lat temu. Nie możemy sobie pozwolić na sojusz z polityczną kometa, która się wypala.

Ulster Scarlett wstał z krzesła i spojrzał z góry na starego generała.

- Co by pan powiedział na to, że mamy zasoby finansowe większe niż jakakolwiek inna organizacja polityczna w Europie?

Niż ktokolwiek inny na całej zachodniej półkuli?

- Powiedziałbym, że pan przesadza.

- A na informację, że mamy też teren wystarczająco duży, żeby przeszkolić tysiące doborowych oddziałów bez wiedzy wersalskich kontrolerów...?

- Musiałby mi pan to udowodnić.

- Mogę to zrobić w każdej chwili.

Rheinhart podniósł się i stanął przed Heinrichem Kroegerem.

- Jeśli mówi pan prawdę... będziecie mieli poparcie niemieckich generałów.

## ROZDZIAŁ 36

Janet Saxon Scarlett, z oczyma wciąż zamkniętymi, wyciągnęła pod kocem rękę szukając swego kochanka. Nie było go, otworzyła więc oczy i podniosła głowę. Pokój zawirował. Powieki jej ciążyły, bolał ją brzuch. Ciągle jeszcze była zmęczona i trochę pijana.

Matthew Canfield siedział przy biurku w samych slipkach.

Łokcie trzymał na blacie, dłońmi podpierał brodę. Wpatrywał się w leżącą przed nim kartkę papieru.

Janet obserwowała go świadoma, że on teraz o niej nie pamięta.

Zastanawiała się, dlaczego wydawał się jej taki atrakcyjny?

Różnił się od mężczyzn z jej świata - wszyscy faceci, których знаła, byli pewni siebie, układni, zadbani i troszczyli się wyłącznie o pozory. Matthew Canfield w niczym ich nie przypominał. Jego instynktowna czujność nie miała nic wspólnego z zasadami dobrego wychowania, a pewność siebie wynikała z przemyślanych opinii, nie była wrodzona.

Nie był też specjalnie przystojny, choć można go było zaliczyć do kategorii panów o "miłej powierzchowności", tych grubiej ciosanych... Swoim zachowaniem i wyglądem robił wrażenie niezależnego i twardego, ale w kontaktach osobistych był inny: niezwykle delikatny, niemal słaby... Zastanawiała się, czy rzeczywiście był słaby. Podejrzała, że Elizabeth dała mu pieniądze, żeby móc działać po swojemu. Nigdy nie czuł się swobodnie, gdy chodziło o większe sumy. Stwierdziła to podczas dwóch tygodni spędzonych z nim razem w Nowym Jorku. Najwyraźniej powiedziano mu, żeby nie martwił się o wydatki niezbędne dla podtrzymania ich znajomości - dał jej to do zrozumienia - i śmiali się z tego oboje, ponieważ na koszt rządu wspaniale spędzali czas. Z radością sama poniosłaby wszelkie koszty. Płaciła przecież za innych, a nikt z nich nie był jej tak bliski jak Matthew Canfield. Nie należał wprawdzie do jej świata, ale wiedziała, że się przystosuje, jeśli tego będzie trzeba, by go zatrzymać. Bardzo go kochała i martwiła się o niego. Dla Janet Saxon Scarlett było to niezwykle - nigdy dotąd o nikogo się nie martwiła.

Kiedy poprzedniego wieczoru wróciła o siódmej eskortowana przez Fergusona, jednego z ludzi Dereka, znalazła Canfielda siedzącego samotnie w salonie Elizabeth. Wydawał się spięty, rozdrażniony, nawet zły, lecz nie wiedziała dlaczego. Podał parę nieprzekonujących powodów swojego złego nastroju, po czym wyprowadził ją z apartamentu i z hotelu.

Zjedli kolację w małej restauracji w Soho. Oboje dużo pili, zaraził ją swoim strachem. Ale nie powiedział, co go gryzie.

Wrócili do jego pokoju z butelką whisky. Wreszcie sami. Janet czuła, że Matthew kurczowo trzyma się jakiejś wyimaginowanej liny, bojąc się ją puścić z obawy, że runie w dół.

Kiedy tak teraz obserwowała go siedzącego przy biurku, instynktownie odgadła prawdę - niechcianą prawdę - którą zresztą podejrzewała od tamtej strasznej chwili, gdy powiedział:

"Janet, obawiam się, że mieliśmy gościa..."

Tym gościem był jej mąż.

Uniosła się i oparła na łokciu.

- Matthew?

- O... dzień dobry, kochana.

- Matthew... Boisz się go?

Mięśnie twarzy Canfielda napięły się.

Wiedziała. Oczywiście, że wiedziała.

- Myślę, że nie będę się bał... kiedy go znajdziemy.

- Zawsze tak jest, prawda? Obawiamy się kogoś lub czegoś, czego nie znamy.

- Tak właśnie określiła to Elizabeth.

Usiadła otulając się kocem i oparła o wezglowie. Było jej zimno.

- Powiedziała ci?

- W końcu tak. Nie chciała, ale nie zostawiłem jej wyboru...

Musiała.

Janet patrzyła przed siebie nie widzącym wzrokiem.

- Boję się - powiedziała cicho.

- Wiem... Ale nie musisz. On cię nie dotknie.

- Skąd ta pewność? - Zaczęły jej drżeć ręce. Nagle rzuciła się w poprzek łóżka. - O Boże, Boże, Boże! - Ukryła głowę w poduszce.

Canfield w pierwszej chwili nie zareagował, ponieważ nie krzyczała ani nie podnosiła głosu, on zaś był skupiony na notatkach.

W jej stłumionym wołaniu nie było desperacji, lecz cierpienie.

- Co się stało, Janet? - Zerwał się z krzesła i podbiegł do łóżka. - Janet...! Kochanie, przestań. Proszę, przestań. - Wziął ją w ramiona i próbował uspokajać, jak potrafił.

Po twarzy Janet niepowstrzymanie płynęły łzy, ale nie szlochała.

Zaniepokoiły go jej oczy.

Mimo potoku łez były szeroko otwarte, jak w transie. Transie wywołanym przerażeniem. Powtarzał w kółko jej imię.

- Janet. Janet. Janet. Janet...

Nie odpowiadała. Wydawało się, że coraz głębiej pogrąża się w obezwładniającym strachu. Zaczęła jęczeć, z początku cicho, potem coraz głośniejsze.

- Janet! Przestań! Przestań! Kochanie, przestań!

Nie słyszała go.

Próbowała go odepchnąć, uwolnić się. Przytrzymał ją mocniej, choć bał się, że coś jej zrobi.

Nagle uspokoiła się. Odrzuciła głowę do tyłu i powiedziała zduszonym głosem, jakiego dotąd u niej nie słyszał:

- Żebyś zdechł w piekle...! Żebyś zdeeeeeechł! - przeciągnęła ostatnie słowo, aż zamieniło się w krzyk.

Powoli, niechętnie rozłożyła nogi na pościeli.

Tym samym zduszonym, gardłowym głosem wyszeptała:

- Ty świnio! Świnia! Świnia! Świnia!

Canfield obserwował ją z trwogą. Przybierała pozycję do stosunku płciowego, jakby uzbrajała się przeciw ogarniającemu ją przerażeniu.

- Janet, na miłość boską... Przestań! Nikt cię nie dotknie!

Proszę cię, kochanie!

Dziewczyna zaśmiała się nieprzyjemnie, histerycznie.



- Jesteś kartą, Ulster! Cholernym waletem... waletem... Skrzyżowała nogi, kładąc jedną na drugiej, i przykryła dłońmi piersi. - Zostaw mnie w spokoju, Ulster! Proszę cię, o Boże, Ulster! Zostaw mnie w spokoju...! Dasz mi spokój? - Zwinęła się w kłębek i zaczęła szlochać.

Canfield przykrył ją kocem.

Przerażające, że tak znieńcka, bez ostrzeżenia mogła zmienić się w dziwkę Scarletta.

Tak jednak było i musiał to zaakceptować.

Potrzebowała pomocy. Być może innej niż ta, którą on był jej w stanie zapewnić. Pogłaskał ją delikatnie po głowie i położył się obok.

Łkania Janet ucichły, zmieniły się w równy oddech. Miał nadzieję, że śpi, nie był jednak tego pewien. Tak czy owak, niech odpoczywa. Da mu to czas na zastanowienie się, jak powiedzieć jej wszystko, co musiała wiedzieć.

Najbliższe cztery tygodnie będą dla niej straszne.

Dla nich trojga.

Ale teraz pojawił się pewien nowy element, którego poprzednio nie było i z którego Canfield się cieszył. Wiedział, że nie powinien, ponieważ kłóciło się to z jego zawodową etyką.

Była to nienawiść. Własna, osobista nienawiść.

Ulster Stewart Scarlett przestał być dla niego zwykłym obiektem poszukiwań. Stał się człowiekiem, którego zamierzał zabić.

## ROZDZIAŁ 37

Ulster Scarlett patrzył na zaczerwienioną, pełną złości twarz Adolfa Hitlera. Doszedł do wniosku, że Hitler, mimo ogarniającej go furii, umie panować nad sobą w sposób graniczący z cudem. Ale w końcu on sam też był cudem. Historyczny człowiek-cud, który poprowadzi ich wszystkich do najwspanialszego świata na ziemi, jaki można sobie wyobrazić.

We trzech - Hess, Goebbels i Kroeger - przyjechali w nocy z Montbeliard do Monachium, gdzie Hitler i Ludendorff czekali na raport ze spotkania z Rheinhardem. W przypadku pomyślnego wyniku konferencji uruchamiano plan Ludendorffa. Wszystkie frakcje w Reichstagu, które miały jakiegokolwiek znaczące poparcie, będą powiadomione, że nadchodzi czas koalicji. Rzuci się trochę obietnic, trochę gróźb. Jako jedyny członek Reichstagu należący do partii narodowosocjalistycznej i ubiegłoroczny kandydat na prezydenta, Ludendorff będzie miał posłuch. Był żołnierzem-filozofem. Powoli odzyskiwał już pozycję utraconą po klęsce pod Meuse-Argonne.

Demonstracje przeciw Traktatowi Wersalskiemu odbędą się jednocześnie w dwunastu miastach, w których sowicie opłacono policję, żeby się nie wtrącała. Hitler miał pojechać do Oldenburga w północno-zachodnich Prusach, gdzie starzy wojskowi powoli przygotowywali grunt. Tam miał zostać zorganizowany wielki marsz i planowano, że weźmie w nim udział sam Rheinhard.

Rheinhard wystarczył, żeby zaświadczyć o poparciu wojska dla partii. Więcej, stanowił jakby ukoronowanie ich dotychczasowych postępów. Uznanie Hitlera przez Rheinharda nie pozostawi wątpliwości co do tego, kogo popierają generałowie.

Ludendorff uważał tę operację za polityczną konieczność.

Hitler - za zamach stanu. Austriacki kapral nigdy nie był obojętny wobec opinii junkra. Zależało mu na jego aprobacie - był jednak wściekły, że musi o nią zabiegać.

W wielkim wynajętym biurze, którego okna wychodziły na Sedlingerstrasse, Goebbels kończył właśnie przekazywać Ludendorffowi i Hitlerowi uwagi Rheinharda dotyczące przewodniczącego partii.

Hitler złapał się oparcie fotela i wstał. Przez chwilę wpatrywał się w Goebbelsa, ale chudy kuternoga wiedział, że nie on był powodem jego gniewu, tylko wiadomości, które przyniósł.

- Fettes Schwein! Wir werden ihn zu seinen Landsort zuriick senden! Lass ihm zu seinen Kiihen zuriick gehen!

Scarlett stał oparty o ścianę obok Hessa. Jak zawsze kiedy rozmowy prowadzone były po niemiecku, chętny do pomocy Hess zwrócił się do niego i powiedział cicho:

- Jest bardzo zdenerwowany. Rheinhard może okazać się przeszkodą.

- Dlaczego?

- Goebbels nie wierzy, że Rheinhard otwarcie poprze nasz ruch.

- Przecież powiedział, że poprze. W Montbeliard tak właśnie powiedział! O czym Goebbels teraz mówi?

- Powtórzył im to, co Rheinhard mówił o Hitlerze. Pamiętasz? - Hess szeptał osłaniając dłonią usta.

Scarlett podniósł głos:

- Powinni powiedzieć Rheinhartowi: nie ma Hitlera, nie ma forsy! Niech idzie do diabła!

- Was ist los? - Hitler rzucił Hessowi i Scarlettowi groźne spojrzenie. - Was sagt er, Hess?

- Lass Rheinhart zum Teufel gehen!

Ludendorff zaśmiał się kątem ust.

- Dos ist naiv.

- Powiedźcie Rheinhartowi, że ma nas słuchać albo wynocha!

Nie będzie wojska! Nie będzie broni! Nie będzie mundurów! Nie będzie nikogo, kto by za to zapłacił! Ja nie zapłacę! Nie będzie gdzie szkolić ludzi bez alianckich kontrolerów na karku! Wtedy posłucha! - Scarlett pospiesznie wyrzucał z siebie słowa, prawie nie zwracając uwagi na Hessa, który je tłumaczył.

Kiedy tylko Hess skończył tłumaczyć, Ludendorff napadł na niego:

- Mañ kann einen Mann wie Rheinhart nicht drohen. Er ist ein einflussreich Preusse!

Hess odwrócił się do Scarletta.

- Herr Ludendorff mówi, że nie ma co grozić Rheinhartowi.

To junkier. ?

- To wystraszony ołowiany żołnierz, ot co! Potrzebuje nas i wie o tym!

Hess przetłumaczył tę uwagę. Ludendorff strzelił palcami, jakby podśmiewając się z wypowiedzi Scarletta.

- Nie śmiećcie się ze mnie! Ja z nim rozmawiałem, nie pan! To moje pieniądze! Nie pańskie!

Hess nie musiał już tego tłumaczyć. Ludendorff zerwał się z krzesła tak samo wściekły jak Scarlett.

- Sag dem Amerikaner dass sein Geld gibt ihm noch lange nicht das Recht uns Befehle zu geben.

Hess zawahał się.

- Herr Ludendorff nie sądzi, żeby twój wkład finansowy...

niewątpliwie bardzo cenny...

- Nie musisz kończyć! Powiedz mu, że też może iść do diabła!

Zachowuje się dokładnie tak, jak tego oczekuje Rheinhart!

Przez chwilę stary intelektualista Ludendorff czuł prawie fizyczny strach. Nie ufał temu neurotycznemu Amerykaninowi. Często dawał do zrozumienia Hitlerowi i innym, że człowiek, który sam siebie nazwał Heinrichem Kroegerem, jest niebezpieczny. Ale zawsze go lekceważono, ponieważ tamten nie tylko posiadał środki finansowe, które wydawały się nieograniczone, ale był też w stanie zdobyć poparcie, albo przynajmniej zainteresowanie, wielu wpływowych osobistości.

Mimo to nie ufał mu.

Głównie dlatego, że uważał go za głupka.

- Pozwolę sobie przypomnieć panu, Herr Kroeger, że wystarczająco znam język angielski...

- Więc dlaczego go pan nie używa?

- Nie widzę takiej potrzeby.

- Właśnie zaistniała, do cholery!

Nagle Adolf Hitler klasnął dwa razy w dłonie, nakazując w ten sposób ciszę. Takie gesty irytowały Ludendorffa, ale z szacunku dla talentów Hitlera - z szacunku graniczącego z lękiem - tolerował je.

- Haiti Beide!

Hitler odszedł od stołu i odwrócił się do wszystkich plecami.

Przeciągnął się i splótł z tyłu ręce. Przez parę minut nic nie mówił, ale nikt nie przerywał jego milczenia.

Ludendorff przestrzegał reguł gry, lecz był niezadowolony.

Hitlerowi zdarzało się źle oceniać sytuację. Możliwe, że był zdolny do wielkich wizji, ale często upraszczał sprawy dotyczące codziennej rzeczywistości. Niestety nie znosił dyskusji na ten temat. Stawiało to w trudnym położeniu jego doradców. Ludendorff miał nadzieję, że nie będzie to kolejny przypadek, kiedy Hitler zlekceważy zdrowy rozsądek. Tak jak i on, Rheinart był junkrem, dumnym i nieugiętym - i należało z nim umiejętnie postępować. Któż mógł lepiej o tym wiedzieć od byłego marszałka armii cesarskiej, zmuszonego do ratowania godności w czasie tragicznej klęski?

Adolf Hitler powiedział cicho:

- Wir werden wie Herr Kroeger sagt lun.

- Kroeger, Herr Hitler zgadza się z tobą! - Zachwycony Hess dotknął rękawa Scarletta. Arogancki Ludendorff zawsze traktował go z góry, a teraz odnieśli nad nim niemałe zwycięstwo. Nagrodą był Rheinart. Jeśli okaże się, że Kroeger ma rację, Ludendorff wyjdzie na głupca.

- Warum? Es ist sehr gefdhrlich.

Ludendorff musiał się sprzeciwić, choć wiedział, że to nic nie da.

- Sie sind zu Vorsichtig die unruhigen Zieten, Ludendorff.

Kroeger hat Recht. Aber wir werden einen Schritt weiter gehen.

Rudolf Hess wypiął pierś. Trącając łokciem Scarletta, patrzył na Ludendorffa i Goebelsa.

- Herr Hitler mówi, że nasz przyjaciel Ludendorff jest niepotrzebnie ostrożny. Ma rację. Ludendorff jest zawsze ostrożny... Ale Herr Hitler chciałby rozwinąć twoją propozycję...

Adolf Hitler zaczął mówić powoli, lecz stanowczo, nadając wypowiedzianym zdaniom charakter nieodwołalny. W trakcie przemówienia przyglądał się z satysfakcją twarzom słuchaczy. Na koniec wyrzucił z siebie:

- Das ist Montbeliard!

Każdy z nich oceniał Hitlera inaczej, ale łączyło ich jedno uważali go za geniusza.

Według Hessa wniosek Hitlera był przykładem politycznej przenikliwości.

Według Goebelsa Hitler po raz kolejny wykazał się umiejętnością wykorzystania słabości przeciwnika.

Według Ludendorffa Austriak wziął zupełnie przeciętny pomysł, okraślił go własną bezczelnością i wyszła mu z tego znakomita strategia.

Heinrich Kroeger - Scarlett - odezwał się:

- Co on powiedział, Hess?

Ale to nie Hess mu odpowiedział, lecz Erich Ludendorff:

- Herr Hitler właśnie... zjednoczył dla nas wojsko, Kroeger.

- Co...?

Rudolf Hess odwrócił się do Scarletta.

- Powiemy generałowi Rheinhartowi, że jeśli nie zastosuje się do naszych życzeń, poinformujemy przedstawicieli Wersalu o jego potajemnych staraniach o nielegalne wsparcie. To prawda. Nie może zaprzeczyć Montbeliard!

- Generał jest junkrem - dodał Ludendorff. - A Montbeliard stanowi gwarancję jego lojalności. Rheinhart się nie wyprze. Nawet jeśli by chciał - zbyt wiele osób wie: von Schnitzler, Kindorf.

I Krupp!

Hitler uśmiechnął się i powiedział coś szybko do Hessa, wskazując głową na Ulstera Scarletta.

- Der Fuhrer podziwia cię i docenia, Heinrich •- powiedział Hess. - I pyta o naszych przyjaciół w Zurychu.

- Wszystko rozwija się zgodnie z planem. Ale popełniono kilka błędów. Chyba stracimy jeszcze jednego z pozostałej trzynastki... Niewielka strata; ten człowiek okazał się złodziejem.

- Kto? - zapytał Ludendorff po angielsku.

- Thornton.

- A co z jego ziemią?

Scarlett, teraz Kroeger, spojrział na Ludendorffa - wojskowego intelektualistę - z pogardą typową dla bogaczy.

- Zamierzam ją kupić.

- To chyba niebezpieczne? - zapytał Hess. Przyglądał się Ludendorffowi, który tłumaczył Hitlerowi słowa Scarletta. Obaj wyglądali na zaniepokojonych.

- Wcale nie.

- Może nie dla pana osobiście, mój zuchwały przyjacielu. Ton Ludendorffa był uprzejmie oskarżycielski. - Kto wie, komu będzie pan sprzyjał za sześć miesięcy?

- Wypraszam sobie!

- Nie jest pan Niemcem. To nie pańska wojna.

- Nie muszę być Niemcem! I nie muszę się przed panem tłumaczyć! Chce pan się mnie pozbyć? Świetnie! Już się wynoszę...!

A wraz ze mną dwunastu najbogatszych ludzi na świecie... Ropa!

Stal! Przemysł! Linie żeglugowe!

Hess już nie próbował zachowywać się taktownie. Spojrział na Hitlera machając z irytacją rękami.

Hitlerowi nie trzeba było podpowiadać; dobrze wiedział, co ma robić. Podeszedł szybko do byłego generała armii cesarskiej i lekko uderzył go w usta wierzchem dłoni. Był to bardzo obraźliwy gest przypominający karcenie dziecka. Obaj mężczyźni wymienili parę słów i Scarlett zorientował się, że Ludendorff został surowo upomniany.

- Motywy mojego postępowania zostały podane w wątpliwość, Herr Kroeger. Ale ja tylko wystawiałem pana na próbę. - Ludendorff podniósł rękę do ust. Ciężko mu było pogodzić się ze zniewagą, jaka spotkała go ze strony Hitlera. Po chwili dodał: W kwestii posiadłości szwajcarskich byłem jednak szczerzy. Pańska...

praca dla nas zasługuje na uznanie i niewątpliwie wiele osób tę moją opinię podziela. Ale gdyby przez ten zakup powiązano pana z partią, cała operacja stałaby się bezużyteczna.

Ulster Scarlett lubił usadzać myślicieli. Odpowiedział z nonszalancją:

- Nie ma sprawy... Transakcja będzie miała miejsce w Madrycie.

- Madryt? - Joseph Goebbels nie zrozumiał dokładnie, co mówił Scarlett, ale Madryt miał dla niego specjalne znaczenie.

Czterej Niemcy spojrzeli po sobie. Żaden nie był zadowolony.

- Dlaczego niby Madryt jest... taki bezpieczny? - Hess obawiał się, że jego nowy przyjaciel postąpił nierozważnie.

- Attache papieski. Bardzo katolicki. Poza wszelkimi podejrzeniami.

Hess przełożył słowa Scarletta na niemiecki.

Hitler uśmiechnął się, a Ludendorff znów strzelił palcami, tym razem ze szczerym podziwem.

- Jak do tego dojdzie?

- Bardzo prosto. Powiemy na dworze Alfonsa, że ziemia ma być kupiona za pieniądze białych Rosjan. Jeśli się tego szybko nie załatwi, kapitał przejmie Moskwa. Watykan jest nam przychylny.

Riviera też.

Hess tłumaczył Hitlerowi, a Goebbels przysłuchiwał się uważnie.

- Moje gratulacje, Herr Kroeger. Niech pan będzie... ostrożny. - Ludendorff był pod wrażeniem tego, co usłyszał.

Nagle Goebbels zaczął coś trajkotać, gestykulując przesadnie.

Niemcy roześmieli się i Scarlett nie był pewien, czy ten odpychający mały faszysta przypadkiem nie nabija się z niego.

Hess przetłumaczył:

- Herr Goebbels mówi, że jeśli obiecasz Watykanowi pozbawić czterech głodnych komunistów bochenka chleba, to papież pozwoli ci przemalować Kaplicę Sykstyńską.

Hitler odezwał się wśród śmiechu:

- Was hörst du aus Ziirich?

Ludendorff odwrócił się do Scarletta.

- Mówił pan o naszych przyjaciółach w Szwajcarii...

- Wszystko idzie zgodnie z planem. Pod koniec przyszłego miesiąca!..A powiedzmy za pięć tygodni, budynki będą gotowe...

Pokażę panom - odpowiedział Scarlett.

Podszedł do stołu wyjmując z kieszeni kurtki złożoną mapę.

Rozłożył ją na stole.

- Przylegające do siebie posiadłości obwiedzione grubą niebieską linią. Ten fragment...: na południu, należy do Thorntona. Na zachodzie sięgamy dotąd, na północy aż do Baden, na wschodzie do granic Pfaffikon. Mniej więcej co dwa kilometry znajduje się budynek, w którym zmieści się pięćdziesięciu żołnierzy - w sumie jest ich osiemnaście. Razem pomieszczą dziewięćset ludzi. Doprowadzono wodę, położono fundamenty. Każdy budynek wygląda z zewnątrz jak stodoła albo spichlerz. Dopiero w środku widać różnicę.

- Wspaniale! - Ludendorff założył monokl na lewe oko i przyjrzał się mapie z bliska. - Czy między tymi... Keserne... jest jakieś ogrodzenie?

- Tak. Wysokie na cztery metry. Podłączone do generatorów w każdym budynku, na wypadek alarmu. Patrole będą chodzić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ludzie i psy... Za wszystko zapłaciłem.

- Wspaniale! Wspaniale!

Scarlett spojrział na Hitlera. Wiedział, że Ludendorff nie był skory do pochwał, zdawał też sobie sprawę, że mimo nieprzyjemnej scysji, jaka przed chwilą miała miejsce, Hitler bardzo wysoko cenił sobie opinię generała. Wydawało mu się, że w przenikliwym spojrzeniu Hitlera, skierowanym teraz na niego, dostrzega podziw.

Ukrył radosne podniecenie i szybko mówił dalej:

- Szkolenie będzie intensywne - cztery tygodnie zajęć z parodniową przerwą między sesjami na transport rekrutów i ich zakwaterowanie. Każdy kontyngent składa się z dziewięćset ludzi...

Pod koniec pierwszego roku...

- Prachtvoll! Więc pod koniec roku będziemy mieć dziesięć tysięcy wyszkolonych żołnierzy?!

- Tak. Przygotowanych do działania w całym kraju. Gotowych na wszystko!

- To już nie motłoch, ale podstawa doborowych oddziałów! Ludendorff zaraził się entuzjazmem Scarletta. - Nasza własna, prywatna armia!

- Tak jest! Niezawodna maszyna, która może się szybko przemieszczać i mocno uderzać.

Ludendorff tłumaczył słowa Kroegera na niemiecki Hitlerowi i Goebbelsowi.

Ale Goebbels nie był zadowolony. Powiedział coś cichym głosem, jakby nie chciał, żeby do Kroegera dotarło ukryte znaczenie tego, co mówił. Ten wielki dziwny Amerykanin nie wzbudzał jego zaufania, mimo całego swego zapachu. Mimo potęgi swoich pieniędzy. Adolf Hitler kiwnął głową potakująco.

Hess powiedział:

-Heinrich, Herr Goebbels jest zatroskany. Ci panowie z Zurychu... ich żądania są takie niejasne.

- Według nich są bardzo konkretne. To biznesmeni... Poza tym sprzyjają nam.

- Kroeger ma rację. - Ludendorff spojrział na Ulstera Scarletta wiedząc, że Hess powtórzy to po niemiecku. Mówił i myślał jednocześnie, nie chcąc dać Kroegerowi czasu na sformułowanie odpowiedzi czy komentarza. Uważał, że Kroeger rozumie po niemiecku dużo więcej, niż daje po sobie poznać. - Zaszliśmy już bardzo daleko, bo podpisaliśmy umowy, prawda...? Pakty, jeśli wolicie. Pakty stwierdzające, że wraz z objęciem przez nas władzy w Niemczech nasi przyjaciele z Zurychu otrzymają pewne przywileje ekonomiczne... A więc mamy zobowiązania.

- Zgadza się.

- Co się stanie, Herr Kroeger, jeśli się z nich nie wywiążemy?

Ulster Scarlett milczał przez chwilę, po czym stwierdził:

- Wtedy spróbują nas zrujnować.

- Jak?

- Na wszystkie możliwe sposoby, Ludendorff. A możliwości mają spore.

- Czy to pana niepokoi?

- Nie sądzę, żeby do tego doszło... Wiedzą, że mamy rację.

I że wygramy. Każdy lubi robić interesy ze zwycięzcą. Dlatego chcą z nami współpracować!

- Widzę, że jest pan o tym przekonany.

- Oczywiście. Ale pokierujemy wszystkim po swojemu. Tak, jak chcemy. Pozbędziemy się śmieci - Żydów, czerwonych i śmierdzących burżujskich lizusów!

Ludendorff uważnie obserwował pewnego siebie Amerykanina.

Miał słuszość, Kroeger był głupi. Jego stosunek do ras niższych był emocjonalny, a nie oparty na zdrowych zasadach czystości gatunku. Hitler i Goebbels byli podobnie zaślepieni, ale mimo wszystko kierowali się logiką - studiowali to zagadnienie tak jak on i Rosenberg. Ten Kroeger miał mentalność dziecka.

- Ma pan wiele racji. Każdy myślący człowiek będzie wspierał sobie podobnych... - Ludendorff postanowił, że będzie miał Kroegera na oku. Osobnik tak nerwowy może narobić wiele szkód.

Rozgorączkowany pajac.

Ale w końcu ich dwór potrzebował tego błazna. I jego pieniędzy.

Hitler miał rację. Nie mogą sobie pozwolić, żeby go teraz stracić.

- Jadę rano do Madrytu. Wysłałem już rozkazy dotyczące Thorntona. Wszystko razem nie potrwa dłużej niż dwa, trzy tygodnie. Potem będę w Zurychu - powiedział Kroeger.

Hess powtórzył to Hitlerowi i Goebbelsowi. Hitler rzucił ostro jakieś pytanie.

- Gdzie można będzie pana znaleźć w Zurychu? - przetłumaczył Ludendorff. - Pańskie zadanie wymaga, żebyśmy się z panem kontaktowali.

Kroeger zastanowił się, zanim odpowiedział. Zawsze mu zadawano to pytanie, kiedy jechał do Zurychu. I zawsze odpowiadał wymijająco. W przeszłości zostawiał numer telefonu, skrytki pocztowej lub nazwisko jednego z czternastu mężczyzn z Zurychu plus hasło.

Teraz jednak Ulster Stewart Scarlett uznał, że musi przypomnieć tytanom nowego porządku o potędze Heinricha Kroegera.

Powie im prawdę.

Wymówi nazwisko człowieka, o łaski którego starali się wszyscy walczący o władzę w Niemczech. Jedyne go człowieka, który nie chciał z nikim rozmawiać ani w nic się angażować, który odmawiał spotkania wszystkim frakcjom.

Najbardziej szanowanego i budzącego największy strach człowieka w całej Europie.

- Będę u Kruppa. W Essen będą wiedzieli, gdzie nas szukać.



## ROZDZIAŁ 38

Elizabeth Scarlatti usiadła na łóżku. Z boku stał stolik do gry w karty, a dookoła leżały papiery - na łóżku, na stoliku, na podłodze. Niektóre poukładane w równe kupki, inne porzucane.

Część była spięta i oznaczona karteczkami, reszta przygotowana do wyrzucenia.

Dochodziła czwarta po południu. Elizabeth tylko raz wyszła z sypialni, żeby wpuścić Janet i Matthew. Zauważyła, że wyglądali okropnie; jakby byli chorzy.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na trzymane w ręku papiery.

A więc to było to! Miała teraz jasny obraz, z pełnym tłem.

Gdyby nie było to tak groteskowo złe, pewnie przyznałaby rację synowi. Może nawet byłaby dumna z jego działalności. W tej sytuacji jednak czuła tylko strach.

Zastanawiała się, czy Matthew Canfield zrozumie. Nieważne.

Nadszedł czas wyjazdu do Zurychu.

Wstała z łóżka i z papierami w ręku podeszła do drzwi.

Janet siedziała przy biurku pisząc listy, Canfield nerwowo przeglądał gazetę. Oboje byli zaskoczeni wejściem Elizabeth.

- Czy wie pan coś o Traktacie Wersalskim? - zapytała inspektora. - O restrykcjach i reparacjach wojennych?

- Nie więcej niż każdy inny, jak sędzę.

- Słyszał pan o Planie Dawesa?

- Czy to nie dzięki niemu Niemcy wytrzymują ciężar reparacji?

- Tylko chwilowo. Ale na dłuższą metę to katastrofa dla gospodarki niemieckiej.

- O co pani chodzi?

- Jeszcze chwileczkę. Chcę, żeby pan zrozumiał... Wie pan, kto jest egzekutorem Traktatu Wersalskiego? Czyj głos liczy się najbardziej w Planie Dawesa? Kto faktycznie kontroluje gospodarkę Niemiec?

Canfield odłożył gazetę.

- Jakaś komisja.

- Międzynarodowa Komisja do Spraw Odszkodowań Wojennych.

- Do czego pani zmierza? - Inspektor wstał z krzesła.

- Członkami tej komisji są trzej panowie z grupy zuryskiej.

Oni stoją na straży Traktatu Wersalskiego. Współpracując ze sobą, ludzie z Zurychu mogą zarządzać praktycznie całą gospodarką niemiecką. Najważniejsi przemysłowcy z północy, zachodu i południowego zachodu. Do tego najpotężniejsi finansisci w samych Niemczech. Wilcze stado. Dopilnują, żeby siły działające w Niemczech nie zboczyły z kursu prowadzącego do upadku. A kiedy nastąpi wybuch - co jest nieuniknione - będą na miejscu i zgarną resztki. Do wykonania tego planu potrzebna jest im oczywiście baza polityczna - znaleźli ją. W Adolfie Hitlerze i jego nazistach...

A także w moim synu, Ulsterze Stewarcie Scarletcie.

- Rany boskie! - powiedział cicho Canfield wpatrując się w Elizabeth. Nie wszystkie szczegóły jej przemowy dotarły do niego, zrozumiał jednak wystarczająco dużo.

- Czas wybrać się do Szwajcarii, panie Canfield.

## ROZDZIAŁ 39

Wszystkie telegramy napisane były po angielsku; różniły się tylko adresami i nazwiskami adresatów. Każdy został wysłany do przedsiębiorstwa lub korporacji, w której dana osoba piastowała najwyższe stanowisko. Uwzględniono różnice czasu, każdy telegram miał dojść w poniedziałek o dwunastej w południe i miał być doręczony do rąk własnych za pokwitowaniem.

Elizabeth chciała, żeby wszystkie firmy zostały powiadomione pisemnie. Żeby odbiorcy jej telegramów wiedzieli, iż przede wszystkim chodzi o interesy.

Telegramy były następującej treści:

ŚWIĘTEJ PAMIĘCI MARKIZ DE BERTHOLDE POINFORMOWAŁ ZAKŁADY SCARLATTI W OSOBIE NIŻEJ PODPISANEJ O WASZYM POROZUMIENIU STOP JAKO JEDYNY RZECZNIK FIRMY SCARLATTI NIŻEJ PODPISANA UWAŻA ŻE ISTNIEJE WSPÓLNOTA INTERESÓW STOP AKTYWA SCARLATTI MOGĄ BYĆ DO WASZEJ DYSPOZYCJI POD PEWNYMI WARUNKAMI STOP NIŻEJ PODPISANA PRZYBĘDZIE DO ZURYCHU ZA DWA TYGODNIE WOBEC CZEGO 3 LISTOPADA O GODZINIE 9 WIECZOREM STOP W FALKE HAUS ODBĘDZIE SIĘ KONFERENCJA ELIZABETH WYCKHAM SCARLATTI Trzynaście reakcji, każda gdzie indziej, każda w innym języku, łączył jeden element.

Strach.

Była też czternasta reakcja, w apartamencie zarezerwowanym dla Heinricha Kroegera w madryckim hotelu "Emperador". Furia.

- Nie zniosę tego! Nie będzie żadnej konferencji! Ostrzegalem ją! Wszyscy zginą! Wszyscy, co do jednego! Dziś wysłałam rozkaz.

Zaraz!

Charles Pennington, przydzielony Kroegerowi przez Ludendorffa jako ochrona osobista, stał po drugiej stronie pokoju spoglądając przez okno na czerwonawe, ułożone jak wachlarz promienie hiszpańskiego słońca.

- Nie bądź idiotą. - Nie lubił patrzeć na Heinricha Kroegera.

Jego twarz była wystarczająco paskudna, gdy Kroeger był spokojny.

Gdy był zły, stawała się przerażająca. Teraz była purpurowa z wściekłości.

- Nie będziesz mi mówił..

- Och, przestań! - Pennington zobaczył, że Kroeger nadal gniecie w dłoni telegram od Howarda Thorntona, który zawiadamiał o konferencji w Zurychu. - Co cię to obchodzi, do cholery? Pennington już wcześniej otworzył kopertę i przeczytał wiadomość, ponieważ, jak powiedział Kroegerowi, nie miał pojęcia, kiedy ten wróci ze spotkania z papieskim attache. Mogło być coś pilnego. Nie powiedział mu natomiast, że Ludendorff polecił mu sprawdzać wszystkie jego listy i telefony.

- Nie chcemy nikogo więcej. Nie możemy nikogo przyjąć! Nie możemy! Zurych wpadnie w panikę! Zostawiaj nas na lodzie!

- Wszyscy dostali telegramy. Jeśli Zurych ma nas zostawić, już ich nie powstrzymasz. Poza tym Scarlatti to dobry nabytek, jeśli to ta sama, o której myślę. Ma miliony... Tym lepiej dla nas, jeśli chce się przyłączyć. Nie miałem zbyt wysokiego mniemania o Bertholdzie - ty

chyba miałeś lepsze - ale jeśli ten pieprzony francuski żydek ją wciągnął, uchylę przed nim kapelusza.

Heinrich Kroeger patrzył na eleganckiego, zniewieściałego Anglika, który poprawiał mankiety upewniając się, że odpowiednio wystają z rękawów marynarki. Czerwono-czarne spinki ginęły w miękkim materiale cienkiej niebieskiej koszuli. Wiedział, że wygląd Anglika był mylący. Pennington był zabójcą, tak jak Boothroyd. Hitler cenił go wysoko, Joseph Goebbels jeszcze wyżej.

Kroeger podjął decyzję. Nie mógł ryzykować!

- Nie dojdzie do tego spotkania! Ona zginie.

- Muszę ci przypomnieć, że taka decyzja nie należy tylko do ciebie. A nie sądzę, żeby ktoś inny się z nią zgodził.

- Nie po to tu jesteś, żeby mi mówić, co mam robić!

- Tak, tak... Ludendorff wie o wiadomości od Thorntona.

Zawiadomiłem go kilka godzin temu. - Pennington spojrział na zegarek. - Idę na obiad. Szczerze mówiąc, wolę jeść sam, jeśli jednak koniecznie chcesz się do mnie przyłączyć, jakoś zniosę twoje towarzystwo.

- Ty fiucie złamany! Skręcę ci ten cholerny kark!

Pennington najeżył się. Kusiło go. Wiedział, że Kroeger nie był uzbrojony, jego rewolwer leżał na szafce w sypialni.

Mógł go zabić, wykorzystać telegram jako dowód i stwierdzić, że Kroeger okazał nieposłuszeństwo. Ale oznaczało to władze hiszpańskie na karku i pospieszny odwrót. A Kroeger miał zadanie do wykonania. Zadanie, które dotyczyło właśnie Howarda Thorntona.

- Każdy z nas mógłby bez wątpienia załatwić drugiego na wiele sposobów. - Pennington wyciągnął niewielki pistolet z kabury na piersi. - Ja na przykład mógłbym teraz postać jedną kulkę prosto w twoje usta... Nie zrobię tego jednak, chociaż mnie prowokujesz, ponieważ rozkaz jest ważniejszy od nas obu. Musiałbym odpowiadać za mój postępek - i z pewnością zostałbym stracony. Ciebie też zastrzelą, jeśli zaczniesz działać na własną rękę.

- Nie znasz tej Scarlatti, Pennington. A ja znam!

Skąd dowiedziała się o Bertholdzie? Co jej powiedział?

- Jasne, jesteście starymi przyjaciółmi. - Anglik schował pistolet i roześmiał się.

- Nie można ufać tej kobiecie! Nie można jej ufać!

Charles Pennington obciągnął kamizelkę, żeby dobrze się ułożyła na ramionach; lekko wypukłą kaburę przykrywała poła marynarki.

Podszedł-do drzwi.

- Naprawdę, Heinrich...? A nam można?

Wyszedł i zamknął drzwi, pozostawiając po sobie słaby zapach Yardleya.

Heinrich Kroeger rozłożył trzymany w dłoni telegram.

Thorntona ogarnęła panika. Każdy z zuryskiej trzynastki otrzymał od Elizabeth Scarlatti taką samą wiadomość. Ale nikt oprócz Thorntona nie wiedział, kim był Kroeger.

Musi działać szybko. Pennington nie kłamał. Zastrzelą go, jeśli wyda rozkaz zabicia Elizabeth Scarlatti. Jednak nie wykluczało to wydania takiego rozkazu po Zurychu. Co więcej, po Zurychu będzie to konieczne.

Najpierw jednak posiadłość Thorntona. Poleciał Thorntonowi jej sprzedanie tłumacząc, że musi to zrobić dla swego własnego bezpieczeństwa. Przerażony Thornton nie oponował, a

attache papieski sam z siebie robił, co mógł. Dla chwały Pana i przeciw ateistycznemu komunizmowi.

Pieniądze i tytuł własności zostaną przekazane w ciągu tygodnia.

Thornton wysłał pełnomocnika z San Francisco, żeby w jego imieniu doprowadził negocjacje do końca.

Jak tylko ziemia będzie jego, Heinrich Kroeger wyda wyrok śmierci, którego nikt nie zakwestionuje.

A kiedy zniknie i ten nieudacznik, Heinrich Kroeger będzie wolny. Nikt nie będzie wiedział, że Ulster Scarlett żyje.

Oprócz jednej osoby.

Zmierzy się z nią w Zurychu.

Tam ją zabije.

## ROZDZIAŁ 40

Limuzyna korpusu dyplomatycznego wjechała na niewielkie wzgórze w Fairfax w stanie Wirginia i zatrzymała się przed domem w gregoriańskim stylu. Była to elegancka rezydencja Ericha Rheinarta, attache Republiki Weimarskiej, bratanek słynnego generała armii cesarskiej, który udzielił poparcia radykalnemu ruchowi niemieckiemu nazwanemu przez filozofów faszyzmem. Bratanek sam był zagorzałym nazistą.

Z auta wysiadł elegancko ubrany mężczyzna z wypomadowanymi wąsami. Stał na podjeździe i podniósł wzrok na zdobioną fasadę.

- Wspaniały dom - powiedział do stojącego przed wejściem gospodarza.

- Cieszę się, że ci się podoba, Poole. - Rheinart uśmiechnął się do przedstawiciela firmy Bertholde i Synowie.

Mężczyźni weszli do środka i Erich Rheinart zaprosił gościa do pełnego książek gabinetu obok salonu. Wskazał Poole'owi krzesło i podszedł do kredensu, skąd wyjął dwie szklanki i butelkę whisky.

- Do rzeczy. Przebyłeś kilka tysięcy kilometrów... To okropna pora roku, jeśli chodzi o podróże. Twierdzisz, że przyjechałeś do mnie. Pochlebia mi to oczywiście, ale co...

- Kto kazał zabić Bertholde'a? - spytał Poole obcesowo.

Erich Rheinart był zaskoczony. Wzruszył ramionami, odstawił szklankę na mały stolik i rozłożył ręce. Powiedział powoli, skonsternowany:

- Mój drogi, dlaczego myślisz, że mam z tym coś wspólnego?

Albo źle oceniasz moje wpływy, albo potrzebny ci długi urlop.

- Labishe nie zabiłby go, gdyby nie otrzymał takiego rozkazu.

Od kogoś bardzo wysoko postawionego.

- No cóż, po pierwsze nie jestem tak wysoko postawiony, a po drugie, nie miałbym powodu. Lubiałem tego Francuza.

- Prawie go nie znałeś.

Rheinart roześmiał się.

- Tym bardziej nie miałem powodu...

- Nie twierdę, że to ty. Pytam tylko, kto i dlaczego. - Poole tracił zwykły sobie spokój. Jeśli ten arogancki Prusak coś wie, nie popuści mu, dopóki tego z niego nie wyciśnie.

- Czy Bertholde wiedział o czymś, o czym według was nie powinien wiedzieć?

- Nonsens. Jacques Bertholde był naszym człowiekiem w Londynie. Miał w Anglii wyjątkową pozycję. Kontakty z elitą przemysłowców w kilkunastu krajach. Przez jego śmierć ponieśliśmy wielką stratę! Jak możesz oskarżać o to kogokolwiek z nas?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. - Poole miał dosyć. - Czy posiadał jakieś informacje, które byłyby niebezpieczne dla ludzi z Monachium?

- Nawet jeśli, to nie mam pojęcia jakie!

Ale Poole wiedział. Być może był jedyną osobą, która wiedziała. Gdyby tylko miał pewność!

- Mam jeszcze ochotę na drinka. Wybacz, proszę, moje zdenerwowanie. - Uśmiechnął się.

Rheinhardt również się uśmiechnął.

- Jesteś niemożliwy. Daj swoją szklanę... - Podeszedł do barku i nalał. - Przejechałeś kilka tysięcy kilometrów na próżno.

Nieudana wycieczka.

Poole wzruszył ramionami. Przyzwyczajony był do podróży niektóre były złe, niektóre dobre. Bertholde i jego dziwny przyjaciel, Heinrich Kroeger, wysłali go za ocean zaledwie sześć miesięcy temu.

Wtedy miał proste zadanie. Zgarnąć dziewczynę i sprawdzić, czego dowiedziała się od starej Scarlatti. Nie udało się. Canfield wszedł mu w paradę. Ale pozostałe rozkazy wykonał. Śledził bankiera nazwiskiem Cartwright. Zabił go i włamał się do schowka na dworcu kolejowym, gdzie znalazł umowę tamtego z Elizabeth Scarlatti.

Właśnie wtedy poznał prawdę o Heinrichu Kroegerze. Syn Elizabeth Scarlatti potrzebował sojusznika i sojusznikiem tym został Jacques de Bertholde. W podziękę za przyjaźń Ulster Scarlett wydał wyrok na Bertholde'a. Poleciał zabić człowieka, który umożliwił mu wszystko.

Ale on, Poole, pomści tę śmierć. Najpierw jednak musi potwierdzić swoje podejrzenia, że ani nazistowscy przywódcy, ani ludzie z Zurychu nie wiedzą, kim jest Kroeger. Znaczyliby to, że Kroeger zamordował Bertholde'a, by utrzymać swoją tożsamość w tajemnicy.

Erich Rheinhardt stanął nad Poolem.

- Grosik za twoje myśli, przyjacielu! Masz tu burbona. Czemu nic nie mówisz?

- Co...? Chyba rzeczywiście jestem zmęczony, Erich. - Poole pochylił głowę, zamknął oczy i potarł czoło. Rheinhardt wrócił na fotel.

- Powinieneś odpocząć... Wiesz, co myślę? Że masz rację.

Myślę, że jakiś skończony idiota naprawdę wydał taki rozkaz. Poole otworzył oczy, zaskoczony słowami Rheinhardta. - Ja! Uważam, że się nie mylisz. To się musi skończyć! Stasser wciąż kłóci się z Hitlerem i Ludendorffem. Ekhart zachowuje się jak wariat. Kindorf miota się w Zagłębiu Ruhry, Jodl w Bawarii.

Graefe bałagani na północy. Nawet mój własny wuj, Wilhelm Rheinhardt, robi z siebie idiotę. Wygłasza przemówienia, a ja słyszę, jak w Ameryce śmieją się z niego za moimi plecami. Mówię ci, jesteśmy podzieleni na dziesięć frakcji! Wilki rzucające się sobie do gardeł. Nic nie osiągniemy, jeśli to się nie skończy! - Erich Rheinhardt nie krył gniewu. Podniósł się z fotela. - Możemy stracić ludzi z Zurychu! Skoro nie potrafimy żyć w zgodzie, jak długo z nami wytrzymają? Tych facetów nie interesuje, kto w przyszłym tygodniu będzie miał większość w Reichstagu. Nie obchodzi ich chwała nowych Niemiec - czy w ogóle ambicje jakiegokolwiek narodu. Bogactwo stawia ich ponad granicami państw. Są z nami wyłącznie z jednego powodu - dla pieniędzy. Jeśli powezmą najmniejsze wątpliwości, że nie jesteśmy tymi, za których się podajemy, że nie jesteśmy nowymi władcami Niemiec, zostawią nas z niczym! Nawet ci z nich, którzy są Niemcami.

Rheinhardt opanował wściekłość. Usiłował się uśmiechnąć, zamiast tego jednak opróżnił duszką szklanę i podeszedł do barku.

Gdyby tylko Poole miał pewność!

- Rozumiem - powiedział cicho.

- Ja. Myślę, że rozumiesz. Ciężko pracowałeś z Bertholde'em.

Osiągnąłeś bardzo wiele... - Obrócił się przodem do Poole'a. A przez te wewnętrzne tarcia możemy stracić wszystko, na co pracowaliśmy. Osiągnięcia Funkego, Bertholde'a, von Schitzlera, Thyssena, nawet Kroegera, pójdą na marne, jeśli się nie połączymy.

Musimy się zjednoczyć pod jednym, może dwoma przywódcami...

To było to! To był znak! Poole miał teraz pewność. Rheinhart wymówił to nazwisko! Kroeger!

- Ale kto miałby nim zostać? - Czy Rheinhart je powtórzy?

Czy uda się Poole'owi sprowokować Rheinharta, żeby jeszcze raz je wymówił?

- Może Strasser. Jest silny, niegłupi. Naturalnie Ludendorff jest bardziej znany w kraju, lecz już za stary. Ale uważaj, co ci powiem, Poole, zwróć uwagę na Hitlera! Czytałeś protokoły z rozprawy w Monachium?

- Nie. A powinienem?

- Tak. On jest niesamowity! Niezwykłe elokwentny i roztropny.

- Ma wielu wrogów. Zakazano mu wystąpień prawie we wszystkich okręgach w Niemczech.

- To normalne posunięcie w walce o władzę. Zresztą zakazy są już znoszone. Staramy się o to.

Poole utkwiał uważny wzrok w Rheinhardcie i powiedział:

- Hitler jest przyjacielem Kroegera, prawda?

- A ty byś nie był? Kroeger ma miliony! Dzięki Kroegerowi Hitler ma samochody, szofera, zamek w Berchtesgaden i Bóg wie co jeszcze. Nie sądzisz chyba, że płaci za to ze swoich honorariów?

W zeszłym roku zadeklarował dochód, za który nie kupiłby dwóch opon do swojego mercedesa. - Rheinhart roześmiał się. - Ja, Kroeger jest dobrym przyjacielem Hitlera.

Poole był teraz zupełnie pewien. Ludzie z Zurychu nie wiedzą, kim jest Kroeger!

- Erich, muszę jechać. Czy twój kierowca może mnie odwieźć do Waszyngtonu?

- Ależ oczywiście, mój drogi.

Poole otworzył drzwi do swojego pokoju w hotelu "Ambasador".

Na zgrzyt klucza mężczyzna w środku zerwał się i stanął na baczność.

- A, to ty, Bush. \

- Telegram z Londynu, panie Poole. Uznałem, że lepiej będzie przyjechać pociągiem, niż telefonować. - Wręczył Poole'owi telegram.

Poole otworzył kopertę i wyjął kartkę. Przeczytał wiadomość.

KSIĘŻNA WYJECHAŁA Z LONDYNU STOP KIERUNEK POTWIERDZONY GENEWA STOP POGŁOSKI O KONFERENCJI W ZURYCHU STOP PRZYŚLIJ INSTRUKCJE NA BIURO PARYSKIE Poole zacisnął wąskie wargi i usiłował opanować gniew.

W ich szyfrze "Księżna" oznaczała Elizabeth Scarlatti. A więc pojechała do Genewy. Jakies sto osiemdziesiąt kilometrów od Zurychu. Na pewno nie była to wycieczka dla przyjemności.

To, czego obawiał się Jacques Bertholde, przybierało właśnie realny kształt. Elizabeth Scarlatti i jej syn, "Heinrich Kroeger", wykonywali swoje ruchy. Razem albo osobno, kto wie.

Poole podjął decyzję.

- Wyślij do Paryża taką wiadomość: "Wylimitować Księżnę z rynku. Natychmiast skreślić jej ofertę z listy. Powtarzam, wylimitować Księżnę."

Poole odprawił kuriera i podszedł do telefonu. Musiał natychmiast zrobić rezerwację. Musiał się dostać do Zurychu.



Nie będzie konferencji. Nie dopuści do niej. Zabije matkę, zdemaskuje syna-mordercę!  
Śmierć Kroegera jest już tylko kwestią czasu!  
Przynajmniej tyle mógł zrobić dla Bertholde'a.

# **CZEŚĆ TRZECIA**

# ROZDZIAŁ 41

Pociąg z łoskotem przejechał przez zabytkowy most nad Renem i wtoczył się na stację w Genewie. Elizabeth Scarlatti siedziała w swoim przedziale przyglądając się najpierw łodziom na rzece, potem wielkiemu dworcowi kolejowemu. Genewa była czysta.

Sprawiła wrażenie wyszorowanej, co pomagało ukryć fakt, że dziesiątki krajów i tyśiące potentatów wykorzystywało to neutralne miasto, by jeszcze bardziej pogłębiać istniejące konflikty. Kiedy pociąg wjeżdżał do Genewy, Elizabeth pomyślała, że ktoś taki jak ona jest stworzony do życia tutaj. Albo Genewa stworzona jest dla kogoś takiego jak ona.

Zerknęła na bagaż ustawiony na przeciwległym siedzeniu. Jedna walizka zawierała ubrania, dwie pozostałe wypchane były papierami.

Papierami z tysiącem zapisków, które stanowiły potężną broń.

Dane na temat stanu posiadania wszystkich członków grupy zuryskiej. Dalsze informacje czekały na nią w Genewie. Przesłano jej tam coś w rodzaju "Domesday Book" - - szczegółowy wykaz majątku Scarlattich. Oficjalna wartość wszystkich akcji, którymi dysponowały Zakłady Scarlatti. Była to broń zabójcza ze względu na łatwość jej wykorzystania. Obok każdej pozycji oznaczającej część bogactwa znajdowało się zobowiązanie kupna. Każde było podkreślone; wszystkie transakcje mogły dojść do skutku natychmiast po telegramie Elizabeth do adwokatów.

I tak miało być.

- "Domesday Book" - księga katastralna, zawierająca spis wszelkiej własności w Anglii za Wilhelma Zdobywcy.

Przy każdej pozycji widniały trzy kolumny, zamiast tradycyjnych dwóch, oznaczających wartość oszacowaną i wartość sprzedażną.

W trzeciej zapisane były obniżki cen, które gwarantowały kupcom niezłą fortunę przy każdej transakcji. Każda równała się okazji, której nie można przepuścić. Był to najwyższy poziom działań finansowych, sięgający poprzez zawile operacje bankowe po podstawowy bodziec ekonomiczny. Zysk.

Elizabeth liczyła na jeszcze jeden czynnik.

W zapieczętowanych listach wysłanych za Atlantyk zażądała wyraźnie, by wszystkie kontakty nawiązywano w największej tajemnicy i tylko z osobami uprawnionymi do podejmowania

poważnych zobowiązań finansowych. Spodziewane zyski oczyszczały wszystkich z zarzutu nieodpowiedzialności. Wszyscy będą mieli okazję się wykazać. Ale ceną była pełna dyskrecja - do chwili sfinalizowania umów. Milionerzy, królowie handlu, bankierzy z Nowego Jorku, Chicago, Los Angeles i Palm Beach spotykali się w salach konferencyjnych z przedstawicielami jednej z najpoważniejszych nowojorskich firm prawniczych. Rozmawiano przyciszonymi głosami, wymieniano pełne zrozumienia spojrzenia. Kładziono podpisy. Zbijano fortuny.

No i oczywiście musiało dojść do tego, na co liczyła Elizabeth Scarlatti.

Niewiarygodne szczęście prowadzi do ogromnego podniecenia, a podniecenie nie idzie w parze z dyskrecją.

Dwóch czy trzech ludzi zaczęło mówić. Potem czterech, pięciu.

Potem kilkunastu. Ale nie więcej... Cena była zbyt wysoka.

Przeprowadzono sporo rozmów telefonicznych - prawie nigdy z biur, prawie zawsze z zacisznych bibliotek i gabinetów/Przeważnie w nocy, przy łagodnym świetle stojących na biurkach lamp, z dobrą whisky z przed prohibicji w zasięgu ręki.

W najwyższych sferach rozeszły się pogłoski, że w Zakładach Scarlatti dzieje się coś niezwykłego.

Wystarczyło. Elizabeth wiedziała, że wystarczy. W końcu pogłoski dotarły do ludzi z Zurychu.

Matthew Canfield wyciągnął się na siedzeniu w swoim przedziale przerzucając nogi nad jedyną walizką i opierając stopy o przeciwległy fotel. On również spoglądał przez okno na zbliżającą się Genewę.

Skończył właśnie jedno ze swoich cienkich cygar; warstwy dymu zawisły w nieruchomym powietrzu małego pomieszczenia. Zastanawiał się, czy otworzyć okno, ale był zbyt przygnębiony, żeby się ruszyć.

Minęły dwa tygodnie od dnia, w którym udzielił Elizabeth Scarlatti miesięcznego odroczenia. Czternaście dni chaosu i bolesnej świadomości własnej bezużyteczności. Więcej niż bezużyteczności, raczej osobistej niezdatności. Nic nie mógł zrobić i niczego od niego nie oczekiwano. Elizabeth nie chciała, żeby z nią "współpracował".

Nie chciała nikogo - ani do współpracy, ani do pomocy. Działała solo. Szybowała samotnie, jak stary dumny orzeł przemierzający niezmierzone przestrzenie nieba.

Najbardziej skomplikowanym zadaniem Canfielda był zakup materiałów biurowych takich jak ryzy papieru, ołówki, notesy i niezliczona liczba pudełek ze spinaczami.

Nawet wydawca Thomas Ogihde nie chciał go przyjąć, niewątpliwie na polecenie Elizabeth.

Odprawiono go, tak jak cały czas odprawiała go Elizabeth.

Również Janet traktowała go z pewnym chłodem, zawsze przepraszając za swoje zachowanie i tym samym przyznając, że coś jest nie tak. Zaczął rozumieć, co się stało. Sprzedał się, przyjęto jego usługi i zapłacono za nie. Chwilowo nie był potrzebny. Wiedzieli, że jest na każde zawołanie.

Dużo lepiej rozumiał teraz, co czuła Janet.

Czy oznaczało to dla nich koniec? Powiedział sobie, że nie.

Janet powiedziała to samo. Prosiła, żeby był silny za nich oboje, ale może oszukiwała samą siebie i pozwalała, żeby on za to płacił?

Zaczął się zastanawiać, czy w ogóle jest w stanie cokolwiek właściwie oceniać. Był beczynny, przerażała go własna wewnętrzna zgnilizna. Co on najlepszego zrobił? Czy można to odkręcić?

Poruszał się w świecie, z którym nie umiał dojść do ładu. Ale Janet też nie należała do tego świata. Należała do niego. Musiało tak być!

Pociąg wydał z siebie podwójny gwizd i potężne stalowe hamulce zaczęły trzeć o koła. Wjeżdżali na stację w Genewie, Canfield usłyszał energiczne pukanie Elizabeth w ścianę dzielącą ich przedziały. Zirykowało go to. Brzmiało, jakby zniecierpliwiona pani domu wzywała służącego.

I tak właśnie było.

Z tą sobie poradzę, niech pan weźmie dwie pozostałe. Resztą zajmą się tragarze - powiedziała Elizabeth.

Canfield posłusznie przekazał polecenie bagażowemu, podniósł dwie walizki i poszedł za madame Scarlatti.

Ponieważ musiał przetaszczyć bagaże przez wąskie wyjście, został kilka metrów za Elizabeth, kiedy zeszli z metalowych schodków i szli po betonowym peronie do hali dworcowej. Dzięki temu żyli w minutę później.

W pierwszej chwili kątem oka zarejestrował tylko ciemny poruszający się punkt. Potem usłyszał zduszone sapaniecia pasażerów za sobą. Potem okrzyki. W końcu zobaczył.

Z prawej strony sunął ku nim potężny wózek bagażowy z ogromnym stalowym podnośnikiem z przodu, używanym do ciężkich pak. Płyta podnośnika znajdowała się niewiele ponad metr nad ziemią i wyglądała jak gigantyczne ostrze.

Pędzący potwór kierował się prosto na nich. Canfield skoczył do przodu. Prawą ręką złapał Elizabeth w pól i odciągnął ją z drogi stalowej płyty. Wbiła się w bok pociągu o niecałe trzydzieści centymetrów od nich.

Wiele osób w tłumie wpadło w histerię. Nikt nie umiał powiedzieć, czy ktoś został zraniony albo zabity. Nadbiegali bagażowi.

Na całym peronie rozbrzmiewały krzyki.

Elizabeth bez tchu powiedziała prosto do ucha Canfielda:

- Walizki! Ma pan walizki?

Canfield zauważył ze zdumieniem, że wciąż trzyma jedną w lewym ręku. Była wciśnięta między plecy Elizabeth a pociąg.

Upuścił tę z prawej ręki.

- Mam jedną. Drugą puściłem.

- Niech ją pan znajdzie!

- Na litość boską!

- Znajdź ją, głupcze!

Canfield wepchnął się w zbierający się przed nimi tłum. Rozejrzał się po peronie i dostrzegł skórzany kufer. Był zgnieciony przez przednie koła ciężkiego wózka, ale cały. Potraktował łokciami kilkanaście brzuchów i sięgnął w dół. Równocześnie po zmiażdżoną walizkę wyciągnęła się inna ręka - o grubej, niezwykle dużej dłoni.

Ręka w tweedowej marynarce. Damskiej. Canfield schylił się niżej, zacisnął palce na rączce walizki i pociągnął. Instynktownie, w gąszczu spodni i płaszczy, złapał drugą ręką za gruby nadgarstek i podniósł wzrok.

Pochylała się nad nim szeroka twarz o oczach pełnych wściekłości. Canfield na zawsze zapamiętał tę twarz z czerwono-czarnego hallu tysiące kilometrów stąd. To była Hannah, gospodyni Janet!

Ich oczy spotkały się i rozpoznały. Siwą głowę kobiety przykrywał tyrolski kapelusz. Jej masywna postać była szkaradna, złowieszcza. Z ogromną siłą wyrwała rękę z uścisku Canfielda, odpychając go równocześnie tak, że poleciał na wózek i otaczających go ludzi. Zniknęła wśród sunącego do hali tłumy.

Canfield podniósł się i ścisnął pod pachą zgniecioną walizkę.

Poszukał kobiety wzrokiem, ale już jej nie ujrzał. Stał przez chwilę oszołomiony, otoczony przez napierających ludzi, po czym przedał się z powrotem do Elizabeth.

- Niech mnie pan stąd zabierze. Szybko!

Ruszyli wzdłuż peronu, Elizabeth trzymała Canfielda za lewe ramię z siłą, o jaką jej nie podejrzewał. Zostawili za sobą podniecony tłum.

- Zaczęło się - powiedziała patrząc przed siebie.

Znaleźli się w zatłoczonej hali dworcowej. Canfield przez cały czas rozglądał się dookoła, wypatrując jakiejś nieregularności w morzu ludzi, próbując znaleźć parę oczu i przy-  
czajoną postać.

Grubą kobietę w tyrolskim kapeluszu.

Dotarli do wyjścia na Eisenbahn Platz i znaleźli postój taksówek.

Canfield odciągnął Elizabeth od pierwszej taksówki. Starsza pani była niespokojna. Chciała jak najszybciej jechać.

Popchnął ją w lewo, w stronę drugiej taksówki, po czym, ku jej rosnącemu niepokojowi, dał znak kierowcy trzeciej. Zamknął dokładnie drzwi i spojrzał na zgniecioną walizkę. Przed oczyma stanęła mu gniewna twarz Hannah. Podał taksówkarzowi nazwę hotelu.

- Il n'y a plus de bagage, monsieur?

- Nie. Zostanie przysłany później - odpowiedziała Elizabeth po angielsku.

Starsza pani miała za sobą ciężkie przeżycie, postanowił więc nie wspominać o Hannah, dopóki nie znajdą się w hotelu. Niech się uspokoi. Równocześnie zastanawiał się, kto z nich bardziej potrzebował uspokojenia - on czy Elizabeth. Wciąż trzęsły mu się ręce. Spojrzał na starszą panią. Nadal patrzyła przed siebie nie widzącym wzrokiem.

- Dobrze się pani czuje?

Nie odpowiadała przez dobrą minutę.

- Panie Canfield, ciąży na panu ogromna odpowiedzialność.

- Nie jestem pewien, czy panią rozumiem.

Odwróciła się i popatrzyła na niego. Zniknął gdzieś cały poprzedni majestat, zniknęła wyniosłość i duma.

- Niech pan nie pozwoli im mnie zabić, panie Canfield. Niech pan nie pozwoli im teraz mnie zabić. Niech pan ich powstrzyma do Zurychu... Po Zurychu mogą robić, co będą chcieli.

## ROZDZIAŁ 42

Elizabeth i Canfield spędzili trzy dni i trzy noce w hotelu "D'Accord". Inspektor wszedł tylko raz - i zauważył dwóch śledzących go mężczyzn. Nie próbowali zbliżyć się do niego;

uświadomił sobie, iż uważają go za tak mało ważnego w porównaniu z ich głównym celem, Elizabeth, że woleli nie ryzykować spotkania z genewską policją, znaną z wojowniczego nastawienia do tych, którzy naruszają spokój neutralnego miasta. Podejrzał jednak, że kiedy tylko pojawią się na zewnątrz razem, mogą się spodziewać ataku nie mniej niebezpiecznego niż ten na dworcu. Żałował, że nie może napisać do Bena Reynoldsa. Ale było to niemożliwe i dobrze o tym wiedział. Rozkazano mu trzymać się z daleka od Szwajcarii.

W raportach pominął wszystkie istotne informacje - Elizabeth tego dopilnowała - toteż Grupa 20 nie wiedziała nic o ich aktualnej sytuacji i zamiarach. Gdyby wysłał pilną prośbę o pomoc, musiałyby się wytłumaczyć, przynajmniej częściowo, a tłumaczenie takie doprowadziłoby do natychmiastowej interwencji ambasady.

Reynolds by się nie patyczkował. Kazałby zatrzymać Canfielda i odizolować.

Rezultaty łatwo przewidzieć. Bez niego Elizabeth nie miała szans na dotarcie do Zurychu, Scarlett zabiłby ją już w Genewie.

Następnym celem byłaby Janet w Londynie. Nie mogła bez końca mieszkać w "Savoyu", a Derek nie mógł bez końca zapewniać jej ochrony. Kiedyś opuści hotel i wtedy zginie. Był jeszcze Chancellor Drew, jego żona i siedmioro dzieci. Znajdą sto ważnych powodów, żeby opuścić schronienie w Kanadzie. Dojdzie do masakry. Ulster Stewart Scarlett wygra.

Canfield wszedł do salonu, który Elizabeth zamieniła w biuro.

Pisała coś na ustawionym pośrodku stole.

- Pamięta pani gospodynię w domu pani syna? - spytał.

Elizabeth odłożyła ołówek. Była to uprzejmość, nie zainteresowanie.

- Widziałam ją parę razy.

- Skąd ona pochodzi?

- O ile sobie przypominam, Ulster przywiózł ją z Europy.

Prowadziła hotelik dla myśliwych w południowych Niemczech. Elizabeth podniosła wzrok na inspektora, - Czemu pan pyta?

Canfield twierdził później, że usiłował dobrać odpowiednie słowa, by powiedzieć Elizabeth Scarlatti o pobycie Hannah w Genewie - i dlatego zrobił to, co zrobił. To znaczy przesunął się z jednego miejsca na inne w tym właśnie momencie. Stał między Elizabeth a oknem.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i inspektor poczuł nagle przeszywający ból w lewym ramieniu. Uderzenie było tak silne, że obróciło go i rzuciło na stół; papiery pospadały, lampa rozbiła się o podłogę. Padł drugi i trzeci strzał, rozłupując drewno wokół Canfielda, który w panice przeturlał się na bok, strącając Elizabeth z krzesła na podłogę. Ból ramienia był obezwładniający, a na koshuli pojawiła się wielka plama krwi.

W pięć sekund było po wszystkim.

Elizabeth siedziała skulona przy boazerii. Była równocześnie przerażona i wdzięczna. Patrzyła na leżącego przed nią inspektora, usiłując podtrzymać mu ramię. Była przekonana, że rzucił się, by własnym ciałem osłonić ją przed kulami. Nigdy nie wyprowadził jej z błędu.

- Jak poważnie jest pan ranny?

- Nie wiem. Boli jak diabli... Nigdy wcześniej nie dostałem...

nie byłem postrzelony. - Mówienie sprawiało mu trudność.

Elizabeth zaczęła się do niego przysuwać. - Do cholery, niech się pani nie rusza! - Podniósł wzrok i stwierdził, że nie widać ich przez okno. - Może pani dojść do telefonu? Na czworaka! Bez wstawania...! Chyba potrzebuję lekarza... Lekarza... - Stracił przytomność.

Obudził się pół godziny później. Leżał we własnym łóżku, klatkę piersiową miał z lewej strony obandażowaną. Prawie nie mógł się ruszać. Jak przez mgłę widział otaczające go postacie.

Kiedy wyostrzył wzrok, zobaczył w nogach łóżka Elizabeth. Po jej prawej stronie stał mężczyzna w prochowcu, za nim policjant w mundurze. Z lewej strony nad Canfieldem pochylał się poważny łysiejący mężczyzna bez marynarki, najwyraźniej lekarz. Powiedział z francuskim akcentem:

- Proszę poruszyć lewą ręką.

Canfield posłuchał.

- Teraz stopami.

Ponownie spełnił polecenie.

- Może pan ruszyć głową?

- Czym? Po co?

- Niech pan pokręci głową i nie próbuje być zabawny. Elizabeth czuła taką ulgę, jak chyba nikt w promieniu trzydziestu kilometrów od hotelu "D'Accord".

Canfield pokręcił głową.

- Pańska rana nie jest groźna. - Doktor wyprostował się.

- Jest pan rozczarowany - zauważył inspektor.

- Mogę zadać mu parę pytań, Herr Doktor? - zapytał Szwajcar stojący obok Elizabeth.

Lekarz odpowiedział łamaną angielszczyzną:

- Tak. Kula przeszła na wylot.

Canfield nie mógł zrozumieć, co jedno z drugim ma wspólnego, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Elizabeth odezwała się:

- Wy tłumaczyłam już temu dżentelmenowi, że po prostu dotrzymuje mi pan towarzystwa, kiedy załatwiam sprawy służbowe.

Jesteśmy zupełnie oszołomieni tym, co się stało.

- Wolałbym, żeby ten pan sam odpowiadał na pytania, madame.

- Niech mnie licho, jeśli mogę panu cokolwiek wyjaśnić... Canfield urwał gwałtownie. Nie było sensu robić z siebie durnia.

Będzie potrzebował pomocy. - Chociaż może jest coś takiego... Spojrzał w stronę doktora, który zakładał marynarkę. Szwajcar pokiwał głową.

- Dobrze, zaczekamy.

- Panie Canfield, cóż takiego może pan dodać? - wtrąciła się starsza pani.

- Nasz przejazd do Zurychu.

Elizabeth zrozumiała.



Lekarz wyszedł, a Canfield stwierdził, że może leżeć na prawym boku. Szwajcarski Geheimpolizist obszedł łóżko dookoła, żeby znaleźć się bliżej.

- Niech pan siada - powiedział Canfield, wskazując Szwajcarowi krzesło. - To sprawa osobista, nie dotyczy nikogo spoza rodziny, ale może pan pomóc... Czy pański człowiek mówi po angielsku?

Szwajcar rzucił umundurowanemu policjantowi przelotne spojrzenie.

- Nie, monsieur.

- Dobrze. Jak powiedziałem, może pan pomóc. Czysta sprawa dla pańskiego miasta... i dla pana.

Geheimpolizist przysunął krzesło jeszcze bliżej. Był zachwycony.

Nadeszło popołudnie. Sprawdzili rozkład jazdy pociągów i odpowiednio wcześniej zamówili limuzynę z kierowcą. Bilety kupili za pośrednictwem hotelu, akcentując nazwisko Scarlatti przy prośbie o specjalną obsługę i najwygodniejsze przedziały na krótką podróż do Zurychu. Bagaże, zniesione na dół godzinę wcześniej, ustawiono przy głównym wyjściu. Oznakowane były kartkami z czytelnie wypisanym nazwiskiem, numerem przedziału, a także nazwą agencji wynajmu limuzyn - na użytek tragarzy w Zurychu. Canfield uznał, że nawet osobnik o najniższym współczynniku inteligencji w całej Europie poznałby cel podróży Elizabeth Scarlatti.

Przejazd z hotelu na stację zajmował mniej więcej dwanaście minut. Na pół godziny przed odjazdem pociągu do Zurychu starsza pani, osłonięta grubą czarną woalką, wsiadła do limuzyny w towarzystwie "młodego człowieka w nowym filcowym kapeluszu, z lewą ręką na temblaku. Eskortowało ich dwóch policjantów genewskich, którzy trzymali ręce na kaburach z bronią.

Nie doszło do żadnego incydentu i dwoje podróżnych po przybyciu na dworzec natychmiast wsiadło do pociągu.

Kiedy pociąg odjechał ze stacji w Genewie, inna starsza pani w towarzystwie młodego człowieka, który miał na głowie kapelusz firmy Brooks Brothers i rękę na temblaku ukrytą pod płaszczem, opuściła hotel "D'Accord" wyjściem dla personelu. Dama ta ubrana była w mundur pułkownika oddziałów żeńskich Czerwonego Krzyża, kierowca również był członkiem tej organizacji. Para pasażerów pośpiesznie zajęła miejsca z tyłu samochodu i młody człowiek zamknął drzwi. Następnie zdjął celofan z cienkiego cygara i powiedział do kierowcy:

- Jedziemy.

Kiedy samochód wyjeżdżał z wąskiego podjazdu, starsza pani odezwała się z dezaprobatą:

- Panie Canfield, musi pan palić to świństwo/

- Regulamin genewski, droga pani. Więźniowie mogą otrzymywać paczki z domu.

## ROZDZIAŁ 43

Czterdzieści trzy kilometry od Zurychu leży miasteczko Menziken.

Pociąg z Genewy zatrzymał się tam na cztery minuty, ponieważ tyle właśnie czasu potrzeba było na załadowanie poczty, po czym potoczył się dalej ku nieuniknionemu przeznaczeniu.

Pięć minut za Menziken dwóch zamaskowanych mężczyzn wtargnęło równocześnie do przedziałów D4 i D5 w szóstym wagonie pierwszej klasy. Ponieważ w żadnym przedziale nie było pasażerów i drzwi do toalet były zamknięte, mężczyźni w maskach przestrelili cienkie ścianki szaf spodziewając się, że kiedy otworzą drzwi, znajdą w nich ciała.

Nie znaleźli nikogo.

Wybiegli na wąski korytarz i tam niemal zderzyli się ze sobą.

- Halt! Stać! - Po dwóch stronach wagonu rozległy się okrzyki. Wołający ubrani byli w mundury genewskiej policji.

Zamaskowani mężczyźni nie zatrzymując się wystrzelili na oślep w obu kierunkach. Odpowiedziano im strzałami. Obaj upadli.

Obszukano ich, lecz nie znaleziono żadnych dokumentów.

Policjanci byli z tego zadowoleni - nie chcieli się w nic mieszać.

Jeden z trafionych miał na przedramieniu tatuaż: znak nazywany od niedawna swastyką.

Trzeci mężczyzna, nie zauważony, bez maski, wysiadł w Zurychu i pospieszył do telefonu.

Jesteśmy w Aarau. Możecie tu chwilę odpocząć. Wasze ubrania są w mieszkaniu na drugim piętrze. Samochód stoi na tyłach domu, kluczyki są pod lewym fotelem - powiedział kierowca. Był Anglikiem i od wyjazdu z Genewy nie odezwał się ani słowem.

Inspektor wyciągnął z kieszeni banknot o sporym nominale.

- To niepotrzebne, sir. - Szofer machnął ręką nie odwracając się.

Odczekali do ósmej piętnaście. Noc była ciemna, połówkę księżyca przesłoniły chmury. Canfield wypróbował samochód jeżdżąc tam i z powrotem po wiejskiej drodze. Przyzwyczajał się też do prowadzenia jedną ręką. Bak mieli pełen, mogli więc ruszać.

Elizabeth Scarlatti przypominała gladiatora przed walką. Opanowana i gotowa zabijać.

Jej bronią były papiery - groźniejsze dla jej przeciwników niż maczugi i trójzęby. Była też, jak na dobrego gladiatora przystało, bardzo pewna siebie.

Chodziło jej o coś więcej niż ostatni grandę geste; chodziło o podsumowanie dokonań życia jej i Giovanniego. Nie zawiedzie go.

Canfield bez przerwy studiował mapę; zapamiętywał drogi, którymi mieli się dostać do Faike Haus. Ominą centrum Zurychu kierując się na Kloten, skręca w prawo na skrzyżowaniu w Schlieren i pojedą główną szosą w kierunku Bułach. Falke Haus znajdowało się na drugim kilometrze Winterthurstrasse, po lewej stronie.

Ich pojazd wyciągał prawie sto czterdzieści kilometrów na godzinę, a przy stu droga hamowania wyniosła piętnaście metrów i fotele ani drgnęły. Genewski Geheimpolizist wspólnie się spisał.

Ale w końcu dobrze mu zapłacili. Prawie dwie roczne pensje szwajcarskiego urzędnika państwowego. Samochód miał numery rejestracyjne zuryskiej policji - nikt nie mógł go zatrzymać, z żadnego powodu. Canfield nie pytał, jak Szwajcar tego dokonał, Elizabeth zaś uważała, że sprawę załatwiły pieniądze.

- To wszystko? - zapytał Canfield prowadząc Elizabeth Scarlatti do samochodu. Pytanie dotyczyło neseseru.

- Wystarczy - powiedziała starsza pani idąc za nim ścieżką.

- Miała pani kilka tysięcy kartek, setki tysięcy liczb!

- Nie mają już znaczenia. - Elizabeth trzymała walizeczkę na kolanach, kiedy Canfield zamykał drzwi.

- A jeśli będą zadawać pytania? - Inspektor włożył klucz do stacyjki.

- Na pewno będą. Wtedy na nie odpowiem. - Wyraźnie nie miała ochoty na rozmowę.

Jechali przez dwadzieścia minut, wszystko się zgadzało. Canfield był z siebie zadowolony. Nagle Elizabeth się odezwała:

- Jest jedna rzecz, o której panu nie powiedziałam. Pan też nie poruszył tego tematu. Ale teraz trzeba chyba o tym wspomnieć.

- O czym?

- Możliwe, że żadne z nas nie ujdzie z życiem z tej konferencji.

Wziął pan to pod uwagę?

Canfield oczywiście wziął to pod uwagę. Wiedział, że mocno ryzykuje, już od czasu tamtej sprawy z Boothroydem. I wiedział, że nie wycofa się - ze względu na to, co łączy go z Janet. Kiedy zrozumiał, ile wycierpiała przez Scarletta, zaangażował się bez reszty.

Matthew Canfield na swój sposób również stał się gladiatorem, podobnie jak Elizabeth.

- Bardzo proszę, niech pani martwi się o swoje problemy, a ja będę się martwił o swoje, dobrze?

- Dobrze... Ale niech mi będzie wolno powiedzieć, że stał mi się pan bardzo bliski... Och, proszę nie robić miny małego chłopca!

Niech pan to zostawi dla dziewczyn! Trudno mnie do nich zaliczać.

Proszę jechać!

Na pół kilometra przed Falke Haus Winterthurstrasse biegnie prosto, po jej bokach rosną dwa rzędy wysokich sosen. Canfield wdusił gaz do dechy i wyciskał z samochodu, co się dało. Była za pięć dziesiąta, a zależało mu, żeby jego pasażerka przybyła na spotkanie punktualnie.

Niespodziewanie w świetle reflektorów pojawił się dający jakieś znaki mężczyzna. Stał na środku drogi. Machał rękami i krzyżując je nad głową przekazywał im uniwersalny sygnał: "Stop - coś się stało". Nie zszedł ze środka mimo prędkości, z jaką Canfield jechał.

- Proszę się trzymać oparcia! - rzucił inspektor i pędził dalej nie zważając na człowieka na drodze.

W tym momencie z obu stron padły strzały z karabinu maszynowego.

- Na podłogę! - wrzasnął Canfield. Nadal naciskał gaz. Na przemian chowając i podnosząc głowę, starał się trzymać drogi.

Z pobocza rozległ się przenikliwy krzyk - jeden z napastników dostał się w krzyżowy ogień.

Kiedy zostawili za sobą ten fragment drogi, fotele obsypane były szkłem i kawałkami metalu.

- W porządku? - Canfield nie miał czasu na okazywanie współczucia.
- Tak. Nic mi nie jest. Daleko jeszcze?
- Niezbyt. Jeśli nam się uda. Mogli trafić w oponę.
- Co wtedy?
- Niech się pani nie martwi! Nie zamierzam stawać i prosić ich o lewarek.

Zobaczyli bramę wiodącą do Falke Haus i Canfield skręcił w drogę dojazdową. Prowadziła po opadającym łagodnie zboczu do dużego dziedzińca przed ogromnym kamiennym tarasem, otoczonym ustawionymi co kilka kroków rzeźbami. Główne wejście, masywne drewniane drzwi, znajdowało się w odległości sześciu metrów od frontowych schodów. Canfield nie mógł się do niego zbliżyć, bowiem na okrągłym podjeździe zaparkowało co najmniej dwanaście długich czarnych limuzyn. Obok nich stali pogrążeni w rozmowach szoferzy.

Inspektor sprawdził rewolwer, włożył go do prawej kieszeni i polecił Elizabeth wysiąść z samochodu. Nalegał, żeby wysiadła z tej samej strony wozu, co on.

Szedł tuż za nią, pozdrawiając mijanych szoferów skinieniem głowy.

Była minuta po dziewiątej, kiedy odświetnie ubrany służący otworzył wielkie drewniane drzwi.

Weszli do przestronnego holu. Drugi służący wskazał im kolejne drzwi i otworzył je przed nimi.

Wewnątrz znajdował się najdłuższy stół, jaki Matthew Canfield kiedykolwiek widział. Musiał mieć z piętnaście metrów długości i dobre dwa metry szerokości.

Wokół tego stołu siedziało piętnastu albo dwudziestu mężczyzn w różnym wieku, od czterdziestki do siedemdziesiątki. Wszyscy w drogich garniturach i wszyscy wpatrzeni w Elizabeth Scarlatti.

Miejsce u szczytu stołu, w drugim końcu pokoju, było puste. Aż się prosiło, żeby je zająć, i Canfield przez chwilę się zastanawiał, czy tam właśnie miała usiąść Elizabeth. Po chwili zorientował się, że nie. Przeznaczono dla niej drugie miejsce u szczytu, bliżej wejścia.

Ale kto wobec tego miał zająć tamto puste krzesło?

Dla niego, Canfielda, nie było krzesła. Cóż, stanie przy ścianie i będzie patrzył.

Elizabeth podeszła do stołu.

- Dobry wieczór, panowie. Z niektórymi z panów spotkałam się dawniej. A pozostałych znam ze słyszenia.

Wszyscy obecni wstali jak jeden mąż.

Mężczyzna po lewej stronie obszedł Elizabeth i przytrzymał jej krzesło.

- Dziękuję... Ale wydaje mi się, że brakuje jednej osoby. Elizabeth spojrzała na wolne miejsce vis-a-vis, oddalone o piętnaście metrów.

W tym momencie otworzyły się drzwi w drugim końcu pokoju i do środka wszedł wysoki mężczyzna. Ubrany był w mundur niemieckich rewolucjonistów. Ciemnobrązowa koszula, błyszczący czarny pas w poprzek klatki piersiowej i drugi na biodrach, wykrochmalone ciemne bryczesy i ciężkie buty z cholewami do kolan.

Głowa mężczyzny była ogolona, a jego twarz wyglądała jak maska.

- Teraz już nikogo nie brakuje. Jest pani zadowolona?

- Niezupełnie... Ponieważ- w taki czy inny sposób znam wszystkie ważne osoby zgromadzone przy tym stole, chciałabym również wiedzieć, kim pan jest.

- Kroeger. Heinrich Kroeger! Coś jeszcze, madame Scarlatti?

- Nic. Absolutnie nic... Hen Kroeger.

## ROZDZIAŁ 44

Wbrew mojemu życzeniu, madame Scarlatti, moi partnerzy są zdecydowani wysłuchać tego, co ma pani do powiedzenia powiedział Heinrich Kroeger. - Zna pani moje stanowisko w tej sprawie. Ufam, że pamięć pani nie zawodzi.

Wokół stołu rozległy się szept. Wymieniano spojrzenia. Nikt nie przypuszczał, że Heinrich Kroeger kontaktował się uprzednio z Elizabeth Scarlatti.

- Pamięć mam w najlepszym porządku. Pańscy partnerzy reprezentują razem kilka wieków doświadczeń. Podejrzewam, że pan ze swoim sprytem i doświadczeniem pozostaje za nimi daleko w tyle.

Większość obecnych spuściła wzrok, niektórzy zacisnęli usta powstrzymując uśmieški. Elizabeth powiodła oczyma po wszystkich twarzach.

- Jak widzę, mamy tu ciekawe zgromadzenie. Bardzo szacowne. I zróżnicowane... Niektórzy z nas jeszcze do niedawna byli wrogami... - Elizabeth Scarlatti mówiła szybko: - Ze smutkiem stwierdzam, że mój kraj stracił dwóch przedstawicieli. Nie sądzę jednak, żeby za panów Boothroyda i Thorntona odmawiane były modlitwy. Jeśli nawet, to nie przeze mnie. Ale i tak Stany Zjednoczone reprezentowane są godnie przez pana Gibsona i pana Landora. Obaj posiadają razem prawie dwadzieścia procent interesów naftowych południowego zachodu. Nie mówiąc o wspólnej inwestycji w północno-zachodniej Kanadzie. Łączne aktywa dwieście dwadzieścia pięć milionów... Z kraju, który niedawno był naszym przeciwnikiem, czyli z Niemiec, pochodzą Hen von Schnitzler, Hen Kindorf i Herr Thyssen. Firma I.G. Farben, węgiel z Zagłębia Ruhry i wielki przemysł stalowy. Ich osobiste aktywa?

W obecnych czasach trudno je ocenić... Może jakieś sto siedemdziesiąt pięć milionów. Kogoś jednak w tej grupie brakuje. Mówię o Gustawie Kruppie. Znacznie zwiększyłyby wkład Niemiec, ale jeszcze go panowie nie przekonali... Anglia przysyła nam panów Mastersona, Leacocka i Innes-Bowena. Najpotężniejszy triumwirat Imperium Brytyjskiego. Pan Masterson to połowa importu z Indii, a teraz, o ile wiem, także z Cejlonu; pan Leacock to duża część giełdy brytyjskiej. Pan Innes-Bowen jest właścicielem największego przedsiębiorstwa z branży włókienniczej w całej Szkocji i okolicach.

Ich stan posiadania - trzysta milionów... Francja również okazała się szczodra. Monsieur D'Almeida, teraz jedyny właściciel francusko-włoskich linii kolejowych. I monsieur Daudet. Czy jest wśród nas ktoś, kto nie korzystał z usług jego floty handlowej? Aktywa wartości stu pięćdziesięciu milionów... Wreszcie nasi sąsiedzi z północy, ze Szwecji. Herr Myrdal i Herr Olafsen. Jak rozumiem mówiąc to Elizabeth utkwiła znaczące spojrzenie w siedzącym na drugim końcu stołu mężczyźnie o dziwnej twarzy, swoim synu jeden z tych dżentelmenów, Herr Myrdal, ma kontrolny pakiet akcji w Donnenfeld, najpoważniejszej firmie na sztokholmskiej giełdzie. Natomiast liczne przedsiębiorstwa pana Olafseny dają mu kontrolę nad eksportem szwedzkiego żelaza i stali. Jego aktywa obliczane są na sto dwadzieścia pięć milionów... Tak na marginesie, panowie, termin "osobiste aktywa" oznacza tylko te udziały, które z łatwością i szybko można spieniężyć.

Elizabeth przerwała i położyła przed sobą teczkę. Mężczyźni przy stole byli wzburzeni, zaniepokojeni. Zaszokowało ich tak swobodne omawianie spraw, które uważali za ściśle tajne. Amerykanie, Gibson i Landor, weszli w kanadyjski interes po cichu, bez legalnego zezwolenia, wbrew amerykańsko-kanadyjskim traktatom.

Niemcy, von Schnitzler i Kindorf, prowadzili tajne negocjacje z Gustawem Kruppem, który desperacko walczył o swoją neutralność, bojąc się przejścia władzy w Weimarze, i któ-

ry przysięgł, że ich wyda, jeśli ich porozumienie wyjdzie na jaw. Francuz, Louis Francois D'-D'Almeida, własnym życiem chronił sekretu, kto jest naprawdę właścicielem kolei francusko-włoskich. W razie ujawnienia prawdy mogłyby zostać skonfiskowane przez Republikę, bowiem odkupił większość akcji od rządu włoskiego za pomocą łapówek.

Myrdal, ociężały Szwed, wybałuszył oczy z niedowierzaniem, kiedy Elizabeth mówiła o giełdzie w Sztokholmie. Jego firma potajemnie przejęła spółkę Donnerfeld, dokonując jednej z najbardziej skomplikowanych fuzji, jaką można sobie wyobrazić, dzięki nielegalnej transakcji z amerykańskimi obligacjami. Gdyby podano to do publicznej wiadomości, źle by się to dla niego skończyło, byłby zrujnowany.

Tylko Anglicy wydawali się nieporuszeni, ale ich spokój był pozorny. Sydney Master-son, niekwestionowany dziedzic majątku Roberta Clive'a, doprowadził niedawno do zawarcia umów cejlońskich. Świat handlu nic o nich jeszcze nie wiedział; pewne uzgodnienia budziły wątpliwości. Można by nawet powiedzieć, że polegały na oszustwie.

Przy stole zaczęły się przyciszone rozmowy prowadzone w czterech językach. Elizabeth podniosła głos, żeby wszyscy słyszeli:

- Widzę, że niektórzy z panów konferują ze swoimi doradcami - zakładam, że to rzeczywiście doradcy. Gdybym wiedziała, że w spotkaniu wezmą udział drugorzędni negocjatorzy, przywiozłabym też swoich adwokatów. Mogliby sobie poplotkować. Panowie, decyzje, które dzisiaj zapadną, muszą być podjęte przez nas samych!

Heinrich Kroeger usiadł na skraju krzesła. Odezwał się ochrypłym nieprzyjemnym głosem:

- Nie byłbym taki pewny, czy właśnie dziś zapadną jakiegokolwiek decyzje. Nie powiedziała nam pani nic, czego nie mogłaby się dowiedzieć każda poważna firma konsultingowa!

Kilku ze zgromadzonych przy stole - dwaj Niemcy, D'Almeida, Gibson, Landor, Myrdal i Masterson - omijało Kroegera wzrokiem. Wiedzieli, że był w błędzie.

- Tak pan uważa? Być może. Ale przecież przeoczyłam pana, nieprawdaż...? Nie powinienam była, najwyraźniej jest pan bardzo ważną osobą. - U niektórych mężczyzn przy stole znów pojawił się na wargach ślad uśmiechu.

- Pani dowcip jest równie nieciekawym jak pani - stwierdził Kroeger.

Ale Elizabeth była z siebie zadowolona. Rozgrywała teraz najważniejszą część swojego wystąpienia. Dosięgała i prowokowała Ulstera Stewarta Scarletta. Mówiła dalej, nie zważając na jego słowa:

- Aktywa warte dwieście siedemdziesiąt milionów, zdobyte w niejasny sposób i sprzedane w bardzo podejrzanych okolicznościach, z nieuniknioną stratą przynajmniej pięćdziesięciu, a może i sześćdziesięciu procent wartości rynkowej... Oceniam pana na minimum, zaryzykuję więc sumę stu trzydziestu pięciu milionów dolarów przy obowiązującym kursie wymiany. Sto osiem, jeśli pan okazałby się słaby.

Matthew Canfield odsunął się gwałtownie od ściany, po czym wrócił na miejsce.

Mężczyźni przy stole byli zdumieni. Szmer głosów przybrał na sile. Doradcy potrząsali głowami, podnosili brwi. Każdy członek spotkania myślał, że wie coś o pozostałych. Najwyraźniej jednak żaden z nich nie miał pojęcia o Heinrichu Kroegerze. Elizabeth położyła kres gwarowi:

- Jednakże, panie Kroeger, wie pan zapewne, że kradzież, na którą są dowody, wymaga jedynie odpowiednich ustaleń przed podjęciem kroków prawnych. Istnieją międzynarodowe sądy do spraw ekstradycji. Możliwe więc, że pański majątek równa się... zeru.

Przy stole zapadła cisza, uwaga wszystkich z doradcami włącznie skupiła się na Heinrichu Kroegerze. Słowa takie jak "kradzież", "sądy", "ekstradycja" nie miały prawa bytu przy

tym stole. Były to słowa niebezpieczne. Kroeger, człowiek, którego wielu z nich się obawiało ze względu na jego ogromne wpływy, otrzymał ostrzeżenie.

- Nie strasz mnie, staruszko. - Głos Kroegera był niski, spokojny. Rozsiadł się na krześle i spoglądał na matkę siedzącą po drugiej stronie długiego stołu. - Nie rzucaj oskarżeń, chyba że możesz je uzasadnić. Jeśli chcesz się tego podjąć, jestem gotów stawić ci czoło... Ale wkraczasz na niebezpieczny grunt! Pamiętaj o tym! - Wpatrywał się w Elizabeth, aż odwróciła oczy.

Nie była przygotowana na rozprawienie się z Heinrichem Kroegerem. Nie zaryzykuje życia swojej rodziny... Nie rzuci na szalę nazwiska Scarlattich. Nie w ten sposób. Nie teraz. Było inne wyjście.

Kroeger zdobył jeden punkt dla siebie. Wszyscy to zrozumieli, Elizabeth musiała więc przeć do przodu.

- Może pan zatrzymać swoje aktywa. Są bez znaczenia.

Określenie "bez znaczenia", użyte w stosunku do takich milionów, zrobiło wrażenie. Elizabeth wiedziała, że tak będzie.

- Panowie, zanim nam przerwano, podałam wam wartość waszych aktywów obliczoną mniej więcej na pięć milionów dla każdej grupy narodowej. Uznałam, że ta forma będzie grzeczniejsza, niż przedstawianie indywidualnych majątków każdego z panów.

Jednakże byłam dosyć niesprawiedliwa, jak niektórzy zdążyli zauważyć. Chodzi mi tu o sprawy, które panowie z pewnością uważali za tajne.

Siedmiu z zuryskiej dwunastki milczało. Pięciu było zaciekawionych.

- Mam na myśli moich rodaków, pana Gibsona i pana Landora. A także pana D'Almeidę, pana Sydneya Mastersona i, naturalnie, Herr Myrdala. Dołączam do nich dwóch inwestorów niemieckich - Herr Schitzlera i Herr Kindorfa, choć z innych powodów, o czym z pewnością wiedzą.

Nikt się nie odezwał. Wszystkie oczy utkwione były w Elizabeth.

- Nie zamierzam być niesprawiedliwa, panowie. Mam coś dla każdego z was.

Dał się słyszeć jakiś głos. Był to Anglik, Sydney Masterson.

- Czy mogę zapytać o powody tego wszystkiego? Powody całego tego... wywiadu? Jestem pewien, że przeprowadziła go pani bardzo starannie - jeśli o mnie chodzi, wszystko się zgadza. Ale żaden z nas nie stanął w szranki po to, by zdobyć order Jezusa.

I pani doskonale o tym wie.

- Rzeczywiście. Gdyby tak było, nie spotykałabym się dzisiaj z panami.

- Więc dlaczego? Po co to wszystko? - odezwał się jakiś nowy głos. Akcent był niemiecki. Głos należał do barona z Zagłębia Ruhry, Kindorfa.

Masterson mówił dalej:

- W pani telegramie, madame - wszyscy dostaliśmy takie same - znalazła się przede wszystkim aluzja dotycząca wspólnoty interesów. Jak pamiętam, posunęła się pani nawet do tego, by zasugerować, że aktywa Scarlattich mogłyby być do naszej dyspozycji. Niezwykła hojność... Muszę się jednak zgodzić z panem Kroegerem. Wygląda na to, że pani nam grozi, i wcale nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

- Niech pan da spokój, panie Masterson! Nigdy nie obiecywał pan angielskiego złota różnym potentatom w zacisznych zatokach Indii? Czy Herr Kindorf nie przekupił związków zawodowych, żeby zorganizowały strajk z żądaniem podwyżki płac, jak tylko Francuzi opuszczą Zagłębie Ruhry? Oczywiście, że jestem tu po to, żeby panom grozić! I zapewniam pana, że później będzie się to panu jeszcze mniej podobało!

Masterson wstał od stołu. Kilku innych odsunęło krzesła.

Atmosfera była pełna wrogości.

- Nie będę tego dalej słuchał - powiedział Masterson.

- A więc jutro rano Ministerstwo Spraw Zagranicznych, brytyjska giełda oraz rada nadzorcza Zjednoczenia Brytyjskich Importerów otrzymają szczegółowy opis pańskich nielegalnych umów w Cejlonie! Te wieści mogą poważnie wpłynąć na cenę pańskich akcji...

Masterson stanął obok swojego krzesła w wojowniczej pozie, ale po chwili usiadł z powrotem.

Przy stole znów zapadła cisza. Elizabeth otworzyła neseser.

- Mam tu kopertę dla każdego z panów. W każdej znajduje się wycena waszych majątków. Wasze mocne strony. I słabe...

Brakuje jednej koperty. Koperty dla wpływowego, szalenie ważnego pana Kroegera. Szczerze mówiąc, jest zbędna.

- Ostrzegam panią...!

- Jakże mi przykro, panie Kroeger. - Tym razem nikt nie słuchał Kroegera. Wszyscy skupili uwagę na Elizabeth Scarlatti i jej teczce. - Niektóre koperty są grubsze niż inne, ale nie należy przywiązywać do tego zbyt wielkiego znaczenia. - Elizabeth sięgnęła do neseseru.

- Czarownica! - Głos Kindorfa był teraz gardłowy, żyły na skroniach miał nabrzmiałe.

- Podam je panom po kolei. A kiedy będziecie przeglądać swoje miniaturowe portfolia, ja będę mówić.

Rozesłano koperty wzdłuż obu boków stołu. Niektóre zostały rozerwane natychmiast głodnymi palcami, inne, jak karty w rękach doświadczonych pokerzystów, oglądane były powoli i ostrożnie.

Matthew Canfield wciąż stał przy ścianie; bolała go bardzo lewa ręka na temblaku; prawą, mokrą od potu, trzymał w kieszeni zaciśniętą na rewolwerze. Od chwili, gdy Elizabeth zidentyfikowała Ulstera Scarletta, mówiąc o kradzieży, nie mógł oderwać od niego oczu. Heinrich Kroeger. Dostanie tego odrażającego, aroganckiego skurwysyna. Pieprzonego drania, który jest wszystkim winien.

Który zamienił życie Janet w piekło.

- Widzę, że wszyscy panowie mają już koperty. Oczywiście z wyjątkiem pana Kroegera. Obiecałam, że nie będę niesprawiedliwa, i dotrzymam słowa. Pozostało pięciu panów, którzy nie będą mogli docenić wpływów firmy Scarlatti, dopóki nie otrzymają - jak to mówią kupcy - próbki tylko dla siebie. Tak więc, kiedy panowie będą oddawać się lekturze, omówię z nimi pobieżnie te delikatne sprawy.

Kilku mężczyzn, którzy do tej pory czytali, podniosło oczy na Elizabeth. Inni niechętnie odłożyli papiery lub wręczyli je doradcom i utkwili wzrok w starszej pani. Elizabeth zerknęła przez ramię na Matthew Canfielda. Niepokoiła się o niego. Wiedziała, że znajdował się pod ogromną presją. Próbowała porozumieć się z nim wzrokiem.

Chciała go jakoś wesprzeć spojrzeniem, uśmiechem.

Nie patrzył na nią. Dostrzegła nienawiść w jego oczach, kiedy wpatrywał się w człowieka zwanego Hemrichem Kroegerem.

- Będę wymieniać panów w kolejności alfabetycznej... Monsieur Daudet. Francja nie miałaby ochoty przyznawać dalej koncesji pańskiej flocie, gdyby dowiedziała się o tamtych okrętach pod banderą Paragwaju, które zaopatrywały jej wrogów w czasie wojny. - Daudet nie poruszył się, ale Elizabeth zauważyła, że trzech Anglisy spojrzeli na niego wilkiem.



- Teraz kolej na pana, panie Innes-Bowen. Może nie handlował pan amunicją, ale ile neutralnych statków załadowano w dokach Indii materiałami przeznaczonymi dla Bremerhaven i Cuxhaven w tym samym okresie...? I pan Leacock. Nie może pan zapomnieć o swoim wspaniałym irlandzkim dziedzictwie, prawda? Sinn Fein nieźle prosperowało pod pańską opieką. Przekazywał pan pieniądze buntownikom irlandzkim, co kosztowało życie tysięcy brytyjskich żołnierzy! A cichy, spokojny Herr Olaffsen, księżę szwedzkiej stali?

A może już król? Całkiem możliwe, bowiem rząd szwedzki zapłacił mu fortunę za setki ton niskowęglowych wlewków. Tylko że nie pochodziły one z jego fabryk. Zostały przysłane z byle jakich hut z drugiego końca świata - z Japonii! \

Starsza pani jeszcze raz sięgnęła do teczek. Mężczyźni siedzieli nieruchomo. Heinrich Kroeger uznał, że jego matka przypieczętowała własny wyrok śmierci. Rozparł się na krześle, rozluźniony.

Elizabeth wyjęła z neseseru cienką książeczkę.

- Na koniec doszliśmy do Herr Thyssena. Wychodzi z tego stosunkowo obronną ręką. Żadnych wielkich malwersacji, jedynie drobne uchybienie, za to bardzo żenujące. - Rzuciła książeczkę na środek stołu. - Fritz Thyssen to producent pornografii, panowie!

Dostawca sprośności. Książki, broszurki, nawet filmy. Drukowane i kręcone w magazynach Thyssena w Kairze. Wszystkie rządy europejskie potępiły nieznanego kolportera. Oto on, panowie.

Wasz współnik...

Przez dłuższą chwilę nikt nie zabierał głosu. Każdy zajął się sobą. Każdy obliczał, jakie szkody mogą mu przynieść rewelacje madame Scarlatti. We wszystkich przypadkach stratom finansowym towarzyszyła kompromitacja. Starsza pani wniosła dwanaście oskarżeń i osobiście wydała dwanaście wyroków skazujących.

Głośny kaszel Sydneya Mastersona zakłócił ciszę nasyconą wrogością.

- W porządku, madame Scarlatti, dowiodła nam pani, że nie jesteśmy bez skazy. Muszę pani jednak przypomnieć, że nie jesteśmy też całkiem- bezbronni. Prawnicy mogą obalić każde z tych oskarżeń... Jeśli myśli pani, że boimy się społecznego potępienia, proszę mi wierzyć, że opinię publiczną można kształtować za pomocą znacznie mniejszych środków niż te, które reprezentowane są przy tym stole!

Wszyscy panowie zasiadający przy stole poczuli się pewniej po słowach Mastersona. Przytakiwali kiwając głowami.

- Całkowicie panu wierzę, panie Masterson. Zaginione akta, oportunistyczni urzędnicy... Ale myślę, że wolelibyście jednak uniknąć kłopotów czy przykrości, które wiążą się z tak niesmacznymi sprawami.

- Ma pani rację, madame. - Pierre Daudet wyglądał na spokojnego, lecz w środku aż się w nim gotowało. - Ma pani rację.

Należy unikać takich kłopotów. A więc co dalej? Co pani dla nas jeszcze przygotowała?

Elizabeth zawahała się. Sama nie bardzo wiedziała dlaczego.

Instynkt kazał jej odwrócić się i spojrzeć na Matthew Canfielda.

Przedstawiał sobą żalosny widok. Marynarka zsunęła mu się z lewego ramienia, odsłaniając czarny temblak, prawą rękę wciąż trzymał w kieszeni. Wydawało się, że cały czas usiłuje zachować świadomość tego, gdzie jest. Zauważyła, że starał się nie patrzeć na Ulstera Scarletta. Krótko mówiąc, robił co mógł, żeby nie zwariować.

- Przepraszam, panowie. - Elizabeth podniosła się z krzesła i podeszła do inspektora. Odezwała się do niego cichym szeptem:

- Niech pan się weźmie w garść! Nie ma się czego bać. Nie w tym pokoju!

Canfield odpowiedział powoli, prawie nie poruszając wargami:

- Niech pani mówi, co ma do powiedzenia, i skończmy z tym... Muszę go mieć. Przykro mi, ale muszę go mieć. Niech mu się pani przyjrzy po raz ostatni, bo on już nie żyje.

- Proszę się opanować! Takie gadanie nie przysłuży się żadnemu z nas. - Wróciła na swoje miejsce. Stała za krzesłem i powiedziała:

- Jak panowie widzą, mój młody przyjaciel został poważnie ranny. Dzięki wam wszystkim... albo jednemu z was, w trakcie zamachu mającego powstrzymać mnie od przybycia do Zurychu.

To tchórzliwe i w najwyższym stopniu prowokujące zagranie.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

Daudet, któremu wyobraźnia cały czas podsuwała obrazy narodowej hańby i plutonu egzekucyjnego, odpowiedział szybko:

- Po cóż którykolwiek z nas miałby robić coś takiego, madame Scarlatti? Nie jesteśmy maniakami, tylko biznesmenami. Nikomu nie zależało na tym, żeby panią zatrzymać. Wszyscy to poświadczą.

Elizabeth popatrzyła na Kroegera.

- Wiem, że jeden z was gwałtownie sprzeciwiał się tej konferencji. Strzelano do mnie niecałe pół godziny temu.

Wszyscy zwrócili wzrok na Heinricha Kroegera.

- Nie - odpowiedział z naciskiem, odwzajemniając ich spojrzenia. - Zgodziłem się na pani przyjazd. Gdybym chciał panią zatrzymać, zrobiłbym to.

Po raz pierwszy od początku spotkania Kroeger spojrzął na stojącego w półcieniu po drugiej stronie pokoju Canfielda. Niezbyt się zdziwił, kiedy się dowiedział, że Elizabeth Scarlatti przywiozła go do Zurychu. Znał skłonność Elizabeth do niezwykłych metod działania, poza tym prawdopodobnie nie miała pod ręką nikogo innego, kogo mogła zmusić do milczenia z taką łatwością, jak tę żądną pieniędzy gnidę. Pewnie był dobrym szoferem i służącym.

Kroeger nienawidził takich typów.

A może był kimś więcej?

Dlaczego tak się na niego gapił? Czy Elizabeth coś mu powiedziała? Nie, nie byłaby chyba aż tak głupia.

Jedno było pewne. Trzeba będzie go zabić.

Ale kto usiłował zatrzymać Elizabeth? I dlaczego?

Starsza pani zadawała sobie to samo pytanie. Uwierzyła bowiem Kroegerowi, kiedy zaprzeczył, jakoby był autorem zamachu.

- Proszę kontynuować, madame Scarlatti - odezwał się Fritz Thyssen. Jego twarz cherubinka wciąż była czerwona ze złości, spowodowanej ujawnieniem przez Elizabeth interesów w Kairze.

- Oczywiście. - Stała obok krzesła, ale nie usiadła. Po raz kolejny sięgnęła do teczek. - Mam jeszcze coś, panowie. Pozwoli nam to zakończyć sprawę i podjąć decyzję. Po jednym egzemplarzu dla dwunastu głównych inwestorów. Bardzo przepraszam, panie Kroeger, ale dla pana nic nie mam. - Ze swojego miejsca przy końcu stołu rozdała dwanaście wąskich żółtych kopert. Były zaklejone i kiedy przechodziły z rąk do rąk, widać było, że wszyscy z trudem powstrzymują się, żeby ich od razu nie rozerwać i nie zajrzeć do środka. Ale nikt nie chciał okazać tak wyraźnego niepokoju.

Wreszcie, kiedy cała dwunastka trzymała przed sobą koperty, mężczyźni jeden po drugim zaczęli je otwierać.

Przez niemal dwie minuty słychać było jedynie szelest papieru.

Poza tym było cicho. Wydawało się, że siedzący przy stole przestali nawet oddychać. Byli jak zahipnotyzowani tym, co zobaczyli.

Elizabeth odezwała się:

- Tak, panowie. Trzymacie w rękach harmonogram likwidacji Zakładów Scarlatti... Proszę zauważyć, że przy każdym pakiecie akcji wypisane są osoby, korporacje lub syndykaty, które będą nabywcami... Wszyscy, zarówno pojedyncze osoby jak i całe organizacje, są wam dobrze znane. Jeśli nie osobiście, to ze słyszenia.

Znacie ich możliwości, a nie wątpię, że jesteście też świadomi ich ambicji. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin staną się właścicielami Zakładów Scarlatti.

Dla większości obecnych informacje Elizabeth stanowiły potwierdzenie wcześniej zasłyszanych pogłosek. Doszły ich słuchy, że u Scarlattich dzieje się coś niezwyklego. Jakaś wyprzedaż na dziwnych warunkach.

A więc to było to. Szefowa Zakładów Scarlatti wycofywała się.

- Potężna operacja, madame Scarlatti - basowy głos Olaffsena wibrował w pokoju. - Ale powtórzę pytanie Daudeta: Co pani dla nas przygotowała?

- Proszę zwrócić uwagę na sumę na ostatniej stronie. Zresztą jestem pewna, że już to panowie zrobili.

Rozległ się szelest kartek. Każdy znalazł szybko ostatnią stronę.

- Wynosi ona siedemset pięćdziesiąt milionów dolarów...

Łączne, natychmiast wymienialne aktywa tego stołu obliczane są maksymalnie na miliard sto dziesięć milionów... Wobec tego różnica między nami wynosi trzysta dziewięćdziesiąt pięć milionów. Można też obliczyć tę różnicę w inny sposób... Likwidacja Zakładów Scarlatti przyniesie kwotę równą sześćdziesiąt cztery koma cztery procent majątku tego stołu - pod warunkiem, że panowie rzeczywiście mogą konwertować swoje aktywa w sposób pozwalający uniknąć paniki.

Cisza.

Kilku mężczyzn sięgnęło po pierwsze koperty, zawierające obliczenia, ile są warki.

Jednym z nich był Sydney Masterson. Zwrócił się do Elizabeth z uśmiechem, w którym nie było rozbawienia.

- Przypuszczam, że właśnie te sześćdziesiąt cztery koma cztery procent jest owym mieczem nad naszymi głowami?

- Dokładnie tak, panie Masterson.

- Droga pani, naprawdę muszę podać w wątpliwość pani zdrowe zmysły...

- Nie robiłabym tego na pana miejscu.

- W takim razie ja to zrobię, Frau Scarlatti. - Von Schnitzler mówił bardzo nieprzyjemnym tonem. - Żeby osiągnąć to, co pani osiągnęła, musiała pani wiele poświęcić... Zastanawiam się, w jakim celu? Nie jesteśmy oficjalną korporacją. Nie może pokonać pani czegoś, co nie istnieje!

- Zgadza się, von Schnitzler. Musiałam wiele poświęcić.

- A więc - Niemiec roześmiał się - jest pani chyba głupia.

Przecież nie może pani iść do jakiegoś mitycznego zarządcy i powiedzieć mu, że ma pani więcej środków niż my - wobec tego musi wygnać nas na ulicę!

Kilku mężczyzn zaśmiało się.

- Oczywiście tak byłoby najprościej. Zwrócić się do jednego ciała, negocjacje z jedną potęgą. Naprawdę szkoda, że nie mogę tego zrobić. Byłoby to dużo łatwiejsze, dużo mniej kosztowne...

Jestem niestety zmuszona ułożyć inny plan, droższy... Źle się wyraziłam. Już go ułożyłam, panowie. Jest gotowy. Właśnie wprowadzam go w życie.

Elizabeth powiodła wzrokiem po grupie mężczyzn. Niektórzy wpatrywali się w nią uważnie - czekali na najdrobniejsze wahanie, najmniejszą oznakę blefowania. Inni patrzyli uporczywie na różne przedmioty - ci wsłuchiwali się w ton jej głosu, w oczekiwaniu fałszywie brzmiącego stwierdzenia, pomyłki w ocenie.

- Jutro w godzinie otwarcia giełd, naturalnie z uwzględnieniem stref czasowych, nastąpią olbrzymie transfery kapitału Scarlattich do głównych ośrodków finansowych w pięciu krajach reprezentowanych przy tym stole. W Berlinie, Paryżu, Sztokholmie, Londynie i Nowym Jorku zakończono już negocjacje w sprawie zakupu na wolnym rynku dużych pakietów akcji waszych najważniejszych firm... Do południa dnia następnego, panowie, firma Scarlatti będzie miała znaczące, choć oczywiście nie największe, udziały w waszych rozległych przedsiębiorstwach... Warte sześćset siedemdziesiąt milionów dolarów...! Czy panowie zdają sobie sprawę, co to oznacza?

Kindorf ryknął:

- Ja! Wywinduje pani ceny i zbijemy fortuny! A pani nie zostanie nic!

- Droga pani, jest pani niezwykła. - Ceny wyrobów firmy Innes-Bowena nie zmieniały się od dawna. Był zachwycony rysującymi się przed nim perspektywami.

D'Almeida, który wiedział, że jego francusko-włoskie koleje są nie do ruszenia, był innego zdania.

- Nie może pani kupić ani jednej mojej akcji, madame!

- Niektórzy mają więcej szczęścia, niektórzy mniej, monsieur D'Almeida.

Finansista Leacock powiedział modulowanym głosem z ledwo słyszalnym irlandzkim akcentem:

- Zakładając, że tak będzie, a jest to zupełnie możliwe, madame Scarlatti, na czym ucierpieliśmy...? Nic nie straciliśmy, a zyskaliśmy wspólnika.

Elizabeth wstrzymała oddech przed dalszą przemową. Poczekała, aż uwaga wszystkich ponownie skupi się na niej.

- Powiedziałam, że przed południem firma Scarlatti stanie się właścicielem większości udziałów waszych firm... Godzinę później Zakłady Scarlatti pozbędą się tych udziałów za cenę będącą ułamkiem ich wartości! Wyliczyłam trzy centy za dolara... Równocześnie wszystkie zebrane przeze mnie informacje o waszych podejrzanych interesach zostaną przekazane największym agencjom prasowym w waszych krajach... Być może poradziłibyście sobie z samym zniesławieniem, panowie. Ale nie w połączeniu z paniką finansową. Niektórzy z was wyjdą z tego prawie bez szwanku, lecz dla niektórych to śmierć. A dla większości katastrofa!

Po krótkiej chwili milczenia wywołanego szokiem pokój eksplodował. Rzucano doradcom rozmaite pytania. Musieli krzyczeć, żeby było słychać ich odpowiedzi.

Heinrich Kroeger zerwał się z krzesła i zaczął wrzeszczeć:

- Przestańcie! Spokój! Cholerni głupcy, przestańcie! Ona tego nigdy nie zrobi! Ona blefuje!

- Naprawdę pan tak myśli? - zawołała Elizabeth ponad głosami innych.

- Zabiję cię, suko!

- Spróbuj... Kroeger! Spróbuj! - Przy Elizabeth stanął Matthew Canfield; oczy nabiegły mu krwią, kiedy patrzył na Ulstera Scarletta.

- A kim ty u diabła jesteś, wszawy straganiarzu? - Człowiek zwany Kroegerem, wczepiony dłońmi w stół, odwzajemnił spojrzenie Canfielda.

- Przyjrzyj mi się dobrze! Jestem twoim katem!

- Co?!

Heinrich Kroeger zmrużył oczy. Był zdumiony. Kim jest ten pasożyt? Nie miał jednak czasu, żeby się zastanawiać. Hałas przy stole był ogłuszający. Wszyscy przekrzykiwali się teraz wzajemnie.

Kroeger walnął w stół. Musiał opanować sytuację. Musiał ich uciszyć.

- Przestańcie...! Posłuchajcie mnie! Powiem wam, dlaczego ona tego nie zrobi! Mówię wam, że nie może!

Głosy przycichły jeden po drugim, w końcu zapadła cisza.

Grupa zuryska patrzyła na Heinricha Kroegera. Wskazał na Elizabeth Scarlatti.

- Znam tę sukę! Widziałem już, jak robiła takie rzeczy! Zbiera ludzi i straszy ich. Wpadają w panikę i wyprzedają się! Ona stawia na strach, wy tchórze! Na strach!

Daudet rzekł cicho:

- Nic nam nie wyjaśniłeś. Dlaczego nie może zrobić tak, jak mówi?

Kroeger nie odrywając oczu od Elizabeth Scarlatti powiedział:

- Ponieważ oznaczałoby to koniec wszystkiego, o co walczyła.

Koniec Scarlattich!

Głos Sydneya Mastersona niewiele się różnił od szeptu:

- To wydaje się oczywiste. Ale nasze pytanie nadal pozostaje bez odpowiedzi.

- Nie robi tego, ponieważ nie mogłaby żyć bez władzy.

jaką jej dają Zakłady Scarlatti. Daję wam słowo honoru! Nie mogłaby bez niej żyć!

- To pańska opinia - stwierdziła Elizabeth Scarlatti wpatrując się w twarz syna na drugim końcu stołu. - Żąda pan od większości tu obecnych, żeby zaryzykowali wszystko tylko na podstawie pańskiej opinii?

- Niech cię diabli!

- Kroeger ma rację, słonko. - Teksaski zaśpiew był łatwy do rozpoznania. - Zrzuńujesz się. Nie zostanie ci nawet nocnik, żebyś się mogła wysikać.

- Pański wulgarny język pasuje do pana brudnych interesów, Landor.

- Gównu mnie obchodzą słowa, staruszko. Obchodzi mnie forsa, a o tym właśnie mówimy. Czemu chcesz zrobić taki numer?

- Niech panu wystarczy, że go robię, panie Landor...

Panowie, jak powiedziałam, czas ucieka. Za dwadzieścia cztery godziny nastąpi albo normalny roboczy wtorek, albo dzień, o którym nigdy nie zapomną finansowe stolice świata... A więc, panowie...?

- Czego pani od nas chce? - zapytał ostrożnie Myrdal. Paru z nas wolałoby może narazić się na spełnienie pani gróźb, niż przyjąć pani warunki... Czasami mam wrażenie, że to tylko gra. Czego pani żąda?

- Natychmiastowego rozwiązania tego... stowarzyszenia. Bezwłocznego zerwania wszystkich politycznych i gospodarczych więzów z partiami w Niemczech! A ci z was, któ-

rym powierzono stanowiska w Międzynarodowej Komisji do Spraw Odszkodowań, mają natomiast z nich zrezygnować!

- Nie! Nie! Nie! - Heinrich Kroeger był wściekły. Z całej siły walił pięścią w stół. - Stworzenie tej organizacji zabrało lata!

Będziemy kontrolować gospodarkę całej Europy!

- Słuchajcie, panowie! Pan Myrdał powiedział, że to gra!

Oczywiście, że tak! Gra, której poświęcamy całe nasze życie. Herr Kroeger mówi, że nie mogę żyć bez władzy, o którą walczyłam i którą osiągnęłam. Może i ma rację! Ale może nadszedł czas, bym dotarła do logicznego końca. Jestem gotowa zapłacić najwyższą cenę... Oczywiście, że postąpię tak, jak powiedziałam, panowie!

Z radością powitam śmierć!

- Niech więc to będzie pani śmierć, nie nasza - rzekł Sydney Masterson.

- Niech będzie, panie Masterson. Panowie, nie myślcie ani przez chwilę, że was nie rozumiem! Że nie rozumiem tego, co zrobiliście. I co gorsza, dlaczego to zrobiliście!... Rozglądacie się po swoich królestwach i jesteście przerażeni. Chcecie za wszelką cenę ratować feudalny system, który was wyniósł na szczyt. I może rzeczywiście powinniście. Ale nie zrobicie tego w ten sposób!

- Skoro tak dobrze pani rozumie, czemu nas pani powstrzymuje? To przedsięwzięcie chroni nas wszystkich. W ostatecznym rozrachunku także i panią. Czemu nas pani powstrzymuje? włączył się D'Almeida.

- Przyjmijmy, że powstrzymuję was, ponieważ to, co robicie, przyniosłoby dużo więcej szkód niż pożytku...

- To śmieszne! Powtarzam wam, ona tego nie robi! Kroeger uderzył dłonią w stół, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

- Madame Scarlatti, co pani ma na myśli mówiąc, że pani plan został już wprowadzony w życie...? - zapytał Masterson.

- Pewien człowiek czeka w Genewie na mój telefon. Jeśli zadzwonię, do moich biur w Nowym Jorku zostanie wysłany telegram i operacja zostanie odwołana. Jeżeli nie - będzie przeprowadzona zgodnie z planem.

- Niemożliwe! Rozplatać coś tak skomplikowanego jednym telegramem? Nie wierzę. - Monsieur Daudet był pewien ruiny.

- Liczę się ze sporymi karami finansowymi.

- Myślę, że liczy się pani także z czymś więcej, madame. Straci pani zaufanie. Firma Scarlatti znajdzie się na indeksie!

- Istnieje taka możliwość, panie Masterson. Ale nie jest to pewne, rynek jest płynny... A więc, panowie? Jak brzmi wasza odpowiedź?

Sydney Masterson podniósł się z krzesła.

- Niech pani dzwoni. Nie mamy wyboru, prawda?

Mężczyźni z Zurychu spojrzeli po sobie. Powoli zaczęli wstawać i zbierać swoje papiery.

- Koniec. Wypisuję się z tego. - Kindorf złożył żółtą kopertę i wsadził ją do kieszeni.

- Ale z pani tygrysyca. Nie chciałbym się z panią spotkać na arenie, nawet gdybym miał za plecami armię - powiedział Leacock i wyprostował się.

- Możesz sobie robić w portki, ale ja się nie wycofam! Landor trącił łokciem Gibsona, który z trudem przyjmował do wiadomości to, co zaszło.

- Nie możemy być pewni... W tym problem. Nie możemy być pewni... - wystękał Gibson.

- Zaraz, zaraz! Czekajcie! - zaczął krzyzczeć Heinrich Kroeger. - Jeśli to zrobicie, jeśli się wycofacie, wszyscy zginiecie!

Cholerni wszarze! Tchórzliwe gnidy...! Zawieracie z nami umowy, a potem zwiewacie...? Trzęsiecie się o swoje lewe interesy? Pieprzone żydowskie nasienie! Nie potrzebujemy was! Będziemy karmić psy waszymi ścierwami! Świnie!

- Przestań, Kroeger! - Masterson zrobił krok w stronę szalejącego mężczyzny. - To koniec! Nie rozumiesz? Koniec!

- Ani kroku dalej, ty bydlaku, ty angielski kanciarzu! Kroeger wyciągnął rewolwer. Canfield stojąc obok Elizabeth zauważył, że była to czterdziestka piątka z długą lufą, z której jednym strzałem można rozerwać człowieka na pół.

- Ani kroku...! Koniec?! Nic nie jest skończone, dopóki ja tak nie postanowię. Śmierdzące świnie! Za daleko zaszliśmy...!

Nikt nas już nie powstrzyma! - Machnął rewolwerem w stronę Elizabeth i Canfielda. - Powiem wam, kto jest skończony!

Ona...! Z drogi! - Ruszył wzdłuż lewej strony stołu. Daudet zapiszczał:

- Niech pan tego nie robi, monsieur! Niech pan jej nie zabija!

Będziemy zrujnowani, jeśli pan to zrobi!

- Ostrzegam cię, Kroeger! Odpowiesz nam, jeśli ją zamordujesz! Nie zastraszysz nas! Nie zniszczymy sami siebie tylko dlatego, że ty tak chcesz! - Masterson stał obok Kroegera prawie dotykając go ramieniem.

Bez jednego słowa, bez ostrzeżenia, Heinrich Kroeger wycelował w brzuch Mastersona i nacisnął spust. Huk wystrzału był ogłuszający, Sydneya Mastersona zgięło w pół i podrzuciło w górę. Upadł na podłogę martwy, cały we krwi.

Kilku mężczyzn zaczęło krzyzczeć. Heinrich Kroeger szedł dalej.

Wszyscy schodzili mu z drogi.

Elizabeth Scarlatti pozostała na swoim miejscu. Utkwiła wzrok w oczach syna-mordercy.

- Przeklinam dzień, w którym przyszedłeś na świat. Przynosisz hańbę swojemu rodowi. Ale pamiętaj, Heinrichu Kroegerze, dobrze to zapamiętaj! - Głos starszej pani wypełnił cały pokój. Mówiła z taką mocą, że jej syn stanął na chwilę zdumiony i wpatrywał się w nią z niewiścią, kiedy ogłaszała wyrok na niego:- Po mojej śmierci twoje prawdziwe nazwisko ukaże się na pierwszych stronach wszystkich gazet cywilizowanego świata! Będziesz ścigany jako szaleniec, morderca i złodziej! I wszyscy znajdujący się w tym pokoju zostaną okrzyknięci twoimi współnikami, jeśli pozwolą ci przeżyć tę noc!

W oczach Heinricha Kroegera pojawił się szal. Jego ciało zatrzęsało się z wściekłości, odepchnął stojące przed nim krzesło tak, że pojechało z hałasem po podłodze.

Matthew Canfield trzymał palec na cynglu rewolweru w prawej kieszeni. Nigdy dotąd nie strzelał z kieszeni, ale wiedział, że zginą oboje, jeśli spudłuje. Mierzył w klatkę piersiową zbliżającego się mężczyzny. Wyczekał do ostatniej chwili.

Odgłos wystrzału był tak niespodziewany, że Kroeger zatrzymał się zaskoczony, prawie nie czując bólu w zranionym ramieniu.

Canfieldowi to wystarczyło.

Z całej siły pchnął Elizabeth prawą ręką, przewracając ją na podłogę poza linię wzroku Kroegera, a sam rzucił się w lewo.

Wyciągnął broń i ponownie strzelił.

Kroeger zgiął się wpół, a jego wielki rewolwer wypalił w podłogę.

Inspektor podniósł się na chwiejnych nogach, zapominając o dokuczliwym bólu lewej ręki, którą przygniół własnym ciałem.

Skoczył na Ulstera Stewarta Scarletta i wyrwał mu broń. Lufą zaczął bić tamtego po głowie.

Rozwalić tę twarz! Rozwalić tę ohydną twarz!

W końcu ktoś go odciągnął.

- Mein Gott! On nie żyje! Halt! Przestań! Już dosyć! - To był barczysty, silny Fritz Thyssen.

Canfieldowi zrobiło się słabo i osunął się na podłogę.

Wszyscy mężczyźni zebrali się dokoła.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi prowadzących na korytarz.

Von Schnitzler objął dowodzenie.

- Otwórzcie! - rozkazał.

D'Almeida podszedł szybko do drzwi i otworzył je. W wejściu stało kilku szoferów. Canfieldowi przyszło do głowy, że nie są to zwykli kierowcy. Miał rację. Byli uzbrojeni.

Nagle zobaczył, jak krótko ostrzyżony blondyn pochylił się nad ciałem Kroegera. Na krótką chwilę odepchnął innych i uniósł powiekę jednego zniekształconego oka.

Canfield pomyślał, że pewnie z powodu ostatnich ciężkich przeżyć zawodzi go wzrok.

A może blondyn rzeczywiście pochylił się i szepnął coś Heinrichowi Kroegerowi na ucho?

Czyżby Kroeger wciąż żył?

Nad inspektorem stanął von Schnitzler.

- Zabierzemy go stąd. Kazałem go dobić. Tak czy inaczej nie żyje. Koniec. - Rzucił jakieś rozkazy po niemiecku do szoferów otaczających Kroegera. Kilku z nich zaczęło podnosić bezwładne ciało, ale powstrzymał ich krótko ostrzyżony blondyn. Nie pozwolił dotknąć ciała syna Elizabeth Scarlatti i sam je wyniósł z pokoju.

- Co z nią? - Canfield wskazał gestem Elizabeth, która siedziała na krześle. Patrzyła na drzwi, przez które wynoszono Kroegera. Jej syna...

- Wszystko w porządku! Może teraz zadzwonić! - powiedział Leacock.

Canfield wstał z podłogi i podszedł do Elizabeth. Położył dłoń na jej pomarszczonym policzku.

Po pobrużdżonej twarzy starej kobiety spływały łzy.

Po chwili Matthew Canfield podniósł wzrok. Usłyszał warkot szybko odjeżdżającej wielkiej limuzyny. Coś go zaniepokoiło.

Von Schnitzler powiedział, że kazał dobić Kroegera.

Nie padł jednak żaden strzał.

W odległości półtora kilometra od miejsca spotkania grupy zuryskiej, na Winterthurstrasse, dwaj mężczyźni wciągali do ciężarówki trupa mężczyzny. Nie bardzo wiedzieli, co robić. Zabity wynajął ich, żeby zatrzymali samochód jadący do Falke Haus.

Zapłacił im z góry, bo nalegali na to. A teraz nie żył, trafiony godzinę temu kulą przeznaczoną dla kierowcy. Kiedy ciągnęli ciało po kamienistym zboczu w stronę ciężarówki, krew z ust splamiła idealnie przystrzyżone, wypomadowane wąsy.



Zabity mężczyzna nazywał się Poole.

# **CZEŚĆ CZWARTA**

## ROZDZIAŁ 45

Major Matthew Canfield, lat czterdzieści pięć - a niebawem czterdzieści sześć - wyciągnął nogi w poprzek tylnego siedzenia wojskowego samochodu. Byli już w Oyster Bay. Sierżant o ziemistej cerze przerwał milczenie:

- Dojeżdżamy już, majorze. Lepiej niech się pan obudzi.

Obudzić się. Gdyby to było takie proste... Po twarzy spływał mu pot, a serce wybijało rytm nieznannej melodii.

- Dziękuję, sierzancie.

Samochód skręcił na wschód, w Harbor Road, w stronę oceanu.

Kiedy znaleźli się w pobliżu domu, Canfield zaczął się trząść. Splótł ręce, wstrzymał oddech i przygryzł język. Nie chciał się teraz rozkleić. Nie mógł sobie pozwolić na luksus liwości nad samym sobą. Nie mógł tego Janet zrobić. Tyle jej zawdzięczał.

Sierżant zajechał z fasonem na wykładany niebieskimi kamieniami podjazd i zatrzymał się przy ścieżce wiodącej do głównego wejścia wielkiej willi nad morzem. Lubił jeździć do Oyster Bay z bogatym majorem. Zawsze było pełno dobrego jedzenia, mimo racjonowania żywności, i najlepsze trunki.

Canfield powoli wysiadł z samochodu. Sierżant się zaniepokoił.

Majorowi najwyraźniej coś dolegało. Miał nadzieję, że nie oznacza to powrotu do Nowego Jorku. Ale chyba stary miał kłopoty.

- W porządku, majorze?

- Tak, sierzancie... Chciałby pan zaszyć się dziś na przystani? - zapytał Canfield nie patrząc na kierowcę.

- Pewnie! - zawołał z entuzjazmem sierżant. Na przystani była wspaniale zaopatrzona kuchnia i mnóstwo gorzałki. Był nawet telefon.

- Będę panu jeszcze potrzebny, majorze?

Canfield szedł już ścieżką w stronę domu. Zawołał cicho przez ramię:

- Może pan robić, co chce, sierzancie. Tylko niech się pan trzyma z daleka od radiotelefonu. Jasne?

- Nie ma sprawy, majorze! - Silnik zawył i sierżant odjechał w kierunku plaży.

Matthew Canfield stanął przed białymi rzeźbionymi drzwiami ze sztormowymi lampami po dwóch stronach.

Jego dom. Dom Janet.

Drzwi otworzyły się i Janet stanęła na progu. Lekko siwiejące włosy, których nie chciała farbować. Zadarty nos nad delikatnymi, wrażliwymi ustami. Wielkie piwne oczy o badawczym spojrzeniu.

- Usłyszałam samochód. Nikt nie zjeżdża na przystań tak jak Evans...! Matthew! Matthew! Najdroższy! Dlaczego płaczesz?

## ROZDZIAŁ 46

Wojskowy transportowiec B-29 wynurzył się z popołudniowych chmur i zaczął opuszczać nad lotniskiem w Lizbonie. W kabinie pojawił się kapral Sił Powietrznych.

- Proszę zapiąć pasy i zgasić papierosy. Za cztery minuty lądujemy.

Od chwili startu z Shannon młodzieniec siedzący obok Matthew Canfielda prawie się nie odzywał. Major kilkakrotnie próbował mu wytłumaczyć, że poruszają się po korytarzach powietrznych będących poza zasięgiem Luftwaffe i że nie ma się czym martwić, lecz Andrew Scarlett wymamrotał tylko, że rozumie, i z powrotem zagłębił się w czasopiśmie.

Na lotnisku w Lizbonie czekał na nich opancerzony lincoln z dwoma żołnierzami. Szyby w oknach mogły wytrzymać ogień z karabinu maszynowego. Musieli pojechać pięćdziesiąt kilometrów w górę rzeki Tejo, żeby dostać się na lotnisko w Alenguer.

W Alenguer mężczyzna i chłopiec wsiedli do nisko latającego, specjalnego samolotu Marynarki Wojennej bez żadnych oznaczeń, który miał ich zabrać do Berna. Bez międzylądowań. Przez całą drogę osłaniały ich angielskie, amerykańskie i francuskie myśliwce.

W Bernie przesiedli się do samochodu należącego do szwajcarskiego rządu, eskortowanego przez ośmiu motocyklistów - jeden z przodu, jeden z tyłu i po trzech z boku. Wszyscy byli uzbrojeni, mimo paktu genewskiego.

Pojechali do wsi położonej jakieś trzydzieści kilometrów na północ, w kierunku granicy niemieckiej. Wieś nazywała się Kreuzlingen.

Zajechali przed małą gospodę i wysiedli. Samochód odjechał, zniknęła też eskorta.

Matthew Canfield poprowadził chłopca po schodach do wejścia do gospody. W holu słychać było zawodzący dźwięk akordeonu, dobiegający z prawie pustej jadalni.

Obaj podróżni podeszli do kontuaru recepcji.

- Proszę zadzwonić do pokoju numer sześć i powiedzieć, że przybył April Red.

Kiedy recepcjonista wybierał numer, chłopiec nagle zadrżał.

Canfield objął go i przytulił.

Weszli na górę i stanęli przed drzwiami oznaczonymi numerem szóstym.

- Nic ci już nie mogę powiedzieć, Andy, poza tym, że jesteśmy tu z powodu jednej osoby. Przynajmniej ja jestem tu dla niej. Dla Janet, twojej matki. Spróbuj o tym pamiętać.

Chłopiec wziął głęboki oddech.

- Spróbuję, tato. Wejźmy już. Wejźmy wreszcie!

Pokój był słabo oświetlony małymi lampami stojącymi na stolikach. Urządzono go w sposób uważany przez Szwajcarów za stosowny dla turystów: grube dywany, solidne meble, miękkie fotele i mnóstwo narzut.

W dalekim rogu, w półcieniu, siedział mężczyzna. Strumień światła padał prosto na jego klatkę piersiową, nie oświetlając twarzy. Mężczyzna ubrany był w spodnie z brązowego tweedu i kurtkę z grubego materiału łączonego ze skórą.

Odezwał się gardłowym, ochrypłym głosem:

- Kim jesteście?

- Canfield i April Red. Kroeger...?

- Zamknij drzwi.

Matthew Canfield zamknął drzwi i stanął przed Andrew Scarlettem. Będzie osłaniał chłopca. Włożył prawą rękę do kieszeni płaszcza.

- Mam wycelowany w ciebie rewolwer, Kroeger. Inny, chociaż w tej samej kieszeni, co podczas naszego ostatniego spotkania. Tym razem nie dam się nabrać. Czy wyrażam się jasno?

- Jeśli chcesz, możesz wyjąć go z kieszeni i przystawić mi do głowy... I tak nic na to nie poradzę.

Canfield podszedł do człowieka w fotelu.

Mężczyzna był inwalidą. Wyglądało na to, że całą lewą część ciała ma sparaliżowaną, ze szczęką włącznie. Ręce złożył na brzuchu, palce wykrzywił mu skurcz. Ale wzrok miał bystry.

Te oczy. Ta twarz, obciążona białymi łatami przeszczepionej skóry pod siwymi krótkimi włosami.

Mężczyzna powiedział:

- Tyle udało mi się wynieść spod Sewastopola. Operacja "Barbarossa".

- Co masz nam do powiedzenia, Kroeger?

- Najpierw April Red... Powiedz mu, żeby podszedł bliżej.

- Chodź tu, Andy. Stań obok mnie.

- Andy! - Człowiek w fotelu zaśmiał się połową ust.- Jak milutko! Andy! Chodź tu, Andy!

Andrew Scarlett podszedł do ojczyma i stanął obok niego, spoglądając na mężczyznę w fotelu.

- A więc to ty jesteś synem Ulstera Scarletta?

- Jestem synem Matthew Canfielda - powiedział chłopiec.

Canfield nie ruszał się; obserwował ojca i syna.

- Nie, młody człowieku, jesteś synem Ulstera Stewarta Scarletta, dziedzicem Scarlattich!

- Jestem tym, kim chcę być! Nie mam z tobą nic wspólnego. - Chłopiec oddychał głęboko. Canfield spostrzegł, że opuścił go strach, a ogarniała cicha wściekłość.

- Spokojnie, Andy. Spokojnie...

- Po co? Dla niego...? Jest już prawie trupem... Nawet nie ma twarzy.

- Przestań! - Przenikliwy głos Ulstera Scarletta przypomniał Canfieldowi dawne wydarzenia w Zurychu. - Przestań, głupcze!

- Niby dlaczego? Nie znam cię! Nie chcę cię znać...! Odszedłeś dawno temu! - Chłopiec wskazał Canfielda. - On zajął twoje miejsce. Jego słucham. A ty jesteś dla mnie nikim!

- Nie mów do mnie w ten sposób! Jak śmiesz!

Canfield powiedział ostro:

- Przywiozłem chłopca, Kroeger! Co masz dla nas? Załatwmy to wreszcie!

- Najpierw on musi zrozumieć! - Oszpecona głowa kiwała się w przód i w tył. - Musi zrozumieć!

- Jeśli to tyle dla ciebie znaczy, czemu się ukrywałeś? Czemu stałeś się Kroegerem?

Głowa znieruchomiła, szare oczy wpatrzyły się w Canfielda.

- Ponieważ Ulster Scarlett nie nadawał się na reprezentanta nowego ładu! Ulster Scarlett spełnił swoje zadanie i nie był więcej potrzebny... Był przeszkodą... Nikt nie traktowałby go poważnie.

Należało go usunąć...

- Może kryło się za tym coś więcej...

- Co?

- Elizabeth. Powstrzymałaby cię ponownie... Powstrzymałaby cię tak, jak w Zurychu.

Na dźwięk tego imienia Heinrich Kroeger zebrał całą flegmę zalegającą w jego poharatym gardle i splunął.

- Suka... Zrobiliśmy błąd w dwudziestym szóstym... Ja zrobiłem błąd... Powinienem był jej zaproponować, żeby się do nas przyłączyła... Zgodziłaby się. Chciała tego samego, co ja.

- Mylisz się.

- Nie znałeś jej!

Canfield odpowiedział nie zmieniając tonu:

- Znałem... Uwierz mi na słowo. Gardziła wszystkim, co ty reprezentowałeś.

Hitlerowiec zaśmiał się cicho.

- Zabawne... Bo ja powiedziałem jej, że reprezentowała wszystko, czym ja gardziłem...

- Więc oboje powiedzieliście sobie prawdę.

- Nieważne. Poszła już do piekła.

- Umarła myśląc, że nie żyjesz. Dzięki temu umarła w spokoju.

- Ha! Nie masz pojęcia, jak mnie kusiło przez te wszystkie lata, zwłaszcza kiedy zdobyliśmy Paryż...! Ale czekałem na Londyn...

Chciałem stanąć przed Whitehall i obwieścić to całemu światu i patrzeć na koniec Scarlattich!

- Odeszła, zanim zdobyliście Paryż.

- To już nie miało znaczenia.

- Chyba nie. Umarłej bałeś się tak samo, jak żywej.

- Nikogo się nie bałem! I niczego! - Heinrich Kroeger wyprężył kalekie ciało.

- Dlaczego więc nie spełniłeś swojej groźby? Rodzina Scarlattich żyje.

- Nigdy ci nie powiedziała?

- Czego?

- Ta suka zabezpieczała się zawsze ze wszystkich stron.

Znalazła przekupnego człowieka. Mojego jedynego wroga w Trzeciej Rzeszy. Goebbelsa. Nigdy nie uwierzyła, że zginąłem w Zurychu.

Goebbels wiedział, kim jestem. Po trzydziestym trzecim zagroziła, że zniszczy nas swoimi informacjami... Informacjami o mnie. Ale partia była ważniejsza niż zemsta.

Canfield patrzył na siedzącego przed nim człowieka. Jak zawsze, Elizabeth Scarlati zostawiła wszystkich w tyle. Daleko w tyle.

- Ostatnie pytanie...

- Słucham?

- Dlaczego ożeniłeś się z Janet?

Mężczyzna w fotelu podniósł z trudem prawą rękę.

- On... On! - wskazał na Andrew Scarletta.

- Dlaczego?

- Heinrich Kroeger jest częścią nowego świata! Nowego ładu!

Prawdziwej arystokracji...! A z czasem to wszystko należałoby do niego!

- Ale dlaczego Janet...?

Heinrich Kroeger odpowiedział lekceważąco:

- To dziwka. Ale ktoś musiał urodzić mi syna.

Canfield poczuł, jak wzbiera w nim gniew, lecz zdołał się opanować. Nie zdążył jednak powstrzymać stojącego obok chłopca.

Andrew Scarlett skoczył do wyściełanego fotela i zamachnął się otwartą dłonią na Kroegera. Uderzenie było mocne, dobrze wymierzone.

- Ty draniu! Ty łajdaku!

- Andy! Wracaj! - Canfield odciągnął chłopca.

- Unehelich! Musisz wiedzieć...! - Kroeger sięgnął z wysiłkiem do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął kartkę papieru. - To dla ciebie!

Canfield wziął kartkę i nie patrząc na nią podał Andrew Scarlettowi.

- To tylko liczby. Dużo liczb i nic więcej - stwierdził chłopiec.

Matthew Canfield wiedział, co oznaczały, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Kroeger się odezwał:

- Numery kont w Szwajcarii, synu. Mój jedyny synu... A na kontach miliony. Miliony! Ale są też pewne warunki. Z czasem je zrozumiesz! Kiedy dorośniesz, będziesz wiedział, że te warunki trzeba spełnić! Spełnisz je...! Będziesz miał moc zmieniania świata!

I zmienisz go! Tak, jak myśmy chcieli go zmienić.

Chłopiec spojrzał na zdeformowaną postać w fotelu.

- Mam ci podziękować?

- Kiedyś to uczynisz.

Matthew Canfield miał już dosyć.

- Koniec. April Red otrzymał wiadomość. Teraz moja kolej!

Co masz dla mnie? - To jest na zewnątrz. Pomóż mi wstać, pójdziemy tam.

- Jeszcze czego! Co jest na zewnątrz? Twoi żołnierze w skórzanych kurtkach?

- Nie ma nikogo. Jestem sam.

Canfield spojrzał na siedzący przed nim wrak człowieka i uwierzył mu. Pomógł Heinrichowi Kroegerowi wstać.

- Poczekaj tu, Andy. Zaraz wracam.

Sprowadził po schodach kalekiego mężczyznę. W holu służący podał im kule. Major armii amerykańskiej i nazista wyszli przez frontowe drzwi.

- Dokąd idziemy, Kroeger?

- Czas, żebyś zaczął zwracać się do mnie używając właściwego nazwiska, nie sądzisz? Brzmi ono Scarlett. Albo, jeśli wolisz, Scarlatti. - Poprowadził ich w prawo, zeszli z drogi na trawę.

- Dla mnie jesteś Heinrichem Kroegerem. Nikim więcej.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że tylko przez ciebie zawałiliśmy sprawę w Zurychu. Cofnąłeś nas w czasie o jakieś dwa lata... Nikt nigdy nie podejrzewał...

- Dokąd idziemy?

- Tylko kilkaset metrów dalej. Wyjmij pistolet, jeśli chcesz.

Nikogo tu nie ma.

- Co zamierzasz nam przekazać? Równie dobrze możesz mi już powiedzieć.

- Czemu nie? I tak zaraz będziesz je miał w ręku. - Kroeger kuśtykał w stronę pola. - A kiedy je już dostaniesz, ja będę wolny.

Pamiętaj.

- Zawarliśmy umowę. A więc?

- Alianci będą zadowoleni. Eisenhower pewnie da ci medal...

Przywieziesz dokładne plany umocnień wojskowych Berlina. Zna je tylko sama góra w niemieckim sztabie... Podziemne bunkry, stanowiska artyleryjskie, składy, nawet punkt dowodzenia. Będziesz bohaterem, a ja zniknę. Udało się nam, mnie i tobie.

Matthew Canfield przystanął.

Wywiad aliancki zdobył plany fortyfikacji Berlina kilka tygodni temu.

Berlin wiedział o tym i przyznał, że wie.

Na kogoś zastawiono tu pułapkę, ale nie na niego, nie na Matthew Canfielda. Hitlerowski sztab wydał jednego ze swoich na śmierć.

- Powiedz mi, Kroeger, co się stanie, jeśli wezmę plany, które dajesz za spotkanie z Andrew Scarlettem, i nie pozwolę ci odejść?

Co wtedy?

- To proste. Dwa tygodnie temu złożyłem zeznanie w Berlinie.

Wysłuchał mnie sam Doenitz. Powiedziałem mu wszystko. Jeśli nie wrócę do Berlina w ciągu paru dni, zaniepokoi się. Jestem bardzo cenny. Zamierzam się pokazać, a potem... zniknąć.

Matthew Canfield pomyślał, że w całym swoim życiu nie spotkał się z większą ironią losu. Ale w końcu nie spodziewał się niczego innego.

Człowiek w Berlinie, którego znał tylko ze słyszenia, doszedł do wniosku, że Heinricha Kroegera, Ulstera Stewarta Scarletta, należy zlikwidować.

Doenitz zgodził się na przyjazd Kroegera do Berna i zaopatrzył go w bezwartościowe prezenty. Wiedział, że żaden naród nie może sobie pozwolić na takiego maniaka. Wyrok wykonać musiał wróg, żeby nie budziło to najmniejszych wątpliwości. Doenitz był człowiekiem, któremu ufali przeciwnicy. Tak jak Rommel, był wojownikiem z krwi i kości. Przebiegłym, lecz uczciwym.

Matthew Canfield wyciągnął pistolet i strzelił dwa razy. Heinrich Kroeger padł martwy na ziemię.

Major poszedł przez pole z powrotem do małej gospody. Noc była pogodna, trzy czwarte księżycy oświetlało jasno nieruchome liście okolicznych drzew.

Jakie to wszystko było niezwykle proste...

Ale grzbiet fali zawsze jest gładki. Zwodniczo gładki. Nie pokazuje naporu niezliczonych kropel wody, dzięki którym piana toczy się tak, a nie inaczej.

Skończyło się.

Został mu Andrew.

I Janet. Przede wszystkim Janet.

Koniec